

**BESTSELLER „THE SUNDAY TIMES”**

*Świetna!  
Przeczytałam ją  
jednym tchem.*

**KATE MOSSE**

*Dosłownie  
zapiera dech.*

**MEG MASON**



# **SROKA**

**ELIZABETH DAY**

**ELIZABETH DAY**

# SROKA

Przełożyli z angielskiego

Maciej Grabski i Maria Grabska-Ryńska



Książnica



Tytuł oryginału  
*Magpie*

Projekt okładki  
JO THOMSON

Przygotowanie polskiej wersji okładki  
AGNIESZKA LENART / RERA DESIGN

Fotografie na okładce  
© SHUTTERSTOCK

Koordinacja projektu  
KONRAD ZATYŁNY  
ALEKSANDRA CHYTRONŃ-KOCHANIEC

Redakcja  
IWONA GAWRYŚ

Korekta  
BOGUSŁAWA OTFINOWSKA

Redakcja techniczna  
LOREM IPSUM – RADOŚLAW FIEDOSICHIN

Copyright © Elizabeth Day 2021  
Published by arrangement with Rachel Mills Literary Ltd, UK and Book/lab Literary Agency, Poland.  
Polish edition © Publicat S.A. MMXXIII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved

ISBN 978-83-271-6282-3

Konwersja: [eLitera s.c.](#)



**Książnica**

jest znakiem towarowym Publicat S.A.

**PUBLICAT S.A.**  
61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24  
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 2519  
e-mail: [office@publicat.pl](mailto:office@publicat.pl), [www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

Oddział we Wrocławiu  
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62

tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66  
e-mail: [ksiaznica@publicat.pl](mailto:ksiaznica@publicat.pl)

# Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Rekomendacje

Dedykacja

Część pierwsza

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

Część druga

12

13

14

15

16

17

Część trzecia

18

19

20

21

22

23

Część czwarta

24

25

26

27

28

29

30

31

32

Podziękowania

W *Sroce* Elizabeth Day znajdujemy i nutkę grozy, i nieco czarnego humoru, a przy tym jest niezmiernie wzruszająca. Mówiąc krótko: zaje\*\*sta!

**Stanley Tucci**

*Sroka* to inteligentna, trzymająca w napięciu powieść z błyskotliwie skonstruowaną intrygą. Zwraca uwagę wnikliwy ogląd ludzkich więzi, również tych toksycznych. Akcja nieoczekiwane zmienia bieg i trudno się od książki oderwać. Elizabeth Day to świetna pisarka.

**Matt Haig**, autor *Biblioteki o Północy*

*Sroka* to wspaniały thriller z przesłaniem, będę go polecać każdemu. Elizabeth Day napisała jedną z tych książek, których zawsze szukam - trzymających w napięciu do ostatniej strony, a przy tym tryskających dobrą energią. To powieść, która jednocześnie przeraża i pociesza, szokuje, choć jest świetnie osadzona w realiach. Przyprawiający o zawrót głowy zwrot akcji jest uzasadniony, a jednak stanowi zupełną niespodziankę. Na świecie mamy wiele książek i większość z nich czyni nas lepszymi, ale *Sroka* jest książką konieczną. To właśnie jej dotąd brakowało.

**Lisa Taddeo**, autorka *Zwierzęcia* i *Trzech kobiet*

Wbrew temu, co w ostatnich latach można było wyczytać z okładek, niewielu pisarkom udało się zbliżyć do mistrzowskiej, brawurowej narracji Gillian Flynn. Tymczasem czytając *Srokę*, czujemy, jak boli niezaspokojony instynkt macierzyński, strach przed zdradą, napięcie w rodzinie, niemożność zapanowania nad własnym ciałem... Niczym w lustrze odbijają się tu wszelkie kobiece traumy.

**Megan Abbott**, „The New York Times Book Review”

Absolutnie, wręcz przerażająco znakomita!

**Marian Keyes**, autorka *Wakacji Rachel*

Trzymający w napięciu kameralny thriller psychologiczny. *Sroka* niepokoi i szokuje - jak każdy dobry thriller - ale zapewnia przy



tym swoiste *katharsis*, ukazując całe spektrum kobiecych frustracji. Gdy w grę wchodzi macierzyństwo, kobieta zrobi absolutnie wszystko, by ochronić to, co ma. *Sroka* to przykuwający uwagę, pozbawiony sentymentów dramat o dynamicznej akcji, której czytelnik do samego końca nie jest w stanie przewidzieć.

**„Newsweek”**

Osnuty wokół więzi rodzinnych thriller Elizabeth Day ma dramatyczną fabułę, która skłania czytelnika, by zwątpił we wszystko... Czyta się świetnie, miłośnicy gatunku będą zachwyceni.

**„Booklist”**

Ta świetnie napisana książka stawia na bacność; jest mroczna, ale czuje się w niej wielkie, żywo bijące serce.

**Jessie Burton**, autorka *Miniaturzystki* i *Wyznania*

Mamy w *Sroce* huśtawkę napięcia, natłok zdarzeń, a w dodatku ten kapitalny zwrot akcji, którego nikt się nie spodziewa. Jest stylowa, miejscami przerażająca i inteligentnie napisana. To thriller najwyższej klasy.

**Louise O’Neill**, autorka *Sama się prosiła*

Czytałam *Srokę* jednym tchem. To bardzo elegancki, trzymający w napięciu i piękny literacko thriller o manipulacji, kłamstwie, macierzyństwie, obłędzie i wściekłości, a przy tym najbardziej wzruszająca opowieść o bezpłodności, na jaką się w życiu natknęłam.

**Sarah Vaughan**, autorka *Anatomii skandalu*

*Justinowi,  
mistrzowi intrygi*

# Część pierwsza

# 1

Dom był idealny. No, może nie do końca, bo domy nigdy takie nie są, ale z jego niedoskonałościami dało się żyć. Podłogi, które deweloper ewidentnie kupił w hurcie, były nieco za jasne, a drewnopodobna okleina odrobinę zbyt gładka, żeby skutecznie udawać prawdziwe drewno. Okiennice w stylu kolonialnym zostały wykonane z plastiku, a teraz pokrywały je drobinki kurzu. Ktoś podjął dość kontrowersyjną decyzję, by łazienkę umieścić na piętrze i wyposażyć w drzwi wychodzące na balkon. Marisa stała właśnie na tym balkonie; jej sandały zlewały się barwą z płytkami w kolorze biszkoptu. Patrzyła w dół, na ogród ciągnący się poniżej – pas trawy i stojące wzdłuż niego rośliny w donicach. Ziemię niedawno przekopano. Zwróciła uwagę na ciszę wokoło, będącą w Londynie niezwykłym zjawiskiem, zwłaszcza tak blisko ruchliwej trasy. Kiedy o tym wspomniała, kobieta, która oprowadzała ją po domu, pokiwała głową.

- Prawda? Panuje tu cudowny spokój.

To ostatecznie przekonało Marisę.

Jej dzieciństwo upłynęło pod znakiem wiecznego hałasu. We wspomnieniach zawsze najpierw pojawiał się dźwięk. Niespójne, niepewne nuty, kiedy ojciec próbował grać na pianinie. Trzask drzwiczek piekarnika i klang przeładowanej półki w zmywarce. Podniesione głosy kłócących się rodziców. Piskliwe miauczenie nowo narodzonej siostrzyczki. A potem, kiedy matka odeszła z niemowlęciem wtulonym w jej ramiona, w podmiejskim domu zapanowała cisza. I nikt niczego nie wyjaśnił.

Zanim matka odeszła, uściskała mocno Marisę, szepcząc jej do ucha, że wróci po nią, jak tylko stanie na nogi. Marisa pamiętała, że patrzyła wtedy na stopy matki, zastanawiając się, co z nimi nie tak. Tkwiły w mokasynach ze sprzączką w kształcie monety. Kiedyś próbowała ją wydłubać niezgrabnymi paluszkami, ale moneta nie chciała się odczepić. Spoglądając na te buty, Marisa zastanawiała się, czemu mama musi stanąć z powrotem na nogach, skoro już na nich stoi. Bardzo chciała

wiedzieć, dlaczego odchodzi. Ale najbardziej dręczyły ją pytania, co z nią teraz będzie i dlaczego mama nie wzięła jej ze sobą. Miała wtedy siedem lat.

Przez wiele dusznych dni ojciec paradował w pizamie i kapciach, a kielkujący na jego twarzy zarost wybujał w nierówną brodę. Podczas kolejnych tygodni, które teraz jawiły się niewyraźne, jakby zamulone, Marisa próbowała ładować zmywarkę tak, jak robiła to mama – splukując najpierw talerze i wkładając noże ostrzem do góry. Po pewnym czasie znużyły ją domowe obowiązki i od tej pory brudne naczynia piętrzyły się w zlewie. Potem wysłano ją do szkoły z internatem, a tam powitał ją zestaw nowych odgłosów, który musiał jej teraz wystarczyć.

Nowy dom był antidotum na to wszystko. Obejrzała go dokładnie w internecie, powiększając zdjęcie, żeby przyjrzeć się szarym drzwiom wejściowym i schodkom, które do nich prowadziły. Cegła elewacji miała kolor prażonych orzechów. Ulica, mówiąc językiem agentów nieruchomości, była „zadrzewiona”, a przy tym leżała blisko lokalnej szkoły, ocenionej w rankingu jako „wybitna”. To bardzo ważne, ponieważ mieli zamiar postarać się o dziecko, gdy tylko się wprowadzą. Taki był plan. Wracając myślami do rozmowy z Jakiem, poczuła, że opuszcza ją napięcie. Zupełnie jakby ktoś włożył jej w dłoń ciepły kamień.

Jake to jej skała, opoka, cuma i kotwica. Wszystkie te określenia Marisa wypowiadała w myślach, lecz nigdy na głos, bo Jake nie był skłonny do okazywania emocji. Między innymi to ją w nim urzekło: jego niezachwiana stałość. Żadne wydarzenia nie były w stanie wyprowadzić go z równowagi. Okazywał miłość raczej czynem niż słowami, które padały z jego ust. Marisa wiedziała, że Jake nie ufa demonstracjom uczuć, że uważa je za nieszczerze. Po latach dzieciństwa, kiedy matka używała emocji jako armat w nieustającej i nigdy nierozstrzygniętej bitwie, powściągliwość Jake’a sprawiła Marisie ulgę.

Kiedy obejrzała dom na własne oczy, przekonała się, że jest w sam raz dla nich. Cichy azyl, wypełniony światłem i dość pusty, aby mogli mu nadać własny charakter.

Kuchnia znajdowała się w przyziemi. Wyburzono wszystkie możliwe ścianki działowe, więc przestrzeń była rozległa niczym plaża. Orzechowy stół z połowy wieku otaczało osiem krzeseł na smukłych nogach. Nisko wiszące lampy o kloszach z bladoniebieskiego szkliwa oświetlały kuchenną wyspę. Przemysłowej wielkości kuchenka wyglądająca jak

wyrzutnia raketowa. Wypolerowana na lustro lodówka z własnym systemem wodnym, który dozował kostki lodu, kiedy wstawiło się szklankę w odpowiednie miejsce. Na białej ścianie wisiał ogromny telewizor, smoliście czarny prostokąt z kropką czerwonego światełka w rogu, przez co przypominał obraz, który właśnie został sprzedany.

Agentka stwierdziła przypochlebnie, że Marisa jest właśnie tą osobą, która powinna się tu wprowadzić. Marisa się uśmiechnęła.

- Czasem to jest takie... - przez chwilę szukała właściwego słowa - ...instynktowne.

- Zgadza się. - Kobieta skinęła głową.

Otworzyła szklane drzwi do ogrodu, składając je w harmonijkę niczym origami, i wtedy nagle pojawił się w nich ptak. Wpadł do środka lotem koszącym, tak że nie było szans, by go powstrzymać.

Kobieta przykucnęła, zasłaniając głowę rękami. Marisa się skrzywiła. Nie znosiła ptaków. Trzepotu skrzydeł, ostrych dziobów i tych małych martwych oczek.

Sroka. Biało-czarna, z tęczowym połyskiem na ciemnych piórach. Spora, niemal tak duża, jak gawron. Tłukła się wokół, przerażona, że znalazła się w potrzasku. W końcu podfrunęła w górę i uciekła w kąt sufitu najbardziej oddalony od miejsca, gdzie stały.

- Sio! - zawołała agentka, idąc w kierunku ptaka i machając rękami, żeby go wypłoszyć. - Sio!

- Nie sądzę... - zaczęła Marisa.

Chciała powiedzieć, że jej zdaniem nierozsądne byłoby straszenie ptaka, ale zanim dokończyła zdanie, sroka wystartowała do lotu. Czubek silnego skrzydła zahaczył o misternie malowany wazonik stojący na półce. Bibelot zachwiał się, a potem spadł, roztrzaskując się na drobne kawałeczki, z których większość zatrzymała się na listwie przypodłogowej. I naraz zakłęcie prysnęło.

Wyzwolony z błędnego koła strachu i niezrozumienia ptak wyleciał jak po sznurku przez otwarte drzwi, mijając Marisę tak blisko, że czuła na twarzy powiew powietrza wzbudzony przez energiczne ruchy skrzydeł. Pachniało mchem, wilgocią i trochę padliną. Przez chwilę wydawało jej się, że czuje też łaskotanie pióra, jakby sroka w szaleńczym przelocie musnęła skrzydłem jej policzek.

- I krzyżyk na drogę! - krzyknęła za nią agentka, prędko zamykając drzwi.

Wskoczyły na miejsce z cmoknięciem, przytłumione odgłosy odległego ruchu natychmiast umilkły. Obie kobiety znowu znalazły się w bezpiecznej bańce z betonu i szkła, a świat zewnętrzny pełen piór i szaleństwa został odcięty w jednej chwili. Tu, w środku, było spokojnie, komfortowo, ale jakoś nienaturalnie.

- Mam nadzieję, że ten incydent pani nie zniechęcił - powiedziała agentka.

- Skądże. - Marisa się uśmiechnęła. - Szkoda tylko wazonu.

- Zdarza się. - Kobieta machnęła ręką, dając do zrozumienia, że nie ma czego żałować.

Serdecznie uściśniły sobie dłonie. Marisa obiecała, że przemyśli ofertę i da znać.

Prawdę powiedziawszy, nie musiała się nad niczym zastanawiać. Jake był najszcześliwszy, pozostawiając jej tego rodzaju decyzje. Twierdził, że może mieszkać wszędzie, byle ona była zadowolona i byle było tam dość miejsca dla dzieci, gdy się pojawią. Postrzegał dom jako domenę Marisy i choć ten staroświecki podział - a zwłaszcza wynikający z niego wnioski, że dom i dzieci to jej działka, a zarabianie pieniędzy na ich utrzymanie należy do Jake'a - powinien ją oburzać, w sekrecie się z tego cieszyła.

Kiedy wyszła na ulicę, wyjęła telefon, żeby do niego napisać. *Widziałam dom. Cudny. Nada się.*

Nie dodała żadnych buziaków. To nie było w ich stylu.

Nie była pewna, czy odpowie, bo przez cały dzień miał być na spotkaniach. „Dosłownie jedno po drugim” - stwierdził, uprzedzając, że może być niedostępny i żeby się nie martwiła.

Jake pracował w firmie konsultingowej w centrum. Marisa nie bardzo wiedziała, czym on się konkretnie zajmuje - poza tym, że się stara, by różne firmy działały sprawniej i efektywniej. Sporo podróżował, choć nie zawsze były to atrakcyjne miejsca. Ostatnio na przykład spędził kilka tygodni w Nottingham, pracując na zlecenie jakiejś firmy farmaceutycznej.

- Zaskakująco dobrze zaopatrzone sklepy z meblami z połowy wieku - podsumował cały wyjazd po powrocie. - Jak twoje książki?

Opowiedziała mu o zamówieniach, które dostała w tym czasie za pośrednictwem strony internetowej. Kochający rodzice, ciocie lub chrzestni chcieli sprawić swoim małym skarbowi spersonalizowane bajeczki. Marisa oferowała online wybór siedmiu historyjek: o śpiącej królownie, o księciu, który ukatrupił smoka, o nieustraszonym podróżniku, o niegrzecznej małpce i tak dalej. W formularzu można było wpisać imię dziecka, dołączyć aktualne zdjęcie i dodać jakiś charakterystyczny opis, a Marisa według tego ilustrowała książeczki.

Jej strona nazywała się Opowiem Ci Bajkę i kiedy wystartowała w zeszłym roku, raczyło ją zauważyć kilka popularnych magazynów ilustrowanych. Profil na Instagramie miał kilka tysięcy followersów i widniał przy nim niebieski ptaszek. Marisa lubiła swoją pracę – na tyle powtarzalną, że nie musiała przy niej zbyt wiele myśleć, a jednak wciąż na tyle kreatywną, by się nie nudzić. Zajęcie nie przynosiło jednak kokosów, mimo tego, co mogłyby sugerować pieczołowicie dobrane zdjęcia na Instagramie. W ostatnich paru miesiącach zamówienia przychodziły rzadziej i zaczęła mieć trudności z opłatami. Kiedy więc Jake zaproponował, żeby zamieszkali razem, z entuzjazmem uchwyciła się tego pomysłu. Oczywiście fakt, że go kochała, też nie był bez znaczenia.

– Wow, Ris, gdzieś ty go znalazła? – zapytała ze zdumieniem Jas, jej przyjaciółka, kiedy Marisa po raz pierwszy opowiedziała jej o Jake’u.

– W sieci – odparła. – Wiem, wiem, nie musisz nic mówić. To cud.

Jas była singielką chyba nawet dłużej niż Marisa. Spędzały wieczory, pocieszając się kieliszkiem wina Pinot Noir na sofie w mieszkaniu Marisy i wylewając żale z powodu braku odpowiednich facetów. W gruncie rzeczy miały kupę śmiechu z tej banalnej, oklepanej pozy: dwie laski przed trzydziestką piją wino i psioczą, że nie ma już prawdziwych mężczyzn.

Obie mniej więcej w tym samym czasie zarejestrowały się w aplikacjach randkowych – tych, które mają w nazwie czasownik w trybie rozkazującym i są podlinkowane do już istniejących profili w mediach społecznościowych. Zmusiło to Marisę do wymyślenia sobie osobowości.

I zaczęły się listy ulubionych filmów, ulubionych dań, niekończące się pytania, które miały sprawdzić zgodność w takich obszarach jak religia, miłość i preferencje seksualne, poczynawszy od poliamorii przez



genderfluid po sapioseksualność (tu Marisa musiała wesprzeć się Google'em, w którym wyczytała, że osobę sapioseksualną podnieca inteligencja). Padały również pytania, czy rozważa spotkanie się z kimś zadłużonym i czy za bardziej romantyczną przygodę uważa biwak w lesie, czy porwanie na kolację do Paryża.

Wszystkie odpowiedzi trafiały do tajemniczego algorytmu, obliczającego z największym przybliżeniem, czy bardziej pasujesz do Petera, dyrektora w firmie zajmującej się projektowaniem graficznym i zarazem ojca dziewięcioletniego syna, który jest dla niego wszystkim, czy może do Wesa, instruktora tenisa z Crawley, szukającego kobiety o ciepłych oczach i seksownym uśmiechu.

Wkrótce znużył ją śmiertelnie korowód facetów, którzy na zdjęciach prężyli gołe klaty obok swoich motocykli lub owczarków niemieckich, a także tych, którzy w rubryce „wzrost” dodawali sobie co najmniej dziesięć centymetrów. Oglądała upiorne selfie robione przed lustrem w hotelowym pokoju, na których odbite światło lampy błyskowej padało na brudnobiałe ściany całkiem jak w tanim horrorze. Nie poruszył jej też Kevin, który pozował z małą dziewczynką trzymającą pluszowego misia. „To moja siostrzenica” – napisał w skróconej biografii i podał link do ulubionych kawałków na Spotify. Miał tam Fleetwood Mac – jak wszyscy. Pomimo to napisała do niego i poszli na randkę, równie rozczarowującą, jak inne. Może nie aż tak, żeby uznać ją za koszmar, ale mierną, a to jeszcze gorzej.

Napisała do niego, żeby podziękować za spotkanie. Obserwowała, jak pojedynczy szary ptaszek na WhatsAppie robi się podwójny, a potem zmienia kolor na niebieski. Krzykliwość barwy zapiekła ją w oczy i wtedy zdała sobie sprawę, że wpatruje się w ekran telefonu, czekając, aż Kevin odczyta wiadomość. Przeczytał. Gapiła się dalej, zastanawiając się, czy odpisze. Czekwała na zielony napis „pisze...”, elipsy optymizmu, trzy kropki sugerujące kontynuację i otwarte wątki. Nic się nie wydarzyło.

Wtedy powiedziała Jas, że raz na zawsze kończy z wszystkimi aplikacjami.

- Doskonale cię rozumiem - stwierdziła Jas, kiedy Marisa streściła jej przebieg wieczoru.

- Jakbym wydawała im się nienormalna albo za bardzo... no, za bardzo jakaś - poskarżyła się Marisa. - Mogę to dosłownie wyczytać w ich oczach.

- Za dużo w nich czytasz. - Przyjaciółka pokręciła małym brylantowym kolczykiem, który tkwił w płatku jej ucha. - Zawsze ci mówię, że to kwestia zwykłej matematyki.

Jas znalazła kiedyś w sieci artykuł o tym, że w aplikacjach randkowych loguje się znacznie mniej mężczyzn niż kobiet, i od tego czasu cytowała go z upodobaniem.

- A kiedy jesteś czarna - dodała - jest jeszcze gorzej. Uwierz mi. Mało kto w ogóle klika w mój profil.

- Rasiści - mruknęła Marisa.

- Taa. Ale przynajmniej uczciwi. - Jas miała poważną minę i Marisa poczuła się niefajnie. - Wszędzie tego pełno.

- Napisałam do Kevina.

- Znowu? - Jas spojrzała na nią.

Prawdę mówiąc, Marisa pisała do niego kilka razy. Najpierw chciała dać mu do zrozumienia, że jest jej winien jakieś wyjaśnienie, ale potem się wściekła i oskarżyła go, że jest kutasem i mizoginem. Ostatnio napisała mu tylko, żeby się walił. Przestał odczytywać jej wiadomości. Ptaszki na WhatsAppie już nie robiły się niebieskie. Pewnie zwyczajnie ją zablokował. Takie rzeczy już jej się zdarzały.

Pokiwała głową, wyjmując z ręki Jas butelkę wina i dolewając sobie do kieliszka.

- Chciałam to po prostu odkreślić grubą kreską - wyjaśniła.

- Brzmi sensownie.

Z Jakiem było inaczej już od samego początku. Przede wszystkim zawsze odpisywał na wiadomości. Spotkali się na tematycznej imprezie organizowanej przez agencję internetową, która zwabiła Marisę deklaracją, że każdemu znajdzie „idealną parę”. To był jakiś ponury bal przebierańców i Marisa stanowczo za dużo wypijała. Zamieniła z nim kilka słów przy barze, a on się uparł, żeby dała mu numer.

Obudziła się następnego ranka z helikopterami w głowie, ale kiedy sięgnęła po komórkę, wiadomość od Jake'a już czekała. Pisał konsekwentnie przez jakieś dwa tygodnie, zanim zdecydował się spytać, czy nie poszłaby z nim na randkę.

Zamiast drinka czy kolacji zasugerował kawę w środku dnia. Marisie spodobał się ten pomysł. Oznaczało to, że na koniec nie będzie krępującej sytuacji pod tytułem „całować się czy nie”. Normalne, niezobowiązujące spotkanie, żeby sprawdzić, czy między nimi jeszcze iskrzy.

Kiedy dotarła na miejsce, on już siedział przy stoliku pod oknem. Przed nim stała filiżanka kawy, na talerzyku w kształcie gwiazdy leżało kruche ciastko. Ciemnoblonde włosy miał krótko przycięte i ułożone bez ekstrawagancji umiarkowaną ilością żelu. Ubrany był w świeżo wyprasowane i całkiem zwyczajne ciuchy: szary T-shirt bez logo, wypchane na kolanach chinosy, do tego ciemny pasek z oksydowaną klamrą i zegarek na matowej bransolecie.

Wchodząc do kawiarni, Marisa poczuła dziwny spokój, który wypełnił jej pierś. Jakby w klatce żeber nagle ustał trzepot ptasich skrzydeł.

- Cześć.

Nie była pewna, jak się przywitać, więc wyciągnęła rękę i uściśniła jego dłoń. Odwzajemnił uścisk, patrząc jej prosto w oczy. Nie wykonał żadnego ruchu, żeby pochylić się w jej kierunku i na przykład cmoknąć ją w policzek. Poczuła ulgę, kiedy po prostu usiadł na swoim miejscu, a ona zajęła krzesło naprzeciw niego, zachowując akurat tyle dystansu, ile trzeba.

Pachniał świeżym praniem. Żadnych perfum. Miał zwyczajne rysy: zdecydowany podbródek i chłopięce policzki. Miłe oczy, ślad płowego zarostu... Twarz, którą doskonale można sobie wyobrazić, jak ładnie się starzeje, a równocześnie wiadomo, jak wyglądała w dzieciństwie. Pod koszulką skrywał dobrze wyrzeźbione mięśnie. Nie była to obliczona na pokaz muskulatura nawiedzonych bywalców siłowni - raczej nierzucająca się w oczy krzepa faceta, który w razie konieczności popchnie samochód, gdy silnik odmówi posłuszeństwa.

W kawiarni Jake dyskretnie i swobodnie przejął dowodzenie. Spytał Marisę, na co ma ochotę, a potem przekazał jej wybór kelnerce, jakby to miało być dla Marisy zbyt męczące. Spodobało jej się to. Widziała w wyobraźni, jak Jas przewraca oczami, że Marisa nie zapałała w tym momencie świętym feministycznym oburzeniem.

Herbata przybyła w szklanym dzbanuszką na drewnianej tacy wraz z małą prostokątną klepsydrą.

- Nie wiem, czy miała pani okazję kosztować już wcześniej naszej herbaty - zagaiła kelnerka. Miała mały złoty ćwiek w skrzydełku nosa.

Marisa pokręciła głową.

- Powinno się ją parzyć dokładnie trzy minuty, żeby wydobyć cały aromat. - Kelnerka odwróciła klepsydrę, wewnątrz której zaczął się przesywać drobny czarny piasek.

- Wow - mruknął Jake, kiedy zostawiła ich samych. - Jak widać, napić się herbaty to nie takie proste.

Marisa się roześmiała.

- Zwykle tak tego nie celebрую. Wrzucam english breakfast i zalewam wrzątkiem - dodał.

- Domyśliłam się - rzuciła filuternie, lecz nie zanadto.

Dalej rozmowa potoczyła się już łatwo, sącząc się powoli jak piasek w klepsydrze. Rozmawiali o dzieciństwie. On był najstarszy z czwórki rodzeństwa - miał trzy młodsze siostry. Był mocno związany emocjonalnie z matką. Wychowywał się w Gloucestershire i, jak mówił, w głębi duszy pozostał chłopakiem z prowincji.

- Brałeś udział w łowach na lisa?

Roześmiał się.

- Chyba nigdy dotąd nie słyszałem, żeby ktoś to w ten sposób nazywał. No, może w powieściach wiktoriańskich. - Patrzył na nią bez mrugnięcia okiem. - To dość osobliwe.

Zarumieniła się.

- Nie przejmuj się. To urocze. I nie, nie brałem. Kilka razy polowałem na bażanty, ale lisy to nie mój klimat. Właściwie... całkiem lubię lisy.

Poszukał jej wzroku i Marisa odniosła nieodparte wrażenie, że myślał o niej, kiedy wymawiał to słowo.

Sam poruszył temat dzieci. Dość niespotykane u faceta, zważywszy na to, że była to ich pierwsza randka, i na dzielącą ich różnicę wieku. Marisa miała dwadzieścia osiem lat. Jake był o jedenaście lat starszy.

- No wiesz, chciałbym móc grać w piłkę z własnymi dziećmi - powiedział. - Nie mam zamiaru być jedynym w szkole tatą z protezą stawu biodrowego.

- Przecież nie jesteś jeszcze taki stary! - odparła ze śmiechem.

- No cóż...

Wyprostował się, jedną rękę oparł na stoliku, drugą założył za oparcie krzesła. Miał naturalną zdolność zajmowania przestrzeni. Wymarzony model dla rzeźbiarza. Podobało jej się to.

Kawiarnię zaczął wypełniać zgiełk. Nadchodził szczyt w porze lunchu. Matki z wózkami, biznesmeni w garniturach i młode kobiety w okularach i obciętych džinsach, dźwigające w plecakach laptopy. Jake i Marisa musieli podnieść głos, żeby się słyszeć ponad hałasem przesuwanych krzesel i syczeniem ekspresu do kawy.

- Szczerze mówiąc, zawsze chciałam wcześniej mieć dzieci - bąknęła Marisa. - Chyba ci opowiadałam, że moja mama miała dwadzieścia jeden lat, kiedy mnie urodziła i...

Pozwoliła myśli płynąć dalej bezgłośnie, zła na siebie, że powiedziała coś, czym niekoniecznie pragnęła się dzielić. Nie potrafiła sobie przypomnieć, ile wyjawiała przy pierwszym spotkaniu, a nie chciała zdradzać zbyt wiele. Jej umysł wypełniła postać matki: pięknej kobiety o zmierzwionych włosach, w drelichowej sukience z rozpiętymi guzikami, tak by móc wyjąć pierś i nakarmić kwilące niemowlę. Marisa musiała włożyć sporo wysiłku, żeby pozbyć się tego obrazu z głowy i podjąć wątek. Nie idź w tamtą stronę - tłumaczyła sobie. Wracaj. Jesteś tu i teraz. Z tym facetem. Nie spieprz tego, jak to masz w zwyczaju.

Wzięła głęboki wdech, uśmiechnęła się i zaczęła się bawić łyżeczką.

- Po prostu myślę, że byłoby świetnie mieć dzieciaki, psa... - stwierdziła i nagle postanowiła zaryzykować. Jak gdyby nigdy nic pochyliła się do przodu i musnęła jego nadgarstek czubkami palców. Poczowała przeskakującą iskrę energii. Zupełnie jakby dwie cząstki się zderzyły, a z ich fuzji zrodził się nowy byt.

Jake wyglądał na zaskoczonego. Szybko zabrała rękę i wróciła do rozmowy, jakby nic się nie stało, choć przypuszczała, że właśnie stało się wiele. Później powiedział jej, że już w chwili, kiedy dotknęła jego ręki, zrozumiał, że Marisa jest tą jedyną. Pomyślała sobie, że brzmi to jak zdanie z ilustrowanych przez nią bajeczek, ale potem okazało się, że to prawda.

## 2

Do nowego domu wprowadziła się, kiedy Jake był w pracy. Nie przeszkadzało jej, że robi to sama. Pracownię urządziła w małym pomieszczeniu na tyłach domu z widokiem na ogród. Poprzedni lokatorzy wykorzystywali pokój w charakterze prowizorycznej siłowni – kiedy ustawiała biurko i rozpakowywała swoje prace, zauważyła okrągły odważnik na dnie szafki. Kiedyś musiał być przymocowany do sztangi. Wykorzystała go jako blokadę do drzwi.

Kartony i folię bąbelkową zamówiła w sieci. Pedantycznie spakowała cały swój dobytek, dbając o to, aby każdy z ulubionych kubków został zabezpieczony przed uszkodzeniem. Ubrania powiesiła w specjalnych pojemnikach dostarczonych przez firmę przeprowadzkową. Jake mówił, żeby nie przejmowała się naczyniami.

– Mamy już wszystko, czego nam trzeba – powiedział.

My. Cieszyło ją to, jak swobodnie używa tej formy.

Niewiele się widywali przez ostatnie trzy miesiące. Ale kiedy już podjęli decyzję co do domu, reszta poszła gładko. Malutkie mieszkanie Marisy było wynajmowane, a właściciel nie miał nic przeciwko rozwiązaniu umowy przed terminem, ponieważ mógł zaproponować nowym lokatorom wyższy czynsz. Marisa czuła się tak, jakby wreszcie uśmiechnęło się do niej jakieś dobrotliwe bóstwo. Wyobrażała sobie sympatycznego brodacza, który ogłasza jej: „Nadszedł twój czas. Zasłużyłaś na to”. (W jej wyobraźni Bóg zawsze przypominał Świętego Mikołaja z kreskówki dla dzieci, tyle że był poważniejszy i nie ubierał się na czerwono).

Jas była bardziej nieufna. Zjawiła się w mieszkaniu Marisy z okazji pożegnalnej kolacji, na którą składały się pizza na wynos i dzin z tonikiem (oczywiście bez przesady, jeśli chodzi o tonik).

– Szybko to wszystko idzie – zauważyła, ostrożnie chwytając oburącz kawałek pizzy. Nitki sera ciągnęły się jak strużki śliny w ogromnej rozwartej paszczy. – Ledwo się znacie.

Marisa, która nie jadła zbyt wiele, dołała sobie dzinu.

- Może, ale okazało się, że z tym, co mówili, to racja.

- Co mówili?

Przyjrzała się przyjaciółce - jej krótkim tlenionym włosom, błyskowi w oku i tatuażowi w kształcie strzały na wystającym obojczyku. Po raz pierwszy poczuła w stosunku do niej coś, czego nie czuła nigdy wcześniej: litość.

- Że takie rzeczy po prostu wie się od razu.

Jeszcze niedawno obie przewróciłyby oczami, słysząc podobny frazes. Ale spotkanie z Jakiem bardzo wiele zmieniło. Marisa zdała sobie ostatnio sprawę z tego, że fundamentem jej przyjaźni z Jas było zgorzknienie. Pełen urazy cynizm pominiętych, który starają się przedstawić światu jako wisielczy humor. Teraz, gdy spotkała mężczyznę, z którym chciała spędzić resztę życia, okazało się, że coraz mniej je łączy. Ona sama była dziś jak ten dzieciak z reklamy - ten, który zjadł na śniadanie miskę płatków i ganiał nakręcony przez cały dzień. Tylko że ją napełdzała miłość.

Jas patrzyła na nią sceptycznie. Chyba dostrzegła coś w jej twarzy, bo uśmiechnęła się szeroko.

- Laska! Ale cię wzięło! - Dorastała w Lewisham, ale często zdarzało jej się wypalić coś w amerykańskim stylu, jakby oglądała za dużo seriali z lat dziewięćdziesiątych.

Marisa dopiła resztę dzinu. Odrzuciła włosy. Poczwała, jak ich końcówki delikatnie laskoczą jej nagie ramiona. Wiedziała, że chwila jest absolutnie właściwa. Że ruch, który postanowiła wykonać, jest słuszny. Czuła swoje piękno i jego moc.

- No, chyba masz rację - przyznała. - Spoko, będziesz następna.

Jas wzruszyła ramionami.

- Już nie jestem taka zdesperowana - mruknęła. - Uznałam, że lubię swoje towarzystwo i własną przestrzeń. Po co mam do niej zapraszać kogoś, kto tylko narobi bałaganu?

Marisa nie drażyła tematu. Usiadła na podłodze, krzyżując nogi. Wzięła najmniejszy kawałek pizzy pepperoni i powoli żuła każdy kęs.

- Ja tylko... - Jas się zawahała. - Bo ty od razu tracisz głowę. Pamiętasz, jak...

- To co innego. - Marisa zerwała się na równe nogi. Zrobiła to zbyt gwałtownie i od razu pociemniało jej w oczach. Sięgnęła po resztę pizzy leżącą w kartonie, a potem stanowczym ruchem wywaliła ją do kosza na śmieci.

- Hej! - zaprotestowała Jas. - Jeszcze nie skończyłam!

- Nieważne.

- Ris, po prostu troszczę się o ciebie.

Marisa odwróciła się i umyła ręce w zlewie. Jej mieszkanie składało się z jednego pomieszczenia podzielonego na trzy mniejsze strefy, więc kuchnia łączyła się z salonem. Zimna woda ją otrzeźwiła, gasząc iskrę wściekłości, która kiełkowała wewnątrz. Gdy znów się odwróciła, żeby spojrzeć na Jas, była już spokojniejsza.

- Wiem - powiedziała, nastawiając czajnik. - I doceniam.

Wieczór zakończył się szybciej, niż to dawniej bywało, i ściskając przyjaciółkę, Marisa zdała sobie sprawę, że ich przyjaźń nie przetrwa kolejnej powtórki z rozrywki. Czuła, że Jas po cichu ją osądza, a tak skrupulatny nadzór drażnił ją, niwecząc świeżo osiągnięty spokój. To nie była niczyja wina. Po prostu tak wyszło. Ludzie się zmieniają. Teraz miała Jake'a. I dom. I dzieci, które kiedyś się pojawią. Miała własny dom i rodzinę.

Jej nowa pracownia zaczęła nabierać kształtu. Na ścianie powiesiła dwa oprawione szkice z pierwszej książeczki - robiła ją dla chłopca imieniem Gabriel; była to opowieść o przygodach dzielnego rycerza, pełna księżniczek w różowych sukniach i mrocznych pieczar zamieszkałych przez ziejące ogniem smoki. Pędzle wstawiła do słoików po dżemach. Każdy zestaw miał własny słoik. Na półkach ustawiła rząd segregatorów, w których trzymała zamówienia i faktury. Jake twierdził co prawda, że powinna mieć to wszystko w komputerze, oferował nawet pomoc, lecz Marisa wolała namacalność papieru. Był to swego rodzaju dowód, że istnieje. Ślad, który po sobie zostawiała.

Jako dziecko zawsze czuła się efemeryczna i ulotna. Błędny ogień, dym, który zmienia kształt, żeby wpasować się tam, gdzie to konieczne. Nie miała jednego specjalnego wspomnienia z najwcześniejszego dzieciństwa - raczej masę obrazów, jak wchodzi do pokoju, a matka podskakuje zaskoczona, kiedy zdaje sobie sprawę z jej obecności.

- Nie zauważyłam cię, kochanie - powtarzało się jak refren.



Marisa zawsze była za cicha, by zostać zauważona.

Jej młodsza siostra dla odmiany robiła wszystko, żeby było ją słychać z daleka. Płakała całymi nocami. Marisa zdążyła przywyknąć do kroków matki, która szła przez przedpokój, by wziąć małą na ręce i spróbować utulić ją z powrotem do snu przy akompaniamencie niemelodyjnej kołysanki. Rano Marisa i ojciec siadywali naprzeciw siebie przy stole i wymieniali konspiracyjne spojrzenia, podczas gdy on smarował dla niej tosta. Zawsze go psuł, robiąc w chlebie dziury zamrażniętym na kość masłem wyjętym prosto z lodówki. Marisa regularnie spóźniała się do szkoły i była z tego powodu wściekła. Obwiniła o wszystko siostrę, niechcianego intruza z wykrzywioną w furii czerwoną twarzą i zaciśniętymi piąstkami. Nie potrafiła pojąć, jak ktoś tak mały był w stanie wprowadzić tyle zamętu i spustoszenia.

Dziecko równocześnie fascynowało ją i przerażało. Wystarczająco dziwne było, że ta obca istota siedziała upchnięta w brzuchu mamy, a potem wyłoniła się z niego, tylko z grubsza przypominając człowieka. Miała cieniutką skórę, tak delikatną i napiętą, że wydawała się przezroczysta; palce cienkie jak robaki i oczy mętne jak sok jabłkowy. Na domiar złego wszystkim dorosłym odbiło na punkcie kwilącego niemowlaka, który – o ile Marisa zdążyła zaobserwować – nie posiadał własnej osobowości.

- Tseba zmienić pieluszkę skalbusiowi? Tseba? – gruchała mama, śmiejąc się i podnosząc dziecko w powietrze, żeby powąchać pieluchę. Następnie robiła przedstawienie, krzywiąc niemiłosiernie nos. – Uuuu, jaki smlód! Tseba zmienić. Na pewno tseba.

Tak to trwało i trwało, a Marisa, przyczajona na sofie, obserwowała je z narastającym obrzydzeniem i zażenowaniem. Nie potrafiła zrozumieć przede wszystkim tego, dlaczego mama gada do dzieciaka, który i tak nic nie rozumie. Całe zamieszanie wyglądało na pokazówkę adresowaną do osoby znajdującej się akurat w pokoju, niezależnie od tego, kto to był: Marisa, ojciec czy sąsiadka, która czasem wchodziła bez pukania kuchennymi drzwiami.

- Co za aniołeczek! – mówiła zwykle. Była to kobieta po pięćdziesiątce. Miała dorosłe już dzieci i wielki biust wylewający się z nadmiernej fartucha, którego chyba nigdy nie zdejmowała. – Cieszysz się, Mariso, że zostałam starszą siostrą? Musisz być dumna z tego malucha.

- Tak - odpowiadała Marisa i czym prędzej wracała do lektury książki, którą w danym momencie czytała.

Pewnego popołudnia, kiedy siostrzyczka miała już kilka miesięcy i akurat spała, Marisa postanowiła przeprowadzić eksperyment. Mama drzemiała na sofie na dole, z wdzięcznie rozrzuconymi rękami i nogami oraz patchworkową spódnicą zadartą do pól uda. Tata był w pracy. W domu panowała cisza, jeśli nie liczyć niespiesznego tykania dziadkowego zegara w korytarzu.

W pokoju dziecięcym pod ścianą stało łóżeczko. Podmuchi wpadający przez okno kręcił wiszącą nad głową dziecka karuzelą kolorowych słoń i płazowych piłek. Okno było uchylone, a przez szczelinę świeciło słońce, kładąc się wąską smugą na podłodze.

Marisa uklękła przy łóżeczku, tak by znaleźć się na jednym poziomie z siostrą. Oczy małej były zamknięte, nozdrza ciemne i tajemnicze niczym jaskinie. Skrzydełka nosa delikatnie drżały, kiedy robiła płytki wdech. Marisa zawsze myślała o niej „ono”, choć naprawdę siostra miała na imię Anna. Anna i Marisa, złożone pięknym brzmieniem samogłoski na końcu imienia. Wymawiane szybko jedno po drugim brzmiały, jakby ktoś się śmiał albo śpiewał.

Anna zaczęła wiercić się w łóżeczku. Pulchne ramionka drgnęły, różowe piąstki zacisnęły się i rozwarły. Jakby czuła, że jest obserwowana. Marisa czekała. Ono musiało się obudzić. Na potrzeby eksperymentu.

W końcu otworzyło oczy. Były ciemnobłękitne i straciły już dawną nieprzejrzystość. Ich spojrzenie odpłynęło na chwilę, a potem skupiło się na twarzy Marisy. Dziecko się uśmiechnęło, unosząc policzki tak, że zrobiły się w nich dołeczki.

Kilka tygodni wcześniej, kiedy matka trzymała ją na ręku, Anna zerknęła znad jej ramienia na siostrę i się uśmiechnęła. Zachwycona Marisa natychmiast powiedziała o tym mamie.

- Och, to nie jest prawdziwy uśmiech - odparła mama z absolutną pewnością siebie. - Po prostu jej się odbiło.

Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na podłodze pokoju dziecięcego i czując pod bosymi stopami szorstki wzór splotu dywanu, Marisa nie była pewna, czy tym razem jest to prawdziwy uśmiech, czy beknięcie. Chciała się przekonać, czy jej malutka siostra jest taka sama jak ona, czy odczuwa tak samo jak Marisa. Anna wydawała się dziwna, obca,

z tą łysą głową i małąkami paznokietkami. Marisie z trudem udawało się myśleć o niej jako o żywej, prawdziwej osobie, chociaż mama powtarzała do znudzenia, że musi ją kochać mocno i bezwarunkowo, jak przy stało starszej siostrze.

– Będiesz musiała nam pomóc się nią opiekować – oznajmiła po powrocie ze szpitala, trzymając w ramionach ciasno owinięte niemowlę. – Jesteś jej starszą siostrą. Będzie cię kochać do grobowej deski.

Marisa miała wizję bycia kochaną do grobowej deski. Znajdowały się tam rozkopana mogiła i dość obrzydliwy kościotrup.

Leżąc w łóżeczku obok swojego pluszowego królika, Anna zaczęła popłakiwać. Na przemian zaciskała i otwierała piąstki. Marisa zabrała wcześniej szpilkę z pudełka z szyciem mamy. Trzymała ją w kieszonce, a teraz wyjęła.

Pochyliła się w stronę łóżeczka, wsuwając rękę między szczebelki. Szpilka sterczała pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. Anna wciąż przyglądała się starszej siostrze. Zagaworzyła coś i znów zaczęła się wiercić. Karuzela zadrzała, a słonie z wesołymi kolorowymi muszkami na szyjach rzuciły na sufit roztańczone cienie.

Marisa wybrała najdelikatniejszy obszar w górnej części ramienia. Było pulchne jak świeżo wypieczony chleb, który mama zostawiała dla niej, kiedy wróci ze szkoły. Szybko, zanim dziecko zdążyło się poruszyć, wbiła ostry koniec szpilki w jego skórę.

Przez ułamek sekundy Anna patrzyła na nią zaskoczona. Wyglądała starzej i poważniej niż ktokolwiek, kogo Marisa w życiu spotkała. Jakby w jednej chwili zrozumiała absolutnie wszystko. Marisa wzięła głęboki wdech. Zaczęła się zastanawiać, czy jednak nie miała racji: to nie była jej siostra, ale obca forma życia, przybyła z innego wymiaru, by ją szpiegować i zrujnować jej przyszłość.

I wtedy usłyszała rozpaczliwy wrzask. To nie był zwykły płacz wywołany głodem czy dyskomfortem. Dramatyczny krzyk miał przyczynę, którą Marisa od razu odgadła – ból. Ból, wzburzenie i zawiedzione zaufanie. Dziecko darło się tak głośno, że poczuła przyływ paniki. Spojrzała szybko na ramię Anny. Ukłucie nie pozostawiło po sobie ani kropelki krwi. Czerwona kropka była niezauważalna, chyba że spojrzano się wprost na nią. Marisa schowała szpilkę do kieszonki w sukience. W piersi gniotło ją poczucie, że zrobiła coś niewybaczalnego.

Sięgnęła znowu do łóżeczka, ale dziecko się skuliło i Marisa zdała sobie sprawę, że mała się jej boi.

- Ciii, ciii - powtarzała rozpaczliwie, starając się naśladować ton matki. - Już dobrze, wszystko dobrze. Jestem przy tobie. Wszystko dobrze.

Anna jednak nie dawała się tak łatwo okiełznać i po kilku chwilach Marisie zrobiło się niedobrze ze strachu. A co, jeśli zepsuła ją na zawsze? Przecież chciała tylko zobaczyć, co się stanie! Dziecko miało czerwoną buzię i zacisnięte powieki, łyzy plamiły kocyk, na którym leżało.

- Co się dzieje?

Marisa podniosła wzrok i zobaczyła wchodzącą do pokoju mamę, która już rozpiniała bluzkę, gotowa natychmiast nakarmić małą. Miała zaspianą minę, a na twarzy odcisnięty ślad brzegu poduszki.

- Ciii, skarbie, ciii. Mamusia jest przy tobie. - Wyjęła dziecko z łóżeczka i ucałowała w policzek tak czule, że Marisa się rozplakała.

- Przepraszam - chlipała. - Ja tylko chciałam sprawdzić...

Matka zerknęła na nią nieobecny spojrzeniem.

- A ty czemu płaczesz? - spytała rzeczowo, zanim wyjęła pierś z biustonosza. Wepchnęła sutek do ust dziecka, ale Anna nie chciała się uspokoić, odwracała głowę. - Co się stało?

- Chciałam sprawdzić... - Dziecięca intuicja błyskawicznie uświadomiła Marisie, że nie ma mowy, by udało się wytłumaczyć mamie ten eksperyment. Że jeśli Marisa chce zachować resztkę matczynych uczuć, na jakie jeszcze zasługuje, to będzie musiała skłamać.

Przestała płakać. Dwie ostatnie łyzy wyschły na policzkach, jakby na rozkaz.

- Anna płakała i przyszłam sprawdzić. Chciałam ją ukołysać do snu, żeby cię nie obudziła - powiedziała. Pierwsze w życiu poważne kłamstwo przyszło jej z niepokojącą łatwością.

- To bardzo ładnie z twojej strony. Dziękuję ci, kochanie.

Roztargniony ton matki świadczył, że tak naprawdę niewiele to dla niej znaczy. Cała jej uwaga była teraz skupiona na karmieniu. Mama usiadła w fotelu przy oknie, trzymając Annę w ramionach. Zanoszące się krzykiem dziecko trochę się uspokoiło, a w końcu po kilku czknięciach łapczywie uchwyciło wargami sutek. Marisa pomyślała, że to

strasznie dziwne – dwie odrębne istoty mogą być związane tak ściśle, że wyglądają jak jeden wielki stwór pulsujący miłością, którą nie zamierzał się z nią dzielić.

Wyszła z pokoju, nie odzywając się więcej. Potem umieściła szpilkę w tej samej przegródce, z której ją wzięła, i nikt się nie zorientował.

### 3

Postanowili od razu zacząć się starać o powiększenie rodziny. Marisa przestała brać tabletki antykoncepcyjne. Widząc na dnie kosmetyczki nienaruszone metaliczne blistry, miała poczucie, że robi słusznie. Odczuwała wręcz satysfakcję, że zachowuje się tak dorośle.

- Już nie mogę się doczekać, kiedy będziemy mieli dziecko - wypalił Jake któregoś wieczoru przy kolacji. - Wiem, że to brzmi dziwnie. - Odgarnął włosy do tyłu i przytrzymał przez chwilę dłoń na karku.

- Wcale nie - zaprotestowała Marisa. - Dlaczego?

- Faceci nie mówią zwykle takich rzeczy.

- Przecież to głupie.

Na kolację przygotowała makaron z sosem serowym, ponieważ kiedyś Jake powiedział, że w dzieciństwie było to jego ulubione danie. Miała przepis, w którym występowały cztery różne rodzaje sera, a do tego skwarki przysmażone na patelni. Wzięła kawałeczek boczku i włożyła do ust, oblizując palce z tłuszczu.

- Ja też nie mogę się doczekać i wcale mnie nie obchodzi, jak to brzmi.

Wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać go po wierzchu dłoni. W tej samej chwili on sięgnął po butelkę, żeby dolać jej wina. Ich palce zderzyły się niezgrabnie w powietrzu.

- Przepraszam - powiedział. - Najwyraźniej jestem aż za bardzo podkcytowany.

Pochylił szyjkę butelki w kierunku jej kieliszka, ale zakryła go dłonią.

- Dziękuję, ale... jeśli naprawdę myślimy o tym poważnie...

- Jasne. Masz rację. Całkowitą.

Odstawił butelkę na tackę. Mogłaby przysiąc, że jest z niej dumny. Wciąż był w ubraniu, w którym poszedł do pracy, choć zdążył zdjąć marynarkę. Wisiała teraz na oparciu krzesła. Kiedy tylko przekroczył próg, rozluźnił krawat. W kącikach jego oczu zauważyła zmarszczki. To ze zmęczenia - wiedziała, że w pracy siedzi nad nowym projektem, którym

się bardzo stresuje. Ale Jake nie lubił rozmawiać o pracy. Wolał się dowiedzieć, jak minął jej dzień.

- Jak ci idzie nowe zlecenie? - zapytał, podwijając rękawy, nim zabrał się do jedzenia.

- Super. Wiesz, takie miejsce do pracy naprawdę robi różnicę. Światło jest genialne.

- Jak dzieciak ma tym razem na imię?

- Moses. - Marisa przewróciła oczami.

Zamożne wyższe sfery inspirowały się ostatnio Starym Testamentem, wybierając imiona dla swego potomstwa. Jake i Marisa mieli dzięki temu nieustanny powód do żartów.

Opowiedziała mu o ilustracji, nad którą właśnie pracowała. Była to rozbudowana scena, w której występowała między innymi księżniczka z długim warkoczem, odgrywającym ważną rolę w opowieści. Jake włożył do ust widelec z makaronem i słuchając, nie spuszczał z niej wzroku, jakby była dla niego najważniejszą osobą na świecie. Marisa w przepływie prawdziwej miłości uświadomiła sobie, że rzeczywiście tak jest.

- Dosyć trudno uzyskać właściwą teksturę. Włosy nie są łatwe do namalowania.

- No i to właśnie w tobie uwielbiam - wypalił. - Wprowadzasz mnie w całkiem nowy świat, o jakim nie miałem dotąd pojęcia. Włosy są trudne do namalowania. No proszę. Kto by pomyślał?

Pomimo ostrzeżeń przyjaciółki cieszyła się, że ona i Jake ciągle się poznają i stają się sobie coraz bliżsi. Każdy dzień pod wspólnym dachem zdejmował z nich kolejną warstwę, a z każdą taką odrzuconą warstwą ich więź się umacniała. Wzajemne odkrywanie się rodziło poczucie jedności.

Pozbierała naczynia, ustawiając je w stosik jedno na drugim. Jego talerz był wymieciony do czysta, ona zostawiła sporo resztek. Za dużo gałała przy jedzeniu.

- Daj - powiedział Jake. - Ja to zrobię. - Wyjął z jej rąk talerze, przy okazji muskając jej dłoń.

Nie należał do tych, którzy potrzebują przytulank. Nie lubił brać jej pod rękę, kiedy razem szli ulicą, ani całować się w domu, nawet kiedy nikt nie patrzył. A jednak - pomyślała, kiedy się schylił, żeby załadować

zmywarę - nie zamieniłaby tej szczerzej, bezpośredniej miłości na żadne powierzchowne czułości.

Nastawił czajnik. Z przyjemnością śledziła jego ruchy. Fascynowała ją krzepiąca bryła szerokich męskich ramion, krępe łydki, mocne muskularne uda. Wyobraziła sobie, jak się kochają. Jej nogi oplecione wokół niego, gdy w nią wchodzi, gryząc delikatnie płatek jej ucha. Czuje wewnątrz jego czystą moc. Nigdy, z żadnym innym mężczyzną nie czuła podobnego fizycznego kontaktu. Teraz już wiedziała, że inni jej kochankowie byli po prostu zbyt ulegli i pozbawieni pewności siebie. Oczyma wyobraźni widziała głowę Jake'a nurkującą między jej udami, koniuszek języka krążący wokół łechtaczki... Jake podnieca ją w skupieniu, potem przewraca ją na brzuch i wchodzi w nią od tyłu, a jej wnętrze napina się i wypełnia. Zupełnie jakby wszystko naraz wskoczyło na swoje miejsce.

- Grosik za twoje myśli - zagadnął, stając za kuchenną wyspą.

- Hmm? - Marisa spojrzała na niego. - Przepraszam, odpłynęłam. Właśnie...

- Tak? - Przekornie uniósł brew i zrozumiała, że wyobrażał sobie dokładnie to samo co ona.

- ...tak sobie dumam. - Uśmiechnęła się.

- Proszę cię! Lepiej chodźmy spać.

Następnego ranka wstał wcześniej do pracy. Ona pospała dłużej, więc nie widzieli się przy śniadaniu. Zeszła na dół i włożyła kapsułkę do ekspresu, który zabulgotał i wypluł z siebie espresso. Przez przesuwne drzwi sączyło się światło, a na zewnątrz, na trawniku, dwie sroki krążyły wokół siebie, skubiąc coś w trawie nerwowymi ruchami, jakby wiedziały, że są obserwowane. Przypomniała sobie, że pierwszy raz, kiedy tu była, podobny ptak wleciał do środka.

Jedna na smutek, dwie na radość - pomyślała. To znak. Być może już jest w ciąży. Lśniące nasionko ich miłości zapuszcza korzenie w jej łonie.

Przez długi czas po odejściu matki Marisa powtarzała sobie, że nie będzie miała dzieci. Samotna w towarzystwie ojca i zdezorientowana nieprzewidywalnością jego domowych działań, zdołała wykształcić w sobie dotkliwą urazę do siostry, którą obwiniała o wszystko, co zaszło. Przecież zanim Anna się pojawiła, było dobrze!



Tylko raz próbowała porozmawiać o tym z tatą. Choć był jednak dobrym człowiekiem i kochał ją na swój sposób, rozpad małżeństwa go zniszczył. Ojciec błąkał się wiecznie rozkojarzony po zaniedbanym domu.

- Tatusiu - odezwała się Marisa któregoś wieczoru, leżąc już w łóżku, kiedy wszedł do pokoju, żeby dać jej buziaka na dobranoc.

Miał na sobie brudny szlafrok przewiązany kolorowym sznurkiem, a na nogach czerwone włóczkowe skarpety. Marisa pamiętała, że mama wieszała je wcześniej w nogach łóżka na prezenty świąteczne.

- Czy mamusia odeszła przez Annę?

Ojciec spojrział na nią zaskoczony, jego wodniste oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

- Cóż to za pytanie? - prychnął i usiadł na brzegu łóżka, za daleko, żeby mogła go dotknąć. - Anna to przecież malutkie dziecko. Nie mogła zmusić mamy do zrobienia czegoś, na co mama sama nie miała ochoty. - A potem już ciszej, głosem, w którym słyhać było porażkę, dodał: - Nikt nie mógł.

W rzeczywistości Marisa chciała poznać odpowiedź na całkiem inne pytanie. Tamtego pytania jednak nie śmiała zadać. Pokiwała więc głową w bardzo dorosły - jak miała nadzieję - sposób.

- Rozumiem, tatusiu - powiedziała, choć wcale tak nie było.

Ojciec oparł dłonie na materacu i wstał. Gdy szedł do drzwi, Marisa poczuła przyływ spóźnionej odwagi.

- Tato?

Zatrzymał się z ręką na klamce i czekał.

- Tęsknisz... tęsknisz za nimi? - Czuła, że zbiera jej się na płacz. Musiała przełknąć ślinę.

- Tęsknię - odparł, nie odwracając się. - A ty?

- Ja też.

Myślała, że tata wróci, obejmie ją i pocieszy, ale mruknął tylko: „Hm”, zupełnie jak sofa, kiedy siadło się na niej z impetem, i wyszedł z pokoju. Chwilkę po tym usłyszała, jak się kąpie w łazience i szcztokuje zęby. Wkrótce światło w przedpokoju zgasło.

Długo leżała, nie mogła zasnąć. Czuła na policzkach słone ślady łez. Obiecała sobie wtedy, że nigdy więcej nie poruszy tego tematu. Będzie

udawać, że nic się nie dzieje, i w ten sposób wyrośnie twarda i silna, i już nikt nigdy nie będzie mógł jej skrzywdzić.

Tak więc nigdy nie pragnęła zostać matką. Dopiero gdzieś około dwudziestego piątego roku życia bez żadnych wyraźnych przyczyn, które mogłyby wpłynąć na zmianę postanowienia, nagle zdała sobie sprawę, że macierzyństwo pomoże jej odzyskać przeszłość i w jakiś sposób ją upiększy. Wtedy zaczęła bardzo pragnąć dziecka. Zarejestrowała się we wszelkich możliwych aplikacjach oraz na wszystkich stronach i forach w sieci. Działała strategicznie, obserwując tylko tych kandydatów, którzy otwarciem deklarowali, że jak najpoważniej myślą o rodzicielstwie. Każdy kolejny okazywał się rozczarowaniem. Aż pojawił się Jake.

Usiadła z kawą na jednym z tych zaprojektowanych przez Skandynawów krzeseł, które stały przy długim stole w kuchni. Nogi miało rachityczne i pod dziwnym kątem, ale, o dziwo, było wygodniejsze, niż na to wyglądało. Kiedy skończyła espresso, pobudzona zastrzykiem kofeiny poszła na górę, do pracowni. Tam sięgnęła po czysty arkusz papieru do akwareli. Zapomniała zaopatrzyć się w gramaturę 300 gsm, więc każdego ranka czekało ją mozolne zadanie przygotowywania arkuszy na następny dzień. Wzięła plastikową tackę, poszła do łazienki i nalała nieco wody. Niosąc ostrożnie tackę w rękach, wróciła do pracowni.

Ustawiła deskę i przycięła taśmę do odpowiedniego rozmiaru. Następnie przycisnęła papier do dna tacki, czując chłód wody obmywającej nadgarstki. Proces był czasochłonny, ale na swój sposób medytacyjny i dlatego Marisa go lubiła. Zajmował dokładnie tyle czasu, ile zajmował, więc nie musiała się spieszyć. Zmoczyła deskę gąbką i wyjęła papier. Trzymając go za róg, pozwoliła, żeby nadmiar wody ściekł. Następnie złożyła arkusz. Miejsce zgięcia się wybrzuszyło, kiedy opuszczała papier na deskę. Zwilżyła brązową papierową taśmę i przykleiła ją wzdłuż krawędzi; delikatnie przesuwając palcami, żeby pozbyć się bąbelków powietrza, nie naciągając przy tym taśmy. Usatysfakcjonowana efektem, odłożyła wszystko na bok, by wyschło przez noc.

Wróciła do sceny, nad którą pracowała, czyli do wysokiej wieży z szarego kamienia i uwięzionej tam księżniczki o jasnych włosach opadających długim warkoczem aż do ziemi. Umoczyła w słoiku z wodą pędzelek, a następnie dotknęła jego koniuszkiem różowej farby i zajęła się

wyrazem twarzy księżniczki. Usta, rozchylone w kształt litery „o”, wyrażały zdziwienie, lecz także oczekiwanie, że książę Moses wdrapie się do niej i ją uratuje. Marisa dała księżniczce niebieskie oczy i piegowate policzki. Ciemnowłosa, kędzierzawa i chyba wiecznie rozczochrana książę był znacznie trudniejszy do namalowania. Na biurku miała fotografię chłopca i starała się stworzyć jego nieco wyidealizowaną wersję. Prawdziwy Moses był pulchny i miał fatalny przodozgrzyz, który Marisa zdołała zamaskować, delikatnie poprawiając rysy twarzy. Sprawilo jej to niemałą satysfakcję.

Malowała właśnie lewe oko, nie tak wylupiaście jak na zdjęciu, gdy zadzwieczał dzwonek u drzwi. Wyprostowała się zaskoczona. Nigdy, odkąd tu zamieszkała, dzwonek nie dzwonił. Spięła się. Nie cierpiała, gdy ktoś jej przerywał, kiedy miała natchnienie. Nasłuchiwała uważnie w nadziei, że może ten ktoś się zniechęci i sobie pójdzie. Pewnie to roznosiciele ulotek – pomyślała – albo świadkowie Jehowy próbują szczęścia, albo...

Dzwonek zabrzmiał ponownie.

- Szlag! - powiedziała na głos, wrzucając pędzel do słoika.

Brązowe smugi zabrudziły wodę. Książę Moses będzie musiał poczekać.

Zbiegła na dół w sandałach, które zawsze wkładała do pracy. Wygodne niemieckie obuwie miało profilowaną wkładkę, która podtrzymywała podbicie i dokładnie obejmowała stopę. Drzwi wejściowe zaopatrzone były w wizjer na trzech czwartych wysokości. Marisa przycisnęła do niego oko i zamrugała. Na zewnątrz stała starsza kobieta odwrócona do niej tyłem.

Marisa otworzyła drzwi.

- Tak?

Kobieta się obróciła. Była wysoka, elegancka i mogła mieć około sześćdziesiątki. Delikatny blask jej twarzy świadczył o tym, że używa drogich kosmetyków. Odrobina tuszu do rzęs, puder i różowa szminka na ustach. Na powiekach dyskretna smużka lśniącego beżu.

- Ty musisz być Marisa - odezwała się bez uśmiechu.

- Tak - potwierdziła Marisa.

- Jestem Annabelle. Matka Jake'a. - Kobieta wyciągnęła rękę z taką gracją, że mimo upału Marisa spodziewała się zobaczyć elegancką rękę

kawiczkę.

Uścisnęła podaną dłoń, czując twarde ucisk sygnetu na małym palcu.

- Och! Bardzo mi miło panią w końcu poznać! - zaszcebiotała speszona.

Annabelle taksowała ją chłodno, stojąc na schodkach.

- Nie spodziewałam się... - ciągnęła Marisa z poczuciem, że wszystko to brzmi głupio i niezręcznie. Przestań gadać, skarciła się w myślach. Po prostu się zamknij. - Była pani w okolicy? Czy temu zawdzięczamy... to znaczy... zawdzięczam ten zaszczyt...?

Czemu wygaduje takie rzeczy? Marisa zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zdenerwowana. Relacje Jake'a z matką były bardzo bliskie, choć unikał rozmów na jej temat.

- Z moją matką to jest trochę... - zaczął na jednej z ich pierwszych randek. - Powiedzmy, że ma trudny charakter.

- To znaczy?

Zawahał się.

- Trudno jej zaakceptować cudzy punkt widzenia.

Nie drażyła. Ona i Jake żyli w świetlistej bańce. Nigdy nie odczuwała potrzeby, żeby poznać członków jego rodziny. Zresztą wszystko potoczyło się tak szybko...

- Zaprosisz mnie do środka? - spytała Annabelle. - Będę zobowiązana.

- Oczywiście. Najmocniej przepraszam. Gdzie moje maniery?

Marisa wpuściła kobietę do wnętrza i wskazała w głąb wyłożonego kafelkami korytarza.

- Kuchnia jest na dole - wyjaśniła.

Annabelle wyprostowana jak struna zeszła po schodach, jednym palcem sunąc po poręczy, jakby sprawdzała, czy nie ma na niej kurzu. Marisa ruszyła za nią. Jakże brzydkie wydawały jej się teraz własne sandały w porównaniu z eleganckimi espadrylami matki Jake'a.

- Urzekły mnie te oryginalne elementy - rzuciła, ratując się błahą paplaniną przed niepokojącą ciszą. - Sztukaterie...

- Nie wydaje mi się, żeby były oryginalne. - Annabelle przyjrzała się plafonowi wokół lampy na suficie. - Najprawdopodobniej dodano je póź-

niej, żeby wyglądały na stare. Domyślam się, że deweloper wyremontował tu wszystko przed wynajmem?

- Eee... nie wiem.

- Na to wygląda. Deski na podłodze to też nie jest prawdziwe drewno.

Annabelle weszła głębiej do kuchni i zatrzymała się przy przeszklonych drzwiach, za którymi roztaczał się widok na ogród. Przyjrzała się uważnie trawnikowi.

- Przydałoby się podlać - wytknęła, a następnie odwróciła się i omiotła wzrokiem kuchenkę. - Na litość boską, cóż to takiego? - Jej palec celował w lustrzane płytki na ścianie.

- To...

- Dziwaczny pomysł. Przeglądać się w czasie gotowania... - Annabelle się uśmiechnęła, w jej rozchylnych ustach błysnęły duże zęby.

Marisie natychmiast przyszedł do głowy obrazek zapamiętany z dzieciństwa: wilk przebrany za babcię Czerwonego Kapturka.

- Siadamy tutaj? - Annabelle wskazała kuchenny stół, który teraz wyglądał tandetnie, a do tego na blacie widać było kółka po kubkach. Przy jednym końcu wały się okruszki pieczywa, bo Marisa nie zdążyła posprzątać po śniadaniu.

- Tak. Zrobić pani filiżankę...

- Kawy. Czarnej. - Usiadła, zdejmując z ramion wzorzysty hinduski szal. - Dziękuję.

Lustrzane płytki, mimo że skrytykowane przez gościa, dały Marisie sposobność przyjrzenia się kobiecie, którą w myślach już nazywała teściową. Annabelle miała na sobie białą lnianą bluzkę. Rozpięty guzik ukazywał cienką opaloną skórę i długi złoty naszyjnik wysadzany kamieniami półszlachetnymi. Jasne spodnie kończyły się tuż nad kostką, a wystrzępiony brzeg ewidentnie zawdzięczały modzie, a nie znoszeniu. Platynowoblond włosy zebrane w kok z tyłu głowy podtrzymywała szylkretowa spinka. Profil Annabelle przywodził na myśl baletnicę w czasie spoczynku: jastrzębi nos, zadarty podbródek, napięte policzki i wyraz czujności wskazujący na kobietę, która przywykła do tego, że jest obserwowana. Musiała być kiedyś bardzo atrakcyjna - pomyślała Marisa. Pomimo to brakowało jej czegoś do bycia piękną. Był w niej jakiś niepokój, obronna postawa, którą ledwo, ledwo dało się wyczytać w pionowej

zmarszczce między brwiami i sposobie, w jaki zaciskała szczęki. Wyglądało to trochę tak, jakby Annabelle nauczyła się urody z podręcznika, ale nigdy nie odczuła jej w sercu.

Marisa zajęła się ekspresem, stawiając filiżankę pod dyszą.

- Lubisz takie rzeczy? - rzuciła Annabelle ze swego miejsca przy stole.

- Chodzi pani o kawę?

- Tak.

- Owszem. Z kapsułkami jest łatwiej. Nie trzeba sprzątać fusów i...

- Nigdy mi to nie smakowało.

- Hm. - Marisa poczuła się jak dzieciak, który dostał klapsa.

- Przepraszam. - Annabelle prawdopodobnie zdała sobie sprawę, że była zbyt szorstka. - Twoja kawa na pewno będzie znakomita.

Tyle wystarczyło, by Marisa poczuła przyływ nadziei. Może źle odczytała sygnały. Często jej się to zdarzało i błędnie oceniała ludzi, myśląc, że ją osądzają. Może ona i Annabelle jednak się dogadają. Już sobie wyobrażała, jak ta kobieta mówi do swoich imponujących znajomych: „Och, uwielbiam synową. Bez trudu znajdujemy wspólny język”. Może muszą tylko lepiej się poznać. Odkryć różne swoje dziwactwa i uroki. Może, może...

- Proszę bardzo.

Postawiła na stole dwie filiżanki. Użyła też spodków, którymi normalnie nie zawracała sobie głowy. Filiżanki były białe z niebieskim brzeżkiem, Jake kupił je w Kornwalii. Opowiedział jej o tym, kiedy się nimi zachwyciła. Niebieski przypominał barwę morza, a biała porcelana lekko prześwitywała - jak muszelki, przez które Marisa patrzyła kiedyś na słońce.

Annabelle upiła łyk kawy i skrzywiła się lekko. Wyglądała, jakby musiała wstrzymać oddech.

- Dziękuję. - Założyła nogę na nogę i odchyliła się w krześle. Dłonie spłotła luźno na kolanach. - A więc w końcu się spotykamy - powiedziała.

- O tak - odparła Marisa. - Bardzo na to czekałam.

Annabelle sprawiała wrażenie umiarkowanie zaskoczonej.

- Doprawdy? - Skrzywiła się ponownie. - Nie rozumiem dlaczego. Nie sądzę, by Jake wiele o mnie wspominał.

- Ależ skąd... - Marisa zamilkła. Nie bardzo wiedziała, co na to odpowiedzieć.

- Cóż, w każdym razie jest, jak jest. Wydaje mi się, że dzieci nigdy nie mówią rodzicom o swoich zamiarach. - Annabelle odstawiła na spodek prawie pełną filiżankę. Było widać, że niezależnie od długości wizyty więcej nie tknie swojej kawy. - Przyjemny ogród - mruknęła z roztargnieniem. - A więc - podjęła, kładąc łokieć na stole, pochylając się do przodu i opierając brodę na czubkach palców z paznokciami pomalowanymi na kolor ciemnej śliwki, który idealnie wpasowywał się w jej styl - kiedy się wprowadziliście?

- Dwa, trzy tygodnie temu. Nie, w zasadzie to będzie już chyba miesiąc.

Kobieta pokiwała głową.

- Musisz mi wybaczyć, ale jestem dość staroświecka w tych sprawach. Nie do końca to pochwalam.

Tym razem to Marisa skinęła głową.

- Życie w grzechu? Pewnie tak by to pani nazwała.

- Nie. - Annabelle wydawała się zdziwiona. - Wcale nie tak bym to nazwała. To niezbyt właściwe określenie. Po prostu... za moich czasów załatwiano to bardziej... tradycyjnie. - Położyła nacisk na ostatnie słowo. - Ludzie napotykają trudności, prawda? - Zmierzyła Marisę przenikliwym spojrzeniem nieruchomych błękitnych oczu. - Ale kiedy natura chce tak, a nie inaczej, nie ma sensu jej pospieszać. Musimy zachować tempo, jakie nam dyktuje.

Marisa oddychała coraz szybciej. To dziwne uczucie, kiedy ktoś jest dotkliwie obrażany przez osobę, na której opinii bardzo mu zależy. Annabelle powoli opuściła głowę. Jej milczenie było jeszcze bardziej irytujące niż słowa. W jej prawym uchu błysnął złoty wkręcany kolczyk. Kosztował zapewne więcej niż cały strój Marisy.

- Rzeczywiście, może się pani wydawać, że wszystko idzie zbyt szybko - wymamrotała Marisa - ale nam tak jest dobrze, a tylko to się liczy, prawda? - Nie słysząc odpowiedzi, odchrząknęła nerwowo. - Mam nadzieję, że pani to zrozumie. - Wciąż żadnej reakcji. - Kiedyś, oczywiście. Nie mamy zamiaru pani naciskać.

- My? - Annabelle parsknęła krótkim, ostrym śmiechem. - Jesteś, zdaje się, bardzo zaborcza.

A co, nie mogę? – pomyślała Marisa. Do cholery, to jest mój chłopak! Gwiżdżę na to, że jesteś jego matką i uważasz, że żadna nie będzie dla niego wystarczająco dobra! Skoro ci na nim tak zależy, może nie trzeba było wysyłać go z domu do pieprzonej szkoły z internatem, kiedy miał tylko siedem lat!

Żadnej z tych myśli nie wyartykułowała na głos. Wściekłość utkwiała w jej ciele jak śrut. Usta zacięły się w buntowniczą kreskę.

– Dziękuję za kawę. – Annabelle odsunęła od siebie filiżankę i spodek tak energicznie, że kawa chlapnęła na blat. Okryła szalem swoje szerokie ramiona pływaczki i wstała, prostując się na całą wysokość.

Marisie, kiedy na nią patrzyła, przyszedł do głowy wielki ptak – pelikan albo może struś. Wielki ptak z oczkami jak koraliki i wścibskim, natrętnym dziobem. A do tego pełen złych zamiarów.

Odprowadziła ją na górę. Po drodze żadna się nie odzywała. Kiedy znalazły się pod drzwiami wejściowymi, Annabelle odwróciła się i uściśnęła jej dłoń.

– Miło było poznać.

Gdzieś w oddali zawyła syrena.

– Mnie również – skłamała Marisa. – Mam nadzieję, że wkrótce znowu się spotkamy.

Annabelle wyjęła z torebki ciemne okulary i założyła je na nos. Jej oczy zniknęły za czarnymi owalami.

– Och, nie liczyłabym na to zbyt – odparła uprzejmie i tak obojętnie, jakby komentowała pogodę.

Zeszła po schodkach i ruszyła przed siebie. Marisa odprowadziła wzrokiem wysoką postać w bieli. Zadrżała, stojąc w drzwiach. Gdy weszła do środka, zauważyła, że mimo upalnego letniego dnia ma na ramionach gęsią skórkę.



## 4

Przez kilka dni nie wspominała Jake'owi o wizycie matki. Zdołała sobie wmówić, że powodem był nadmiar zajęć i to, że nie chciała zawracać mu głowy. Wymawiając się zmęczeniem, położyła się do łóżka, zanim wrócił z pracy. Słyszała, jak otwiera drzwi, a potem kręci się na dole. Poddała się uspokajającemu wpływowi znajomych dźwięków. Rankiem odczekała, aż Jake wyjdzie do biura, zanim zeszła na kawę i tosta. Potem poświęciła się metodycznemu namaczaniu arkuszy papieru, żeby uspokoić myśli.

Jednak to nie brak czasu ani zabieganie Jake'a powstrzymywały ją przed rozmową, ale własne upokorzenie. Bardzo chciała zrobić dobre wrażenie na jego krewnych, kiedy ich wreszcie spotka. Miała nadzieję, że w niedalekiej przyszłości zostanie zaproszona na niedzielny obiad w domu na wsi albo na jakieś rodzinne spotkanie - urodziny lub rocznicę - i będzie mogła z tej okazji włożyć ładną sukienkę z grzecznym dekoltem i falbanką. Uprze się na kupno bukietu kwiatów albo lepiej rośliny w doniczce, bo przetrwa dłużej. Spyta Jake'a, jakie wino lubią jego rodzice, a on będzie się śmiał, całował ją z uczuciem w czoło i powtarzał, że nie musi się tak starać. „Zakochają się w tobie” - powie. „No jak mogliby cię nie uwielbiać?”

A kiedy pojawią się na obiedzie, jego matka obejmie ją ciepło, mówiąc, że tyle o niej słyszała. Marisa zaproponuje jej pomoc w kuchni i westchnie: „Pachnie wspaniale, pani Sturridge”.

„Och, proszę, mów mi Annabelle” - powie mama Jake'a, klepiąc ją porozumiewawczo po ramieniu. A potem doda, że Marisa jest gościem i nie musi robić absolutnie nic, tylko siedzieć i ślicznie wyglądać. „Proszę, niech ktoś naleje tej kochanej dziewczynie džinu z tonikiem” - doda poważnym głosem, lecz w jej oczach będą błyskać wesołe chochliki. Ojciec Jake'a, pełniąc honory domu, poda jej kryształową szklanę z odpowiednią ilością lodu. Zniży głos i nachylając się ku niej, stwierdzi: „Wreszcie dziewczyna z klasą, nie jak te poprzednie”.

„Tato!” – zaprotestuje Jake, łapiąc jej spojrzenie i uśmiechając się z zadowoleniem. „Przestań, zawstydzasz ją!”

„Nie, nie!” – odpowie wtedy ze śmiechem Marisa. „Nie szkodzi. Cudownie się bawię”.

Tak miało być. Na to właśnie liczyła: że stanie się niezastąpiona zarówno dla Jake’a, jak i dla jego rodziny. Żadnego wytykania błędów. Nikt nie będzie jej wykluczać.

„Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili” – powiedzą jego rodzice. „Jesteś najlepszym, co mogło spotkać tę rodzinę”.

No, czy nie tak powinno być? Czy nie do takiego końca wszystko powinno zmierzać? Czy nie tym powinny zostać odkupione wszelkie krzywdy, które spotkały Marisę, i te, które ona wyrządziła nieumyślnie, zmuszając mamę i siostrę do odejścia?

Najwyraźniej nie.

Więc nie powiedziała Jake’owi o niczym aż do weekendu. Oboje byli w ogrodzie. Jake, rozebrany do pasa, miał na sobie luźne sportowe spodnie. Lubił ćwiczyć w sobotnie poranki. W uszach miał słuchawki, przez które sączył się agresywny hip-hop, podczas gdy on robił swoje przysiady, pompki i ponadminutowe deski. Pot kapał z jego torsu na matę do jogi, znacząc ją mokrymi kropkami. Marisa siedziała na ławeczce. Jej twarz ocieniało szerokie rondo słomkowego kapelusza. Książka – jeden z tych letnich bestsellerów, które każdy doskonale znał, zanim jeszcze wziął do ręki – leżała obok grzbietem do góry, otwarta na stronie, gdzie Marisa skończyła czytać. Jakoś nie mogła się skupić na lekturze. Okładkę zdobił modernistyczny portret kobiety pozbawionej oczu, ust i nosa. Jedyną rzeczą, po jakiej można było poznać, że to kobieta, były włosy przystrzyżone w wystrzępionego boba tuż poniżej miejsca, gdzie powinny znajdować się uszy.

Marisa miała włosy długie i złociste – właściwie jasnobrązowe, lecz w słońcu płowiały na karmelowy blond. Lubiła je i bardzo o nie dbała. Codziennie myła, osuszała ręcznikiem, a potem nakładała odżywkę, którą rozprowadzała grzebieniem. Ostatnio było tak słonecznie, że zdążyła się opalić, a na jej nosie pojawiły się pierwsze piegi.

Zdjęła kapelusz i uniosła twarz do słońca. Zamknęła oczy. Planowała, co jeszcze musi namalować do końca tygodnia, żeby się wyrobić w terminie przed szóstymi urodzinami Mosea. Po chwili poczuła chłód na

twarży. Otworzyła oczy i zobaczyła, że Jake stoi przed nią, rzucając cień. Jego skóra lśniła od potu, oddychał ciężko. Wytarł twarz w koszulkę.

- Jak było? - spytała.

- Super. Potrzebowałem tego - odpowiedział.

Po treningu wyglądał jak po seksie. Tak samo lśniąca skóra, napięte mięśnie i zapach jego ciała w najczystszej postaci. Jake usiadł obok na ławeczce, ale pozostała między nimi luka. Marisa zamknęła książkę i położyła ją na kolanach, na wypadek gdyby chciał się przysunąć. Nie zrobił tego.

- Mama mówiła, że tu wpadła - odezwał się po chwili.

- A, tak. - Marisa poczuła, że na chwilę serce jej staje. - Miałam ci powiedzieć, ale...

- W porządku. Nic się nie stało. Nie musisz mi o wszystkim meldować. - Podrapał się po skroni w sposób, który tak uwielbiała. - Tak czy siak, przykro mi, jeśli była dla ciebie niemiała.

Nie była pewna, co odpowiedzieć. Na razie oswajała się z myślą, że Jake rozmawiał z matką, skoro wiedział, że tu była. Dzwoniła do niego albo on do niej. A może - zmartwiła się - spotkali się gdzieś na lunchu? Ciekawe, co o niej mówili. Musieli o niej rozmawiać, a jakoś nie mogła sobie wyobrazić, że Annabelle wypowiada się o niej ciepło i w superlatywach. Czy Jake nie zmienił zdania?

Poczuła lekką panikę. Serce zakołatało jej w piersi niczym zagubiona kulka do gry. Zerknęła na elewację domu: ramy okienne pomalowane na biało, porządnie ułożone dachówki. Gdyby zmrużyła oczy, pewnie mogłaby dostrzec krawędź swego biurka w pracowni. Naraz dotkliwie odczuła nietrwałość, kruchość tego wszystkiego. Łatwość, z jaką mogło zostać jej odebrane. Postanowiła zdwoić wysiłki, starać się jeszcze bardziej. Nie może dać Jake'owi żadnego pretekstu, który mógłby go skłonić do zakończenia związku. Bo jeśli to się rozpadnie - pomyślała z rozpaczą - będzie po niej.

- Była dla ciebie niemiała? - spytał.

Marisa spróbowała się roześmiać.

- Czemu pytasz?

- Wiem, że potrafi być... onieśmielająca.

Zastanawiała się, czy to nie jest pułapka. Ma skłamać, żeby nie krytykować matki Jake'a? Niektórzy ludzie zachowywali się dość zabawnie, gdy chodziło o ich rodziny. Sami nie zostawiali na nich suchej nitki, ale jeśli kto inny ośmielił się rzucić słowo przygany, odbierali to jako osobistą zniewagę. A może powinna wyznać, co zaszło, i w ten sposób pokazać, że jest po jego stronie?

Zdecydowała się na rozwiązanie pośrednie.

- No tak. To znaczy nie. Było w porządku. To bardzo... imponująca kobieta.

Jake się zaśmiał.

- Zgadza się. - Włożył wylot butelki z wodą między rozchylone wargi i uniósł ją, żeby się napić. - Dyplomatka z ciebie, nie powiem. - Popatrzył na nią z czułością.

- Ma prawo do własnych poglądów - stwierdziła. - Tyle że... spotkanie potoczyło się niekoniecznie tak, jak chciałam.

- Wiem. Problem w tym, że ona jest bardzo wyczulona na pewne sprawy. To tradycjonalistka i... tylko jej nie mów, że to powiedziałem!... potworna snobka. W życiu nie zrozumie, jak to jest z nami. A ja, szczerze mówiąc, mam to gdzieś. Ona... w ogóle rodzicom nic do tego. To znaczy do nas. - Otarł oczy skrajem koszulki. - To - dodał, wskazując dom i ją - jest rodzina, którą wybrałem.

- Dziękuję - szepnęła. - Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

Ogarnęło ją cudowne, błogie uczucie. Jej mężczyzna rozumiał, że Marisa pragnie bezpieczeństwa, zanim sama zdała sobie z tego sprawę. Gdyby potrafiła zatrzymać tę chwilę, zahamować wskazówki biegnące po tarczy jej zegarka, na pewno by to zrobiła. Byli tak idealnie szczęśliwi, siedząc obok siebie w słońcu na ławce. Idyllicznego obrazu dopełniały książka na kolanach i delikatna woń jaśminu unosząca się w powietrzu.

Nic jednak nie trwa wiecznie, prawda? Była to lekcja, której nauczyła się w dzieciństwie i której obiecała sobie nigdy nie zapomnieć. Niestety, kiedy pojawił się Jake, straciła czujność. Pozwoliła się ponieść nadziei, że od tej chwili będzie już tylko lepiej. Zakochała się.

Później, patrząc wstecz, widziała ten moment w ogrodzie jako ostatnią chwilę niebiańskiego szczęścia, zanim wszystko runęło. Zanim ich malutka bezpieczna planeta zmieniła oś obrotu i posłała ich, koziołkują-

cych, w lodowatą ciemność. Ależ była głupia, że wierzyła w przyszłość! Szczęście jest ulotne i przemijające, o czym miała się przekonać, kiedy odnajęli pokój.

## 5

Okazało się, że Jake'owi idzie w pracy gorzej, niż dawał po sobie poznać. Jego interesom od dawna groziło, że się posypią, i w końcu się zawaliły. Właśnie tych słów użył, tłumacząc jej, co się stało. Zupełnie jakby wymiana ogromnych sum pieniędzy przybrała nagle fizyczne, namacalne rozmiary.

Nie pamiętała, kiedy po raz pierwszy w rozmowie padł pomysł wzięcia sublokatora. W miarę upływu dni Jake przeszedł od „czy” do „kiedy”. Koncept na dobre zakorzenił się w jego głowie. Marisa z początku była przeciwna. Nie potrafiła ścierpieć myśli, że ktoś obcy pojawi się w ich domu. W lodówce będzie się walało cudze jedzenie, a intruz zechce oglądać telewizję akurat wtedy, kiedy oni woleliby zostać sami w salonie. Czuła jednak, że nie ma prawa mówić o tym Jake'owi. To on wpłacił kaucję, na którą nie byłoby jej stać, i on pokrywał lwią część czynszu. Chciał, żeby czuła się równorzędną partnerką, ale jakoś jej się to nie udawało. Ciągłe towarzyszyła jej niepewność własnego położenia. Porównywała się w myślach do guwernantki z epoki wiktoriańskiej, osoby zmuszonej żyć ze swego rozumu i zależnej od miłosierdzia bogatszych od siebie. Jej pracownia stawała się w tych rozgorączkowanych wizjach malutką kanciapką, gdzie musi się wepchnąć, by zajmować jak najmniej miejsca, sprawiać Jake'owi jak najmniej kłopotu i nie dać mu żadnego pretekstu, dla którego mógłby się z nią rozstać.

Jas powiedziała kiedyś, że Marisa popada w skrajności, gdy chodzi o mężczyzn, którzy jej się podobają.

- Albo zachowujesz się jak najwredniejsza suka, która ma wszystko w dupie - stwierdziła dosadnie - albo całkiem znikasz i dajesz sobą kompletnie zawładnąć.

- Nieprawda! - zaprotestowała Marisa.

Siedziały wtedy w miejscowym salonie kosmetycznym. Nazywał się Tip 2 Toe i był pełen smagłych Tajek, które rozmawiały ze sobą nawza-

jem, ale z klientkami już nie. Marisa zamówiła sobie pedicure, a Jas – lśniący fioletowy żel na paznokcie, długie i ostre niczym szpony.

- A Matt? - Jas przypomniała jej ostatni związek z tworzącym teksty piosenkarzem, którego chyba nikt nie widział, jak pisze, ani nie słyszał, jak śpiewa. - Całkiem ci odwaliło na jego punkcie.

- To co innego.

Matt był niesamowicie wręcz przystojny. Wprost nie można było mu się oprzeć. Miał skłonność do wysyłania jej lirycznych tekstów i linków do ostatnio słyszanych piosenek, przy których myślał o niej. Była kompletnie porażona i dopiero później wpadło jej do głowy, że to określenie pochodzi od „razić” i kojarzy się raczej z gniewnymi bóstwami ciskającymi pioruny zemsty i kary. Wygooglowała sobie etymologię. Wiązała się z uderzaniem lub zatrutowaniem, co wcale już romantyczne nie było.

Przez kilka pierwszych tygodni Marisa żarliwie odwzajemniała uczucie Matta. Potem zniknął na parę dni, a ona odchodziła od zmysłów. Dzwoniła do niego, pisała na WhatsAppie, aż wreszcie któregoś dnia odpisał: Co tam?. Była tak szczęśliwa, że zapomniała o wszystkim i cały cykl rozpoczął się od nowa. Trwało to przez kolejnych pięć miesięcy, póki Matt nie postanowił odkochać się bez słowa wyjaśnienia i zablokować jej numeru telefonu.

- No więc co z Mattem? - podjęła, kiedy kosmetyczka szorowała jej stopy prostokątnym pilnikiem.

- Nigdy nie byłaś sobą w jego obecności. Dawłaś sobie wchodzić na głowę.

- Wcale nie.

Teraz, kiedy o tym myślała, musiała przyznać Jas rację. Mylnie wzięła jego nieprzewidywalność za namiętność, a swój niepokój za motyle, które zwykle powinny się pojawiać na początku związku. Próbowała różnych strategii, żeby utrzymać jego zainteresowanie. Gdyby tylko potrzebowała go nieco mniej! Gdyby mogła przestać wysuwać żądania i stawiać ultimatum, kiedy ignorował subtelniejsze sposoby, którymi usiłowała dać mu do zrozumienia, czego pragnie. Gdyby potrafiła pozbyć się jakiejś części siebie, a potem kolejnej i jeszcze innej, tak żeby nie stanowiła już kłopotu. Wtedy zasłużyłaby na nagrodę. Zyskałaby jego całkowitą uwagę.

- Nieważne. - Jas uniosła dłoń i obejrzała fioletowy lakier pod światło. - Matt i tak był dupkiem. Mówię ci tylko, że powinnaś bardziej wierzyć w siebie. Nie musisz udawać kogoś innego, żeby znaleźć faceta. Postaraj się być sobą.

„Ta, jasne” - miała ochotę odpowiedzieć. To było ostatnie, do czego chciała dopuścić.

Zgodziła się więc na sublokatora, tłumacząc sobie, że nieco złagodzi to presję finansową i Jake będzie miał dla niej więcej czasu. Lokator, jak jej wytłumaczył, zamieszka na poddaszu w wolnym pokoju z łazienką. Działa tam wi-fi, więc nie będzie problemu z telewizją, bo większość ludzi i tak ogląda ją na laptopie, prawda? Nalegał tylko, żeby wstawić czajnik, kuchenkę mikrofalową i małą lodówkę, tak aby lokal był względnie niezależny. Zgodziła się na wszystko. Tak oto w ich życiu pojawiła się Kate.

Kate miała trzydzieści sześć lat, była starsza od Marisy. Pracowała w dziale prasowym jednej z wytwórni filmowych. Mówiła cicho i spokojnie, choć miała wyrazistą twarz o ostrych rysach, a także ciemne włosy z krnąbrną grzywką opadającą poniżej brwi (kiedy spotkały się po raz pierwszy, Kate cały czas dmuchała w grzywkę, by pozbyć się jej z oczu). Była drobna i szczupła, o małych piersiach, ubierała się w dżinsowe ogrodniczki i T-shirty, które niestety nie przystoją kobiecie w jej wieku. Mimo wszystko Marisa poczuła ulgę, że Kate nie jest kobietą w typie, który mógłby się podobać Jake'owi. Jake zawsze powtarzał, że lubi blondynki o pełnych kształtach, jasnych oczach i lekko miodowej cerze z tendencją do piegów od słońca. Czyli wypisz wymaluj takie jak Marisa. Do tego Kate pracowała poza domem i większość dnia spędzała w biurze, więc Marisa mogła malować w spokoju.

- Doceniam to, że się zgodziłaś i że robisz to dla nas - powiedział Marisie tego wieczoru Jake. - Naprawdę.

- Nie ma o czym mówić.

Z tej okazji postanowił coś ugotować: wyszukaną kaczkę w wiśniach. Jak dla niej była trochę zbyt ciężkostrawna, sos za gęsty, ale rozplýwała się w zachwytach i chwaliła pod niebiosa, a potem, kiedy poszli spać, była pewna, że podjęli słuszną decyzję.



Czasami Marisę nachodziło śmieszne wrażenie, że Kate bywała wcześniej w tym domu. Jakby mieszkała tu w poprzednim życiu. Bez żadnego wysiłku i namysłu poczuła się od razu jak u siebie. Szczoteczkę do zębów postawiła w głównej łazience, obok należących do Marisy i Jake'a, kompletnie ignorując wygodną umywalkę na górze. Do kredensu w kuchni wstawiła swój kubek. Miał w środku ciemny osad, a na zewnątrz tłoczony wizerunek czarnego konia i napis „Dark Horse” wykonany pogrubioną czcionką bezszeryfową. I wciąż zostawiała pod drzwiami swoje buty do biegania.

- Uważaj, nie potknij się o nie - mawiała do Marisy, odsuwając je pod ścianę i rozwlekając przy tym po wycieracze wałeczki zaschniętego błota.

Miała w sobie pewność siebie, jakiej Marisa zawsze pragnęła, ale nie rozumiała, skąd się bierze. Marisa pomyślała sobie, że jest dobrze. Bo to znaczyło, że mogą swobodnie koegzystować bez konieczności zostawiania przyjaciółkami. Ich relacja może być profesjonalna, na dystans, czysto praktyczna. Kiedy ona i Jake zaoszczędzą trochę pieniędzy, już nigdy nie będą musieli wynajmować. Ich życie potoczy się dalej. To wszystko jest tylko czasowe - przekonywała się w duchu. Niedługo się skończy.

Mijały tygodnie. Marisa odwaliała kawał roboty - książkę Moses był gotowy. Teraz pochłonął ją kolejny projekt, przeznaczony dla bliźniaczek o imionach Petra i Serena. Rodzice poprosili o bajkę z feministycznym morałem. Zdecydowała się więc na opowiadkę o dwóch zadziornych księżniczkach, które przebrane za chłopców postanawiają udowodnić wszystkim, że potrafią władać królestwem nie gorzej od mężczyzn. Zatytułowała ją Dziewczyny rządzą, nawiązując do znanego utworu Beyoncé Run the World. Ilustrowanie tej historyjki sprawiało jej sporo przyjemności. Jej ulubiony obrazek przedstawiał bliźniaczki w kraciastych koszulkach i słomkowych kapeluszach, żując źdźbła słomy i udające chłopaków ze wsi. Jasne loki mają ciasno spięte na karku.

„Myślisz, że będą wiedzieć, kim jesteśmy?” - mówi jedna do drugiej z nerwowym grymasem na sześciolatniej twarzy.

„Jesteśmy Peter i Stephen, głuptasie” - odpowiada druga.

Szkicując, Marisa pomyślała przelotnie o własnej siostrze. O tym wszystkim, czego ona sama była pozbawiona, dorastając. Choćby towarzysztwa: pamiętała, jak straszliwie czuła się samotna. Może właśnie dlatego teraz tak bardzo pragnie dziecka. Kiedy zostajesz matką, już nigdy nie jesteś sama.

Ucziwie popracowała parę godzin, a potem, czując sztywność w karku, wstała, żeby rozluźnić mięśnie. Pokręciła głową w jedną i drugą stronę. Wczoraj w witrynie saloniku prasowego widziała reklamę zajęć jogi dla kobiet w ciąży. Miały się rozpocząć o dziesiątej. Pod wpływem spontanicznego impulsu postanowiła, że się tam wybierze.

Kiedyś czytała, że dla kobiet starających się o dziecko korzystne jest przebywanie w towarzystwie ciężarnych. Najwyraźniej hormony jakoś przenikają, a może ciało reaguje na feromony ciążowe, czy coś w tym guście – nie do końca orientowała się, jak to działa.

Włożyła spodnie od dresu i starą koszulkę, wsunęła stopy w klapki i związała włosy. Matę do jogi przerzuciła przez ramię i wyszła z domu, zatraskując za sobą drzwi. Nie zamykała ich na klucz, bo Kate jeszcze nie wróciła z pracy.

Sala miała wysoki sufit i podłogę wyłożoną parkietem. Urządzono ją w opuszczonej kaplicy. W niektórych oknach nadal były witraże, a Marisa mogła przysiąc, że w powietrzu wciąż jeszcze wyczuwa kadzidło. Mama zawsze zabierała ją na pasterkę. To był jeden, jedyny raz w roku, kiedy szły do kościoła, i Marisa była przeszczęśliwa, ponieważ nie musiała kłaść się spać o zwykłej porze. Podobały jej się kolędy i poczucie wspólnoty, a po nabożeństwie proboszcz częstował dzieci czekoladkami, które mogły same sobie wybrać. Zawsze udawało jej się wyłowić srebrno-zielony trójkącik, który smakował orzechami, a mama nazywała go praliną.

- To twój pierwszy raz na zajęciach? - zapytała instruktorka, kiedy Marisa rozwinęła matę w pierwszym rzędzie.

- Tak.

- Cudnie. - Kobieta była wysoka, mocno opalona. Na jej lewym przedramieniu widniały wytatuowane rzymskie cyfry. Nosiła legginsy w gwiazdki i koszulkę na ramiączkach z napisem „Wdech, wydech, powtórz”. - A który miesiąc? Pytam, żeby ewentualnie się dopasować.

- Och... - zająknęła się Marisa. O tym szczególnie nie pomyślała. - Jeszcze bardzo wcześnie. To dopiero szósty tydzień - wyrzuciła z siebie.

- Gratulacje - stwierdziła instruktorka z promiennym uśmiechem. - Mam na imię Carys.

- Marisa.

- Piękne imię. Witaj, bogini.

Marisa przyjrzała jej się uważnie, szukając oznak drwiny, ale ich nie znalazła. Niech będzie bogini. Carys stanęła przodem do nich i kazała wszystkim usiąść ze skrzyżowanymi nogami na swoich matach. Miało im być możliwie najwygodniej. Pozostałe kobiety prezentowały różne stadia zaawansowania ciąży. Niektóre kryły brzuszki schludnie upakowane za elastycznymi pasami legginsów. Inne, wyraźnie grubsze, poruszały kończynami z ociężałą gracją, jakby pływały w gęstej cieczy.

- Wdech - powiedziała Carys. Jej głos osiągnął sceniczne natężenie. - Wydech. I jeszcze raz.

Podłączyła telefon do kabla na parapecie i salę wypełniło brzdąkanie jakiegoś instrumentu strunowego, któremu towarzyszył łomot plemiennych bębnów. Muzyka grała tak głośno, że w ogóle nie było słychać Carys, ale uczestniczki najwyraźniej wiedziały, co robić, jakby kierowane instynktem stadnym. Marisa starała się powtarzać ich ruchy najlepiej, jak potrafiła. Teraz kucnęła z rozstawionymi kolanami jak dziecko. Joga zawsze sprawiała jej kłopot. Idea, że jesteś tu i teraz oraz musisz się skupić wyłącznie na tym, co właśnie robisz, i na niczym innym, była jej obca. Mimo woli zaczęła się porównywać z innymi kobietami w pomieszczeniu. Sąsiadka, której mata leżała za blisko jak na gust Marisy, należała do gatunku tych szczupłych, jaśniejących. Ich figura praktycznie się nie zmienia aż do późnej starości. Miała zgrabne ramiona i smukłe biodra, mały brzusek raczej podkreślał, niż zaburzał strzelistą linię postaci. O, tak właśnie chcę wyglądać, kiedy będę w ciąży - pomyślała Marisa.

- Dzisiaj zasnęłam. Nie słyszałam budzika - mówiła tymczasem Carys. - A to oznaczało, że będę miała problem, żeby się wyrobić. Wybiegłam z domu bez śniadania. Zapomniałam parasola. Metro było tak zatłoczone, że nie udało mi się wsiąść. Znacie to wszystkie, prawda? - Zasmiała się łagodnie. - Czułam się tak, jakby ktoś mnie odłączył, wiecie? Jakbym nie miała już kontaktu z matką ziemią. Jak w nie swojej skórze.

Targały mną tylko rosnąca frustracja i niepokój. I wiecie co? Przypomniałam sobie to, co mówię do was co tydzień. Zrobiłam to, co każę robić wam. Zamknęłam oczy. Spojrzałam w głąb siebie i znalazłam swój oddech. Ponieważ oddech to życie. A skoro waszym zadaniem jest sprowadzenie na ten padół nowego, cudownego życia, to teraz bardziej niż kiedykolwiek musimy uwolnić wasz oddech. Niech płynie! Uwolnijcie go!

Marisa na swojej macie próbowała uwolnić swój oddech. Chuda blondynka na macie obok wydała z siebie głośny charkot rodzący się chyba gdzieś w głębi przełyku. Marisa postanowiła zacharczeć jeszcze głośniej, żeby pokazać, że potrafi. Ale poczuła, że gardło jej się zaciska, i nagle uświadomiła sobie, że jej chęć konkurencji jest bardzo „nie zen”. Walić to - przemknęło jej przez głowę.

- Jak uczą nas mistrzowie - Carys nagle przeszła na coś, co brzmiało jak wschodnioangielska wersja sanskrytu - sarva karyeshu sarvada. Proszę, niech mój umysł uwolni się od przeszkód.

Proszę, niech moja joga uwolni się od Carys - pomyślała Marisa. Już była spocona, a nawet jeszcze dobrze nie zaczęły.

Następną godzinę wypełniły skłony na boki i delikatne pozycje gołębia. Muzyka stawała się coraz głośniejsza, aż znów ucichła, kiedy przeszły do finałowej pozycji odpoczynku, podczas której Carys wdała się w zawiły wykład na temat istoty stworzenia („Co to znaczy tworzyć, być płodną, otworzyć serce na cuda wszechświata?"). Kiedy wreszcie było po wszystkim, Marisa zrolowała matę. Blondynka obok ściągnęła spojrzeniem jej wzrok i się uśmiechnęła.

- Nowa? - zapytała.

- Taa - odparła Marisa, rozpuszczając koński ogon, tak że włosy opadły jej na ramiona.

- Tak mi się wydawało, że nie widziałam cię wcześniej. Carys jest świetna, no nie? Widać po niej, że znalazła harmonię...

Marisa zerknęła na instruktorkę, która dyskutowała właśnie z jedną z przyszłych matek, będącą już w dość zaawansowanej ciąży. Skupiona kiwała głową, przez cały czas trzymając dłonie złożone przy piersi jak do modlitwy.

- Yhm - mruknęła, wiedząc, że na pewno już tu nie wróci. Muszą być jakieś łatwiejsze sposoby, żeby zmusić hormony do współpracy.

- Zawsze, jak tu przychodzę, od razu robi mi się lepiej - ciągnęła blondynka. - Który to miesiąc?

Marisa zdążyła zapomnieć, co powiedziała Carys.

- O, sam początek - ucięła, nie wchodząc w konkrety.

Blondynka uniosła brwi, ale kiedy cisza trwała, odezwała się w końcu:

- No to powodzenia. Do zobaczenia za tydzień.

- Na pewno nie - wymamrotała Marisa pod nosem i odwróciła się, żeby wyjść jak najszybciej, nie nawiązując kontaktu wzrokowego z Carys. Już przy wyjściu, sięgając do drzwi prowadzących na ulicę, kątem oka dostrzegła znajomą sylwetkę.

Chwilę jej zabrało, nim zdołała się skupić. Ciemne włosy, grzywka, szare haremki i - jakżeby inaczej - koszulka z logo kosztownej sportowej marki. Kiedy wszystkie elementy wskoczyły na swoje miejsce, tworząc jedną ludzką postać, musiała zamrużyć, żeby zyskać pewność, że to ona. Lokatorka.

- Kate? - powiedziała, zdumiona spotkaniem. Doznała wrażenia, że tamta ją śledzi. Mogła przez cały czas ją obserwować z tylnego rzędu. Chyba nie jest w ciąży...? A może? Nagle przypomniała sobie, że ona też nie jest w ciąży i nie może zadać tego pytania, nie narażając się na podobne. - Nie zauważyłam cię.

Kate się uśmiechnęła, ukazując ciut nierówne siekacze.

- Ćwiczyłam z tyłu - wyjaśniła. - Pracuję dziś z domu, więc pomyślałam, że też wpadnę.

Jej mata do jogi - szary melanz z wijącym się motywem liści palmowych - była wyściełana i z pewnością należała do tych droższych. Kate zwinęła ją starannie i przewiesiła na fioletowym pasku przez ramię. Paznokcie u nóg miała pomalowane na jaskrawopomarańczowy kolor. Marisa zerknęła z niechęcią na własne, oblażące z różowego lakieru i rozpaczliwie domagające się pedicure'u.

- Podobały ci się zajęcia? - zapytała.

- Owszem. Zobaczyłam, że wychodzisz, i pobiegłam po matę. Pomyślałam, no wiesz, że fajnie będzie razem poćwiczyć.

I tyle. Bez słowa wyjaśnienia. Kate zachowywała się w sposób swobodny i wyluzowany, jakby śledzenie swojej gospodyni w drodze na zajęcia jogi dla ciężarnych było czymś zupełnie naturalnym. Patrzyła na

Marisę, nie odwracając wzroku, i najwyraźniej spodziewała się zachwy-  
tów. Zdumiewające!

- Przecież nie ćwiczyliśmy.

- Jak to nie? - zdziwiła się Kate, przytrzymując jej drzwi.

- Nie razem. Czaiłaś się z tyłu.

Kate się roześmiała.

- Wcale się nie czaiłam! Chciałam ci dać trochę przestrzeni.

Wybrała dość oryginalny sposób - pomyślała Marisa. Wyszły na  
ulicę.

- Masz ochotę na kawę? - spytała Kate. - Mogłybyśmy pogadać.

- Nie, przykro mi - bąknęła Marisa speszona, a potem zirytowała się  
na siebie, że się peszy. - Terminy gonią. To znaczy praca. Wiesz.

- A tak, malowanie. Jak ci idzie?

Jak się jej pozbyć? - zastanawiała się Marisa. Po co te wszystkie py-  
tania? Stały teraz na chodniku twarzą w twarz, patrząc na siebie.  
Skrzyżowała ramiona na piersi, starając się utworzyć z nich coś na  
kształt bariery.

- Nieźle, dzięki.

- Świetnie. Lubisz pracować w tym pokoju?

Po prostu chce być miła. Co prawda Marisa nie tak by się do tego za-  
brała, ale nie może jej oceniać. Uspokoila oddech, jak radziła Carys.  
Wdech, wydech, oczyścić umysł z niepokoju.

- Taa. Światło jest niesamowite.

- To się cieszę.

Z czego się cieszysz? - zdziwiła się w duchu Marisa. Przecież to,  
cholera, mój dom.

- No dobra. Szkoda, że dziś kawa nie wyjdzie, ale musisz mi obiecać,  
że wybierzemy się przy następnej okazji. - Kate wyciągnęła rękę, by  
uścisnąć jej ramię. - Cieszę się, że razem mieszkamy.

Wpatrywała się w Marisę z takim natężeniem, jakby chciała ją prze-  
wiercić na wylot. I choć cały czas się uśmiechała, ten uśmiech jakoś nie  
sięgał oczu. Pozostały mroczne i przymrużone.

Marisa obciągnęła rękawy bluzy, żeby zakryć dłonie.

- Muszę lecieć.

- Jasne - odparła Kate.

Marisa wyminęła ją i wyszła. Nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć, że Kate nie ruszyła się z miejsca. Przeszła na światłach przez ulicę i skręciła w lewo przy kawiarni, na której witrynie błyszczały wyblakłe połączone napisy. Kiedy się wreszcie obejrzała, Kate wciąż tam stała. Nagle uniosła rękę i pomachała do Marisy.

- Do zobaczenia w domu! - zawołała.

Marisa odruchowo odwzajemniła gest. A potem przyspieszyła kroku i zatrzymała się dopiero za szczelnie zamkniętymi drzwiami przedpokoju. Wtedy zdała sobie sprawę, że przez cały czas wstrzymywała oddech.

## 6

Nazajutrz nie potrafiła się skoncentrować. Siedziała w pracowni, gapiąc się na przypięte do tablicy korkowej zdjęcie Petry, jednej z bliźniaczek. Usiłowała mentalnie przetransmitować jej rysy wprost do koniuszka pędzla, zastygłego w powietrzu nad pustym arkuszem. Petra była ślicznym dzieckiem, znacznie ładniejszym niż siostra, co – biorąc pod uwagę fakt, że powinny być identyczne – wydawało się bardzo niesprawiedliwe. Ale takich rzeczy nie sposób zmierzyć, Marisa zdążyła się tego nauczyć. Nie chodziło o jakąś fizyczną cechę, rysy twarzy. Raczej o dołeczek pojawiający się w brodzie, o sposób, w jaki dziecko marszczy się lub śmieje, ukazując rząd podobnych do perełek zębów.

Fotografia została zrobiona w czasie rodzinnego wyjazdu nad morze. Petra miała na sobie niebieski kostium kąpielowy w pomarańczowe baletnice. Stała plecami do wydmy, co oznaczało, że musiała patrzeć na fale. Silny wiatr wzburzył jej jasne, wijące się włosy, zarzucając kilka pasemek na twarz. Mimo to dziewczynka spokojnie patrzyła wprost w obiektyw. Większość dzieci szczerzy zęby, kiedy każe się im pozować do zdjęcia – pomyślała Marisa. Część w ogóle nie chce pozować lub robi głupie miny. Ale nie Petra. Ona po prostu stała. Spokojna, krępa, mała osóbką wśród wiatru, piasku i morza czekała cierpliwie, aż zdjęcie zostanie zrobione.

Kiedy jej rodzice wysłali Marisie fotografie, wydrukowała wszystkie jak zwykle. Ale tę jedną powiększyła dwukrotnie. Zafascynowało ją nie tyle samo zdjęcie, ile widniejąca na nim dziewczynka. Jak to jest, kiedy ma się tak niezachwianą pewnością swojego miejsca w świecie? I kiedy nie musi się stawać na głowie, żeby ludzie cię kochali?

Bardzo trudno było przełożyć to wszystko na pociągnięcia pędzla. Z Sereną poszło jej znacznie łatwiej. Marisa potrafiła oddać fizyczne cechy. Ale tu wiedziała, że czegoś brakuje. Umyka jej jakaś istotna informacja o charakterze Petry, przez co ilustracja jest płaska i bez życia.



Próbowała z różnymi odcieniami skóry, mieszając pomarańcz z różem. Ubierała ją w spódniczki zamiast sukienek. Następnie zamieniła spódniczki na spodenki. Nic nie działało. Siedziała nad tym od szóstej rano, kiedy wymknęła się z łóżka, nim jeszcze wstał Jake i zanim Kate wyszła do pracy. Niewiele spała tej nocy, a sny były niespójne i fragmentaryczne. W pewnej chwili usiadła w pościeli wyprostowana jak struna, bo zdawało jej się, że Kate schyla się nad nią, przyglądając jej się w czasie snu.

Rano nie miała ochoty się z nią widzieć. Nie po żenującej scenie na zajęciach jogi. Później opowie o tym Jake'owi; teraz musi się skupić i dokończyć książeczkę. Nie miała zleceń na kolejne miesiące. Lato zawsze było słabe, ruch w interesie zaczynał się przed świętami. Marisa doskonale o tym wiedziała i zwykle odkładała trochę pieniędzy, żeby przeżyć chude miesiące. W tym roku oszczędności poszły na przeprowadzkę i perspektywa braku dochodów nieco ją martwiła. Kiedy zamieszkali razem, pensja Jake'a spokojnie starczała na ich dwoje i jeszcze zostawało, ale teraz sytuacja finansowa stała się niepewna i każdy wydatek trzeba było skrupulatnie przemyśleć. Jake był ostatnio zestresowany i rozkojarzony, jeszcze mniej czuły niż zwykle. Niepokoiło ją to, ale powiedziała sobie twardo, że jest głupia. Jake ją kocha, ich miłość jest silna i nie potrzebuje codziennych zapewnień, żeby trwać.

Ilekróć dostrzegała, że z wolna zaczyna się poddawać panice, upominała się, że powinna się skupić na rzeczach takich, jakimi w rzeczywistości są. Liczyła je na palcach. On chce mieć z nią dziecko. To on kazał jej ściągnąć apkę do monitorowania cyklu. On twierdzi, że spotkanie z Marisą było dla niego uśmiechem losu. Mieszkają razem. Takie są fakty. A poza nimi wszystkimi jest jeszcze jedna, niepodważalna prawda, którą Marisa ukryła głęboko i którą wyciąga na światło dzienne tylko wtedy, gdy chce poczuć w rękach jej ciężar. A prawda ta brzmi: Jake nie jest jej matką. Jake jej nie porzuci.

Kiedy Marisa miała siedemnaście lat, związała z internatu na weekend. Napisała list i podpisała się za ojca, a potem poinformowała dyrektorę, że zdiagnozowano u niego raka prostaty i ojciec chce się z nią zobaczyć.

- Staramy się być dobrej myśli - powiedziała do pani Carnegie, kiedy ta wezwała ją do swego gabinetu. - Poczytałam trochę i wydaje mi się, że to częste u mężczyzn w jego wieku. Szanse na wyleczenie też są duże.

Była z siebie dumna. Wszystko dokładnie przemyślała i doszła do wniosku, że najbardziej wiarygodną postawą będzie z trudem wypracowana odwaga. Łzy to raczej przesada, chociaż potrafiła płakać na zawołanie. Przy pani Carnegie postanowiła udawać, że nowina nią wstrząsnęła, lecz stara się rzeczowo podejść do problemu, nie dopuszczając myśli o najgorszym. Dyrektorka, produkt starej angielskiej szkoły, z pewnością to doceni.

- Bardzo słusznie. Zawsze trzeba być dobrej myśli - orzekła pani Carnegie jak na życzenie. Zdjęła okulary, które oparły się na obfitym biuście, podtrzymywane przez kolorowy plastikowy łańcuszek. - Czy ktoś po ciebie przyjedzie? - spytała.

- W normalnych warunkach przyjechałby tata. Ale mieszkamy tylko we dwoje i... wie pani... - Marisa pozwoliła, by jej głos nieco zadrżał. - On nie jest w stanie prowadzić, więc pojedę pociągiem.

Pani Carnegie pokiwała głową.

- Oczywiście. Rozumiem - mruknęła i podpisała przepustkę.

Ojciec, rzecz jasna, miał się doskonale. Nigdy się nie dowiedział, że córka przypisała mu śmiertelną chorobę. Zanim pojawił się na zakończenie roku, zdrowy jak koń, choć nieco zamyślony, Marisa uprzedziła panią Carnegie, że ich modlitwy zostały wysłuchane i ojciec całkowicie wyzdrowiał.

- Tylko że tata nie lubi o tym mówić - dodała.

Dyrektorka położyła jej uspokajająco dłoń na ramieniu.

- Oczywiście, moja droga. Nie pisnę ani słówka.

Z przepustką w kieszeni szkolnej bluzy Marisa otrzymała magiczny dostęp do świata na zewnątrz. Jej szkoła, neogotycki budynek ozdobiony gargulcami i wieżą (ponoć nawiedzoną), stała naprzeciw dworca kolejowego. Kilka kroków i Marisa mogła złapać pociąg do Londynu. Znalazła wolne miejsce, zdjęła bluzę i zastąpiła ją dzinsową kurtką, którą wyjęła z plecaka. Kilka razy podwinęła w talii granatową spódniczkę, póki jej skraj nie znalazł się sporo powyżej kolan. Wyciągnęła spod paska białą bluzkę i związała jej poły w węzeł na wysokości pępka.

Następnie rozpuściła włosy. W kolejowej toalecie zrobiła makijaż. Musiała poprawić oko, bo kiedy wagon szarpnął, ręka jej drgnęła i na kości policzkowej została długa czarna krecha.

Malować się nauczyła z magazynów dla dziewczyn. W jednym z nich był poradnik *Jak zrobić makijaż na bal maturalny*. Kupiła albo zwędziła ze sklepu wszystkie potrzebne kosmetyki. Teraz, kontrolując odbicie w mętym lustrze, pokryła rzęsy podwójną warstwą mascary Maybelline. „Mocno zaznaczone rzęsy są zawsze totalnie na czasie” – informował w zaufaniu poradnik. Na policzki nałożyła nieco różu i podkreśliła kilkoma muśnięciami bronzera. Usta pokryła perłowym błyszczkiem. Cofnęła się o krok i oceniła efekt. Wyglądała teraz na starszą, niż się spodziewała; reszta ciała zdawała się nie pasować do twarzy. Przez moment Marisa miała problem, żeby rozpoznać samą siebie. Po chwili jednak przywykła i zaczęła się uśmiechać. Wyglądam seksownie – pomyślała i zmierzwiła włosy. Trochę jak Britney Spears w tym teledysku albo Brigitte Bardot na starych zdjęciach, które kiedyś pokazywał jej tata.

Kiedy trzy godziny później pociąg wjechał na stację Paddington, było już popołudnie. Marisa dokładnie się przygotowała: wiedziała, że z dworca musi dostać się metrem linii okrężnej do King's Cross, a potem przesiąść się na nitkę High Barnet linii północnej. Były dwie nitki i musiała pojechać tą właściwą. Co prawda zawsze jeszcze mogła się przesiąść w Camden, gdyby się pomyliła. Jej celem była dzielnica Kenish Town.

Kilka miesięcy po tym, jak matka odeszła, Marisa podsłuchiwała rozmowę telefoniczną ojca. Nie wiedziała, z kim rozmawia. Było późno, Marisa powinna już spać, ale z przyciszonej, pospiesznej wymiany zdań wywnioskowała, że mówią o czymś ważnym. Jako dziecko była doskonale wyczulona na wszelkie odcienie i niuanse. Stała się wręcz ekspertem w rozpoznawaniu wagi tego, co można było wyczytać między wierszami.

- Nie mam pojęcia - usłyszała głos ojca, kiedy przycupnęła w nocnej koszulinie koło balustrady na górze, wystawiając ucho spomiędzy drewnianych tralek.

Bardzo się pilnowała, żeby żadna z desek podłogi nie skrzypnęła pod jej ciężarem.

- Tak jak powiedziałem, nie zostawiła adresu.

Potem nastąpiła długa przerwa, kiedy mówiła osoba na drugim końcu linii. Lecz Marisie wystarczyło to jedno zdanie: już wiedziała, że mowa o mamie.

- Oczywiście, że to, kurwa, nieodpowiedzialne! Ale czego się w końcu spodziewałem...

Nigdy wcześniej nie słyszała, żeby ojciec przeklinał. Głos miał gniewny i nieco bełkotliwy. Zastanawiała się, czy wcześniej pił whisky.

- Och, nie wiem. Ostatnio to chyba było Kentish Town.

Nazwa wpadła do umysłu Marisy jak moneta do automatu i spoczęła na dnie, gotowa, by ją później wydobyć i zbadać dokładniej.

- Ha! No właśnie. Jasne. Nic dodać, nic ująć.

Kolejna długa pauza.

- No dobrze. Tak. To bardzo miło... Doceniam, naprawdę. Wybacz, że się rozklejam... Po prostu...

Marisa zaczęła wycofywać się na palcach z powrotem do łóżka. Domyśliła się, że rozmowa zmierza ku końcowi i tata zaraz przyjdzie na górę sprawdzić, co u niej.

- Marisa? - Wydawał się zaskoczony pytaniem, które zabrzmiało w słuchawce. - Nie, ma się świetnie. Przyjęła to jak prawdziwy twardeł. Nie, nie ma żadnych problemów.

Poczuła się dumna, że nie ma z nią żadnych problemów. Dopiero lata później zdała sobie sprawę, że powinna była ich powodować znacznie więcej.

Dotarła na stację Kentish Town krótko po czwartej po południu. Była jesień i wieczory nadchodziły coraz wcześniej. Zapadał zmierzch. Dopiero gdy wyjechała na szczyt ruchomych schodów i odbiła kartę przy obrotowej bramce, żeby wyjść, zdała sobie sprawę, że tu jej plan się kończył. Kentish Town - tyle wiedziała. Przez kolejne lata nie pojawiły się żadne nowe wskazówki co do miejsca pobytu jej matki. Nieważne, ile rozmów telefonicznych udało jej się podsłuchać i jak wiele szuflad przetrząsnąć w poszukiwaniu istotnych informacji - natrafiała tylko na stare listy zakupów, rozgięte spinacze i niezidentyfikowane klucze, których nikt już nie umiał dopasować do zamków.

Wyobrażała sobie Kentish Town jako uroczą podmiejską osadę w rodzaju tej z serialu dla dzieci *Listonosz Pat*. Miało tam być mnóstwo zie-

leni, pub z drewnianymi belkami i śliczne wiejskie domki oplecione różami rozpiętymi na pergolach. Każdy będzie znał każdego, więc odnalezienie matki nie nastreczy większych problemów. To tylko kwestia czasu – myślała. Będzie musiała uważnie się rozglądać i może zapytać w miejscowym sklepiku, czy znają Harriet Grover.

Niestety, nie było tu zieleni ani pubu, ani tym bardziej ślicznych wiejskich domków. Ze stacji metra wyszła na ponury chodnik, oddzielony od jezdni wątlą szarą barierką. Mężczyzna w czerwonej kamizelce, sprzedający „Big Issue”, pochylił się w jej stronę, wyciągnął ramię i wepchnął jej w dłoń egzemplarz, zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje.

- Nie, nie, dziękuję – powiedziała, oddając mu czasopismo.

- To spierdalaj – burknął, odwracając się od niej.

Obok przejechał autobus, zgrzytając i prychając w powietrze kłębami spalin. Była dotkliwie świadoma tego, jak bardzo tu nie pasuje. Wyczuwała celową nieuprzejmość ludzi, którzy ją mijali, doskonale wiedząc, dokąd zmierzają, podczas gdy ona nie miała pojęcia, gdzie powinna się teraz skierować. Kobieta w czerwonym garniturze. Mężczyzna z małym pieskiem na smyczy. Dziewczynka pchająca wózek z lalką, holowana za rękę przez matkę, której się spieszyło. Nastoletni chłopak z komórką (nokią, taką samą jak jej własna), który wrzeszczał na kogoś, że nie życzy sobie tego pieprzonego przesłuchania i czy ten ktoś może już dać sobie z tym spokój. Wszyscy oni na wpeł szli, a na wpeł biegli, patrząc na Marisę ze zniecierpliwieniem. Zawadzała im, stojąc jak kółko pośrodku chodnika. Czy to naprawdę takie dziwne, że ktoś się zgubił? Najwyraźniej jednak mieli do niej pretensje, że przynajmniej nie udaje pewnej siebie.

Mimo to wciąż miała nadzieję. Dziwaczne nielogiczne przecucie, że jeśli przespaceruje się po okolicy, na pewno spotka matkę. Wprawdzie minęło już dziesięć lat, ale wiedziała, że rozpozna ją natychmiast. Wyjdzie zza rogu i zobaczy znajomą sylwetkę – wyprostowane ramiona, zwichrzone włosy, nieco ciężkie biodra... i to będzie ona. Poczuje jej zapach: nutkę wanilii podszytą papierosem Silk Cut – mama pozwalała sobie na jednego dziennie. I mydłem pakowanym we wzorzyste pudełko zamykane złocistym dyskiem, czymś w rodzaju pieczęci, a może medalu. O tak – pomyślała. Rozpozna mamę, gdziekolwiek ją spotka.

Gorzej z Anną. Trudno było sobie wyobrazić, na jaką dziesięciolatkę wyrosła jej malutka siostrzyczka. Mogła jednak być podobna do Marisy w tym wieku. To logiczne. W końcu były dziećmi tych samych rodziców, nawet jeśli nie widziały się tak długo.

Ruszyła chodnikiem. Ulica łagodnie się wznosiła. Na rogu był pub. Gdy Marisa zerknęła przez okno, wydał jej się przytulny i kuszący. W żółtawym świetle srebrzyście lśniły krany z piwem. Chociaż Marisa miała dopiero siedemnaście lat, już bywała w pubach. Szkoła z internetem daje pokaźny margines swobody. Wolno im było chodzić do jednego baru w okolicy, o ile nie tykały alkoholu. Przepis ten był jednak łamany tak często, że w końcu stał się martwy. W weekendy dziewczęta odmeldowywały się na przepustkę, mówiąc pani Carnegie, że idą do baru objętego zezwoleniem. W rzeczywistości łapały pociąg do Worcester, gdzie pokazywały fałszywe dowody bramkarzom w podłym nocnym klubie Cargo. W soboty grano tam coś, co didżeje nazywali „klubową klasyką”. Piły rum z colą, a Marisa wiła się w rytm muzyki na parkiecie, okrążając chłopaka, który akurat jej się spodobał. Tańczyła nieźle. Łatwo przyswajała nowe kroki i ruchy, oglądając teledyski. Wiedziała, że choć nie jest najładniejsza w klasie, to parkiet jest jej królestwem. W pulsującym świetle stroboskopów, gdy potężne basy wprawiały zebra w wibracje, mogła mieć każdego.

Weszła do pubu i omal nie stchórzyła. Wewnątrz było tylko czworo gości: dwóch facetów przy barze, a przy stoliku para, która trzymała się za ręce, zsuwając łokciami solniczkę i pieprzniczkę coraz bliżej końca blatu. Obecność tych dwojga podniosła ją na duchu. Zadarła brodę i prostując ramiona tak, jak uczyli w szkole na zajęciach mających przygotować absolwentów do poszukiwania pracy, podeszła do baru.

- Co podać? - Barman przyjrzał jej się z uśmiechem.

- Rum z colą poproszę.

Patrzyła na jego plecy, kiedy przygotowywał drinka. Wydawał się młodszy, niż kiedy widziała go z zewnątrz. Pod kraciatą koszulą rysowały się łopatki. Podwinięte do łokcia rękawy odsłaniały pasma mięśni biegnące wzdłuż przedramion. Górne oświetlenie podkreślało ich rzeźbę.

- Proszę bardzo - powiedział, podając jej szklanekę, która wyglądała na znacznie pełniejszą, niż powinna.

- Dzięki - odparła. Chyba udało jej się wychwycić w jego głosie australijski akcent. - Ile płacę?

Barman przerzucił przez prawe ramię ścierkę, którą wycierał kontuar.

- Na koszt firmy - oświadczył.

- Co? Ale...

- Taka promocja w środku tygodnia. Pierwszy drink za darmo. - Mrugnął do niej.

Natychmiast się zaczerwieniła.

- Okej - wymamrotała. - Dzięki.

Usiadła przy stoliku obok wejścia do toalet - w najgorszym miejscu, gdzie nikt nie powinien jej niepokoić. Chciała być sama. Upiła odrobinę, smakując, jak alkohol i słodycz coca-coli walczą na języku o prymat. Cola wygrała i po chwili Marisa już nie czuła rumu. Pociągnęła solidny łyk. Potem kolejny. Wkrótce w szklance została ledwie połowa, a ona była już na lekkim rauszu, którego tak potrzebowała. Wyjęła telefon i zaczęła bez przekonania grać w węża. Musiała posiedzieć tu jeszcze chwilę, dopić drinka, a potem odnaleźć matkę. Wychyliła resztę jednym haustem.

- Jeszcze raz to samo?

Barman pojawił się zniemacka tuż obok. Aż podskoczyła, kiedy usłyszała jego głos.

- Eee... Myślałam, że trzeba zamówić przy barze - powiedziała i skrzywiła się w duchu, słysząc, jak żałośnie to zabrzmiało. Gdyby naprawdę była dorosła, wiedziałaby, jak się zachować.

Kurde, wyluzuj - pomyślała. Spokojnie.

Barman znów do niej mrugnął. Nikt ze znanych jej osób nie mrugał, chyba że aktorzy w operach mydlanych albo ci źli w filmach szpiegowskich. Ten koleś robił to non stop.

- Dla specjalnych klientów wychodzę ze swojej krypty.

Sposób, w jaki powiedział „krypta”, sprawił, że zadrżała. Poklepał ją po ramieniu.

- Żartuję. Co będzie? Jeszcze raz rum z colą?

Pokiwała głową. Jeszcze jeden nie zaszkodzi. Wypije, żeby poradzić sobie z nerwami, a potem wstanie i wyjdzie, i wszystko się jakoś ułoży.

Ale barman, który - jak się wkrótce dowiedziała - miał na imię Kevin, ciągle przynosił jej drinki, a Marisa nie chciała go urazić odmową. Jej niepokój zogniskował się na tym, że nie będzie miała jak zapłacić. Potem jednak przypomniała sobie, że ma kartę kredytową taty, którą dał jej na kurs prawa jazdy i na tak zwany wszelki wypadek. Odprężyła się. Po czwartym rumie czuła się już bardzo zrelaksowana. Zaczęła się śmiać z czegoś, co mówił Kevin - coś o koniu, który przychodzi do baru i zamawia drinka. I chyba o strusiu, bo Kevin wspomniał o ptaku, który ma nogi aż do samego tyłka. Marisę tak to rozśmieszyło, że nie przestała chichotać przez całą minutę.

W którymś momencie dwaj faceci i starsza para chyba opuścili pub, choć nie pamiętała, żeby wychodzili. Została sama z Kevinem, który przystawił sobie krzesło do jej stolika. Kiedy spytała, czy nie powinien czasem pracować, wzruszył ramionami i odparł, że jego zmiana i tak już się prawie skończyła. Przyniósł ze sobą butelkę rumu, a może cały czas tam stała? Marisa nie potrafiła sobie przypomnieć. Dolewał z niej cały czas do jej szklanki, tak że w końcu był tam tylko rum, już bez coli, a ona piła i piła. Nie dlatego, że była zdenerwowana, tylko dlatego, że nie była i chciała za wszelką cenę zatrzymać to uczucie, że nie ma się czym przejmować. Wypije jeszcze jednego i wtedy pójdzie. Jeszcze jednego, potem zapłaci, wyjdzie i zabierze się do tego, po co tu przyjechała... Co to było? Coś ważnego... ale nie pamiętała co. Jakoś jej to umykało, wyslizgując się z palców niczym ciężki naszyjnik opadający na dno morza. A tak, pamięta... Miała odnaleźć mamę.

- Przyjechałam odnaleźć mamę - powiedziała do Kevina, a kiedy usłyszała własne słowa, wydały jej się dziwnie radosne.

- Co tam, skarbie?

Kiedy zaczął mówić do niej „skarbie”? A może powiedział pierwszy raz, ale zabrzmiało to tak znajomo, jakby mówił już wcześniej. Może ich ścieżki już kiedyś się skrzyżowały? Czy nie byłoby dziwne, gdyby się okazało, że Kevin zna jej mamę i dlatego los skierował tu jej kroki? Do pubu, który już nie był przytulny i zapraszający, lecz obskurny i brudny. Gdy poszła siku, okazało się, że toalety śmierdzą zastarzałym moczem i red bullem. Ale miała to gdzieś. Było fajnie. Bawiła się. Bawiła się na całego, co nie?

Z przyzwyczajenia sprawdziła w lustrze, jak wygląda. Rozmazana, ale spoko. Nałożyła jeszcze trochę błyszczky, bo - jak wiadomo -



błyszczycyku nigdy za wiele. Wróciła do stolika i zastała Kevina, który czekał z jej dzinsową kurtką w ręku. Przytrzymał ją, a Marisa wsunęła ramiona w rękawy, nie pytając po co. Następnie wyprowadził ją na ulicę, która chybotąła się pod jej stopami tak mocno, że Marisa miała kłopot z utrzymaniem równowagi. A to było nawet śmieszniejsze niż kawał Kevina, który – kiedy teraz o tym myślała – wcale nie był taki śmieszny... Raczej dziwny niż śmieszny... Ale to bez znaczenia, bo Kevin był dla niej miły... Robił jej te wszystkie drinki...

- Nie zapłaciłam – wybełkotała. Słowa śmiesznie obijały się o siebie jak elektryczne samochodziki w wesołym miasteczku.

- Mówiłem ci, skarbie. Na koszt firmy. A teraz idziemy na chatę.

- Muszę znaleźć mamę.

- Spoko. – Roześmiał się. – To nie potrwa aż tak długo. Potem możesz sobie iść szukać, kogo chcesz. Umowa stoi?

Pokiwała głową.

- Stoi – powiedziała, ponieważ ufała Kevinowi.

W końcu był z Australii, jak ci z *Zatok* *serc*. I miał koszulę w kratkę. A jak się odwrócił profilem, to był nawet przystojny. Poczuli, że mocno objął ją w pasie, i przypomniał jej się boa dusiciel, o którym uczyła się na biologii. Jego zimne ciało zaciska sploty, aż biedny szczur nie może oddychać i jego serce przestaje bić.

- Jesteś wężem? – spytała, unosząc głowę i patrząc na niego.

Niósł jej plecak, do którego po drugim albo trzecim drinku schowała telefon. Dotarło do niej, że nie ma jak poinformować kogokolwiek, gdzie jest. W gruncie rzeczy i tak nie wiedziała, bo Kevin prowadził ją przez nieznaną ciemną ulicę i szli już dziesięć, a może piętnaście minut. A może kilka godzin, nie była w stanie stwierdzić. Nagle zatrzymali się pod jakimiś drzwiami. Kevin wyjął pęk kluczy. Kiedy otwierał drzwi, zauważyła kotwicę wytatuowaną po wewnętrznej stronie jego przedramienia. Znalazła się w korytarzu, a on zapalił światło i poprowadził ją schodami pod kolejne drzwi, które również otworzył. A kiedy weszli do środka, zaczął ściągać z niej ubranie i popychać ją na dywan. W końcu kolana się pod nią ugięły, a kiedy upadła, rozsunął ręką jej nogi, całym jakby była lalką. Dopiero wtedy zaczęła się bronić, chciała powiedzieć „nie”, ale było już za późno, a ona była zbyt pijana, za słaba, za młoda i naraz za bardzo przestraszona. Przygniótł ją. Był tak blisko, że

mogła przeczytać napis na metce wewnątrz kołnierzyka jego koszuli. Na nim postanowiła skupić całą uwagę, na tych dwóch słowach: „River Island”, wyszytych białą nitką na czarnym tle, kiedy Kevin wykręcał jej prawe ramię, wolną ręką rozpinając swoje dzinsy. Ucichła. Jej mięśnie ją zdradziły, poddały się. Nastąpiła sekunda absolutnej ciszy i absolutnego bezruchu.

Wtedy ją zgwałcił.

Nazajutrz rano opuściła jego mieszkanie. Nie miała komu się poskarżyć. W szkole nakłamała, żeby się urwać; ojciec też o niczym nie wiedział, a zresztą i tak nie byli ze sobą na tyle blisko, żeby mogła mu się zwierzyć. Czuła do siebie odrazę, że została na noc, ale przecież nie miała dokąd pójść. Skuliła się na samej krawędzi materaca, żeby nie dotykać Kevina, ale i tak nie miała się czego obawiać. Po wszystkim stracił zainteresowanie jej osobą. Kiedy zobaczył kropelki krwi na dywanie, burknął tylko: „Kurwa, no mogłaś mi powiedzieć”.

Nigdy się nie dowiedziała, czy chodziło mu o to, że była dziewczyną, czy może pomyślał, że ma okres.

Gdy wstała, poczuła, jak strużka nasienia spływa po wewnętrznej stronie jej uda. Poszła do łazienki i skulona usiadła na toalecie, próbując opanować brutalny, rozdzierający ból w podbrzuszu. Wiedziała, że jutro będzie miała siniaki. Och, zawsze miałam skłonność do siniaków – pomyślała, starając się zbagatelizować sprawę. Wciąż usiłowała przekonać samą siebie, że w gruncie rzeczy tego chciała.

Później, znacznie później, dowiedziała się, że ofiary napaści seksualnej mówią o „odebraniu” im czegoś. Godności, dziewictwa – jak w przypadku Marisy – czy wręcz tożsamości. Ona zawsze miała poczucie, że było dokładnie na odwrót. Coś zostało jej wmuszone siłą, wbrew jej woli. Było niczym odłamek wbity w ciało. Z biegiem lat dopiero się otorbiło, a tkanki – zdeformowały, wypaczyły, aż blizna stała się po prostu częścią ciała, z którą trzeba żyć.

Nikomui nie wyjawiała, co zaszło. Nigdy nie opowiedziała, jak tej bezsennej nocy płakała bezgłośnie, szare światło świtu sączyło się przez okno, a Kevin chrapał spokojnie, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie – ta najbardziej nienormalna i przerażająca rzecz, jaka właśnie się wydarzyła. Ani o tym, że zakrztusiła się i prawie zwymiotowała, bo wstając, tak bardzo się bała, że obudzi Kevina. Ani o tym, że kiedy

się ubierała, wydawało jej się, że jej ubrania nie należą już do niej, tylko do jakiejś obcej osoby, nieświadomej szpetoty świata do tego stopnia, że pozwoliła się zgwałcić. To moja wina, nie jego – myślała. Zaatakował ją, to prawda, ale ona na to pozwoliła. Wciąż wracała do chwili, kiedy mięśnie odmówiły jej posłuszeństwa. Zawsze przeżywała tę scenę w sennyh koszmarach: szorstki dywan pod plecami, zaciśnięte zęby, całe ciało spięte. A potem... nic. Jakby nagle ucichł wiatr. I tylko fala wstydu, który nigdy jej nie opuścił.

Nie powiedziała Jake'owi. I choć codziennie o tym myślała, to już nie w sposób, który mógłby zrozumieć tylko ktoś, kto przeżył to samo. Gwałt zmienił wszystko. Nie miała innego wyjścia, jak zaakceptować nową rzeczywistość z całym dobrodziejstwem inwentarza. Tak też zrobiła. A kiedy po dwudziestce zaczęła się umawiać z facetami, robiła to tak, jakby za każdym razem rzucała się z urwiska w głęboką wodę. Była zdeterminowana, żeby zaleczyć rany pozostawione przez Kevina w jej duszy, kolekcjonując nowe intymne doświadczenia. Z tego powodu trudno ją było zrozumieć. Wnosiła na pierwszą randkę za duży bagaż emocji; stała się skomplikowaną osobą, która nie radzi sobie z flirtem online właśnie ze względu na jego zasadniczą prostotę. Był dla niej zbyt bezpośredni, zanadto zdany na przypadek i niebezpiecznie niewinny.

Nigdy nie odnalazła matki. Ale w Jake'u znalazła kogoś, kto bez zadawania zbyt wielu pytań akceptował ją taką, jaka była. Kiedy się w nim zakochała, nie towarzyszyły temu fajerwerki i dojmujące uczucie przejażdżki kolejką górską. To nie był grom z jasnego nieba, lecz coś znacznie piękniejszego. Odnalazła wreszcie ukojenie.

## 7

Kate gotowała kolację. Uparła się, twierdząc, że „przynajmniej tak się odwzięczy”, bo Marisa była „tak wspaniałomyślna”, i „czy może po prostu pozwolić jej się zrewanżować?”. To ostatnie rzuciła, udając focha, wesołym, na wpół sarkastycznym tonem, który trochę zgrzytał. Ledwie mnie zna, wściekała się w duchu Marisa.

Jake był zachwycony, zwłaszcza gdy się okazało, że będzie makaron z sosem serowym. „Wiem, że to twoje ulubione danie” – szczebiotała Kate.

O jego szajbie na punkcie tej potrawy mogła się dowiedzieć tylko od Marisy albo Jake’a. Marisa na pewno jej tego nie mówiła, więc musiał to zrobić Jake. Ciekawe, kiedy mieli okazję porozmawiać. Marisa przecież prawie cały czas siedziała w domu. Nie podobała jej się wizja, że urządzają sobie pogaduchy za jej plecami.

Jakkolwiek śmiesznie by to zabrzmiało, traktowała przepis na makaron jako swoją własność. Wyobrażała sobie, jak mówi tamtej, że szkoda fatygi, bo to danie jest jej specjalnością, którą przyrządza, kiedy jej chłopak, z którym właśnie starają się o dziecko, potrzebuje czegoś na poprawę nastroju, więc dzięki, ale spadaj. Oczywiście nie powiedziała tego na głos, przez co musiała ścierpieć przedstawienie: Kate krzająca się po kuchni – jej kuchni – jakby była u siebie.

– No dobra, a gdzie Jake włożył paprykę? – mruzczała Kate pod nosem, podczas gdy Marisa przyglądała jej się z kanapy.

– Jest w kredensie. Na prawo od zlewu – syknęła Marisa tylko po to, by udowodnić, że wie równie dobrze jak Jake, gdzie co się znajduje.

– A, jasne! Dzięki. – Kate spojrzała na nią dziwnie. – Nie wiedziałam, że mówię na głos.

Marisa udawała, że ogląda wieczorne wiadomości w telewizji. Na ekranie polityk o czerwonej twarzy i małych oczkach opowiadał o planach wykorzystania środków z międzynarodowego funduszu rozwoju,

redaktor w niebiesko-zielonym krawacie zaś przerywał mu z rosnącym niedowierzaniem.

„Chyba nie mówi pan poważnie...?” – wykrzykiwał z emfazą, choć było oczywiste, że polityk przemawia całkiem serio i nie ma sensu rozpoczynać pytania w ten sposób, chyba że ma się zamiar celowo kogoś zantagonizować.

„Gdyby dopuścił mnie pan choć na chwilę do słowa...” – odgryzał się polityk.

Zdaniem Marisy polityka coraz częściej sprowadzała się do retorycznych dyskusji bufonów zakochanych w brzmieniu własnego głosu i dążących do zdobycia urojonych punktów dzięki ciągom słów pozbawionych związku z logiką, a już szczególnie z codzienną rzeczywistością szarego obywatela. W normalnych warunkach wyłączyłaby telewizor, ale chciała mieć pretekst do obserwowania Kate. Gapiła się więc w ekran, starając się nie słuchać bezsensownej sprzeczki. Równocześnie zerknęła co jakiś czas w stronę sublokatorki, która tłukła się przy kuchence, wyjmując stosy zupełnie niepotrzebnych patelni i garnków. Coś tam nuciła pod nosem i właśnie to nucenie było dla Marisy zupełnie nie do przyjęcia, choć z powodów, których sama nie potrafiła sprecyzować.

Kate wlała do garnka cały czajnik wrzątku i wymieszała w miseczce paprykę z czymś, co wyglądało na żółtko jajka. Po cholere jej papryka i żółtko? – zdziwiła się Marisa. Przynajmniej jej makaron będzie gorszy od mojego, kiedy wrzuci do niego cały ten syf.

Od zajęć jogi antypatia do Kate unosiła się wokół Marisy jak mgła nad falami przyływu. Teraz już nie potrafiła się pozbyć tego uczucia. Poza tym zbliżał jej się okres, więc buzujące hormony sprawiały, że stała się drażliwa i nietolerancyjna. Kate pogrzebała w kieszeni i wyjęła z niej spinkę do włosów. Zebrała je w koczek na czubku głowy i spięła, krótkie kosmyki opadły na jej zarumienione policzki. Wąskie biodra Kate i jej chłopięca figura pasowały do modnych ciuchów. Miała na sobie marynarską koszulkę w paski i dzinsy dzwony, czyli coś, w co Marisa nie mogłaby się ubrać, żeby nie wyglądać idiotycznie i grubo. Zerknęła na swoją letnią sukienkę na ramiączkach w kolorze spłowiałej ochry, przywiezioną z wakacji na greckich wyspach. Kiecka była luźna, wygodna i poplamiona farbą, bo pracowała w niej po południu. W dodatku Marisa dziś się nie umalowała, bo nie wychodziła z domu. Włosy,

którym przydałoby się mycie, zwinęła w węzeł przytrzymany pędzlem. Jej jedyną ozdobą była srebrna bransoletka z zawieszkami w kształcie podkówki i kompasów, której nigdy nie zdejmowała. To był prezent od ojca na osiemnaste urodziny. I choć w tym czasie nie mieszkali już razem, a ona niespecjalnie nawet starała się utrzymać z nim kontakt, przysłał jej w kopercie bąbelkowej tę bransoletkę, nieumiejętnie owiniętą w kolorowy papier. Do przesyłki dołączył zapisaną znajomym zamasztyśnym charakterem kartkę z informacją, że bransoletka należała kiedyś do jej mamy, a teraz chciałby, żeby nosiła ją Marisa.

Kate miała w każdej małżowinie po kilka dziurek, a w nich delikatne złote krążki, z których część skrzyła się miniaturowymi diamentkami. Razem sprawiały wrażenie dyskretnej elegancji. Na szyi nosiła trzy cienkie łańcuszki z satynowanego złota. Na trzecim, najdłuższym, wisiał spory medalion z wygrawerowaną literą „K”. Marisa zastanowiła się przelotnie, co Kate w nim nosi. Może paprykę.

- Co mówiłaś? - Kate zerknęła na nią.

Marisa zdała sobie sprawę, że parsknęła śmiechem nie tylko w duchu, lecz także na głos.

- A nie, nic. Śmieję się z tego, co gada ten facet. - Machnęła dłonią w kierunku telewizora.

- No! Niezły pojęb. - Kate beztrąsko rzuciła wulgaryzmem w powietrze, które już zaczęło się wypełniać parą z garnka i zapachem topionego sera.

I znowu: nie żeby Marisa była szczególnie pruderyjna czy sama nigdy nie przeklinała, ale mimo to... Gdyby ona była nową lokatorką w czyimś domu, nie bluzgałaby z taką swobodą. A może jest niesprawiedliwa? Może.

- Jake powinien wrócić koło wpół do ósmej - zawołała z kanapy.

- Tak. Wiem - odpowiedziała Kate, nie podnosząc głowy.

Za dwadzieścia ósma usłyszały, jak grzebie kluczem w zamku. Do tego czasu Kate zdążyła wstawić makaron do piekarnika, na stole położyła białe serwetki, ustawiła kieliszki do wina i napełniła dzbanek wodą, do której wrzuciła listki mięty z ogrodu.

- Tak smakuje lepiej. Bardziej świeżo - oznajmiła. - Nie sądzisz?

Marisa, która nie miała zbyt skryzlowanej opinii na temat wody z miętą, mruknęła coś bez przekonania.

- Jestem! - zawołał Jake z przedpokoju.

Wszedł do kuchni i skierował się prosto do Kate, jakby w ogóle nie zauważył Marisy.

- Rany! Pachnie cudownie - westchnął, zaglądając do piekarnika.

- Nie otwieraj, dopóki nie będzie gotowe. - Kate żartobliwie trzepnęła go po ręce.

- No dobra, dobra. Postaram się.

- Cześć - odezwała się Marisa. Obserwowała tę dwójkę z boku i nagle odniosła dziwaczne wrażenie, że to ona tu nie pasuje.

- O, cześć! - Jake wyszczerzył się w uśmiechu i uniósł dłoń na powitanie.

Nawet nie podszedł, żeby dać jej buziaka. Czują, że jeśli natychmiast nie wyjdzie z kuchni, to ośmieszy się płaczem. Skoczyła do schodów i popędziła na górę, prosto do swojej pracowni. Zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami. Popłynęły łzy, tak jak przewidywała. Nie tłumiła ich. Pozwoliła sobie na chwilę cikliwości, bo wiedziała, że nie ma powodów, by płakać. Naprawdę nic się nie dzieje. Po prostu czuje się ostatnio wrażliwsza, niespokojna i zmęczona. Bardzo zmęczona. W zasadzie już od kilku dni odczuwała stałe zmęczenie, z którego nie potrafiła się otrząsnąć.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Marisa? - W głosie Jake'a słychać było troskę. - Wszystko w porządku?

- Tak. Oczywiście. Daj mi chwilę.

Po drugiej stronie drzwi zapadła cisza.

- Dobrze, jak uważasz.

Posłyszała, że bierze wdech, i wyobraziła sobie wyraz jego twarzy, który tak doskonale знаła. Pełen miłości i troski, ale także zmartwienia, że coś spieprzył, nawet nie wiedząc kiedy. Pod wieloma względami wciąż był tym małym, siedmioletnim chłopcem, którego wysłano do szkoły z internatem. Potrzebował tyle samo miłości co rodzicielskiej opieki. Ja też - pomyślała Marisa. Właśnie dlatego byli dla siebie stworzeni.

- Nie przejmuj się. Wszystko w porządku. Za moment zejdem. Jak tylko... tylko... skończę odpisywać na maila - dodała słabo.

- Okej. Do zobaczenia na dole. Nie spiesz się.

Słyszała jego kroki, kiedy schodził. Osunęła się na podłogę, tak wykończona, że ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, była uprzejma pogawędka z Kate w designerskiej marynarskiej koszulce. Da sobie chwilkę na zebranie sił, a potem zejdzie na dół. Poszła do łazienki, żeby ochłapać twarz zimną wodą, i wtedy dostrzegła test ciążowy w kosmetyczce. Pomyślała o okresie, który spóźniał się już sporo, o tym, jaka jest zmęczona i jak pilnie starali się z Jakiem o dziecko. Aż się zdziwiła, że tyle czasu zajęło jej proste powiązanie faktów.

Usiadła na toalecie, a kiedy pęcherz zaczął się opróżniać, zbliżyła końcówkę testu do strumienia moczu. Po wszystkim nałożyła z powrotem różową plastikową zatyczkę i położyła test na krawędzi umywalki, gdzie miał czekać zalecaną liczbę minut. Kiedy zegarek wskazał, że czas upłynął, spojrzała na okienko. Dwie linie. Dwie proste wyraźne linie, które dowodziły niepodważalnie, że jest w ciąży.

Krzyknęła z radości tak głośno, że Jake usłyszał ją z dołu i przybiegł sprawdzić, co się dzieje. Tym razem wpuściła go do środka.



## 8

Kiedy opadły pierwsze emocje, Marisa przekonała się, że początkowe tygodnie ciąży bywają męczące. Czuła się rozbita; w jej żyłach krążyła ociężałość, która osadzała się w dole brzucha, gdzie burczała i bulgotała w najmniej odpowiednich chwilach. Przez pierwszy trymestr Marisa trwała w permanentnym oderwaniu, jakby nie do końca zamieszkiwała własne ciało. Jej preferencje żywieniowe zmieniły się z dnia na dzień. Sama myśl o zielonych warzywach przyprawiała ją o takie mdłości, że miała ochotę wymiotować. Mogła jeść humus, chleb i inne rzeczy w beżowym kolorze – i to w zasadzie tyle. Nie czuła w sobie wewnętrznego spokoju, o którym trąbią we wszystkich książkach o ciąży i czasopismach spod znaku zdrowego stylu życia. Zamiast tego przygniotło ją jarzmo administracji. Gdy tylko poinformowała o ciąży swojego lekarza rodzinnego, skrzynkę wypełniły ulotki. Broszurki drukowane czcionką Comic Sans nakłaniały ją, by zapisała się do szkoły rodzenia, albo wychwalały zalety karmienia piersią. Marisa odpowiedzialnie chodziła na wszystkie zalecane kontrole. Towarzyszył jej Jake, tak pełen entuzjazmu, że wyglądał jak wielki rozbrykany szczeniak. Wróciła też na zajęcia jogi dla ciężarnych, zgrzytając zębami za każdym razem, gdy Carys zaczynała pleść o matce ziemi, macierzyńskich energiach i bogini w każdej z nich.

W domu sporo czasu spędzała w łóżku lub na kanapie. Oglądała telewizję, zamówiła nawet usługę internetową, dzięki której miała dostęp do najświeższych reality show prosto z Ameryki. Jeden z tych programów, ukazujący pracę załogi na luksusowym jachcie, wciągnął ją z niewyjaśnionych przyczyn. Doszło do tego, że zaczynała dzień od otwarcia laptopa i sprawdzenia, kto z kim ma romans albo jakie męki cierpi szef kuchni na widok listy wymagań diety bezglutenowej kolejnego oligarchy goszczącego na statku.

– Naprawdę nie wiem, jak możesz to oglądać – rzuciła Kate któregoś ranka. Powiedziała to w żartach, ale Marisa wychwyciła w jej tonie

nutkę krytyki.

Kate oglądała wiadomości i słuchała ambitnych stacji radiowych. Na śniadanie jadła jedną grzanekę z żytniego chleba, posmarowaną cienutko pastą Marmite. Marisa nie przełknęłaby niczego prócz croissantów. Niedorzecznie martwiła się, że przytyje.

Codziennie starała się choć trochę popracować, ale jej ilustracjom brakowało energii. Wyglądało na to, że nie potrafi już operować pędzlem w sposób, który sprawiał, że dzieci ożywały na kartach jej książek. Frustrowało ją to potwornie. Niszczyła znacznie więcej, niż zachowywała, i wrzucała całe naręczka papieru do kosza na śmieci.

Jake nie potrafił zrozumieć jej apatii. Chodził do pracy jak zwykle, a kiedy wracał wieczorami, przynosił jej smakołyki. Jednego dnia była to idealnie dojrzała nektarynka, której nie chciała. Zjadł ją sam, a ona patrzyła, jak sok cieknie mu po brodzie. Była wściekła, że jest taki niedomyślny i co gorsza, czuje się wręcz uprawniony do tępoty. No obrażcie sobie! Żeby zjeść nektarynkę i nawet nie wytrzeć soku z brody? Jej szkolny kolega, Amerykanin z pochodzenia, określił kiedyś swojego otyłego wujka słowem „jełopowaty”. Ten właśnie epitet przychodził Marisie na myśl, kiedy obserwowała, jak Jake krąży ciężko po domu, zostawiając za sobą brudne kubki na stolikach i blatach. Spokojnie zakładał, że Marisa wstawi je do zmywarki. Zdała sobie sprawę, że przywykł, iż ludzie robią coś za niego. Należał do tej warstwy Anglików, która nigdy nie kłopotowała się koniecznością nauczenia się zasad – a to dlatego, że sama je ustanawiała.

Nocą, leżąc w łóżku, czuła do siebie odrazę i miała wyrzuty sumienia z powodu tych myśli. Jake jest cudowny – napominała się. Miły, dobry, można mu zaufać. Wspiera ją i tak bardzo się cieszy na myśl o dziecku. Czasami przyłapywała go, jak patrzy na nią z drugiego końca pokoju, a na jego twarzy maluje się szczęście.

- Widać ci już trochę brzuszek – powiedział któregoś ranka, kiedy pili kawę w ogrodzie.

Teraz pozwalała sobie tylko na jedną dziennie, więc sączyła ją powolutku, żeby przedłużyć rozkosz. Było późne lato; słońce goniło ostatkami blednącego światła, sprawiając, że płytki na patio błyszcząły kremowym odcieniem spranej flaneli.

Spojrzała na swój brzuch. Nie widziała różnicy i to spotęgowało jeszcze poczucie odrealnienia. Jak to możliwe, że rośnie w niej ludzka istota, skoro na zewnątrz nie widać żadnych dowodów? Zerknęła na Jake'a. Bardzo mu zależało na tym brzuszku. Nie mógł się już doczekać. Zresztą czekanie nigdy nie było jego mocną stroną. Kiedyś powiedział jej, że niecierpliwość to jedna z jego głównych i najbardziej widocznych wad. Uśmiechnęła się, odstawiła kubek na ziemię i zmieniła pozycję na ławeczce tak, by nieco wypiąć brzuch.

- Rzeczywiście - skłamała. - Chyba tak.

Jake się pochylił, muskając ustami okolice jej pępka.

- Cześć, moje maleństwo - szepnął. - Nie mogę się doczekać, kiedy cię poznam.

Spojrzała w dół, na jego głowę, i powiodła palcami po króciutkim meszku w miejscu, gdzie włosy schodziły się w schludny trójkąt u szczytu karku. Czuła bijący od nich świeży mydlany zapach. Znowu wezbrała w niej miłość.

- Kocham cię - powiedział Jake do jej brzucha.

- Ja też cię kocham - szepnęła.

I znowu wszystko było w porządku, a kiedy Jake wyszedł do biura, Marisa doznała nagłego przypływu motywacji i do lunchu skończyła historię bliźniaczych księżniczek. Na pięć bitych godzin w ogóle zapomniała, że jest w ciąży. Podświadomie martwiła się, że wszystko się zmieni, kiedy pojawi się dziecko, a Jake'owi nie starczy sił, żeby kochać ją równie mocno, jak teraz. Zdała sobie sprawę, że dając mu to, czego najbardziej pragnął, może sama przestanie być potrzebna.

- Nie bądź głupia - rzuciła w pustkę pokoju i pewność własnego głosu podniosła ją na duchu.

Usłyszała trzaśnięcie drzwi na dole. A potem głos Kate. Nie sposób było się pomylić.

- Hej, hej!

Marisa wyszła na korytarz, wciąż trzymając pędzel w ręku.

- Kate? - odezwała się. - A co ty robisz w domu?

Na parterze sylwetka Kate odcinała się od płytek posadzki. Ze swojego miejsca na piętrze Marisa widziała ją w skróconej perspektywie. Głowa wydawała się ciut za duża w porównaniu z resztą ciała. Kate miała na sobie kombinezon w grochy. Rękawy podwinęła, ukazując

szczupłe nadgarstki. Skórzany pasek z wielką złoconą klamrą opinał szczupłą talię. Marisa nie nosiła pasków – źle się w nich czuła i wyglądała niezgrabnie, jakby na siłę starała się udawać kogoś, kim nie była. Nie włożyłaby też nigdy ubrań w grochy. Wiedziała, jak wzorki podkreślają jej krągłości, robiąc z niej grubą, ciastowatą pokrakę, gdy chciała wyglądać lekko i dziewczęco – niczym przeniesiona wprost z pikniku pośród kwiatów na łące. Co innego Kate. Ona wyglądałaby na pikniku bez zarzutu. Oczywiście byłby to snobistyczny piknik gdzieś we wschodnim Londynie, taki z solonymi migdałami i kraftowym piwem.

– Miałam spotkanie. – Kate zmierzwiła włosy, tak że jej grzywka ułożyła się skośnie, przecinając lewą brew. – I wpadłam się przebrać. Te buty – wskazała lśniące czarne pantofle – nie nadają się do szybkiego chodzenia. Szczerze mówiąc, w ogóle nie nadają się do chodzenia.

Miała na nogach szpilki z paseczkami i spiczastym noskiem. Zwykle nie nosiła takich butów i Marisę znów uderzyło, jak szykownie w nich wygląda.

– Super – odparła, w tej samej chwili żałując doboru słowa. – Właśnie pracuję, więc...

– Kawa? – Kate patrzyła na nią z proszącym wyrazem twarzy.

– No cóż... – Najgorszą rzeczą w pracy w domu jest to, że nigdy nie ma odpowiedniej wymówki, aby się wykręcić. – Już piłam, więc...

– To herbatka. Ziółowa.

Na chwilę zapadła cisza.

– Chętnie bym pogadała – powiedziała Kate. – Ale jeśli jesteś zajęta, to zrozumiem. Przepraszam.

Nerwowymi ruchami zaczęła rozpinąć buty, opierając się jedną ręką o ścianę dla zachowania równowagi. Marisa nie potrafiła stwierdzić, czy to ona tak zdenerwowała lokatorkę.

– Nie no, jasne. Pasuje. To znaczy herbata. Tylko to odłożę. – Pokazała pędzel, z którego na jej dłoń sączyła się strużka zielonkawej wody.

Kate wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– Świetnie! Nastawię czajnik.

W pracowni Marisa wsadziła pędzel do słoika z wodą, a potem zdjęła fartuch i powiesiła go na drzwiach. Lepiej już mieć tę głupią herbatkę za sobą. Poudaje psiapsiółkę, pouśmiecha się i pokiwa głową w nadziei, że Kate tym prędzej sobie pójdzie.

Kate siedziała na wysokim stołku przy kuchennej wyspie. Zrobiła sobie kawę z ekspresu i zajęła większość blatu niedzielnym dodatkiem do gazety. Jej płaszcz przeciwdeszczowy wisiał na oparciu kanapy. Rozpoczęte rękawy nadawały mu podobieństwo do sylwetki wyrysowanej kredą na miejscu zbrodni. Nuciała coś pod nosem, przerzucając strony.

Jasne, czuj się jak u siebie w domu – pomyślała Marisa. Jej irytacja przybrała na sile, odkąd dowiedziała się, że jest w ciąży, i z lada powodu osiągała poziom grożący eksplozją. Wczoraj na przykład wściekła się na przechodnia, który zbyt długo przechodził przez jezdnię, podczas gdy światło nie chciało się zmienić na czerwone.

- Jesteś! - Kate usiadła prosto i odsunęła na bok magazyn. - Nie wiedziałam, jaką będziesz chciała.

- Rumianek będzie w porządku. Zaraz sobie zaleję.

- Nie, nie. Ja to zrobię.

Zanim Marisa zdążyła ją powstrzymać, zaprotestować, że to przecież jej dom i doskonale sobie poradzi z zaparzeniem herbaty, Kate już zakrzętnęła się w kuchni. Wyjęła torebkę rumianku z pojemnika, kubek z kredensu i stanęła, czekając, aż bulgoczący czajnik kliknie. Marisa wdrapała się na stołek. Nogi miała jak z waty. Obserwowała, jak Kate nalewa wody do kubka. Podziwiała oszczędność każdego działania, lekkość ruchów. Kiedyś zauważyła u niej wgłębienie poniżej ramienia, u szczytu bicepsu. Teraz nie było go widać, bo Kate miała długie rękawy. Ale Marisa wiedziała, że ono tam jest - wyćwiczona zwartość mięśni i wynikająca z niej pewność siebie. Gdy Kate klaskała w dłonie, po spodniej stronie jej ramion nie dyndały luźne fałdy. Jej ciało nie miało ani grama zbędnej tkanki. Wyglądała, jakby ulepiono ją całą z jasnobrązowej gliny.

- Proszę bardzo. - Kate podała Marisie kubek i spodek z łyżeczką, na który miała zapewne odłożyć wyjętą torebkę.

Na to Marisa by nie wpadła. Celowo zostawiła torebkę w kubku, aż napar stał się ciemnożółty.

- Chcesz miodu?

- Nie, dzięki.

- No więc... - Kate pochyliła się do przodu i spojrzała jej prosto w oczy. - Jak się czujesz?

- Dobrze. - Marisa upiła łyk, parząc sobie język.

- Chodzi mi o ciążę i w ogóle. Jak sobie radzisz? Chcę wiedzieć absolutnie wszystko.

Marisa się roześmiała.

- Naprawdę?

Ale na twarzy Kate malowało się szczere zainteresowanie. To dziwne - pomyślała Marisa - jak bardzo zaangażowała się w naszą ciążę. Musieli jej powiedzieć w dniu, kiedy się dowiedzieli, bo czekała na dole z tą swoją specjalną kolacją, a do tego słyszała okrzyki i chciała wiedzieć, o co chodzi. Wydawała się poruszona prawie tak samo jak Jake. W pewnym momencie oczy jej się zaszkliły i Marisa była przekonana, że Kate się rozpłacze.

Dzisiaj w kuchni nad stygnącymi kubkami również dało się wyczuć podobne emocje.

- Jakie to uczucie? - spytała Kate. - Być w ciąży...

Marisie zrobiło się jej żal. Irytacja nagle gdzieś znikła. Jakie to musi być przygnębiające - obserwować młodszą kobietę, która spodziewa się dziecka, a do tego jest zakochana, podczas gdy twoje życie wydaje się kręcić wyłącznie wokół pracy.

- Cudowne - skłamała. - Zawsze tego pragnęłam. Wydaje mi się, że to określa i mnie, i moje miejsce w świecie jako kobiety.

Kate zamrugała.

- Co nie znaczy, że nie można być prawdziwą kobietą, nie zachodząc w ciążę - dodała pośpiesznie Marisa. - Nie to miałam na myśli.

- Wiem. - Kate się uśmiechnęła, ale uśmiech nie dotarł do oczu.

- Tylko że... to dziwaczne doznanie, kiedy w twoim ciele rośnie coś, nad czym nie masz do końca kontroli. Czuję się trochę... czy ja wiem? Zbita z tropu?

- Jak gdybyś była oderwana od samej siebie? - Kate zalała wodą dzbanek i wstawiła go do zlewu.

- Właśnie - odparła Marisa.

Zaskoczyła ją przenikliwość lokatorki. Jake w ogóle nie był w stanie tego pojąć.

- To musi być trochę przerażające. Ty, a równocześnie... jakby nie ty... Przepraszam, nie potrafię tego lepiej ująć w słowa.

- Nie zrozum mnie źle, jestem szczęśliwa - przerwała jej Marisa. - Cieszę się, wiedząc, że daję nowe życie, i widząc szczęście Jake'a.

- Ja też jestem szczęśliwa. - Kate przysunęła się bliżej i ścisnęła jej dłoń. - To takie wspaniałe.

No właśnie - pomyślała Marisa. Dlatego jest taka cholernie męcząca. Nie ma hamulców, nie uznaje granic. Bez przerwy usiłuje się wpięprzać w nie swoje sprawy. Domaga się bliskości, na którą trzeba sobie przecież zasłużyć. Wieje od niej desperacją.

Marisa nie miała ochoty się z nią zaprzyjaźniać. Zabrała rękę.

- Dzięki za herbatę - powiedziała. - Muszę już iść.

- Jasne. Ja też muszę wracać do pracy. Posprzątam tu na dole, a ty leć na górę.

Pozbierała kubki i wstawiła je do zmywarki. Może Marisie się zdawało, ale mogłaby przysiąc, że dostrzegła w oczach Kate łzy, z których ta nie zdawała sobie nawet sprawy. Tym też nie mogę się przejmować - pomyślała, idąc do pracowni. Emocje Kate to jej problem.

Usiadła przy biurku, chwyciła pędzel i nakazała umysłowi się uspokoić. Wzięła głęboki wdech i wypuściła powietrze, licząc do czterech. Ale przez resztę popołudnia jakiś niejasny niepokój czaił się w kącie niczym kot, a ona nie potrafiła go zignorować, choć bardzo się starała.

## 9

Później, kiedy Jake wrócił z pracy, postanowiła z nim o tym pomówić.

- Pojawiła się nagle w domu, w środku dnia, kiedy pracowałam u siebie - relacjonowała.

Jake tymczasem rozpakowywał torbę. Była to pojemna aktówka z impregnowanej tkaniny, która mieściła laptopa, ładowarki, a czasem również wilgotne, przepoczone ubrania z siłowni, upchnięte w osobnej przegródce.

- Aha... to miłe.

Był rozkojarzony, nie skupiał się na jej słowach i zmuszał ją, żeby mówiła do jego pleców, kiedy kręcił się po pokoju. W końcu zdjął marynarkę, poluzował krawat i opadł na sofę. Niemal natychmiast zaczął przeglądać coś w telefonie.

- Raczej dość niespodziewane - podjęła. - Całkiem straciłam natchnienie i nie mogłam już się skupić.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Przykro mi - powiedział. Wciąż trzymał telefon w dłoni, ale teraz ekran urządzenia był ciemny. - Nie powinno tak być - dodał. - To twój dom i masz prawo pracować w spokoju. Pogadam z nią.

- Nie, daj spokój. - Marisa nie miała ochoty uświadamiać Kate, że o niej rozmawiają. - Pewnie robię z igły widły. To prawdopodobnie sprawka hormonów i w ogóle... Może tracę trzeźwy osąd.

- Może. A w ogóle jak się czujesz?

- Doskonale. Wszystko tam w porządku. - Zerknęła na swój brzuch, który wciąż nie wypychał paska spodni od dresu.

- Cieszę się - rzucił i znów zaczął się bawić telefonem.

Czuła, że traci jego uwagę. Pisał, błyskawicznie stukając palcami po wyświetlaczu.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Yhm - mruknął, nie unosząc głowy.



- Czy tylko ja uważam, że Kate jest trochę... - Zastanowiła się nad doborem słowa. Musiało być precyzyjne, ale nie nazbyt krytyczne. Jake nie cierpiał, kiedy była wredna, i dlatego powinna wyrażać się delikatnie. - ...nachalna?

Jake odłożył telefon na poduszkę i skrzyżował ramiona na piersi. Mała zmarszczka pojawiła się na jego czole, tuż powyżej nasady nosa. Chwilę milczał, zanim się odezwał:

- Czemu tak uważasz?

Jego głos był lodowaty i Marisa już wiedziała, że przesadziła. Kiedyś zapytała go, czego najbardziej nienawidzi w swojej pracy. Odpowiedział bez namysłu: biurowych plotek. Zapamiętała tę lekcję i obiecała sobie, że nigdy nie powie czegoś, co mogłoby zostać tak odebrane.

- Z powodu tego, co mówiła. - Starła się, by jej głos brzmiał spokojnie i obiektywnie. - Czułam się trochę tak, jakby chciała mi wejść do głowy. Zadawała mnóstwo pytań. Jak to jest być w ciąży i w ogóle. To było...

- Tak? - podchwycił ostro.

- Pewnie źle to odczytałam - stwierdziła, wycofując się.

- Pewnie tak - powiedział. - Jak mówiłaś, hormony robią dziwne rzeczy.

Niezupełnie tak mówiłam - pomyślała, ale pokiwała tylko w milczeniu głową. Usta Jake'a były zaciśnięte w martwą, płaską linię.

- Jeśli tylko dasz jej szansę, przekonasz się, że jest wspaniałą osobą. Po prostu martwi się o ciebie, i tyle. Oboje się martwimy.

Uderzyło ją to wypowiedziane od niechcienia „oboje”.

- Co znaczy „oboje”? - Uczuła, że gniew zaczyna jej buzować w okolicy splotu słonecznego.

- Nie umknęło naszej uwadze... - Kiedy Jake był zdenerwowany lub zły, jego język stawał się bardziej oficjalny. - ...że zachowujesz się nieco... - Zamilkł, spojrzał na nią i zmiękł. Podszedł i poklepał ją po ramieniu.

- Irracjonalnie? - podsunęła.

- Nie irracjonalnie. Tak bym tego nie określił.

- Właśnie to zrobiłeś.

Roześmiał się i zrobił krok do tyłu.

- Nieprawda. Powiedziałem: „nie irracjonalnie” - powtórzył, kładąc nacisk na przeczenie. - Ale może trochę... nieprzewidywalnie. A my się martwimy, to wszystko. O ciebie i o dziecko.

Marisa zeszywniała.

- Dziękuję, ale nic mi nie jest.

- Wczoraj - ciągnął, jakby jej nie słyszał - zszedłem na dół, a na kuchence właśnie kipiało mleko w rondlu.

- Co takiego?

- Mleko. W rondlu.

- Nie, to słyszałam. Tylko że ja nie piję mleka, więc po co miałabym je gotować?

Była to prawda. Do musli używała mleka migdałowego, ponieważ wolała jego smak. To Kate kupowała półtłuste w supermarkecie.

- W porządku, ale ani ja, ani Kate go nie nastawialiśmy, więc...

- Więc to musiałam być ja? - Jej głos zaczął się łamać.

- Nie chcę cię denerwować. - Wyciągnął do niej rękę z rozstawionymi palcami, jakby chciał uspokoić spłoszone zwierzę. - Ale to nie był jedyny przypadek, prawda? - Popatrzył na nią. - Pamiętasz tę awanturę z muzyką?

W poprzedni weekend Marisa usiłowała pracować. Nie mogła się skoncentrować, bo z dołu dobiegała głośnie muzyka. Zamknęła drzwi i okno, a w końcu wetknęła sobie do uszu prowizoryczne zatyczki ze zwiniętych kawałków gazety. Muzyka wciąż jednak była ogłuszająca. Wyjące gitary i dudniący rytm sprawiały, że podłoga wibrowała pod jej stopami. Kiedy nie mogła już dłużej wytrzymać, zeszła na dół. Znalazła Kate i Jake'a w salonie. Zasapany Jake opierał się o kominek i śmiał z czegoś, co właśnie powiedziała Kate. Byli zbyt blisko siebie. Tak blisko, że ich głowy niemal się stykały.

- Pamiętasz ten kawałek?! - Kate starała się przekrzyczeć muzykę. - Klasyka!

- No. - Jake kiwał głową w rytm muzyki. - Uwielbiam go.

Marisa była zaskoczona. Jake przecież prawie nigdy nie słuchał muzyki. Wolał podcasty, ewentualnie relacje sportowe w kanale 5 Live radia BBC. Odniosła wrażenie, że stara się przypodobać tamtej, co naprawdę było żałosne. Ale większą złość wzbudziła w niej ta kobieta.

Kate podskakiwała, wymachując rękami, jak na jakimś cholernym koncercie.

- Przepraszam - powiedziała Marisa, zwracając się do Jake'a.

Nie usłyszał jej.

- HALO! - krzyknęła.

Kate w jednej chwili przestała podrygiwać. Miała na sobie obcisłe dżinsy, baleriny w panterkę, a do tego koszulkę z napisem „Ciao Amour” z przodu.

- O, cześć! - sapnęła, zarumieniona.

Jake uśmiechnął się do stojącej w drzwiach Marisy, jakby nic się nie stało.

- Możecie przyciszyć? Usiłuję pracować!

Dwie pary oczu patrzyły na nią, nie rozumiejąc.

- Muzykę? - spytała w końcu Kate.

- Owszem. - Marisa spojrzała na Jake'a znacząco, próbując mu przekazać, że jest wściekła.

- Nie jest aż tak głośno - oświadczyła Kate.

Marisa aż wciągnęła powietrze. A to źmija, jak ona śmie!

- Jest. Na tyle głośno, że musiałam zatykać uszy.

- Nooo dooobraaa - mruknął Jake, niepotrzebnie przeciągając samogłoski. - Przepraszamy.

Podszedł do regału i wyłączył odtwarzacz. Kate nie ruszyła się ze swego miejsca na środku pokoju. Patrzyła na Marisę zaskoczona, niemal przestraszona. Jak gdyby to Marisa zachowywała się dziwnie.

- Dziękuję.

Wyszła i zamknąwszy za sobą drzwi, odczekała chwilę. Nic. Ale kiedy dotarła do schodów, usłyszała tłumiony chichot Kate oraz głos Jake'a, który próbował ją uciszyć. Znowu popłynęła muzyka, tym razem dyskretniej.

- Pamiętasz, jak kazałaś nam wyłączyć muzykę? - powtórzył Jake.

- Oczywiście.

Uniósł brwi i przybrał taki wyraz twarzy, jakby chciał - naprawdę usilnie się starał - zrozumieć zachcianki kobiety w ciąży. Jego oczy były tak jasne i niebieskie, że wydawały się wręcz nierealne.

- To było... przesadzone, nie uważasz?

Miała ochotę powiedzieć mu, żeby się walił. Zamiast tego odwróciła się, tłumiąc w milczeniu furie.

- Przepraszam - bąknął. - Może to było nie na miejscu.

- Owszem - odparła sztywna z gniewu. - Było.

Jake westchnął. I to właśnie ten odgłos wypuszczanego powietrza, który miał dać do zrozumienia, jak nieskończenie musi być cierpliwy, przelał czarę goryczy.

- Dlaczego ciągle bierzesz jej stronę?! To niesprawiedliwe! Ja naprawdę nie gotowałam mleka, a muzyka była głośna jak cholera!

- Nie była.

- Była!

Słyszała zaczątki hysterii w swoim głosie, a mimo to nie umiała się powstrzymać. Poczula ucisk w gardle i na jeden okropny moment przerażała się, że zrzyga się tu, na środku kuchni, prosto na nieskazitelne płytki firmy Porcelanosa w odcieniu „beż Malaga”.

- Zmówiliście się przeciwko mnie.

- Wcale nie.

Jake był nieznośnie spokojny, co tylko jeszcze bardziej ją rozjuszyło. Wyciągnął rękę i musnął palcami jej rękaw.

- Przepraszam - powiedział. - Za nic nie chcę, żebyś tak myślała. Postaramy się postępować bardziej taktownie.

- Przestań mówić „my”. Nie jesteście moimi rodzicami.

Roześmiał się.

- Z całą pewnością nie.

Jego oczy znów były miłe i dobre, w kącikach pojawiły się drobne zmarszczki.

- Dopóki tylko wszystko jest w porządku i masz to, czego potrzebujesz... - zaczął. - Trudno mi zrozumieć, wczuć się, jak to jest być w ciąży. W tych sprawach jestem tylko beznadziejnym facetem.

Tym razem to ona się zaśmiała.

- Nieprawda. Jesteś wspaniałym facetem.

- Tego nie jestem pewien.

Światło w kuchni zaczęło się zmieniać. Nad końcem ogrodu górował sąsiadujący z ich posesją blok komunalny. Za ogrodzeniem sterczała wysoka ciemna wieża, która mieściła wspólną klatkę schodową łączącą mieszkania. Jedyne okna w elewacji, małe plastikowe szczeliny, uchy-

łały się tylko na kilkanaście centymetrów – ukośnie, pod kątem, więc wieżowiec w niepokojący sposób przypominał bastion. Czasami Marisa wyobrażała sobie uzbrojonych mężczyzn, którzy wystawiają przez te oszklone strzelnice lufy i obserwują jej dom przez celowniki.

Zadrżała.

- Zimno ci? - zapytał Jake.

Pokręciła głową.

- Przytul mnie - poprosiła.

Jake wytrzeszczył oczy. Policzki oblał mu rumieniec. A więc wciąż potrafię go zawstydzić - pomyślała. Wciąż mam tę władzę. Jake jest taki angielski, uczciwy i prawy, i taki cholernie powściągliwy. Przecież nie prosi go, żeby zerwał z siebie ubranie i wziął ją na kuchennym stole, prawda?

Mijały kolejne sekundy. Jake zrobił przedstawienie, niby to zastanawiając się nad jej prośbą. To był taki ich żarcik. I jak każdy żarcik żywej ze sobą pary już nigdy nie śmieszył tak jak za pierwszym razem.

- Jasne - rzekł w końcu.

Wtuliła się w jego pierś, wdychając zapach, a on objął ją ramionami i przyciągnął do siebie. Zamknęła oczy, pławiąc się w poczuciu bezpieczeństwa. Pasowali do siebie idealnie. Jego broda swobodnie opierała się na czubku jej głowy, jakby zostali skrojeni na wymiar.

- Wszystko będzie dobrze - mruknął.

Postanowiła mu uwierzyć i objęła go w pasie, kładąc dłonie w wygięciu jego pleców, tuż nad biodrami. Przytuliła się mocniej i wtedy usłyszała chrząknięcie.

Jake odskoczył. Kosmyk włosów Marisy zapętlił się wokół guzika jego koszuli. Pisnęła, kiedy szarpnął. Chwilę zajęło jej, nim zorientowała się, co się dzieje.

- Przepraszam - dobiegł ją głos z tyłu.

Kate, jakżeby inaczej. Zawsze ona.

- Marisa tylko... - wyjąkał Jake. - Była zdenerwowana, więc... - Przechesał włosy palcami. - Przytuliłem ją. - Przełknął głośno ślinę, a grdyka w widoczny sposób poruszyła się na jego szyi.

- Widzę - odparła Kate.

Marisa zachichotała. Nie mogła się powstrzymać. Jake był tak absurdalnie speszony.

- Kiepsko sobie radzi z publicznym okazywaniem uczuć, nie sądzisz? - Skierowała to pytanie do Kate, wspaniałomyślnie postanawiając włączyć ją do rozmowy. Po chwili dodała: - Planowałam coś wietnamskiego na kolację. Zamówię na trzy osoby, masz ochotę?

- Jasne - rzuciła Kate bez śladu entuzjazmu.

- Super. Pójdę skończyć na górze, a potem zadzwonię.

Gdy wychodziła, mrugnęła do Jake'a. Odwrócił wzrok, kryjąc uśmiech. Czuła się jak niegrzeczna uczennica, przyłapana na gorącym uczynku przez surowego nauczyciela. Zastanawiała się, jak długo Kate tam stała, zanim zdecydowała się chrząknąć.

Badanie USG w dwunastym tygodniu. Do szpitala pojechali Uberem, a kiedy lekarz przyłożył głowicę do jej brzucha, na monitorze pojawił się czarno-biały pikselowany obraz. Kontury rozmywały się w zanikającym półkolu, którego widok przyprawiał Marisę o zawroty głowy. W środku krzywizny tkwił rozmyty kształt, który utknął w ciemności niczym nieznana konstelacja w czerni kosmosu. Na ekranie białe kropki pulsowały i migotały, a plama kurczyła się niczym ameba.

- Widać, jak bije serduszko.

Jake patrzył niczym zahipnotyzowany, oczy mu zwilgotniały. Marisa nie czuła nic. Była zaskoczona i trochę przerażona tym brakiem uczuć. Pragnęła doświadczać tych samych emocji co Jake. Ale ziarnisty obraz na szpitalnym monitorze tak dalece nie przypominał żywego, oddychającego i kwilącego dziecka, tak mało oddawał to, co mogło się dzieć w jej łonie, że nie potrafiła pokonać tej bariery. Wiedziała, że jest w ciąży, ale jakoś tego nie czuła. Miała niepokojące wrażenie, że otacza ją osłonka z folii bąbelkowej. Gdziekolwiek się ruszyła, między nią a otaczającym światem stała niewidzialna ściana.

Powiedziano im, że trzeba się cieszyć, bo jest z czego.

- Okej, okej - powtarzał Jake, jakby wciąż był w szoku. - Dobra robota - dodał, patrząc na nią z czułością.

Dotknęło ją, że traktuje ją protekcjonalnie, ale zagryzła zęby i zmusiła się do uśmiechu. Jake chyba niczego nie zauważył. Widziała, że idea ojcostwa rozrosła się i wypełniła wszystkie wolne przestrzenie w jego głowie. Dla niej nie zostało miejsca. Była tylko naczyniem. Ziścił się najgorszy koszmar: kiedy urodzi już dziecko, stanie się zbędna.

Udawaj, że wszystko jest w porządku, a tak będzie – powiedziała sobie. Bardzo chciała porozmawiać o wszystkim z Jas, ale od jakiegoś czasu nie odzywały się do siebie i dzielący je dystans wydawał się nie do pokonania. Marisa tak zaciekle upierała się przy tym, iż podjęła słuszną decyzję, że przyznanie się teraz do utraty tej pewności – choćby w najmniejszym stopniu – byłoby dla niej upokorzeniem.

Kiedy wrócili do domu, poinformowała Jake'a, że jest zmęczona, i wsunęła się pod kołdrę, nie zdejmując ubrania. Spytał, czy czegoś potrzebuje. Zaprzeczyła ruchem głowy. Gdy tak leżała w sypialni, słyszała, jak Jake kręci się na dole, podśpiewując wesoło, a deski podłogi skrzypią pod jego ciężarem. Dźwięki świadczące o jego obecności działały na nią uspokajająco. Zmęczenie otuliło ją uczuciem, że osuwa się w głąb ciemnego chłodnego jeziora. Zasnęła.

Śniła o tym, że musi zdążyć na samolot. Wiedziała, że nie jest spakowana, ale nie miała czasu, żeby upchnąć wszystkie rzeczy do walizek, zanim samolot wystartuje. Spóźniała się na jeden lot po drugim, za każdym razem odczuwając ulgę, że wiszący nad głową termin minął. Ale wtedy uzmysławiała sobie, że wciąż musi zdążyć na kolejny lot. Czas mijał, a jej rzeczy zdawały się mnożyć; nie była w stanie spakować wszystkich i musiała wybierać.

Kiedy prawie udało jej się z tym uporać, zobaczyła we śnie parę małych różowych szydełkowych bucików pod rogiem ciężkiego dywanu. Wyjęła je stamtąd i uniosła do światła. Zrozumiała, że należą do Anny, więc je upuściła i zaczęła zamykać walizkę. Zdecydowanie za dużo do niej napakowała, zamek trzeszczał i się rozchodził, w końcu dociągnęła go na siłę. Dokładnie w momencie, gdy znalazła się na pokładzie i zapięła pasy, uderzyła ją myśl, że być może to nie były buciki siostry, lecz jej własnego dziecka, które w ferworze pakowania zapomniała zabrać ze sobą.

Obudziła się z jękiem, wciągając mocno powietrze do płuc. Była zlana potem, koszulka kleiła się do pleców.

- To tylko sen, tylko sen – powtórzyła.

Odsunęła włosy z czoła i przycisnęła palce pod oczami, żeby zetrzeć tusz do rzęs, który pewnie się rozmazał. Na zewnątrz było już ciemno. Nie zaciągnęła zasłon, uliczna latarnia rzucała jasne prostokąty światła na kołdrę. Marisa zadrzała.

Wyjęła z szafy rozpinany sweter: gruby, miękki, rozciągnięty, z wielkimi kieszeniami. Otuliła się nim i związała szczelnie w pasie. Drzemka nie przyniosła pożądanego efektu – czuła się teraz bardziej zmęczona, niż kiedy się kładła. Miała wyschnięte gardło i czuła skurcze w żołądku. Położyła się na chwilę płasko na plecach i skurcze minęły. Brakowało jej sił, ale nie miała apetytu. Musi jeść, inaczej Jake będzie się martwił.

- Potrzebujesz dodatkowej energii, skoro budujesz nowego człowieka – zaczął ostatnio mawiać. – Musimy cię odkarmić.

Nie potrafiła znieść myśli, że Jake sterczy nad nią podczas kolacji i ma tę zmartwioną minę, kiedy ona bawi się jarzynami na talerzu. Wciąż leżąc na łóżku, zrobiła szybki przegląd potraw, które nie przyprawiły jej o mdłości. Z góry odpadały wszystkie warzywa, nawet pomidory. Na widok awokado chciało jej się rzygać.

Płatki? Nie, mleko nie wchodzi w grę.

Tosty? Za suche. A miód ją odrzuca.

W końcu zdecydowała się na pieczonego ziemniaka. Bez niczego. Może położy na nim odrobinę humusu, bo na pewno nie masła. Ani sera. Może trochę soli, jeśli się odważy.

Napędzona tą myślą, przeturlała się do krawędzi łóżka i dźwignęła na nogi. Tak, ziemniak – pomyślała. Nabierze nieco sił i wróci do siebie. Miała na sobie spłowiałą szarą koszulkę i te same legginsy, w których pojechała do szpitala. Legginsy były stare, wygodne, czarna lycra wygniotła się na kolanach. Nie myła się dzisiaj, wywęszyła spod pachy nieświeży metaliczny zapach. To nic, oprócz niej nikt go nie poczuje. Twarz miała zwiotczałą po drzemce, ale nawet nie chciało jej się przejrzeć w lustrze, nim zejdzie na dół. To do niej niepodobne, tak niefrasobliwe podejście do własnego wyglądu. Na początku znajomości z Jakiem ustawiała alarm na wibrację i wkładała telefon pod poduszkę, żeby wstać pół godziny wcześniej i przynajmniej umyć zęby oraz nałożyć podkład, zanim on się obudzi. W ten sposób miała pewność, że po przebudzeniu zobaczy jej piękniejszą wersję.

Ostatnio zaczęły ją nachodzić dziwne myśli. Co by się stało, gdyby ręka jej drgnęła w czasie podkręcania rzęs zalotką? Nękały ją wizje metalowych zacisków, które pozbawią ją rzęs. Z tego samego powodu nie była w stanie obciąć sobie paznokci. A co, jeśli zrani się nożyczkami? Albo zacznie nimi ryc podeszwy stóp, a krew będzie tryskać na płytki



w łazience? Obrazy były tak żywe i realistyczne, że omal nie zemdłała. Musiała usiąść i potrzymać przez chwilę głowę między kolanami.

Od dawna nie miewała takich wizji. Ostatnim razem... Nie, nie chciała o tym myśleć. Nie chciała myśleć o biegnącej w dół spirali, o uczuciu wciągania w głąb, jakby grzęzła w ruchomych piaskach. Wszystko jest w porządku. Ma Jake'a. Jest szczęśliwa. Mieszkają w ładnym domu. I będą mieli dziecko.

Takie były solidne fakty. Haki rzeczywistości, na które mogła odwieść swoje lęki. Dobrze, uczciwe fakty. Tylko one się liczyły.

Sądziła, że Jake wciąż jest w salonie, gdzie go zostawiła. Ale kiedy zajrzała do środka, nie było go tam. Dostrzegła tylko wgłębienie w fotelu i zaczęta książkę na stoliku. Leżała otwarta, grzbietem do góry, bo nigdy nie używał zakładek. Zerknęła na tytuł: *Rebeka* Daphne du Maurier. Raczej nie w stylu Jake'a, który czytał wyłącznie dzieła ekonomiczne i czasopisma. Uznawał literaturę faktu, nie beletrystykę. To pewnie książka Kate.

Skoro Jake'a tu nie było i nie było go również na górze, musiał być w kuchni. Marisa skierowała się ku schodom wiodącym do sutereny. Jej umysł wciąż był otępiały od snu, nadal krążyły w nim senne powidoki. Nie przejęła się więc szmerem, który dobiegł od sofy, kiedy weszła. Przelotnie pomyślała o sroce: może przez przypadek ptak znów się dostał do środka.

- Pomyślałam, że zjem pieczonego ziemniaka - oznajmiła, zwracając się w kierunku wyspy.

Spodziewała się zastać przy niej Jake'a, który przygotowuje kolację i może nawet nalał już do szklanki soku jabłkowego dla Marisy. Pewnie na nią czekał. Chciał omówić wrażenia z wizyty u ginekologa, podzielić się z nią swoim podnieceniem. Porozmawiać o tym, na jaki kolor pomalują pokój dziecięcy... jak dadzą dziecku na imię... i kiedy powiedzą jego matce, bo minęło już dwanaście tygodni. Marisa przygotowywała się na to mentalnie, próbując przezwyciężyć zmęczenie i mdłości. Zaabsorbowany umysł działał z dużym opóźnieniem, ale w końcu dotarło do niej, że Jake'a nie ma tam, gdzie się go spodziewała. Szelest z sofy nie był trzepotem zbłąkanego ptaka, ale odgłosem, jaki słychać, gdy dwoje obściskujących się ludzi odskakuje od siebie. Kątem oka dostrzegła dwa

splecione cienie, które nagle skuliły się i odepchnęły. Przyszło jej na myśl USG: biało-czarna plama kurczy się i rozpręża na zmianę.

- Szlag - usłyszała szept Kate, która odsunęła się w najdalszy koniec sofy, zwiększając odległość od Jake'a; siedział tak blisko niej, że ich uda musiały się stykać.

- Świetnie. - Jake wstał, przyglądając włosy jednym płynnym ruchem. - To znaczy świetny pomysł z tym ziemniakiem. - Uczynił wysiłek, żeby się uśmiechnąć.

Marisa poczuła rosnący ucisk w piersi. W uszach jej szumiało. Czuła się jak postać z kreskówki, którą oglądała w dzieciństwie - kojot, który pędził tak szybko, że jego nogi poruszały się jeszcze przez chwilę poza krawędzią gruntu. A potem doganiała go rzeczywistość i spadał w przepaść.

Serce Marisy tłukło się jak oszalałe. Czuła delikatne trzepotanie w gardle. Jakby ziejąca pustka otwierała się w jej przełyku.

Jake się rumienił. Naprawdę się, psiakrew, rumienił. Koszulę miał wyciągniętą ze spodni, cztery guziki odpięte. Rozbieganym wzrokiem krążył wokół Marisy, niezdolny spojrzeć jej w oczy.

Kate siedziała w półmroku, skrzyżowane nogi podciągnęła na sofę. Też wyglądała na wytrąconą z równowagi, ale gapiła się wprost na Marisę, a to mogło oznaczać tylko jedno - wyzwanie. Światło było za słabe, żeby Marisa mogła się jej dokładnie przyjrzeć. Widziała jedynie błysk pociemniałych oczu i pełne różowe wargi o zatartych konturach, jakby coś je przed chwilą rozgniało. Jakby ktoś je całował.

Marisa zastygła nieruchomo przy kuchence. Może wciąż śni, tym razem koszmar. Albo ma jedną z tych gwałtownych, przerażających wizji, które nękały ją ostatnio. Cokolwiek to jest, prawda - jeśli to prawda - o tym, co tu zaszło, to dla niej teraz zbyt wiele. Zostawi ją sobie na później. Kiedy indziej się z nią zmierzy. Na razie chciała, żeby wszystko było jak dawniej, jak wtedy, zanim tu zesła. W końcu nic takiego nie widziała. Po prostu wyobraziła sobie najgorsze. Tak, właśnie to się stało. Poniosła ją wyobraźnia, i tyle.

- Taa - powiedziała. - To chyba jedyne, co dam radę przełknąć.

Jake podszedł do niej. Twarz miał promienną.

- Cudownie - stwierdził. - A więc dostaniesz pieczonego ziemniaka.

Kate nie ruszała się z miejsca. Marisa skrzyżowała z nią spojrzenie. Uśmiechnęła się złowrogo. Kate odwróciła wzrok i Marisa zyskała pewność. Zniszczę cię, do kurwy nędzy - pomyślała. Po prostu cię zniszczę.

Wciąż się uśmiechała, kiedy Kate wyszła z pomieszczenia.

## 10

Zaczęła ją śledzić. Początkowo nie do końca serio. Powiedziała sobie, że zrobi to raz, dla świętego spokoju. Trochę jak wzgardzona żona w operze mydlanej śledzi kobietę, którą podejrzewa o to, że jest kochanką jej męża. Oczywiście miała świadomość, że to absurd, a jednak nie powstrzymało jej to przed włożeniem czapki, którą naciągnęła na oczy, oraz uzupełnieniem kamuflażu okularami i za dużą kurtką w militarnym stylu, kupioną specjalnie na tę okazję w sklepie z używaną odzieżą. W nowym stroju czuła się wystarczająco anonimowo i kiedy wychodząc, przejrzała się w lustrze, była zadowolona z tego, co zobaczyła. Z większej odległości trudno byłoby wychwycić jakiegokolwiek charakterystyczne cechy.

Siedząc w pracowni, nasłuchiwała kroków Kate i szcęknięcia zamka w drzwiach, kiedy lokatorka opuściła dom. Jake jak zwykle wyszedł wcześniej, więc nie było nikogo, kto mógłby spytać, co Marisa wyrabia, kiedy zbiegła po schodach i wypadła na ulicę. Dostrzegła Kate jakieś dwieście metrów przed sobą – lokatorka różnym krokiem zmierzała w kierunku stacji metra Vauxhall. Marisa poczekała, aż Kate dotrze do końca ulicy, a potem skręci w prawo między zabudowania osiedla komunalnego. Wtedy ruszyła za nią. Szła zwawo, ale nie pośpiesznie. Śledziła ją do przejścia na Fentiman Road, a potem dalej, do parku Vauxhall, gdzie Kate puściła się na przełaj przez trawnik. Na placu zabaw trwały jakieś roboty. Ogromne sylwetki koparek i buldożerów górowały nad asfaltem jak dinozaury.

Przy wyjściu z parku Kate nagle się zatrzymała i zaczęła oglądać swój but. Marisa, kilka kroków za nią, również stanęła jak wryta. Naciągnęła czapkę jeszcze głębiej na uszy. Oddychała ciężko, w jej piersi bukowało podniecenie. Od wielu tygodni nie czuła w sobie tyle energii.

Razem wsiadły do metra, ale Marisa wybrała następny wagon. Usiadła obok przeszklonych drzwi, żeby widzieć, jak Kate będzie wysiadać.

Okno było opuszczone; wystawiła twarz na podmuch, wdzięczna za moment ochłody w tej nieszczęsnej wełnianej czapce.

Po czterech przystankach Kate wstała i złapała się uchwyty. Skład, trzęsąc się, wjechał na stację Oxford Circus. Marisa wyskoczyła na peron i lawirując wśród tłumu, podążyła za rywalką. Nie spuszczała przy tym oczu z kołyszącej się w rytm kroków głowy Kate. Założone za ucho lśniące włosy lokatorki, dopiero co przystrzyżone, pozostawały na miejscu, jakby chciały powiedzieć: „Zobaczcie, jakie z nas dobre włoski. Posłuszne włoski”.

Tymczasem ona pociła się pod czapką jak wściekła. Włosy kleiły się jej do czaszki i zawijały na końcach. Od kilku dni nie brała prysznic. Schludna czystość Kate była w tej sytuacji jak afront.

Na ruchomych schodach schowała się za barczystym mężczyzną w odblaskowej kurtce. Kate stała kilkanaście stopni wyżej. Naraz jednak zdecydowała, że resztę drogi przejdzie, i zaczęła się wspinać po sunących stopniach. Jej włosy bujały się z boku na bok, równomiernie jak wskazówka metronomu. Marisa nie mogła ryzykować pościgu. Jeśli Kate postanowi się rozejrzeć, natychmiast ją zauważy.

Pozostała więc na miejscu, szeroko rozstawiwszy nogi, bo zdała sobie sprawę, że kręci jej się w głowie i trudno jej utrzymać równowagę. Wyciągnęła rękę w poszukiwaniu czegoś stabilnego, czego mogłaby się przytrzymać. Nie znalazła niczego.

- Wszystko w porządku, skarbie?

Stojąca za nią kobieta o wyglądzie dobrotliwej babci, z wymiętą reklamówką z hipermarketu w ręku, przyglądała jej się z troską.

- Tak. Bardzo pani dziękuję.

- Musisz uważać. Doskonale pamiętam, jak to jest w tym stanie. - Wskazała palcem na jej brzuch.

Marisa zerknęła w dół. Uświadomiła sobie, że ciąża zaczyna być widoczna. Rozpięta kurtka odsłoniła między połami sterczący brzusek.

- Nic się nie przejmuj - pocieszyła ją kobieta. - W drugim trymestrze poczujesz się znacznie lepiej.

Marisa starała się uśmiechnąć. Dojechały do szczytu schodów, a tamta wyraźnie szykowała się do pogawędki.

- Dziękuję. Muszę... - Marisa zrobiła gest w kierunku bramek biletowych.

- Widzisz, pracowałam jako położna...

Marisa pokiwała głową.

- To bardzo interesujące, ale...

W czasie gdy usiłowała pozbyć się rozmówczyni, Kate zniknęła. Marisa ostrożnie wyrzała na zewnątrz, mrużąc oczy w dziennym świetle. Poczowała ukłucie obawy, lecz wtedy zobaczyła w oddali znajomy trencz. Kate przeszła na drugą stronę jezdni na Regent Street. Marisa rzuciła się naprzód, rozpychając przechodniów. Chciała zdążyć, zanim zmienią się światła na przejściu.

- Ej! Uważaj! - usłyszała gniewny okrzyk jakiegoś mężczyzny.

Ale wszystko na nic. Z krawężnika mogła już tylko bezsilnie obserwować, jak światło się zmienia i sznur samochodów rusza ulicą. Wokół niej zaczął gromadzić się tłumek, walcząc w ścisku o miejsce, a ona patrzyła, jak Kate rozplywa się w ruchliwym londyńskim poranku.

Kolejnych kilka dni upłynęło według podobnego schematu. Za każdym razem udawało jej się dotrzeć odrobinę dalej. Na trzeci dzień Kate doprowadziła ją pod biurowiec w Soho. Budynek miał przyciemniane szyby i recepcję z jadowicie niebieskim neonem, który głosił: „Rób to, co kochasz”. Następny tydzień Marisa spędziła w małej kafejce naprzeciwko budynku. Serwowano tam zdrowe fast foody, na przykład zapiekane jajka w kartonowych pojemniczkach i małe tubki humusu. Papierowe słomki do napojów w czerwono-białe paski przypominały bożonarodzeniowe cukierki w kształcie laski. Siedząc przy stoliku, grzebała w telefonie, wysyłała różne maile, a kiedy jej się to znudziło, wyjmowała notatnik i zaczynała pisać. Notowała swoje obserwacje, przemyślenia i obawy. Stwierdziła, że to bardzo oczyszczający proces. W porze lunchu wypatrywała Kate, ta jednak chyba nigdy nie wychodziła na posiłek. Po południu Marisa zniechęcona wracała do domu.

Cierpiała na tym jej praca. Sberta zaniedbanych zleceń piętrzyła się coraz wyżej. Jake powtarzał, że Marisa wygląda na rozkojarzoną, i pytał, czy wszystko w porządku.

- Tak, w porządku - odpowiadała. - Rozumiesz... ciąża.

Ciąża stała się wymówką na każdą okazję. Na wczesne kładzenie się spać, żeby nie uczestniczyć w rozmowach we troje. Na unikanie seksu z Jakiem. Na rezygnację z gotowania mu ulubionych potraw, bo zapach składników przyprawiał ją o mdłości. W ten sposób izolowała się od nie-

komfortowej atmosfery, która panowała w domu, gdy przebywała w nim lokatorka. Jake od incydentu w kuchni był przez cały czas troskliwy i czujny. Zauważyła, że ilekroć w pobliżu zjawiała się Kate, wybierał drugi koniec pomieszczenia, rzucając Marisie uspokajający uśmiech. Dla odmiany Kate wieczorami była bardzo wyciszona. Czytała książki albo oglądała telewizję na minimalnej głośności.

- Nie będzie ci przeszkadzać? - pytała, siadając na sofie w kuchni.

Marisa wzruszała ramionami.

- A czemu miałoby mi przeszkadzać?

- Myślałam... No wiesz... Może chcesz oglądać coś innego? - odpowiadała Kate, gryząc paznokieć.

- Nie.

- Okej... - W jej tonie zawsze było coś pasywno-agresywnego, jakby to Marisa była osobą, która zachowuje się niedorzecznie.

Marisa z niezdrową fascynacją obserwowała wzajemne relacje Kate i Jake'a. Powtarzała sobie, że nie chce szukać dowodów na ich bliskość, a jednak coś ją do tego zmuszało. Podświadomie chciała, żeby jej podejrzenia się potwierdziły, wiedząc równocześnie, że to ją zniszczy. Roztrzaska w drzazgi wszystko, o czym kiedykolwiek marzyła. Zniweczy jedyny związek, w którym zdołała zaufać partnerowi. Ale nie mogła się powstrzymać - jakby skubała świeży i wciąż bolesny strup, podważając suche krawędzie, sprawdzając wytrzymałość nowego naskórka.

A może naprawdę to sobie wyobraziła? Kuchnia była ciemna, a ona świeżo wybudzona ze snu. Może robi aferę z niczego, nakręca się do granic wytrzymałości tylko dlatego, że jej hormony buzują jak szalone z powodu ciąży. Mści się na niej brak pewności siebie, i tyle. To jasne, że między Jakim a Kate nic nie ma.

Tylko że... A incydent z muzyką? Tańczyli jak smarkacze, gdy ona pracowała piętro wyżej. A dziwna zażyłość, z jaką Kate traktowała Jake'a? Od pierwszej chwili, kiedy pojawiła się w ich domu, zachowywała się, jakby była u siebie. Przejęła dom na własność, zdobywając przestrzeń poprzez rozrzucanie własnych rzeczy gdzie popadło. Marisa raz po raz widziała, jak Kate muska dłoń Jake'a, kiedy mijają się w korytarzu. Kątem oka dostrzegała, że ściska jego ramię, kiedy Jake przynosi jej herbatę. Wydawało im się, że są ostrożni. Ale ona to widziała. Po prostu pozwalała im sądzić, że niczego nie podejrzewa. Niech minie

trochę czasu, później się zastanowi, co z tym zrobić. Na razie obserwo-  
wała. Robiła notatki. Czuła się tak, jakby zbierała materiały w śledz-  
twie, przygotowywała się do rozprawy. Któregoś dnia zostanie we-  
zwana, żeby wszystko zreferować.

Kiedy Jake i Kate szli spać, ona siedziała w pracowni do późnej nocy.  
Mówiła, że chce nadgonić robotę, zanim dziecko się urodzi. Ale nie pra-  
cowała. Siedziała przy biurku i wściekle gryzmoliła w notesie. *Wiem, że  
on ma romans z Kate* – pisała raz po raz, aż cała kartka była czarna od  
tej bazgraniny. A ona czuła się lepiej, bo postawiła sprawę jasno. Myśl  
przelana na papier traciła nieco ze swej mocy, by ranić.

Już trzeci tydzień Marisa śledziła Kate w drodze do pracy. Pogoda  
nagle się poprawiła, świeciło słońce. Zanim dotarła do Oxford Circus,  
tak się zgrzała, że musiała zdjąć czapkę. Przyglądziła włosy, rozpiętą  
kurtkę przewiązała w pasie. Kate jak zwykle wysiadła pierwsza z wa-  
gonu. Marisa patrzyła, jak tamta wjeżdża po schodach. Sama przyczaiła  
się z boku; zdążyła się już przekonać, że i tak będzie miała wystarcza-  
jąco dużo czasu, zanim Kate opuści stację.

Po chwili sama wjechała na górę i ruszyła przez halę w kierunku  
bramek. Szukała telefonu, grzebiąc w torebce. Naraz ktoś złapał ją za  
rękę i wykręcił z taką siłą, że odwróciła się na pięcie i krzyknęła z bólu.

- Co jest?! - wrzasnęła, próbując się uwolnić. Kiedy uniosła wzrok,  
dostrzegła twarz Kate kilkanaście centymetrów od swojej.

- Dlaczego mnie śledzisz? - Usta Kate były tak blisko, że Marisa  
czuła kropelki śliny na policzku. Jej oddech był gorący i pachniał  
kawą. - Po co mnie, kurwa, śledzisz?

Marisa była zbyt wstrząśnięta, żeby rozsądnie myśleć. Zdążyła się  
tak przyzwyczać do tych codziennych wypraw, że nie próbowała ich  
usprawiedliwiać nawet przed sobą, a co dopiero przed Kate. Zresztą  
nie miała nic na swoje usprawiedliwienie.

- Masz przestać! Rozumiesz? - Oczy Kate płonęły. Na skórze wokół  
gniewnie ściągniętych ust zarysowały się zmarszczki. Kate trzymała  
w uścisku jej ramię, wbijając palce w delikatną skórę nad przegubem  
tak mocno, że Marisa już sobie wyobrażała tworzące się sińce. Naj-  
pierw różowe, potem niebieskie i fioletowe. - Dość tego!

Marisa poczuła gorycz w gardle. Teraz widziała, jak łatwo sprawić,  
żeby to ona - a nie Kate - wyszła na osobę, która przekracza granice.



Kolejna pułapka, z której nie było ucieczki.

- Dobrze. W porządku - powiedziała cicho. - Przepraszam.
- Masz szczęście, że nie wezwałam policji.
- Nie rób tego.

Kate puściła jej rękę. Marisa zamachała nią, przywracając krążenie. Kiedy znowu podniosła wzrok, zobaczyła, że twarz Kate złagodniała. Dostrzegła brązowy cień na powiekach w kącikach oczu. Perfekcyjnie nałożoną kredkę i tusz bez jednej grudki. Niepomalowane usta. Marisa rano pociągnęła wargi błyszczkiem i teraz poczuła, że przykleił się do nich kosmyk włosów. W porównaniu z pełną klasy, chłodną elegancją Kate Marisa wyglądała pokracznie i głupio. Dziecko w łonie rosło, zniekształcając jej sylwetkę.

- Proszę, nie mów Jake'owi - szepnęła, mrugając, żeby strząsnąć łzy. Nawet nie zauważyła, kiedy zaczęły płynąć. Głos jej się załamał i słowa brzmiały żałośnie.

Kate westchnęła. Za jej plecami mężczyzna w mundurze zbierał na weteranów, z grzechotem potrząsając puszką. Hałas był nie do odróżnienia od tego, co się działo w głowie Marisy.

- Nie powiem. - Kate ściągnęła trencz paskiem. Ruchem obu dłoni strzepnęła materiał, jakby pozbywała się z niego kurzu. Jakby pozbywała się Marisy. - Nie chcę go martwić.

Marisa zagryzła policzek. Zaciskała zęby tak długo, aż poczuła krew. Łzy zmieniły się w ogień, który rozpałił jej żyły. Zamknięta wewnątrz furia napięła się jak iglica, gotowa uderzyć w spłonkę i posłać pocisk do celu. Skinęła głową, a potem odwróciła się i odeszła. Jadąc schodami w dół, nie była pewna, czy zwycięży w niej gniew, czy upokorzenie.

Zanim wsiadła do metra, już wiedziała: gniew.

Gniew zawsze wygrywa.

Nie spała tej nocy. Znowu. Szum ulicznego ruchu, z którego istnienia nie zdawała sobie dotąd sprawy, stawał się coraz głośniejszy. Zaczęła podejrzewać, że sen to tylko sztuczna poza, bez której doskonale sobie poradzi. Dziwiła się, że dotąd marnowała tyle czasu nieprzytomna pod kołdrą, kiedy mogła go poświęcić na mnóstwo innych rzeczy. Ileż obrazków by namalowała! Ile zleceń pchnęłaby do przodu! Mogła napisać własną książkę dla dzieci. Wystawiać prace w najlepszych galeriach świata. Pić szampana i słuchać pochlebnych toastów na kameralnych wernisażach. Przysłuchiwać się toczonym cicho rozmowom, krążąc swobodnie wśród gości i wiedząc, że mówią o niej. Odprowadzają ją wzrokiem, podziwiając jej talent i sukces, jaki odniosła.

„Widzisz?” – powie do mamy, stojącej przed abstrakcyjnym dziełem przedstawiającym szkarłatne i pomarańczowe krople rozprysnięte na płótnie niczym krew. „A jednak wyszłam na ludzi”.

Godziny przed świtem spędziła przy biurku w pracowni, czekając, aż wszędzie słońce i schody bloku komunalnego rzucą cień na ich trawnik. Wyjęła arkusz papieru i go przymocowała. Zamiast jednak malować, jak zamierzała, zaczęła pisać na nim słowa czarnym markerem. Chciała poeksperymentować z formą. Wykorzystać w obrazach liternictwo jak ten amerykański konceptualista, którego prace oglądała. Wycinał czarne i czerwone linijki tekstu i przyklejał je na czarno-białych zdjęciach przedstawiających twarze kobiet z zamkniętymi oczami, puste domy na zrujnowanych ulicach, burzliwe morza i złowrogie nieba, nawet prostytutki w miejskich bramach.

Przypomniała sobie dziewczynę, którą kiedyś miał ojciec – jedną z wielu. To było kilka lat po odejściu matki, a niedługo przed tym, jak Marisa wyjechała do szkoły z internatem. Przeprowadził ją którejś nocy. Było późno; musiał sądzić, że Marisa już śpi. Ale ona słyszała, jak przed domem zatrzymuje się samochód, trzaskają drzwi kierowcy, a potem

pasażera. Następnie rozległ się chrobot klucza w zamku, potem brzęk kieliszków w kuchni oraz ciche kroki i szepty na schodach.

Czuła zapach papierosowego dymu. Ojciec cicho zakaszłał i się po-  
tknął, wchodząc do sypialni, z czego wywnioskowała, że pił.

Słyszała ich wyraźnie przez cienką ścianę sypialni. Damski chichot brzmiał obco, przytłumiony przez dzielące ich cegły. Potem usłyszała basowy śmiech ojca. Co powiedziała ta kobieta, że zdołała go rozśmieszyć? Czemu jej się to nie udawało? Dlaczego ojciec w jej obecności zawsze był taki smutny, a z kim innym wydawał się szczęśliwy?

Gdy tak leżała pod kołdrą, dochodziły do niej westchnienia i pocałunki, potem szelest pościeli, skrzypnięcie łóżka i jęki dorosłych, którzy usiłują zachowywać się cicho, lecz im to nie wychodzi. Na koniec wysoki krzyk kobiety i zduszony głos ojca, który ją uciszał, tłumacząc, że za ścianą śpi dziecko. Kolejne śmiechy.

W porządku - powiedziała sobie wówczas - to tylko sen. I choć doskonale wiedziała, że to nie sen, dzięki temu udało jej się zasnąć. Była całkiem niezła w opowiadaniu sobie historyjek, w których wszystko zawsze układało się lepiej niż w życiu. Rano ubrała się w szkolny mundurek i zeszła na śniadanie. Ojciec siedział jak zwykle przy sosnowym stole. Wytarte drewno było poznaczone kółkami po kubkach stawianych na nim przez całe lata. Kiedy weszła, ojciec zwrócił się do niej:

- Mariso - rzekł nieco formalnym tonem. - Dzień dobry, kochanie.

Miał na sobie koszulę, krawat i wełnianą kamizelkę. Właśnie to - wysiłek, który włożył w to, by wyglądać normalnie - zwróciło jej uwagę na obecność kogoś jeszcze. Spojrzenie Marisy powędrowało w drugi koniec pomieszczenia i spoczęło na niezwykle chudej kobiecie, siedzącej na czerwonym fotelu obok grzejnika.

Miała ładne ciemne włosy, związane wysoko aksamitną frotką, trójkątną twarz, której skóra napinała się na wydatnych kościach policzkowych, i usta pomalowane czerwoną szminką. Ubrana była w białą jedwabną bluzkę. Narzuciła na nią żakiet bouclé, jeden z tych, które wyglądają jak tania podróbka markowej odzieży. Strzępił się przy szyi, gubiąc granatowe nitki, które spełzały na obojczyk kobiety jak zielsko.

W długich bladych palcach trzymała filiżankę i garbiła się nad nią, jakby chciała się ogrzać w lichej smużce pary. Jej głowa wyglądała na zbyt dużą w stosunku do reszty ciała, które z kolei sprawiało wrażenie,

jakby w każdej chwili mogło się złamać. Sposób, w jaki siedziała – skrzyżowane nogi, wygięty kręgosłup, przykurczona szyja i wysunięta do przodu głowa – rodził myśl, że spięła się w oczekiwaniu na cios.

– Witaj, skarbie – odezwała się.

– Mariso... – Ojciec wstał. Serwetka, którą miał na kolanach, zsunęła się na podłogę. – To jest... hmm... moja przyjaciółka Jacqueline.

– Proszę cię! Jackie – poprawiła go kobieta ze śmiechem, który przypomniał Marisie o zeszłej nocy.

Białą filizankę znaczyły ślady czerwonej szminki. To była filizanka mamy, ta z lwem. Marisa nie używała jej od czasu, kiedy mama odeszła. Filizanka stała zamknięta w szafce niczym muzealny eksponat czekający na powrót prawowitego właściciela. Ojciec nigdy nie poruszał tego tematu, ale zauważyła, że on również nigdy z niej nie pił.

– Dzień dobry – odparła, spuszczać wzrok, żeby zakończyć obserwację.

Jackie odstawiła filizankę i ruszyła w jej stronę, rozpościerając szeroko szczupłe ramiona. Marisa z przerażeniem zorientowała się, że kobieta oczekuje fizycznego kontaktu.

– Uwielbiam przytulasy – stwierdziła Jackie, wydając z siebie gardłowy śmiech palacza. – Chodź do mnie, skarbie.

Nie było dokąd uciec. Trochę przypominało to obejmowanie wieszaka na pranie.

– No! – sapnęła kobieta, klepiąc ją delikatnie po plecach. – Zdaje się, że będziemy się często widywać.

Z głową przyciśniętą do ramienia, z którego unosił się mdły zapach paczuli, Marisa miała dziwne wrażenie, że kobieta w tej chwili mruga do jej ojca. Wyswobodziła się z uścisku i z płonącymi policzkami siadła przy stole. Ojciec nadal stał. Jego twarz była pusta. Wyglądał, jakby nie za bardzo rozumiał, co się dzieje. Jakby świat zaczął wirować z prędkością, z którą już sobie nie radził.

„Siadaj” – chciała mu powiedzieć Marisa. „Po prostu usiądź i zacznij znowu być moim tatą”.

Zerknęła na paczkę płatków i opróżnioną do połowy butelkę pełnotłustego mleka. Na srebrnym wieczku widać było wgłębienie od kciuka. Poczula odrazę. Odsunęła krzesło tak gwałtownie, że aż zatrząsł się stół.

- Nie mam czasu - oznajmiła. - Muszę iść, bo spóźnię się do szkoły.  
- Dopiero piętnaście po ósmej - zaprotestował tata.  
- Boże, ależ im dają wycisk w tej szkole - rzuciła Jackie, nie kierując tych słów do nikogo konkretnego. - Aż mi cię żal, skarbie.

Wtedy Marisa odwróciła się do niej i uśmiechnęła szeroko.

- Pierdol się - powiedziała z mocą, a słowa, jasne i wyraźne, wpadły w sam środek ciszy panującej w kuchni. Pierwszy raz użyła ich w obecności ojca. Była jeszcze na tyle młoda, że pewnie nie wierzył, że może je znać. A przecież zostawił ją samą w domu, kiedy poszedł na kolację z Jackie. Więc najwyraźniej już nie uważał jej za dziecko.

Wywołała szok. Jackie cofnęła się nieco, wpadając na fotel. Ojciec zeszywniał. Jego oczy wyglądały jak kulki płonącej furii. Jeszcze nigdy nie widziała go tak wściekłego. Otworzył usta, żeby powiedzieć coś, czego nie dałoby się cofnąć ani naprawić, więc wybiegła, żeby tego nie słyszeć. Wypadła na ulicę i pędziła całą drogę do przystanku autobusowego. Dopiero tam połapała się, że nie ma kurtki ani tornistra, ale nie zamierzała po nie wracać. W autobusie nikt się do niej nie odezwał. Nie wiedziała dlaczego, ale od odejścia matki emitowała dziwną wrogą aurę. Jak gdyby chroniło ją pole siłowe samotności i wszyscy wokół czuli, że nie warto się z nią zadawać.

Nigdy więcej nie zobaczyła Jackie.

Przez kolejne lata stawała do rywalizacji z każdą nową dziewczyną, jaką przedstawiał jej ojciec. Zawsze wygrywała, więc w końcu przestał się z kimkolwiek umawiać. Ostatni raz widziała go wtedy, kiedy odwiedził ją w jej londyńskiej kawalerce. Miał na sobie sponiewierany płaszcz przeciwdeszczowy i krawat, na którym widać było plamy po jedzeniu. Zwróciła uwagę na jego brwi, krzaczaste i niechlujne. Był szczupły - znacznie szczuplejszy, niż go zapamiętała. Pomimo tych tłustych plam wyglądał na niedożywionego. Mało przytomnym spojrzeniem przekrwionych oczu rozglądał się po lichym pokoju, nieszczercze udając zachwyty. Już z daleka czuła dżin w jego oddechu. Zrobiła mu herbatę, a on wypił ją, siedząc na sofie i nawet nie zdejmując płaszcza.

- Jesteś pewien, że nie chcesz się rozebrać? Daj, powieszę.

- Nie, nie. Nie chcę ci robić kłopotu.

Wydawał się taki słaby i stary. Zdała sobie sprawę, że ojciec pewnie niedługo umrze, i kiedy o tym pomyślała, poczuła kielkujący żal. Nie

dlatego, że jego śmierć pozostawi pustkę w jej życiu, ale dlatego, że żyjąc, nie zdołał tej pustki zapełnić.

Od tego czasu już nigdy się z nim nie kontaktowała. Ignorowała jego telefony i smutne kartki urodzinowe „Dla mojej córeczki”. W końcu przestał próbować. A Marisa zamieszkała z Jakiem i nie zostawiła mu nowego adresu.

Siedząc w pracowni, obserwowała, jak wstaje słońce. Zachmurzone niebo przybrało żółtawy odcień, jakby zasnuło się papierosowym dymem. W tym świetle jej biurko przybrało barwę sepii. Było za jasno. Wzięła rolkę taśmy maskującej i zaczęła jej paskami zaklejać szyby w oknach. Lepiej. Włączyło się centralne ogrzewanie, powodując, że rury w całym domu zatrzeszczały i jęknęły niczym olinowanie statku. Dom wydał jej się bardziej hałaśliwy, niż bywał wcześniej. Tak jakby wszystkie zachodzące w nim procesy nagle stały się słyszalne. Zatkala uszy dłońmi, starając się odciąć od dźwięków. Nie udało się. Dom zdawał się szumieć, buczeć i wibrować. Kiedy spojrzała na leżącą przed nią kartkę, spostrzegła, że pokryła ją pajęczą siecią misternego motywu składającego się z białych i czarnych linii.

Brzuch wystawał jej z dresowych spodni. Nie pamiętała, kiedy je wkładała, ale musiało to być kilka dni temu. Położyła obie dłonie na napiętej skórze i lekko przycisnęła, aby poczuć coś – cokolwiek – co pozwoli zbudować więź z tą kupką komórek, która rosła w środku. Choć wiedziała, że na to jeszcze za wcześnie, wyobraziła sobie, że czuje ruchy dziecka. Pospieszne, delikatne, jakby skrobanie od wewnątrz. Strony w internecie informowały ją sucho, że „dziecko może wykształcać pierwsze włosy”, „dziecko używa mięśni mimicznych, robi miny i się uśmiecha” oraz że „dziecko jest mniej więcej rozmiaru cytryny albo twojej zaciśniętej pięści”.

Zacisnęła pięść i przyłożyła ją do brzucha poniżej pępka. Trzymała ją tam, obserwując bielejące kostki. Rozmiaru pięści. Wyobraziła sobie, że bierze zamach, cofając ramię wprawnie jak łucznik. A potem ładuje pięść prosto w twarz Kate. Widziała wyraz tej twarzy, malujący się na niej szok. Kate unosi ręce, z nosa cieknie jej wąska strużka krwi. Oczyma wyobraźni Marisa widzi strach w jej oczach. Kate odwraca się tyłem, a ona uderza ją w potylicę, tym razem z taką siłą, że Kate upada.

Skomli, skulona na podłodze, a ona stoi nad nią i patrzy. Na koniec Kate znika. Całe jej ciało rozplywa się w jednej chwili, jakby tkanina czasu pękła, a ona wpadła w tę dziurę.

Wzięła telefon i zaczęła przewijać strony internetowe opisujące przebieg ciąży.

*Jelita dziecka produkują smótkę, czyli odchody, które będą odpowiadać za pierwsze ruchy perystaltyczne po narodzinach.*

*W czternastym tygodniu na scenę wkraczą w pełni wykształcone genitalia.*

Wyobraziła sobie wielkie wejście w wykonaniu malutkiego penisa i drobniutkiego sromu. Widziała, jak z trudem schodzą po nakrytych czerwonym dywanem schodach przy eleganckich dźwiękach kwartetu smyczkowego.

*Często myj ręce i noś przy sobie żel antybakteryjny, na wypadek gdybyś nie miała gdzie ich umyć. Nie pij z cudzego kubka ani nie jedz z czyjegoś talerza. Nie korzystaj z cudzej szczoteczki do zębów. Unikaj ludzi, którzy są przeziębieni. Nic w tym złego, jeśli chory małżonek będzie spać na kanapie.*

Małżonek. Nie miała małżonka. Miała Jake'a, w którego domu mieszkała. I który miał romans z sublokatorką, podczas gdy Marisa była w czwartym miesiącu ciąży. Uderzyło ją, w jak niepewnej sytuacji się znalazła. Zachciało jej się wymiotować. W zasadzie powinna się raczej rozplakać, ale w miejscu, gdzie powinny być emocje, ziała pustka. Czarna dziura, przez którą Marisa spadała w otchłań.

*Kiedy większość dolegliwości związanych z pierwszym trymestrem ustąpi, najpewniej wróci dobry humor i poczujesz się bardziej jak człowiek. Na horyzoncie kolejne dobre wieści: mniej porannych mdłości i mniej wizyt w toalecie, żeby opróżnić pęcherz.*

Nie miała pojęcia, co z tym wszystkim zrobić. A jednak. Musiała coś zrobić.

Mijały godziny. Później w kuchni zaparzyła sobie ziołową herbatę. Wszystkie strony o ciąży uznawały kawę za śmiertelnie niebezpieczną substancję, którą można spożywać jedynie z największą ostrożnością. Na chwilę zostawiła torebkę we wrzątku, a potem wycisnęła ją ły-

zeczka. Usiadła przy stole i patrzyła na ogród. Trawa była mokra po porannym deszczu. W rogu przeszklonych drzwi lśniła pajęczyna. Marisa obserwowała, jak srebrzyste nici odbijają blade światło.

Tak wiele wysiłku, żeby stworzyć dom – pomyślała. Głowa jej ciążyła. Oparła brodę na piersi i rozmasowała sobie kark. Kiedy to robiła, jej wzrok padł na płaski szary prostokąt na siedzeniu jednego z krzeseł. Krzesło było przysunięte do stołu i nie zauważyłaby niczego, gdyby nie pochyliła głowy. To był laptop Jake'a. Zwykle Jake zabierał go do pracy, lecz tym razem najwyraźniej zapomniał.

Sięgnęła do kieszeni szlafroka po telefon. W ostatnim momencie się rozmyśliła i nie wybrała numeru. Położyła laptopa na stole. Miał smukłe krawędzie i nieco ziarnistą w dotyku fakturę. Otworzyła go. Znała hasło, bo kiedyś podpatrzyła, jak Jake je wpisuje – stała za jego plecami, udając, że jest zajęta zmywaniem.

Wklepała „143Richborne”. To był ich adres. Może wciąż coś dla niego znaczył. Może wciąż coś znaczyły dla niego ten dom, dziecko, ona...

Ekran się rozświetlił i ukazał renesansowe malowidło: Maryja o różowych policzkach i złotych włosach spływających falami na obojczyk trzymała na rękach pulchnego Jezusa, stojąc na tle włoskiego krajobrazu. Jake miał bzika na punkcie sztuki sakralnej.

Sama nie była pewna, czego szuka. Usiłowała sobie wmówić, że loguje się, żeby poczytać wiadomości. Przez ostatnich kilka miesięcy była tak odcięta, tak zajęta budowaniem wspólnego życia, że nie wiedziała, co się dzieje na świecie.

Ale zanim zdążyła wejść na stronę BBC, w prawym górnym rogu wyskoczyło powiadomienie. Dostrzegła imię Kate, wypisane czarną czcionką w szarym prostokącie.

*Widziałeś się z nią rano?*

Zajął jej sekundę, nim zrozumiała. A wtedy wszystko stało się jasne. Na laptopie Jake'a wyświetlały się też esemesy. Miała więc okazję śledzić jego kontakty w czasie rzeczywistym. Na dole ekranu widniała ikona zawierająca dwa nachodzące na siebie eliptyczne dymki – jeden niebieski, drugi biały. Czerwone kółko z kreseczką w środku mrugało nad większym z nich niczym oko.

Nieodczytana wiadomość.



Kliknęła w ikonę i oto miała przed sobą całą korespondencję Kate i Jake'a. Wiadomość po wiadomości.

Pierwszą rzeczą, na którą zwróciła uwagę, była duża liczba buziaków. Pisząc do niej, Jake nigdy nie używał czułych emotikonów. Uznała to za jedno z jego dziwactw. Zawsze profesjonalny, bo taki musiał być. Bo w pracy miał tak wiele na głowie. Tak to sobie tłumaczyła.

Jak widać, myliła się. Kiedy pisał z Kate, całe linijki roily się od ik-sów, całkiem jakby klawisz mu się zablokował. Albo jakby tworzył pozbawioną sensu wizualną poezję. Było od nich tak gęsto, jak gdyby cenzurował ustęp po ustępie supertajnego dokumentu.

Wiadomości były setki.

Przewijała i przewijała, a na ekranie wciąż pojawiała się: „Wczytaj więcej”. Poczowała pustkę w piersi. Jej serce się ścisnęło.

*Kocham cię* – pisała Kate drugiego czerwca. Parę tygodni po tym, jak się wprowadziła, obliczyła szybko Marisa. Ale wiadomości ciągnęły się wstecz. Oni się znali. Cała ta heca – udawanie lokatorki, wmawianie Marisie, że nie stać ich na opłaty – to był pic na wodę. Wrobili ją. Jake wykorzystał jej ślepą miłość, żeby zainstalować sobie w domu kochankę. Jak mogła być taka głupia?

Poczowała metaliczny posmak w gardle. Przełknęła ślinę, walcząc z odruchem wymiotnym. Nie jadła od wielu godzin, może nawet dni. Kto wie? Kogo to w ogóle obchodzi?

To był pusty skurcz. Nie miała czym rzygać. Zakryła usta dłonią, starając się zatrzymać wszystko w środku. Przydusić strach do dna, jak fusy w dzbanku.

*Skarbie, nie mogę przestać myśleć o tobie* – pisał Jake piętnastego lipca. *Włóż na wieczór tę bieliznę. Dołączył mrugającą buźkę i emotkę bakłażana.*

*Ha, ha, ha. A co z Marisą?*

*Damy radę. Kolejna mrugająca emotka.*

*Wolałabym wiedzieć, że z nią OK.*

*Jest OK* – pisał Jake. *Zaufaj mi. Nie musisz się martwić.*

Najgorsze, że to wszystko było takie banalne. Miała o Jake'u lepsze zdanie. Wierzyła, że jest inny. Uczciwy, prawdomówny, prostolinijny. Może niezbyt namiętny, ale za to godny zaufania. I co? W ogóle go nie znała. Nie znała człowieka, w którym podobno była zakochana. Okazał

się wyrośniętym nastolatkiem, którego kręć skoki w bok i który porozumiewa się za pomocą emotek i prymitywnych aluzji o seksualnym podtekście. Wyszło na jaw, że potraktował Marisę jak przedmiot, w najgorszy możliwy sposób. Potraktował ją jak głupią, bo zachowywała się jak głupia. Miała klapki na oczach i nic nie widziała, kiedy on dymał ich lokatorkę. Przez cały ten czas wierzyła, że może jest nieco sztywny i emocjonalnie wycofany, ale kocha ją szczerze i głęboko. W końcu nosiła jego dziecko. Przecież sam mówił, że to wszystko, czego mu trzeba do szczęścia. Teraz zdała sobie sprawę, że jego chłód nie był objawem dojrzałości, stałości czy spokojnego usposobienia. On ją po prostu oszukiwał od miesięcy. Może nawet od samego początku.

Tylko jaki miał w tym cel? Pokazać, że może? Wykorzystać ją jako klacz rozplodową, podczas gdy sam bryka na prawo i lewo? A może jest psychopata? Czytała kiedyś książkę o zaburzeniach psychicznych i wiedziała, że jednym z najczęstszych symptomów jest brak empatii i powierzchowny, elokwentny urok. Cały Jake. A wierzyła, że jest w nim głębia. Tymczasem to hologram człowieka. Wydmuszka. Podróbka. Pozer, który ma gdzieś, kogo rani.

Zabolał ją nadgarstek. Zerknęła w dół i zobaczyła, że wbiła w niego paznokcie aż do krwi. Automatycznie wstała, podeszła do zlewu, pod którym w szafce była paczka chusteczek. Wyjęła jedną i przycisnęła do nadgarstka. Na śnieżnobiałym tle pojawiły się ciemnoczerwone plamki. Na widok własnej krwi Marisa poczuła, że ogarnia ją wściekły szal. Przed nią stała misa na owoce, w której leżały cztery cytryny. Ceramiczne cacko, bogato zdobione i malowane. Jake przywiózł ją z Maroka, z jednej ze swoich studenckich wypraw z plecakiem. Uwielbiał tę misę – twierdził, że ilekroć na nią patrzy, znów czuje się młody.

Bez chwili zastanowienia Marisa chwyciła naczynie i cisnęła w przeciwną ścianę. Cytryny poleciały na boki i odbiły się od podłogi. Ceramika rozpadła się na kawałki, wydając z siebie dźwięk do złudzenia przypominający krzyk. Ale Marisa zdawała sobie sprawę, że to ona krzyczy. Krzyczała bez słów. Darła się, trzymając za wydatny brzuch, wyobrażając sobie, że czuje w dłoniach ciężar swojej ciąży. Wrzeszczała znowu, aż w końcu z wysiłku zaczęło ją boleć gardło, a jedyne, co słyszała, to echo swojego bólu. Bólu i żalu po miłości, w którą tak naiwnie uwierzyła. Bólu z powodu dziecka, które jednak nie urodzi się w kochającej rodzinie. Żalu, że była tak naiwna, by wierzyć, że zasługuje na

uczucie Jake'a. Nieźle się wygłupiła. Teraz to pojęła. Zrozumiała już lekcję, którą życie starało się jej wpoić od dawna, a która brzmi: nigdy nie będziesz dość dobra. Cały świat śmiał się z niej, że pomyślała – choć przelotnie – iż może być inaczej.

- Niech cię szlag, szmato! – zawyła, przeciągając samogłoski w zwierzęcy skowyt. Sama nie wiedziała, czy ma na myśli siebie, Jake'a, czy Kate.

Szczałki misy leżały na podłodze. Pamiętała, jak pierwszy raz zwiędzała kuchnię i jakie wrażenie zrobił na niej jej rozmiar. Była wręcz onieśmielona dojrzałą elegancją wnętrza. Gładkie powierzchnie, matowe deski, zmywarka. Wystarczyło dwa razy mocno stuknąć w drzwiczki, żeby się otworzyła. Teraz to wszystko wyglądało całkiem nierealnie. Jak ze złego snu. Pomieszczenie z niej szydziło. Ściany zamykały się wokół niej, wokół jej rozgorączkowanych myśli, zgniatając je w małą bolesną kostkę. Kłujący ból tętnił w skroniach. Książki kucharskie, równo ustawione na półce, jawnie prezentowały niesmak. Kieliszki na półce, pękate i błyszczące, podzwaniały, gratulując sobie, że udało im się ją oszukać. Na zewnątrz klatka schodowa wysokiego bloku, który teraz zdawał się wznosić jeszcze wyżej, wypluwała z siebie skrawki światła. Te wyskakujące piksele płonęły na tle jej mrocznych myśli, a każdy po chwili gasł, tonął w czerni, która zalewała umysł Marisy. Kimże była, by mieć nadzieję? Kim była, by wierzyć, że los jest jednak po jej stronie?

Wypuściła powietrze, rozprostowała zaciśnięte pięści i policzyła do dziesięciu.

- Kiedy jestem zła albo zdenerwowana, albo wydaje mi się, że nikt mnie nie słucha, wtedy liczę do dziesięciu – powiedziała jej kiedyś mama.

Marisa, która musiała mieć wówczas jakieś pięć, sześć lat, leżała na łóżku, oddychając szybko. Jej policzki płonęły.

- Spróbuj, kochanie.

Teraz, licząc, wyobraziła sobie mamę. Pięć, sześć, siedem... Obraz twarzy, wciąż młodej w jej pamięci, nieco ją uspokoił. Wróciła do laptopa, który nadal stał otwarty na stole. Furia zmieniła się w oderwanie. Działaniami Marisy rządził teraz chłodny spokój, efekt szoku. Przeko-

nała się, że może wrócić do czytania ich korespondencji bez emocji. Prawie jakby stanowiła ona obiekt badań historycznych.

*Widziałeś się z nią rano?*

Ostatnia wiadomość od Kate wciąż wisiała w eterze. I nagle pojawiły się trzy kropki, wyskakujące jedna po drugiej w powtarzanych sekwencjach. Jake pisał!

*Nie. Była u siebie. Nie chciałem przeszkadzać. X.*

Nawet kiedy ją zdradzał, wciąż dbał o interpunkcję.

I znowu trzy kropki pełzały na ekranie jak gąsienica. Jake pisał dalej.

*Nie przejmuj się. Wszystko będzie dobrze. Wkrótce będziemy rodziną z prawdziwego zdarzenia. Kocham cię xxxx!*

Poczuła, że robi jej się słabo. A więc to nie był przelotny skok w bok. Najwyraźniej planują wspólną przyszłość. Rodzina z prawdziwego zdarzenia. Ale jak? Przecież to ona jest w ciąży. Chyba że... Nie. Ta myśl nie mieściła się w głowie. Chyba nie planują...? A może?

*Nie mogę się doczekać - odpisała Kate. Też cię kocham x*

Chyba że planują poczekać, aż Marisa urodzi, a potem się jej pozbędą... Nie ośmieliliby się. To byłoby zbyt okrutne. Po wszystkim, co opowiedziała Jake'owi... O tym, jak się czuła, będąc opuszczona przez matkę. Sam pomysł, że chciałby świadomie zgotować taki los swemu nienarodzonemu dziecku, sprawiał, że miała ochotę go oskalpować. Co za bezduszny gnojek.

Myśl, Marisa. Myśl. Myśl. Musisz coś wymyślić.

Ale wciąż pochłaniała ją bez reszty kolejna i kolejna wiadomość.

*5 lipca*

*JAKE: Jesteś wspaniała. Kocham cię. Cokolwiek się stanie, pamiętaj o tym.*

Czytając, czuła, jak jej serce ściska się i zapada.

*20 sierpnia*

*KATE: Wrócę późno. Nie czekaj na mnie.*

Uderzyło ją, że Kate traktuje go jak swoją własność. Co to za pomysł, że miałby czekać? Na co? Szybki numererek na sofie na dole, kiedy ona będzie mocno spać na górze?

*12 września*

KATE: *Martwię się o Marisę. Jest podenerwowana.*

JAKE: *Wszystko pod kontrolą. Za bardzo się przejmujesz. xxxx.*

KATE: *OK*

*15 października*

KATE: *Jezu, Jake. Przed chwilą widziałam ją pod moim biurkiem.*

JAKE: *CO???*

KATE: *Nawet nie wiesz, jak mnie przestraszyła.*

JAKE: *Dzwonię do ciebie.*

Marisa przewinęła wszystko, aż do ostatniej wiadomości. Gapiła się na ekran, podświadomie czekając, aż trzy kropki pojawią się znowu i przeczyta coś jeszcze gorszego. Myślała o Kate. O jej wąskich biodrach i szczupłej figurze. O tym, że gdy patrzeć na nią pod pewnym kątem, wygląda jak baletnica. O jej dyscyplinie. Kate z żelazną konsekwencją kontrolowała wszystko, począwszy od diety, przez codzienne ćwiczenia, a kończąc na sprawdzaniu kalendarza w każdą niedzielę, żeby przypomnieć sobie o zaplanowanych spotkaniach. Marisa nie używała kalendarza w telefonie. Miała stary sfatygowany notatnik, pełen bazgrołów i wygumowanych przemyśleń.

Co ma teraz zrobić? W tanich filmidłach w rodzaju tych, które oglądała całymi dniami, leżąc na sofie, zamiast pracować, wszystko zawsze było jasne i proste. Oszukana kobieta pakuje walizki i opuszcza dom, wiedziona porywem świętego oburzenia. Tylko że Marisa nie miała dokąd pójść. Rozwiązała umowę najmu, kiedy zamieszkała z Jakiem. Od tygodni nic nie zarabiała, ponieważ zaniedbywała zlecenia. Wyglądało na to, że całkiem straciła zapal do pracy. Śledzenie każdego kroku Kate zabierało więcej czasu, niż się spodziewała. Resztkę, którą miała do dyspozycji, pochłaniały drzemki albo siedzenie i gapienie się w ścianę.

Wcale nie chciała rezygnować ze swojego ślicznego domu i przyjemnego standardu życia. Przyzwyczaiła się. Co prawda straciła kontakt z Jas, ale mogłaby go odnowić i zapytać, czy może się u niej zatrzymać.

Jas pewnie się zgodzi. Tyle że Marisa nie miała sił na upokarzające, lecz konieczne wyjaśnienia, co się stało. Z ojcem nie rozmawiała od lat.

Ale przecież nie może zostać z Jakiem, prawda? Musi się z nim skonfrontować. Będą wrzaski, awantura... A potem? Co, jeśli Jake odkryje karty i oznajmi, że to koniec, bo swoją przyszłość widzi z Kate? Marisa zostanie samotną matką gnieźdzącą się w jakiejś nędznej klitce, a Jake będzie odwiedzał dziecko co drugi weekend? To jakiś koszmar. Nie byli nawet małżeństwem. To on spłacał hipotekę. Nie miała prawa do niczego.

„Policz do dziesięciu”. Wyobraziła sobie matkę pochyloną nad jej łóżeczkiem. Kosmyk jej jasnych włosów – takich jakie teraz ma Marisa – opadł i łaskotał ją w ramię. „Policz do dziesięciu, skarbie. A potem zobaczysz, co będzie”.

Tak właśnie robi – zadecydowała. Policzy do dziesięciu. Raz, drugi... tyle razy, ile będzie trzeba. Aż wymyśli, co dalej.

# Część druga

## 12

Kate wróciła pierwsza. Kiedy wkładała klucz do zamka, w domu było ciemno. W żadnym oknie nie paliło się światło. Wewnątrz panował chłód. Centralne ogrzewanie jeszcze się nie włączyło. Jake zna się na tych sprawach; musi mu powiedzieć, żeby je przeprogramował. Zbliża się zima.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła po przekroczeniu progu, nim jeszcze zdjęła kurtkę, było zaciągnięcie zasłon w salonie. Nie lubiła myśli, że przechodnie mogliby zaglądać do środka z ulicy. Przy zapalonych światłach mieszkańcy byli widoczni jak na dłoni.

Odwiesiła parkę na wieszak w przedpokoju. Właśnie zdejmowała szalik i uwalniała włosy spod czapki, kiedy coś usłyszała. Poruszenie, a potem skrzyknięcie.

Znieruchomiała i wstrzymała oddech, wyęzając słuch. W ciemności ten zmysł się wyczula. Z daleka dobiegł dźwięk klaksonu. Ktoś na zewnątrz włączył radio, słyszała jego ciche brzęczenie.

I to wszystko. A jednak stare domy gadają – pomyślała. Wciąż próbowała do tego przywyknąć. Wcześniej mieszkała w nowoczesnych apartamentowcach z portierem na dole. Nie lubiła tamtych sterylnych wnętrz, ale przynajmniej czuła się w nich bezpiecznie.

Prawem kontrastu dom przy Richborne miał już swoją historię. Prześledziła ją, korzystając ze spisu mieszkańców w sieci. W 1901 roku mieszkał w nim pan Humphrey, emerytowany flisak z żoną i trójką dzieci, a także – co warte wzmianki – druga, czteroosobowa rodzina Patricka Lanctona, listonosza. Dom stał naprzeciw niezbyt wysokiego bloku mieszkalnego, następstwa dwukrotnych bombardowań czasu wojny, które starły z powierzchni ziemi oryginalną zabudowę. Kate nie specjalnie wierzyła w duchy, ale też nie mogła ręczyć, że nie istnieją. Czasami zastanawiała się, czy przypadkiem nie czuje czyjeś obecności. Szurającego nogami staruszka o dłoniach stwardniałych po latach pchania barki przez mętne wody Tamizy.



Zadrżała w ciemnym korytarzu.

Na zewnątrz niebo całkiem wyblakło. W zeszłym miesiącu cofnięto zegary i od tej chwili dni stały się jeszcze krótsze. Była dopiero szósta, ale mogło się wydawać, że to północ. Nawet księżyc widoczny przez okienko nad drzwiami zasnuwały szare pasma obłoków.

Rzuciła torbę na podłogę i wyjęła z kieszeni komórkę, żeby sprawdzić, czy nie ma nowych wiadomości. Jake pisał, że tęskni i wróci dopiero o wpół do siódmej. Poczowała delikatny znajomy dreszcz, widząc jego imię na ekranie. Odblokowała telefon.

*Nie ma problemu* – odpisała kciukami, garbiąc się nad ekranem. Wysłała wiadomość i wsunęła telefon z powrotem do kieszeni spodni. Potem się odwróciła, by wymacać na ścianie włącznik światła.

Oczy oślepięte blaskiem wyświetlacza nie chciały od razu przyzwyczaić się do ciemności, a włącznika nie było tam, gdzie spodziewała się go znaleźć. Przesunęła ręką po ścianie, lekko się potykając.

Telefon zawibrował w kieszeni. Sięgnęła do niej, a kiedy się odwróciła, zobaczyła kłęb cienia sunący w jej stronę, rozciągnięty jak kleks z atramentu. Nie zdążyła się nawet zasłonić. Zrozumiała – za późno – że szurające kroki nie były odgłosem antycznych rur ani zwiewnego ducha, lecz żywej istoty, która chciała ją skrzywdzić.

Nim zdołała zareagować, coś ciężkiego i bezkształtnego wyrznęło ją w czaszkę z taką siłą, że głowa opadła jej bezwładnie. Myśli rozpadły się na kawałki, rozprysnęły, a potem zlały w oślepiającą biel. Kate upadła na podłogę. Zawsze sądziła, że zaatakowana będzie krzyczeć. Tymczasem przerażenie odebrało jej głos. Tracąc przytomność, widziała brunatną gęstą ciecz zalewającą jej twarz. Nikłe światelko wolno płynącej łodzi oddalało się mulistym nurtem w ciemność. Na próżno próbowała jej dosięgnąć, kiedy prąd wciągał ją na dno.

Gdy się ocknęła, prawą nogę miała całkiem zdrętwiałą i przyciśniętą do twardej zimnej powierzchni. Powieki jej się skleiły i kosztowało ją trochę wysiłku, by otworzyć oczy. Obraz był zamazany. Zdała sobie sprawę, że jedna z soczewek kontaktowych się przesunęła; czuła ucisk sztywnej krawędzi. Zamrugowała kilka razy i soczewka wróciła na miejsce. Przed oczami Kate pojawił się kalejdoskop poruszających się kształtów, białych i brązowych, który w końcu uspokoił się i przybrał postać podłogi z płytek. Policzek ją bolał. Też był przyciśnięty do czegoś

zimnego. A więc leżała na boku, z twarzą na wykafelkowanej posadzce i prawą ręką przygniecioną własnym ciężarem. Lewa kostka była wykręcona pod niewygodnym kątem. W głowie jej pulsowało. Miała nieprzyjemne uczucie, że jakaś ciecz krzepnie jej na karku. Myśl o krwi spowodowała, że zrobiło jej się słabo i musiała mrugać przez chwilę, aby pozbyć się sprzed oczu niepokojącej wizji.

- Kate.

To było jej imię.

- Kate.

Znowu. Ktoś powtarza jej imię. Głos, który jest znajomy, ale nie trafi go przyporządkować.

- Otwórz oczy, Kate.

Ciągle ma mętlik w głowie. Ktoś potrząsnął śnieżną kulą i myśli wirują wewnątrz jak brokat.

- Kate.

To kobiecy głos. Głos kogoś, kogo zna, choć niezbyt blisko. Kogoś, o kogo się martwiła. Nagle do niej dotarło: to Marisa. Dzięki Bogu. Musiała wejść zaraz za nią i przepłoszyć intruza. Znalazła Kate na podłodze.

- Mrsssa - wymamrotała. Czuła, że rusza jej się ząb i ma spuchnięty język. Chciała powiedzieć, jak bardzo się cieszy, ale wydusiła tylko: - Szsze się...

- Nic nie mów - powiedziała Marisa.

Kate całkiem rozwarła powieki. Widziała fragment kapci Marisy, okropnych puchatych kapci, których szczerze nienawidziła. Marisa wyglądała w nich jak stara baba. A przecież była młoda. Jak można tak o sobie nie dbać? Ale czemu teraz o tym myśli? Trzeba się skoncentrować. Powinna zwlec się z tej podłogi i jechać do szpitala, żeby ktoś ją obejrzał. Marisa będzie musiała wezwać karetkę, to pewne. Tylko czemu ma na nogach kapcie, skoro dopiero co wróciła?

Spróbowała wyciągnąć spod siebie ramię, żeby odepchnąć się dłońmi od podłogi i dźwignąć do pozycji siedzącej, a następnie oprzeć o ścianę. Ale nawet ten drobny ruch spowodował paraliżujący ból w żebrach i kręgosłupie.

Krzyknęła z bólu. Ruszający się ząb ostatecznie rozstał się z dziąsłem i wsunął pod język. Zakrztusiła się. Była pewna, że zaraz zwymio-

tuje. Wypłuła ząb. Wylądował na podłodze pośrodku krwawego kleksa.

Oparła policzek z powrotem na chłodnych kafelkach, czekając, aż miną mdłości i zawroty głowy. Czemu Marisa siedzi beczynn timer? Dlaczego jej nie pomoże?

- Siadaj, Kate.

Głos był monotony, jakby słowa wypowiadał robot. Może robi to specjalnie? Zamierzona szorstkość, która prędzej wytrąci ją z szoku?

- Karetka - wykrztusiła. Bez ruszającego się zęba mówiła nieco wyraźniej.

- Nie potrzebujesz karetki. Nic ci nie będzie. Chcę tylko pogadać.

To był pierwszy dziwny sygnał, który pobudził sponiewierane synapsy Kate. Marisa jednak jej nie pomoże. Marisa nie zachowuje się tak, jak powinna. O! - pomyślała. O.

W następnej kolejności uświadomiła sobie, że nie może poruszać nogami. Wydawały się spojone ze sobą i razem tworzyły niemożliwy do uniesienia ciężar. Pochyliła głowę. Wodząc wzrokiem po podłodze korytarza, dostrzegła zwoje sznura, oplecione ciasno wokół jej ud. Poznała linkę, którą Jake kupił sobie do ćwiczeń w domu. W weekendy mocował ją do słupka bramki w ogrodzie i machał nią z przysiadu, żeby spalić tłuszcz na brzuchu. Teraz lina spoczywała w bezruchu, krępując jej nogi. Kate podążyła wzrokiem za jej biegiem. Ułamek sekundy wcześniej, zanim dotarła do końca, już wiedziała, że tkwi w dłoni Marisy.

- No cześć - usłyszała.

W półmroku zobaczyła Marisę na kuchennym krześle, wyprostowaną i pewną siebie. Dziewczyna trzymała linkę kilkakrotnie owiniętą wokół nadgarstka. Rozpuszczone jasne włosy opadały jej na ramiona. Miała na sobie szary zapinany sweter i niezbyt świeżą koszulkę, była bez stanika. Ciężowy brzuch już się odznaczał. Siedziała z szeroko rozstawionymi nogami. W całej jej postawie była dziwna nonszalancja. Przypominała trochę obraz Maryi z Dzieciątkiem, który Kate widziała u Jake'a na laptopie - fragment późnośredniowiecznej dekoracji ołtarza z monumentalną, wzniosłą Matką na złocistym tle. Jedyntym przejawem jej więzi z trzymanym na kolanach dzieckiem o dorosłej twarzy było lekkie skłonienie głowy spowitej w złoto-niebieską tkaninę. Nawet ręce, z gracją obejmujące Syna, zdawały się go w ogóle nie dotykać.

- Od jak dawna sypiasz z Jakiem?

Marisa zadała to pytanie łagodnym tonem, ale na jej policzkach wi-  
dać było rumieńce, które świadczyły o tym, że wewnątrz płonie gniew.  
Zaskoczona Kate, oszołomiona absurdem sytuacji, potrzebowała dłuż-  
szej chwili, żeby zrozumieć, o co tamta ją pyta. Przez moment zapo-  
mniała nawet o strachu.

- Co?

- Słyszałaś.

Kate się roześmiała. Ponownie spróbowała podciągnąć się do pozycji  
siedzącej i tym razem jej się udało. Podłożyła obie ręce pod bezwładne  
nogi i na wpół pchając, na wpół ciągnąc, ułożyła je mniej więcej pod ką-  
tem prostym do reszty ciała. Oparła się plecami o ścianę, wyczerpana  
wysiłkiem. Pot kapał jej z nosa. Otarła go wierzchem dłoni, a kiedy ją  
cofnęła, dostrzegła krew.

- Co...? Co... ty mi zrobiłaś? - zapytała.

Marisa uniosła brew.

- Och, Kate, Kate, Kate... Cokolwiek ci zrobiłam, to nic w porówna-  
niu z tym, co ty zrobiłaś mnie.

- Nie rozumiem. O co ci chodzi? - Kate zaczęła płakać. Poczula do  
siebie odrazę. - Dlaczego krwawię?

- Nie martw się tym. Będziesz żyć. To tylko niewielki uraz głowy.

Nigdy nie widziała Marisy takiej jak dziś: chłodnej i wyniosłej. Na-  
wet jej słownictwo zyskało medyczny polot. Marisa zwykle bywała roz-  
trzepana, wymięta i troskliwa. Kate zawsze uważała, że jest nieco bez-  
radna. To dziwne. Ostatnio jej zachowanie było dość nieobliczalne i bar-  
dzo ich martwiło. Ale to... Tego się nie spodziewała.

Przyjrzała się uważniej. Potem opuściła wzrok na złożone na kola-  
nach dłonie Marisy. Coś w nich tkwiło. Lampa w korytarzu wciąż nie  
była włączona, ale z otwartych drzwi na końcu sączyło się nieco świa-  
tła. Odbijało się w wąskim przedmiocie, który trzymała Marisa. Kate zo-  
rientowała się, że to nóż. Nóż!

Przeżalenie podeszło jej do gardła. Zaczęła gorączkowo się rozglą-  
dać, szukając drogi ucieczki. Ale nie było ucieczki. Żadnych okien, a ze  
skrzepowanymi nogami i tak nie mogła się ruszać. Poczula ciepło między  
udami i zdała sobie sprawę, że zmoczyła spodnie. Wciąż chlipała, piekło  
ją w krtani, ale zaczęła krzyczeć w nadziei, że ktoś ją usłyszy. Niestety,

dom miał grube mury. Nigdy nie słyszeli sąsiadów z przyległego segmentu szeregowca. Nigdy. Ani razu.

Jej krzyk zdenerwował Marisę.

- Cicho, Kate. Nie wrzeszcz.

Ale Kate nie przestawała wrzeszczeć. Po prostu dźwięk własnego głosu upewniał ją, że jeszcze żyje. Wciąż jest nadzieja. Więc krzyczała. Bez słów. A im głośniejsze i dłużej się darła, tym bardziej Marisa stawała się pobudzona.

- Kate, proszę cię, przestań. Cicho już. Nic ci nie będzie. Nie zrobię ci krzywdy. Obiecuję.

Pochyliła się na krzesło, kładąc ostrożnie nóż na podłodze. Kate uważała, że to jeden z noży z drewnianego bloku stojącego w kuchni. Tych, które domagały się ostrzenia. Któregoś dnia próbowała pokroić nim pomidora i ledwo udało jej się przebić skórkę. To ją nieco uspokoiło. Marisa nie zrobi jej tym krzywdy. Nóż był na postrach, nic więcej.

- Chcę tylko pogadać. - Ton Marisy się zmienił. Już nie był tak wyprany z emocji. Słysząc w nim było nutkę rozgorączkowania. - Czuję, że zaraz zwariuję, i muszę porozmawiać.

Owszem - chciała powiedzieć Kate. Wariujesz. To nie są akcje, jakich dopuszcza się zdrowy na umyśle człowiek. Od miesięcy się o nią martwiła. Gnębiło ją, że Marisa za mało śpi i je. Niepokoiło, że snuje się po domu, jakby ją śledziła. Doszło do tego, że któregoś razu - kilka tygodni temu - Kate przyłapała ją, idącą za nią, na stacji Oxford Circus. Wystraszyło ją to do tego stopnia, że zwierzyła się Jake'owi.

- Wygląda na to, że ma lekką obsesję na twoim punkcie - stwierdził, odgarniając jej włosy z czoła. - Dziewczęce zauroczenie, czy coś w tym stylu.

Kate już wtedy jednak wiedziała, że to nie jest nieszkodliwa fascynacja, lecz coś znacznie bardziej mrocznego. Jakby Marisa chciała stać się Kate. Zająć jej ziemską powłokę. Uszyć sobie kostium z jej skóry.

- To na pewno nie jest korzystne dla dziecka - odparła wtedy. - Zaczynam się o nią bać. A oboje wiemy, że nie chodzi tylko o nią. Najbardziej martwię się o dziecko.

Mieli już plany na przyszłość. Co będą robić, kiedy pojawi się dziecko. Jacy będą szczęśliwi, gdy Marisa w końcu zniknie z ich życia.

- Wiem - powiedział. - Pogadam z nią.

I Kate mu zaufała. Zawsze mu wierzyła.

## 13

Poznali się sześć lat temu. Jake zawsze żartował, że Kate nie ma głowy do detali. To on pamiętał o rocznicach. To on dawał jej walentynkowe kartki z aluzjami do śmiesznych żartów, które rozumieli tylko oni. Ale wiedziała, że spotkali się sześć lat temu, ponieważ wydarzyło się to podczas imprezy z okazji jej trzydziestych urodzin. Pracowała w tym czasie przy promocji niskobudżetowego filmu kina niezależnego, który reżyserował jej przyjaciel. Tak naprawdę robiła mu przysługę i nie zyskała na tym ani grosza, ale mocno wierzyła w ten film. Był ciekawie nakręcony i opowiadał historię, która powinna zostać opowiedziana: dwunastolatka trafia do rodziny zastępczej i zostaje wykorzystana seksualnie przez jednego z opiekunów. Kate udało się namówić kilku krytyków, żeby przyszli na pokaz. Film się spodobał i w recenzjach dali mu po pięć gwiazdek. Dzięki temu dystrybucja nie ograniczyła się jedynie do garstki kin studyjnych. Ajesh, przyjaciel Kate, był teraz hołubiony przez szefów większych wytwórni. Jedna z nich poważnie interesowała się scenariuszem, nad którym pracował – historią nastolatka, który odkrywa, że urodził się pozbawiony poczucia moralności. Roboczy tytuł brzmiał *Zły dzieciak*.

Ajesh pojawił się na jej imprezie, która odbywała się na piętrze pubu Wandsworth, o kilka kroków od jej mieszkania. Przywłókł ze sobą jakichś facetów, których Kate widziała po raz pierwszy. To było dla niego typowe: nie zapytał, czy może kogoś przyprowadzić. Ale nie sposób było go nie lubić, więc nikt nie miał o to pretensji. Bez trudu zjednywał sobie ludzi, żeby robili dla niego różne rzeczy.

– Katie! – huknął od wejścia.

Przy okazji – był jedyną osobą, której wolno było tak się do niej zwracać. Kate wlała już w siebie sporo szampana. Miała na sobie obcisłą kieckę z niebieskiej satyny, kupioną w Topshop specjalnie na tę imprezę, i szpilki, wyższe niż zazwyczaj. Ale to były jej urodziny; kto jej zabroni wyglądać jak zdzira?

Na widok Ajasha uśmiechnęła się promiennie. Wystroił się w sztruktury garnitur, a znajome okulary w sztykretowych oprawkach dodały mu szyku. Zaczęła przeciskać się w jego stronę.

- Wszystkiego najlepszego, skarbie! - Objął ją. - Fiu, fiu! Wyglądasz bardzo sexy!

Pachniał tytoniem i red bullem. Kiedyś ze sobą sypiali, jeszcze na studiach. Było dobrze, ale nie na tyle, żeby coś z tego wynikło. Najwyraźniej jednak nie zaszkodziło to ich przyjaźni. Zdarzało się, że o nim myślała, a czasem te myśli naprawdę ją podniecały, o czym zresztą nigdy mu nie powiedziała.

- Dzięki.

Cofnęła się nieco, żeby dygnąć z gracją. Trochę się zachwiała; była bardziej pijana, niż jej się zdawało. Ajesh złapał ją w pasie, żeby ją podtrzymać.

- Poznaj moich kumpli. - Skinął na tamtych dwóch, żeby podeszli bliżej. Obaj mieli na sobie garnitury.

- Obaj jesteście w garniturach - zauważyła głupekowato.

- To dlatego, że obaj są bardzo ważni. I w przeciwieństwie do nas są dorośli i mają poważną pracę. Prawda, panowie?

Wyższy z facetów się uklonił i podał jej jaskrawożółte pudełko z butelką drogiego szampana.

- Mam nadzieję, że nie masz nam za złe tego najścia - powiedział. Miał miłą twarz, a kiedy się uśmiechał, jego uśmiech sięgał kącików oczu, w których pojawiały się kurze łapki, takie jak trzeba.

- Bardzo dziękuję. O wiele lepsze niż to, co zwykle piję.

- Mówiłem ci, Katie, mają klasę jak chuj.

- To jakim cudem się znacie?

Ajesh wciąż trzymał ją w pasie i gładził dłonią jej biodro. Cieszyła się tym czasem. Wiedziała, że wygląda dobrze i że to jest jej noc.

- No cóż, Jake i Steve, ten tutaj - niższy z facetów mrugnął do niej - finansują mój nowy film.

- Nie w całości - sprostował Jake, wciąż się uśmiechając. - Ale na tyle, żeby Ajesh nas zaprosił na imprezę do pięknej kobiety.

Uniosła brwi. Czuła się swobodna, rozluźniona, jakby wszystkie mięśnie odprężyły się pod spokojnym wzrokiem Jake'a. Delikatnie, aby nie spłoszyć chwili, zdjęła rękę Ajasha ze swojego tyłka i zrobiła krok



w stronę Jake'a. Zdała sobie sprawę, że chce być blisko niego. Garnitur, który wcześniej wydawał się czarny, okazał się ciemnogrnatowy. Jake był bez krawata. Później odkryła, że zdjął go wcześniej i schował do kieszeni marynarki. Dwa rozpięte guziki koszuli odsłaniały trójkąt skóry, który nagle zapragnęła polizać. Miała ochotę stanąć na palcach, wtulić się w to duże bezpieczne ciało i całować każdy jego centymetr. Nigdy wcześniej nie czuła tak intensywnego fizycznego pożądania i w tym jednym momencie zdała sobie sprawę, że całe jej dotychczasowe życie seksualne, wszystkie flirty, pocałunki i związki były jedynie wstępem do tego, co dopiero się wydarzy. Cały czas robiła to źle. Bawiła się w piaskownicy, podczas gdy czekał na nią ogrom wielkiej plaży do odkrycia.

Najdziwniejsze, że nawet wiele ze sobą nie gadali. Jakby zawarli milczące porozumienie w momencie, gdy Jake przekroczył próg pubu i pojawił się na jej przyjęciu. Jak gdyby tak właśnie miało być. To było lekkomyślne i w tej lekkomyślności nieuniknione.

Niewiele pamiętała poza tą początkową fascynacją. Reszta wieczoru wracała do niej w oderwanych obrazach. Tańczą razem do *Mr. Brightside*, podskakują ze śmiechem, złani potem. Koszula Jake'a na wpół wyciągnięta ze spodni. Marynarkę dawno porzucił. Piją szampana, którego przyniósł, prosto z butelki. Jake przechyla ją dnem do góry, żeby wysączyć ostatnie krople. Ich oczy się spotykają. Kate wygłosiła przemowę do przyjaciół i nawet nieźle jej poszło. Ale tak naprawdę chciała zrobić wrażenie na Jake'u, który stał z tyłu, dość wysoki, żeby widzieć wszystko ponad głowami zebranych. Pamiętała, jak oblizuje koniec palca i zanurza w małym woreczku, który podaje jej Ajesh. Światła, muzyka i to poczucie, że wszystko jest dokładnie tak, jak powinno. A potem, kiedy wszyscy są już na haju albo nawaleni, albo jedno i drugie, Jake łapie ją za rękę i wyciąga na korytarz. Tam przyciska ją do ściany. Kate czuje pod potylicą jego dłoń. Jake całuje ją mocno, głęboko, przyciskając całym ciężarem ciała.

To był długi pocałunek. Kiedy skończył, odsunął się, lecz przytrzymał w dłoniach jej twarz. Musnął palcami delikatną skórę pod oczami i powiedział: „Tu jesteś! No cześć!”.

Sporo czasu spędzał w jej mieszkaniu. Wynajmowała kawalerkę; nie było tam zbyt wiele miejsca, żeby mógł się na stałe wprowadzić prawie

dwumetrowy mężczyzna. Jake stwierdził, że nie ma problemu, i trzymał ubrania złożone w porządną kostkę na dnie szafy. Nigdy nie narzekał, że koszule są zmięte, kiedy ubierał się rano do pracy. Obserwowała go, jak wkłada spodnie, zapina pasek. Jak zarzuca marynarkę, ruchami rąk układając ją na plecach, i wiąże krawat w idealny węzeł windsorski. Nie mogła się nadziwić, jaki jest dojrzały.

Był zaledwie o trzy lata starszy, ale praca Kate nie wymagała od niej formalnego ubioru ani tego, żeby zachowywała się jak dorosła. Prawdę mówiąc, wprost przeciwnie. W branży filmowej mile widziany był image dwudziestolatka. Jej biuro mieściło się w samym sercu Soho i większość wieczorów spędzała w barach z kolegami. Faceci nosili okulary w grubych oprawkach i nowiutkie adidasy prosto z pudełka, stylizując się na gwiazdy hip-hopu. Z kolei kobiety wkładały bojówki i prostowały włosy, wzorując się na modelkach odzieży sportowej. Raz lub dwa razy w tygodniu drink przeradzał się w całonocną balangę i roz hulana grupa lądowała nad ranem w Groucho ze szklistymi oczyma i mrowiącymi nosami, wciągając kreski koki w toalecie pod tabliczką z napisem: „W tym lokalu prowadzimy ścisłą politykę antynarkotykową”.

A po wszystkim wracali ramię w ramię, zataczając się środkiem ulicy, przy wtórze klaksonów i wrzasków taksówkarzy, żeby zabierali się z jezdni.

Kiedy czekali na nocny autobus, służby zaczynały już sprzątać chodniki. Wracali do domów, żeby przespać się godzinę lub dwie, a potem szli do pracy w ciemnych okularach, ciuchach w panterkę i nieświeżym makijażu, stanowiących wspomnienie minionej nocy. Resztki brokatu trzymały się twarzy niczym uparte rzepy.

Byli nietykalni. Bawili się. Robili to w sposób tak zdecydowany, świadomy i niezbędny, że zdawało im się, iż to jedyny sposób na życie. Współczuli grubym rybom w garniturach, prezesom, bankierom i speccom od zarządzania, niewolnikom gigantycznych pensji. Stawiali się w opozycji do nich. Nie martwili się tym, że zarabiają mniej, że nie mają ubezpieczeń emerytalnych, a szefowie wykorzystują ich jak stażystów. Liczyła się istota rzeczy, czymkolwiek była. „Co osobiste, jest polityczne” – mawiali do siebie i kiwali żarliwie głowami, niezupełnie wiedząc, co to znaczy. Byli anarchistami, od nowa ustalali odziedziczone po rodzicach reguły pracy, życia, całego świata. Przy okazji produkowali jeszcze filmy, robili im marketing i chodzili na przedpremierowe projek-

cje, gdzie podawano małe butelki wody mineralnej i trójkątne kanapki na plastikowych tackach. Tam prosili dziennikarzy o podpisanie klauzuli poufności, a potem wysyłali im maile z pytaniem o wrażenia. Ale moralna wartość ich pracy, a nawet wewnętrzne sprzeczności ich położenia nigdy nie ulegały kwestii, dopóki głosowali na labourzystów i segregowali śmieci.

Jednym z obowiązków Kate, kiedy zaczęła pracować w firmie, było organizowanie „konferencji wyjazdowych”. Wynajmowano hotelowy apartament na dzień lub dwa i dany aktor lub aktorka, otoczeni świątą asystentów, trenerów personalnych, zapalaczy kadzidełek oraz nimbem niewątpliwego blichtru, odpowiadali na pytania dziennikarzy. Nie ważne – z prasy, radia czy telewizji. Pytania były zawsze te same.

„Jakie to uczucie móc pracować z takim to a takim?”

„Jak przygotowywała się pani do tej roli?”

„Co było powodem rozstania z (tu wstawić dane celebryckiego partnera)?”

I (wyłącznie do kobiet mających dzieci): „Jak udaje się pani pogodzić macierzyństwo z pracą?”.

Oraz (do tych, które dzieci nie posiadały): „Czy myślała pani o założeniu rodziny?”.

Kate siedziała w łazience na krawędzi marmurowej umywalki, nad słuchując dyskretnie, czy nie pada pytanie, którego nie życzył sobie sztab danego celebryty. Zawsze było jej głupio. Niby nie uczestniczyła w konferencji prasowej, a mimo to wszyscy zainteresowani wiedzieli, że ona tam jest. I że usłyszy, gdy rozmowa skręci w niepożądanym kierunku, a wtedy wyskoczy jak diabeł z pudełka i przerwie wywiad. Nie cierpiała tego robić i bardzo się denerwowała. Dziennikarze często byli znacznie starsi od niej i dziwnie się czuła, uciszając ich – jakby odbierała im wolność słowa. Nie żeby nękały ją skrupuły moralne. Po prostu nie rozumiała, dlaczego nie wolno im pytać, o co zechcą. Indagowana osoba mogła przecież zwyczajnie stwierdzić, że nie chce odpowiadać na to pytanie.

Zagadnęła kiedyś o to swoją szefową Micę, dyrektorke działu marketingu. Ta spojrzała jej prosto w oczy i odpowiedziała:

– Ponieważ celebryci są jak dzieci. Potrzebują ludzi, którzy wszystko robią za nich. Stracili zdolność podejmowania samodzielnych decyzji.

- Trochę generalizujesz, co? - Kate zaśmiała się nerwowo.

Mica zmierzyła ją wzrokiem. Nosiła wielkie złote koła w uszach, miała usta umalowane matową koralową szminką, krótko ostrzyżone włosy i na swój sposób była onieśmielająca.

- Skarbie, twoim zadaniem nie jest pytać, dlaczego coś się robi tak, a nie inaczej. Masz to po prostu robić, jasne?

- No dobrze, ale...

- Nie. Tego właśnie nie robimy, skarbie. Nie wdajemy się w dyskusje. Nie chcemy, żeby naszą wspaniałą promocję trafił szlag, bo jakiś idiota powie: „Czy ja wiem...? Hitler wcale nie był taki zły”.

- Jasne! - Kate parsknęła śmiechem.

- Jeszcze się zdziwisz, skarbie. - Mica wstała zza biurka i skrzyżowała ramiona. Jej złote bransolety zadzwoniły. - Jeszcze się zdziwisz.

Kate wzięła sobie radę do serca i robiła, co jej kazano. Pięła się po szczeblach kariery, aż zastąpiła swoją dawną szefową, która odeszła do lifestylowej marki produkującej ekskluzywne legginsy i kryształowe rollery do twarzy, mówiąc, że się wypaliła - musi zwolnić i odnaleźć sens życia. Kate kupiła kiedyś parę rzeczy w ich sklepie internetowym. Fajne, chociaż cena przesadzona. Przysłane legginsy miały pionowe złote zamki błyskawiczne u dołu nogawek.

Kilka miesięcy później jeden z promowanych filmów zaliczył totalną klapę w box offisie po tym, jak reżyser na konferencji prasowej oznajmił, iż książka pewnego autora, który notorycznie przeczył istnieniu Holokaustu, „nie jest pozbawiona wartości”. W sumie Kate nawet nie była zdumiona - od razu przypomniała sobie słowa Miki. Nie trwoniąc energii na oburzenie, sporządziła notatkę kryzysową do dystrybutorów. Skupiła się na łagodzeniu skutków, odwracaniu uwagi prasy i przygotowaniu przeprosin, które reżyser podpisał bez czytania. Przeprosiny zamieszczono również na Twitterze, gdzie dostały dwadzieścia pięć tysięcy lajków.

Teraz Kate obserwowała nowe w branży dziewczyny, pełne naiwnego idealizmu jak ona kiedyś. Zdała sobie sprawę, jak strasznie musiała wkurzać dawną szefową. Zrozumiała też, że biznes ją zahartował. Z początku działało się to niezauważalnie, a potem nagle się stało, z dnia na dzień. Przestała kochać kino głównego nurtu i straciła wiarę w to, że sztuka może zmienić ludzkość. Zrobiła się cyniczna. Bez zmrużenia oka

patrzyła na promocyjne popisy, ogromne wydatki na konferencje hotelowe, niekończący się lobbing na festiwalach i idiotyczne zachcianki hollywoodzkich gwiazd dużego formatu (na przykład żeby im znaleźć kucharza specjalizującego się w daniach makrobiotycznych o trzeciej w nocy w Soho). Właśnie dlatego kiedy Ajesh poprosił ją o pomoc przy *Złym dzieciaku*, nie wahała się ani chwili. Cieszyło ją, że wreszcie może się czymś naprawdę przejąć. Siedziała do nocy, pracując przy składanym stoliku, który służył jej za biurko. Przestała tak często wychodzić ze znajomymi i odkryła, że wcale jej tego nie brakuje. Przybyło jej lat, a ubyło sił i koka zaczynała męczyć. Kate była gotowa na zmianę. Całkiem jakby grała w grę komputerową i czekała właśnie, aż odblokuje się kolejny poziom. Kiedy Jake pojawił się na jej imprezie urodzinowej, wiedziała od razu. Wiedziała, że to jest to, na co czekała. Nie chodziło tylko o niego, ale o wszystko, co sobą reprezentował: dojrzałość, wspólne życie, ustatkowanie się, rezygnację z niepotrzebnych szaleństw.

Jake był szczery i to właśnie w nim lubiła. Nie obracał się w jej świecie. Nie rozumiał go. Nie uwodził go blichtr ani nie pociągały wielkie nazwiska. Wolał arkusze kalkulacyjne i liczby, które miały sens. Ale uwielbiał również Kate, co było bardziej niż widoczne.

Po trzech miesiącach zaproponował, żeby się do niego wprowadziła. Kate wynajmowała kawalerkę, ale Jake przezornie kupił sobie mieszkanie przed boomem na rynku nieruchomości; dwupoziomowe lokum w prestiżowym budynku w Battersea, niedaleko parku. Dawna Kate kręciłaby nosem, uważając to miejsce za nazbyt eleganckie. Według niej tę część Londynu zamieszkiwali sami młodzi faceci w czerwonych spodniach i ocieplanych kamizelkach, studiujący zarządzanie nieruchomościami w oczekiwaniu, aż wykorzystają zdobytą wiedzę w rodzinnej posiadłości. Ale trzydziestoletnia Kate nie była już tak nieprzejednana, jak ta sprzed pięciu lat. Poza tym Jake zarabiał znacznie więcej niż ona i zaoferował się, że będzie opłacał kredyt oraz większość kosztów, prosząc ją jedynie o symboliczny wkład.

Mieszkanie okazało się znacznie ładniejsze i miłsze, niż przypuszczała. Miało dość niskie stropy, za to ogromne okna, do tego dwie przyzwoite sypialnie i trzecią z własną łazienką. Na podłogach leżały marokańskie dywany. W kuchni białe półki zapełniała wzorzysta zastawa,

którą dostał od matki. W głównej łazience znajdowała się olbrzymia kabina prysznicowa, którą Jake nazywał pokojem kąpielowym.

- To jest prysznic, Jake - stwierdziła przekornie.

- Pokój kąpielowy - sprostował, łapiąc ją delikatnie za ramiona i masując kciukami jej kark. - Tak mówił agent nieruchomości.

Roześmiała się.

- No cóż, w takim razie... Wiadomo, że agenci zawsze mówią prawdę, więc...

Pochylił głowę i pocałował ją, a ona wtuliła się w niego, czując twardość i ciepło jego ciała, a także niezachwiany rytm serca.

- Kocham cię - powiedziała i jeszcze nigdy nie mówiła tego równie serio.

Seks był dobry. Nie był to, jeśli miałyby być brutalnie szczerą, najlepszy seks w jej życiu, ale w tym kontekście dawał radę. A kontekst wyglądał tak, że Jake był dobrym człowiekiem, a ona go kochała. Zdarzyły jej się w życiu nieziemskie orgazmy, ale zawsze z niesolidnymi narcyzami, którzy mogli się szczyścić wyłącznie techniką, lecz nie interesowała ich więź emocjonalna. Mylnie brała buzujące w brzuchu bąbelki napięcia za kiełkującą namiętność, sądząc, że miłość to niepokój i oczekiwanie, na wół spakowana walizka przed podróżą.

Dla odmiany Jake był jak dom. Przy nim czuła się bezpiecznie. W łóżku był troskliwy, zawsze pytał o jej potrzeby. Ciągle dbał o to, żeby jej nie skrzywdzić, nie speszyć czy z innego powodu nie zawieść. Tymczasem Kate marzyła, żeby zostać zerznięta dokładnie i bez żadnych dyskusji. Za dużo miała gadania w normalnym życiu, żeby jeszcze gadać w sypialni. Miała po dziurki w nosie negocjacji i ludzi, którzy sami nie wiedzą, czego chcą. Wstydziała się tego i jej feministyczne „ja” gorczyło się tymi sekretnymi pragnieniami. Paradoksalnie jednak normalność współżycia z Jakiem z czasem przyniosła jej ulgę.

Najbardziej podniecające w nim było to, że tak mocno jej pragnął, przez co czuła się zmysłowa i pożądana. Za każdym razem seks stawał się coraz lepszy. Jake się uczył, jak jej ciało reaguje na jego dotyk, a Kate starała się wyłączyć myślenie, w miarę możliwości uczestniczyć w tym akcie jako byt czysto fizyczny - i wtedy działało.

Przynajmniej do pewnego czasu.

# 14

Patrząc wstecz po tym, jak ich życie się zaważyło, Kate usiłowała stwierdzić, kiedy wszystko zaczęło się sypać. Dawniej nie zdawała sobie z tego sprawy, ale z perspektywy czasu doszła do wniosku, że musiało to nastąpić, kiedy poznała matkę Jake'a. Wtedy po raz pierwszy pojawiły się między nimi tarcia. I niestety zostały, jak ślad po dawno rozbitej szklance na kuchennej podłodze. Niewidoczny, póki nie staniesz na nim rano bosą stopą.

Byli ze sobą od sześciu miesięcy, kiedy przyszło zaproszenie od Annabelle. Dzwoniła do syna w każdą sobotę o piątej po południu, żeby „być na bieżąco”. Kate słyszała jej przenikliwy głos w słuchawce, gdy Jake rozmawiał, siedząc na sofie w salonie. On też mówił wówczas innym tonem, bardziej przymilnym, jakby wciąż szukał jej aprobaty.

Uważała za dziwne, że dorosły mężczyzna ma takie relacje z matką. Podlegały ścisłemu rygorowi, a zarazem cechowała je nadmierna cłkliwość. Kiedy zdarzało się - a działo się to tylko sporadycznie - że Jake zapomniał o telefonie o piątej, Annabelle natychmiast dawała do zrozumienia, jak bardzo jest tym zraniona. Któregoś razu w sobotnie popołudnie wybrali się do kina. Gdy Jake po seansie zerknął na telefon, znalazł cztery nieodebrane połączenia i trzy wiadomości, każda w coraz bardziej niespokojnym tonie.

- Cholera - rzekł. - Lepiej zadzwonię. Inaczej będzie się martwić.

- Jasne - mruknęła Kate, puszczając jego ramię. Nie miała zamiaru się mieszać, ale chciała mu pokazać, że nie uważa tego za normalne.

Oddzwonił i udało mu się udobruchać matkę. Nazajutrz wysłał jej bukiet kwiatów, co Kate uznała za dużą przesadę.

- Chyba powinnam się cieszyć, że jedyną poza mną kobietą w twoim życiu jest twoja matka - zażartowała, choć nie był to do końca żart.

- Ale ty jesteś jedyną, z którą chcę uprawiać seks.

Wcale jej to nie pocieszyło. Jake nie napiętnował zachowania matki, nie zamierzał się od niej ani trochę zdystansować.

- Co za ulga! - sarknęła.
- Zobaczysz. Pokocha cię od razu.

I znowu to nie było to, co Kate chciała usłyszeć.

Na tym temat się urwał. Jake wyjaśnił, że są sobie tak bliscy, ponieważ on jest jedynym synem, w dodatku najstarszym z dzieci, więc matka bardzo na niego liczy i na nim polega. Kate wyraziła zdziwienie, że Annabelle nie zwraca się z niczym do córek ani do męża, ojca Jake'a.

- Och, Chris nie jest za dobry w tych sprawach - odparł gładko. Chłodny, rzeczowy ton wskazywał, że powtarza czyjąś często przedstawianą opinię. Jake zawsze nazywał ojca po imieniu, kiedy chciał go zbagatelizować.

- Jakich sprawach? - spytała.

- Chodzi mi o to, że jest miły, sympatyczny i tak dalej, ale nie ma za wiele ikry. To mama nosi spodnie w tym domu.

- Słyszałam, że jest lekarzem.

- Rodzinnym. Na emeryturze. Nigdy nie był wybitnym specjalistą.

- A twoje siostry?

Jake drgnął.

- To skomplikowane. Dwie mieszkają za granicą, a Millie nigdy nie dzwoni.

- Twoja mama może do nich zadzwonić, prawda?

- Dzwoni. Ale to ze mną zawsze była najbardziej żyta.

Wygłosivszy taką lub podobną deklarację, najspokojniej w świecie wracał do tego, co akurat robił - oglądał mecz rugby w telewizji, siedząc na kanapie i obejmując Kate ramieniem, lub wertował książki o strategiach zarządzania w biznesie. Nigdy nie dopatrzył się w jej pytaniach żadnego podtekstu. Zawsze miał o niej jak najlepsze zdanie i brał wszystko, co mówiła, za dobrą monetę. To była część jego nieświadomego wdzięku. A nie mogła żądać wszystkiego naraz.

Tak więc tematu rodziny lepiej było po prostu unikać. Zresztą Annabelle i Chris mieszkali kawał drogi od nich, w Tewkesbury, i dopóki Kate nie musiała ich widywać, nie miała z tym wszystkim problemu.

Ale podczas jednej z sobotnich rozmów telefonicznych zostało wystosowane zaproszenie. Jake siedział jak zwykle na sofie, Kate poszła do sypialni, żeby przejrzeć dodatek do gazety. Słyszała, jak Jake rozmawia.

- Tak, mammo.



- Tak, wszystko w porządku. Dzięki.

- Nie, nie jestem bardzo zajęty w tym tygodniu. Umowa przeszła, więc jest okej.

- Tak.

- Mhm.

- O. Dobra. Taa...

- Nie ma jej w pobliżu. Czeka, spytam.

Jake wszedł do sypialni i zbliżył się do łóżka z telefonem w wyciągniętej ręce.

- To mama - powiedział. - Chce z tobą rozmawiać.

Kate miała absurdalne przeczucie, że zaraz zostanie zrugana. Annabelle, nie przebierając w słowach, poinformuje ją, że nie jest dość dobra dla jej ukochanego synusia. Kate nie wzięła telefonu; naciągnęła kaptur bluzy na głowę i schowała się w miękkiej bawełnie jak dziecko. Sama nie wiedziała, czemu to robi.

Jake potrząsnął aparatem i przynaglił ją samym ruchem warg:

- No bierz!

Wyciągnęła rękę i przysunęła telefon do ucha.

- Halo?

- Dzień dobry. Kate? - Głos był dźwięczny i władczy.

- Tak.

- Mówi Annabelle, matka Jake'a.

- Tak. Wiem.

Annabelle zaśmiała się sucho i Kate zdała sobie sprawę, że nie zabrzmiało to zbyt uprzejmie.

- Jak się pani miewa? - zapytała, nadając głosowi fałszywie radosny ton. - Bardzo się cieszę, że mogę z panią rozmawiać.

- Mnie też jest przyjemnie, że cię słyszę. I że mogę wreszcie połączyć głos z imieniem, które tyle razy słyszałam. Jak rozumiem... - tu nastąpiła króciutka, acz znacząca pauza - ...spotykacie się z Jakiem od jak dawna? Od trzech miesięcy, prawda?

- Właściwie od sześciu, ale...

- Sześciu! Mój Boże!

Kate spojrzała na Jake'a, który z założonymi rękami opierał się o futrynę. Na jego czole malowała się niewielka zmarszczka. Zastanawiała

się, czy celowo skrócił okres ich znajomości, żeby nie denerwować matki.

- Sporo czasu spędzacie razem - ciągnęła Annabelle. - Zawsze kiedy dzwonię, jesteś u niego.

- No tak, ja...

A więc nie zdradził, że razem mieszkają.

- No tak - przyznała słabo.

- Posłuchaj, muszę zaraz kończyć, bo mam paellę na kuchence, ale właśnie mówiłam Jake'owi, że byłoby wspaniale, gdybyście wpadli w któryś weekend na lunch. Kiedykolwiek wam pasuje. Doskonale rozumiem, jak zajęci są teraz młodzi ludzie. Wybierzcie termin, a my się dostosujemy. Poza dwudziestym, dwudziesty odpada, mam spotkanie towarzystwa śpiewaczego. I trzynasty w zasadzie też. Ale każdy inny dzień jak najbardziej.

- Bardzo dziękuję - bąknęła Kate, choć Annabelle podeszła ją koncertowo. Trudno wymyślić sobie wymówkę, gdy ktoś nie podaje konkretnej daty. - Będzie nam bardzo miło.

- Świetnie. Już nie mogę się doczekać.

Zapadła cisza, która po chwili zaczęła nieco ciążyć. Kate przyjrzała się swoim stopom na końcu łóżka. Miała na nich brązowe włóczkowe skarpety. Za stopami rozciągał się widok na korony drzew w parku. Na niebie wisiał nikły ślad różowawego obłoczku.

- Możesz mi dać Jake'a do telefonu?

- Tak, oczywiście. Przepraszam.

Oddała mu słuchawkę. Jake zdziwiony uniósł brwi, ale odwróciła się plecami, udając, że przegląda magazyn. Kate nienawidziła poznawać rodziców, dlatego nigdy nie zaproponowała tego Jake'owi. Jej rodzice byli przemiłymi spokojnymi konserwatystami, mieszkającymi w podmiejskim bliźniaku, ale niewiele mieli wspólnego z tym, kim Kate była teraz. Oni nie rozumieli jej, a ona nie rozumiała ich. I obie strony to respektowały. Nie ufała dorosłym, którzy nie umieli się wyrwać z rodzinnych więzów. Było dla niej nie do pojęcia, dlaczego ma być niewolnicą konwenansu i tłuc się na wieś, a tam kłaniać w pas wielmożnej Annabelle i jej mężowi pantoflarzowi tylko dlatego, że sypia z ich synem.

Łóżko się ugięło, kiedy Jake położył się za nią. Przytulił się „na łyżeczkę” i pocałował ją w kark.

- W porządku? - zapytał. - Wiem, że tego nie trawisz, ale naprawdę doceniam. - Dostrzegł, że jej spięte barki zaczynają się rozluźniać. - Mama oszaleje na twoim punkcie. Zobaczysz.

Odwróciła się do niego i pocałowała go w usta.

- Zrobię to dla ciebie.

I miała zamiar dotrzymać tej obietnicy.

Trzy tygodnie później pojechali do Tewkesbury. Samochód był pierwszym poważnym zakupem, którego dokonali wspólnie. Jake śledził ogłoszenia motoryzacyjne całymi dniami, zanim trafił wreszcie na dobrą okazję - srebrnego volkswagena polo z rozsądnym przebiegiem na liczniku. Cena: dwa tysiące funtów z powodu rysy na lakierze, którą żadne z nich się nie przejmowało. W ogłoszeniu podkreślano, że auto prowadziły wyłącznie kobiety, co Kate uznała za niebywale śmieszne.

- Możemy napisać maila i spytać, jakie kobiety? - zadrwiła, drapiąc Jake'a po głowie w sposób, który uwielbiał.

- A od jakich kobiet nie kupiłabyś samochodu? - odparował z uśmiechem.

- Upadłych. Rozwiązanych. Takich, które noszą za dużo lycry i kopczą szluga na siedzeniu pasażera w aucie najlepszej kumpeli.

Jake roześmiał się, choć nie wychwycił aluzji do utworu TLC No Scrubs. Nie był wielkim fanem muzyki. Wolał wiadomości sportowe i audycje w radiu, ale przynajmniej podzielał jej miłość do Oasis.

- Powinniśmy przesłuchać rzeczone kobiety - rzekł, sadzając ją sobie okrakiem na kolanach. - A jeśli znajdziemy w nich skazę, odmówić kupna samochodu.

Pocałowali się, a kiedy Kate odchyliła głowę i przyjrzała się jego przystojnej, otwartej twarzy, pomyślała, że nigdy dotąd nikogo tak bardzo nie lubiła. Oczywiście kochała go, ale często miłość wcale nie idzie w parze z lubieniem. W tym przypadku czuła jedno i drugie.

Kiedy pojawili się w Lambeth, pod niskim blokiem z lat pięćdziesiątych, żeby kupić samochód, w zasięgu wzroku nie było żadnej kobiety. Był za to mężczyzna, który wziął od nich pieniądze i wręczył im kluczyki.

- Tak oto, mój drogi, mamy przykład na to, jak działa patriarchy - oznajmiła z siedzenia pasażera, kiedy Jake wycofywał samochód z miej-

sca parkingowego.

- Mogę ten jeden raz nie przejmować się patriarchatem, jeśli dzięki niemu zrobiłem dobry interes, kupując to auto? - Puścił kierownicę, która sama wróciła do pierwotnego położenia.

- Nie jestem pewna, ale tym razem na ciebie nie doniosę.

Powiodła palcami po piegach na jego nagim przedramieniu. Potem, kiedy się kochali, wyobrażała sobie, że leży rozciągnięta na masce samochodu. Dochodząc, czuła ciepło silnika pod pośladkami.

Przypomniała to sobie, gdy jechali na spotkanie z jego rodzicami. Właściwie nigdy dotąd nie kochali się w samochodzie. Pewnie byłoby ciasno i niewygodnie, ale mimo to pomysł wciąż jej się podobał. Tyle że krępowała się wyjawić go Jake'owi z obawy, że ten ją wyśmieje albo uzna za zбочzoną. Jego podejście do seksu było pokrewne jego życiowej filozofii: im mniej komplikacji, tym lepiej.

Odwróciła się, żeby przyjrzeć mu się z profilu. To Jake zawsze prowadził, bo zwyczajnie był lepszym kierowcą. Zdążył się już trochę opalić na wczorajszym pikniku w parku w Battersea. Wzięli koc, butelkę różowego wina, bagietkę i tubkę humusu z marketu. A następnie ubzdryngolili się w popołudniowym słońcu.

- W porządku? - zapytał.

Pokiwała głową.

- Nie stresuj się. Wyglądasz wspaniale.

Kate wcale się nie stresowała, choć podejrzewała, że powinna. Może być uprzejma, czarująca i robić co trzeba, ale miała przeczucie, że próba rywalizacji z jego matką byłaby takim samym błędem, jak nawiązanie pozornej, fałszywej zażyłości. Lepiej było trzymać Annabelle na lekki dystans.

Włączyła radio, żeby nie musieli rozmawiać. Wokal jakiejś gwiazdy popu z silnym pogłosem wypełnił wnętrze auta. Kate, mimo że nie czuła stresu, sporo uwagi poświęciła swemu strojowi. Nie żeby zamierzała zrobić wrażenie na Annabelle. Po prostu chciała się czuć w tej niecodziennej sytuacji na tyle pewnie, na ile to było możliwe. Wybrała więc ulubione przykrótkie dżinsy, buty na koturnie i jedwabną musztardową bluzkę, rozpiętą pod szyją, żeby odslaniała gruby złoty naszyjnik. Tego ranka użyła suszarki, więc jej włosy były gładkie niż zwykle. Niesforne pukle udało się spacyfikować i ułożyć w eleganckiego boba. Czerwona

szminka, ciemna mascara, odrobina różu na kości policzkowe i wystarczy. Wiedziała, że Jake lubi czerwoną szminkę. Twierdził, że Kate wygląda z nią bardzo „parysko”. Ilekroć to mówił, nie mogła powstrzymać śmiechu, widząc zaślepiającą go typową męską żądzę.

Dotarcie na miejsce zajęło im trzy godziny. Jechali przez Chiltern Hills, niezliczone rondo Swindonu, a potem przez małe staroświeckie wioski w Cotswolds, budowane z jasnego kamienia. W końcu Jake włączył migacz i skręcili na krótki podjazd prowadzący na dziedziniec imponującego domu z czerwonej cegły. Kiedy Jake opowiadał jej o swoim dzieciństwie, zawsze mówił o domu na wsi. Teraz zdała sobie sprawę, że to nie był żaden wiejski dom, a raczej ucieleśnienie tego, jak wiejską sielankę wyobrażają sobie bogacze. Naliczyła cztery kominy, a każde okno okalały rzeźbione kamienne gzymsy. Po obu stronach drzwi wejściowych stały dwa idealnie przystrzyżone miniaturowe drzewka. Ich liściaste gałęzie posłusznie tworzyły dwie jaskrawozielone kule. Żwir na podjeździe był tak czysty, jakby dopiero co go przywieźli na potrzeby tej inscenizacji. Dom otaczały pola i zagajniki, a kiedy Kate wysiadła z samochodu, usłyszała śpiew ptaków.

- Chyba jaja sobie robisz - powiedziała, kiedy Jake podał jej rękę.
- Słucham?
- Przecież tu jest pięknie!
- Dziękuję. - Zarumienił się.

Wcale nie miała na myśli pochwały. Zdała sobie sprawę, że „pięknie” było złym słowem. Tu było onieśmielająco, a ona nie cierpiała, kiedy ktoś próbował ją onieśmielić.

Drzwi się otworzyły, zanim zdążyli dotknąć ozdobnego wiktoriańskiego dzwonka.

- Kochanie! - Annabelle wybiegła na zewnątrz i uściskała Jake'a, wtulając twarz w jego ramię. Uścisk trwał kilka sekund, zanim go puściła. - A to musi być Kate.

Zrobiła krok do przodu i wzięła ją za obie ręce.

- Pozwól, niech ci się przyjrzę - powiedziała, mierząc ją wzrokiem z góry na dół. - Jesteś bardzo szczupła.

Jake się roześmiał.

- Mamo, przestań. Masz jakąś obsesję na punkcie wagi.

- Och, tylko się droczę. Przecież teraz to komplement dla dziewcząt, prawda?

Zamknęła Kate w kościstym uścisku. Kate musiała przymknąć oczy, żeby nie było widać, jak nimi przewraca.

- Cudownie cię widzieć - westchnęła Annabelle, patrząc na Jake'a ponad jej ramieniem. - Wchodźcie, wchodźcie.

Uścisk nagle się rozluźnił i kobieta pierwsza weszła do środka.

W holu było chłodno. Na podłodze leżały płytki w czerwono-brązowy wzór, który przypomniał Kate szkołę z internatem. W lekkim półmroku miała okazję po raz pierwszy dokładnie się przyjrzeć matce Jake'a. Annabelle była wysoka i elegancka. Trzymała się prosto. Jej ciało było raczej mocnej niż delikatnej budowy. Miała duże dłonie o długich palcach, na których lśniły cienkie złote pierścionki. Była mocno opalona, a dwa przebarwienia na lewym policzku tworzyły brązowawy archipelag. Miała niezwykle niebieskie oczy, niczym płytkie morze, gdzie przez wodę widać biały piasek. Ubrana była w luźny kardigan z białego lnu włożony na koszulkę w kolorze szałwi, do tego białe spodnie i purpurowe marokańskie pantofle, odwinęte tak, że widać było kostki.

- Cześć, tato - powiedział Jake.

Dopiero wtedy Kate zauważyła drobną postać wyłaniającą się zza drzwi. Chris uścisnął dłoń syna, a potem podszedł do Kate i delikatnie ucałował ją w oba policzki. Miał łagodne oczy. Był ubrany w burgundowy sweter ze skórzanymi łatami na łokciach.

- Miło z waszej strony, że zrobiliście taki kawał drogi - rzekł, a jego głos natychmiast rozpląnął się w półmroku domu, budząc echa.

Chris skinął na nich, żeby weszli do bawialni, jak nazwał jasny, kwiecisty pokój, w którym stały miękkie sofy obite tkaniną w konwaliowy deseń.

- Na pewno chcecie się czegoś napić.

Oddalił się w kierunku barku, który stał obok regału bibliotecznego zajmującego całą ścianę. Kate dostrzegła egzemplarz Cywilizacji Kennetha Clarka, a nad kominkiem oprawione w srebrne ramki zdjęcia kędzierzawych dzieciaków. Przypomniała sobie, że ciągle ściska w dłoni bukiet tulipanów, który nabyli w kwiaciarni w Battersea. Łodygi zdążyły do reszty przemoczyć brązowy papier, w który były zawinięte.

- Annabelle, to dla ciebie!

Matka Jake'a spojrzała na nią dziwnie. Wyciągnęła rękę spowitą fałującym lnem i wzięła bukiet, trzymając go z dala od siebie, jakby się bała, że się pobrudzi. Na jej twarz wypłynął uśmiech, który jednak nie dotarł do oczu.

- Dziękuję, Kate - mruknęła. - Właśnie miałam zaproponować, żebyś zwracała się do mnie po imieniu, bo nie robimy tu ceregieli. Cieszę się, że czujesz się tak komfortowo, że sama na to wpadłaś. - Schyliła głowę i powąchała kwiaty. - Bardzo ładne. Normalnie nie zwracam sobie głowy kwiatami ciętymi. Wiesz, mamy tyle pięknych roślin w ogrodzie. Och, skąd mogłaś wiedzieć? - Roześmiała się krótko. - Przecież nie byłaś tu nigdy wcześniej, prawda? Wybacz mi, skarbie, nie nadążam spałmętać wszystkich przyjaciółek Jake'a. - Słowo „przyjaciółek” wypowiedziała w taki sposób, że niemal słyhać było cudzysłów. - Głuptas ze mnie. Później cię oprowadzimy, prawda, Jakey? Zobaczysz domek gościnny, który dopiero co urządziliśmy w jednym z budynków gospodarczych. Jest bardzo ładny. - Uniosła bukiet tulipanów, które zdawały się wędznąć pod jej wzrokiem. - Ale kwiaty są wręcz cudowne. Muszę sobie przypomnieć, gdzie trzymam wazon. Usiądźcie, proszę.

Wskazała krzesła. Usiedli.

Annabelle wyszła z pokoju. Mijając Jake'a, uściśnęła jego ramię i ucałowała w czubek głowy, jakby był dzieckiem. Kate podchwyciła jego spojrzenie. Mrugnął do niej. Wolno wypuściła powietrze. Jeszcze kilka godzin i będzie mogła się stąd wydostać.

- Proszę. - Chris wsadził jej w rękę ogromną szklanę dzinu z tonikiem.

Wzięła potężny łyk właśnie w momencie, kiedy do pokoju wróciła Annabelle z kieliszkiem białego wina, żeby wznieść toast. Kate przeknęła tak dyskretnie, jak tylko zdołała.

- Chciałam podkreślić, jakie to święto, że Jakey zawitał w domowe progi, a my możemy wreszcie poznać zawsze szykowną Kate.

- Otóż to - zawtórował jej Chris, wznosząc chyba jeszcze większą szklanicę dzinu z tonikiem. Uśmiechał się niewyraźnie, co mogło wskazywać, że nie był to pierwszy drink tego dnia.

Annabelle usiadła na sofie obok syna, kładąc mu protekcyjnie wolną dłoń na kolanie. Kate, siedząc w fotelu po drugiej stronie, obser-

wowała Chrisa. Przycupnął na sfatygowanym skórzanym stołku przy kominku, skąd natychmiast poderwał go głos żony:

- Kochanie, orzeszki!

- A tak, mój błąd. - Chris wstał z półprzysiadu, z chrzęstem prostując kości. Podszedł do barku, wyjął z niego potężną paczkę orzeszków i przesypał z niej garstkę do maleńkiej kryształowej miseczki, którą z wielką pompą przyniósł i postawił na niskim stoliku kawowym pośród egzemplarzy czasopisma „House & Garden”.

Stolik stał za daleko, żeby Kate mogła do niego sięgnąć, więc po prostu sączyła dzin. Niebawem zaczęło jej się kręcić w głowie. Chris robił cholernie mocne drinki.

- No dobrze... - Annabelle oparła się wygodniej, z gracją krzyżując w kostkach ułożone pod kątem nogi; Kate czytała kiedyś, że kobiety z wyższych sfer robią to, by uniknąć odcisniętych czerwonych plam na skórze. - Powiedzcie, proszę, jak się poznaliście.

- Wdarłem się na przyjęcie urodzinowe Kate. - Jake zerknął na nią, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Mój Boże! - zachnęła się Annabelle. - To bardzo niegrzeczne.

- W porządku, Annabelle. Przyniósł ze sobą szampana, więc go wpuściłam. - Kate postanowiła zwracać się do niej po imieniu tak często, jak to tylko możliwe.

Chris zachichotał.

- Bardzo rozsądnie - stwierdził.

Annabelle się nie śmiała. Patrzyła na Kate beznamiętnym wzrokiem. Po jej ustach błąkał się błądy cień uśmiechu. Milczała i to milczenie miało swoją wagę. Kate poczuła, że pali ją skóra na karku. Łyknęła dzinu i nie podjęła rozmowy, jak mogłaby zrobić w innych okolicznościach. Wiedziała, że Annabelle ją testuje, i nie miała zamiaru jej tego ułatwiać. Cisza trwała do chwili, gdy Jake wstał po orzeszki i podszedł do Kate, żeby ją poczęstować.

- Nie sięgniesz z tego fotela - powiedział.

Cieszyła się, że to zauważył.

Lunch zjedli w kuchni. („Nie ma sensu nakrywać w jadalni, skoro jest nas tylko czworo, nie sądzicie?” - oświadczyła Annabelle). Siedzieli przy długim sosnowym stole nakrytym lawendowym obrusem, który - jak się dowiedziała - został przywieziony z jednej z licznych podróży do



Prowansji. Zastawa była jeszcze bardziej kwiecista niż wystrój salonu, a bagietkę podano już pokrojoną i ułożoną w misce z napisem „Miska” wzdłuż krawędzi. Noże i widelce miały ręczki z poźółkłej kości słoniowej.

Annabelle urządziła show, upinając popielatoblond włosy i wkładając fartuszek, zanim wyjęła z piekarnika parujący półmisek udek z kurczaka z konserwowymi cytrynami. Podała je z ziemniaczanym purée, w którym wciąż było czuć grudki, i rozgotowanym brokułem.

- Czerwone czy białe? - zapytał Chris, prezentując obie butelki. - Czerwone to sikacz, ale całkiem niezły. Mam też rześkie białe San-cerre...

- A może różowe? - przerwała mu Annabelle. - Wiem, że niektórzy piją różowe - dodała takim tonem, jakby to była dziwna i raczej odrażająca słabostka.

- Czerwone - powiedziała Kate.

Oczywiście pozostali wybrali białe.

Rozmowę zdominowały niekończące się pytania, którymi Annabelle zasypywała Jake'a. Dotyczyły pracy, mieszkania, planów na przyszłość, tego, czy kupił sobie ten regał na książki, który tak mu się podobał, co porabia taki czy inny kolega i tak dalej. Wszystkie, jak domyślała się Kate, były obliczone na to, by zademonstrować, jak doskonale zna syna i jak mocno jest zaangażowana w dosłownie każdy aspekt jego życia, nie pozostawiając miejsca dla nikogo innego.

Jake, który nie miał o niczym pojęcia i nie rozpoznałby ukrytego motywu, nawet gdyby ten wyskoczył z kąta i ugryzł go w tyłek, paplał radośnie. Potem wziął sobie dokładkę, a matka chwaliła jego apetyt.

- Masz ochotę, Kate? - Podsunęła jej półmisek. - Nie zaszkodzi, jak będziesz się lepiej odżywiać.

- Było pyszne, ale dziękuję, Annabelle.

Annabelle wstała sztywno i przesunęła półmisek z powrotem.

- Szkoda, żeby zostało. Jakey, zapakuję ci i zabierzesz ze sobą.

- Bardzo chętnie. Dziękuję, mamó.

Kate zacisnęła pod stołem pięści, wbijając paznokcie w skórę.

- Jeszcze wina? - spytał Chris i dolał jej, nie czekając na odpowiedź.

Zrozumiała, że jej relacje z matką Jake'a będą do strawienia tylko w towarzystwie alkoholu. Ciekawe, ile czasu zajęło Chrisowi dojście do

podobnej konkluzji.

Kawę wypili w salonie. Pojawiło się też pudełko starych czekoladek, najprawdopodobniej wyłowionych z dna szafki, gdzie trzymano prezenty, których nikt nie chciał. Kate wybrała pralinę, żeby nie wyjść na gburę, ale zauważyła biały nalot mogący sugerować, że termin przydatności do spożycia minął dobrych kilka miesięcy wcześniej. Przełknęła czekoladkę w dwóch kęsach, pospiesznie, żeby nie czuć smaku.

Annabelle kontynuowała swój werbalny szturm, a Chris, który zamienił wino na whisky, kiwał głową w różnych momentach, by pokazać, że słucha. Annabelle pokrótce zreferowała plany na lato (Prowansja i może krótki wypad do Sewilli, choć o tej porze roku jest tam nieznośnie gorąco). Następnie urządziła wyczerpujący przegląd tego, co słysząc u sióstr Jake'a (Millie właśnie się obroniła, Julia jest zachwycona Hongkongiem bardziej, niż mogła się spodziewać, a Żaba objęła wydział na uniwersytecie w Dublinie).

- Dlaczego Żaba? - zapytała Kate.

Annabelle, zaskoczona, że ktoś przerywa jej popis, odchrząknęła.

- No cóż, to przezwisko z dzieciństwa. Zawsze tak ją nazywaliśmy, prawda, Jakey?

- Szczerze mówiąc, będę chyba używał imienia Olivia - stwierdził Jake.

- Dlaczegoż to?

- Trochę dziwnie nazywać siostrę płazem w eleganckim towarzystwie.

Kate się roześmiała.

- To objaw czułości! - zaprotestowała Annabelle. - Tak czy siak, już ci tłumaczę, Kate. W niemowlęctwie Olivia wydawała z siebie najdziwniejsze dźwięki, jakie w życiu słyszałam. Nie było to gaworzenie, ale wręcz żabi rechot. Julia była w tym czasie jeszcze za mała, żeby poprawnie wymówić „Olivia”, więc „Ziaba” wydawało się łatwiejsze. I do tego takie słodkie! Wiesz, jak to jest... - Machnęła ręką, wskazując, że można to odnieść do wszystkiego i niczego w szczególności.

Kate nie wiedziała, jak to jest. Nigdy nie trafiła na rodzinę, w której dorosłą kobietę wciąż nazywano by Żabą. Był to dość osobliwy przywilej klas wyższych. Mogli nadawać dzieciom najbardziej absurdalne przydomki, które i tak nie zmniejszały ich szans na powodzenie w życiu,

jak byliby u zwyklych ludzi. Kate nigdy nie miala przyzwiska, uwazala to za infantylne i glupie. Dostawala dreszczy nawet wtedy, gdy Jake probowal mowic do niej „maleńka”.

Pogawedka przeciągnęła się na kolejne dwie godziny, podczas których Annabelle zadała dokładnie jedno pytanie o pracę Kate i gadała dalej, nie słuchając odpowiedzi. W końcu Jake’owi udało się wykorzystać chwilową przerwę w rozmowie, by wtrącić:

- Powinniśmy się już zbierać. Robi się ciemno.

Podszedł do Kate, wziął ją za rękę, a kiedy wstała, pocałował przelotnie w usta na oczach rodziców.

- Dziękuję - szepnął jej do ucha.

Nie puścił jej dłoni, kiedy szli do holu, żeby zabrać kurtki. Annabelle krzątała się wokół Jake’a, wpychając mu torby pełne resztek jedzenia w plastikowych pojemnikach. Chris uśmiechał się dobrotliwie, stojąc w drzwiach. Pewnie już widzi podwójnie, pomyślała Kate i też uśmiechnęła się do niego.

- Skarbie! - Annabelle przycisnęła syna do piersi. - Sprawileś mi taką radość! - Jej głos zaczął się łamać. - Wiesz, jak bardzo za tobą tęsknię. Musisz nas częściej odwiedzać. Nie mogę znieść myśli, że siedzisz tak sam w tym Londynie.

- Nie jestem sam. - Jake wyswobodził się z uścisku. - Mam Kate.

- Oczywiście, ale to przecież nie to... - Powstrzymała się w porę i sumiennie wzięła w objęcia również Kate, która sięgała jej ledwie do ramienia. Medalion Annabelle wbijał jej się w obojczyk. - Cieszę się, że cię poznałam, Kate - dodała i brzmiało to szczerzej niż wszystko, co powiedziała do tej pory.

- Dziękuję, Annabelle. Mnie również było... bardzo miło.

- Opiekuj się moim synem, dobrze?

- Na pewno. Możesz mi zaufać.

Wsiedli do auta. Wyjeżdżając z podjazdu, machali przez cały czas, a potem Jake włączył kierunkowskaz i skręcił w lewo.

- Dziękuję - powtórzył. - Byłaś niesamowita. Nigdy nie widziałem, żeby mama była taka...

Złośliwa - pomyślała Kate. Zimna. Protekcyjnalna. Zaborcza.

- ...zachwycona.

Spojrzała na niego, żeby sprawdzić, czy się uśmiecha. Szukała skurczu ust, świadczącego, że Jake się hamuje, by nie parsknąć. Jakiegokolwiek sygnału, że nie mówi poważnie. Niczego takiego nie znalazła.

- Co?

- Wiedziałem, że się jej spodobasz.

- Czekaj, chcesz mi powiedzieć... uważasz, że twoja matka zachowywała się w taki sposób, ponieważ mnie polubiła?

Jake odwrócił się do niej zaskoczony.

- Oczywiście. Z całą pewnością cię polubiła.

Kate już chciała palnąć coś zabawnego, żeby wykazać absurd tej wymiany zdań, zmusić Jake'a do przyznania się, że ją wkręca i owszem, mama była okropna, ale nie muszą przecież u niej bywać. Powstrzymała się. Coś w twarzy Jake'a ostrzegło ją, żeby tego nie robiła. On po prostu stwierdzał fakt. Naprawdę wierzył w to, co mówił. Wcale nie widział, że jego matka zachowuje się jak zaborcza harpia, a wytłumaczenie mu tego wymagałoby usunięcia skutków trwającego ponad trzydzieści lat toksycznego wpływu tej kobiety. Annabelle wrosła w jego psychikę mocno jak pnącze wisterii.

- O! - bąknęła. - To się cieszę. Bo szczerze mówiąc, wcale nie byłam pewna. - Dobierała słowa z niezwykłą u niej ostrożnością, starając się znaleźć drogę we mgle.

- Wydaje mi się, że ona czuje, że to, co nas łączy, jest poważne. A nie była do tego przyzwyczajona.

- Nie? - podchwyciła Kate, kładąc mu dłoń na kolanie, tam gdzie kilka godzin wcześniej spoczywała dłoń Annabelle. - A co z tymi wszystkimi przyjaciółkami, które przywoziłeś do domu i oprowadzałeś po ogrodzie?

Jake się skrzywił.

- Nie mam pojęcia, do czego piła. Zaprosiłem do domu ledwie parę dziewczyn, a wszystkie wypadłyby blado w porównaniu z tobą.

- Naprawdę?

Przechylił głowę, patrząc jej w oczy.

- Naprawdę.

Ponownie skierował wzrok na drogę i jechali przez kilka minut w błogiej ciszy. Pochyliła się do przodu, żeby włączyć radio, ale kiedy dotknęła przycisku, Jake powiedział:

- Kocham cię i chcę z tobą spędzić resztę życia.

Spojrzała na niego i jej serce zabiło nadzieją.

- Wiem, że nie chcesz ślubu - dodał pośpiesznie.

To prawda. Kate poinformowała go o tym na samym początku znajomości. Stwierdziła, że zważywszy na jej feminizm i na to, że nie jest religijna, nie ma zamiaru stać się zakładniczką patriarchalnej tradycji. Roześmiał się wtedy, słysząc jej zdecydowany ton. „Jak dla mnie w porządku” - powiedział. „Tak się szczęśliwie składa, że nigdy nie miałem ambicji, żeby zostać patriarchalnym radykałem religijnym. To by idiotycznie wyglądało w moim CV”.

A teraz, w samochodzie, oświadczył:

- Chcę założyć z tobą rodzinę. Naszą własną.

Oparła głowę na jego ramieniu. Czuła na policzku gładki dotyk wyprasowanej koszuli.

- Ja też tego chcę.

Zachwyciła się, ile w tym prawdy. Pragnęła mieć z nim dziecko. To było zupełnie nowe uczucie, a mimo to zdawać się mogło, że od dawna drzemało gdzieś wewnątrz niej. Jej opinia o Annabelle, i vice versa, nie miała absolutnie żadnego znaczenia. Rodzina to ona i Jake.

Wtedy to naprawdę wydawało się aż takie proste.

Wszystko szczegółowo zaplanowali. Kate poczeka do końca roku, zanim przestanie brać tabletki. Do tego czasu zdąży wypuścić na rynek parę większych filmów i będzie miała w pracy więcej spokoju. Kiedy zajdzie w ciążę, rozejrzą się za większym domem. Mieszkanie jest dobre dla pary, no, może jeszcze z niemowlakiem, ale ich rodzina wkrótce się powiększy, a stać ich na większe lokum (a raczej Jake'a było na nie stać – napomniała się w duchu).

W weekendy spacerowali po parku i rozmawiali o imionach, które im się podobają (Matilda dla dziewczynki i Leo dla chłopca). Deklarowali, że będą inni niż ich rodzice, i roztrząsali kwestię prywatnych szkół (Kate była zdecydowanie przeciwna, a Jake twierdził, że jeśli będą mieli dość pieniędzy, powinni spróbować dać dzieciom możliwie najlepsze wykształcenie). Na razie zgodzili się, że mają inne poglądy na ten temat. Zostało jeszcze sporo czasu na podjęcie decyzji.

Och, cudownie było dzielić ten wspólny projekt. Coś, do czego zawsze można było nawiązać, gdy kończyły się tematy do rozmowy. Obraz, który mogli malować razem, dodając tu i ówdzie jakiś szczegół, wybierając barwę nieba lub cieńszy pędzelek, by umieścić na tle wyciekającą maleńką postać. To wszystko upewniało Kate, że jest w związku z mężczyzną, który nie boi się zobowiązań długoterminowych. Który wierzy w partnerstwo, komunikację i podział obowiązków. Po tylu latach spotykania się z mężczyznami karmiącymi ją jedynie skąpymi okruciami emocjonalnego zaangażowania to było jak uczta Lukullusa. Jake nie zawiódł jej ani razu. Nawet wtedy, kiedy jego matka ze wszystkich sił starała się ich rozdzielić.

Po tej trudnej niedzieli Annabelle poddała Jake'a telefonicznej nawaie. Dzwoniła bezustannie, pytając, czy jest pewny Kate, co tak naprawdę o niej wie i czy nie wydaje mu się, że narzucili sobie zbyt szybkie tempo. Oczywiście mówi to tylko dlatego, że go kocha, chyba Jake to rozumie? I tak w nieskończoność, aż nawet on, który z zasady roz-

strzygał wątpliwości na korzyść matki, zaczął ignorować jej numer, gdy pojawiał się na wyświetlaczu. Nawet Jake – miły, kochający, rodzinny – nie znajdował w ciągu dnia tyle czasu, ile musiałby jej poświęcić. Annabelle zaczęła więc dzwonić do Kate. Zostawiała jej wiadomości, żeby się spotkały, kiedy będzie następnym razem w mieście: *Wpadnę do Petera Jonesa i chętnie się z Tobą zobaczę. Tak między nami dziewczynami.*

Kate odpowiadała wymijająco i w końcu komunikacja zaczęła zamierać.

– Po prostu nie może się pogodzić z myślą, że mnie traci – stwierdził Jake któregoś dnia, kiedy siedzieli na parapecie otwartego okna w kuchni, popijali Aperol Spritz i patrzyli na dachy Londynu.

– Mhm. – Zdaniem Kate nie było to właściwe uczucie, jakie powinna okazywać matka, ale zmilczała.

Nieco dalej gołąb z zapalem dziobał dachówkę. Nagle zdał sobie sprawę, że nie znajdzie tam jedzenia, zawstydzony wydał pierś i się zmył.

– Pokocha cię, poczekaj tylko. Po części już zdążyła cię pokochać. Chodzi o to, że w gruncie rzeczy obie jesteście...

– Błagam cię, nie mów tego.

– Czego?

– Chciałeś powiedzieć, że jesteśmy do siebie podobne.

Roześmiał się i przeczesał włosy, strosząc je niczym gołąb pióra.

– No tak.

– Czyli albo to nieprawda, albo robisz z siebie czubka z poważnym kompleksem Edypa.

– Słusznie.

– Lepiej powiedzmy, że nigdy nie będziemy ze sobą blisko, ale to nie szkodzi, skoro mieszka w Tewkesbury.

Pokiwał głową, a potem mruknął:

– Właśnie dlatego moje siostry się wyprowadziły.

– Rozsądnie.

– Za nas! – Wyciągnął do niej szkło.

– Za nas.

– Nie potrzebujemy nikogo innego – dodał, patrząc jej w oczy jak to zwykle on.

– Nie potrzebujemy.

Wzniesli toast, pilnując, by nie zerwać kontaktu wzrokowego, bo, jak wiadomo, grozi to siedmioma latami słabego seksu, a oni mieli zamiar od tej pory poświęcać mu dużo czasu.

Pigułki przestała brać w styczniu, po dwóch imprezowych tygodniach pełnych przyjęć i lunchów w pracy oraz szczególnie zakrapianym Bożym Narodzeniu. Spędzili je we dwoje przed telewizorem, otwierając kolejne butelki i spożywając zdecydowanie za duże ilości słodkich alkoholizowanych kremów. Było cudownie. Ale kiedy wróciła do pracy, dopadł ją znajomy noworoczny letarg. Temperatura spadła poniżej zera i wciąż było ciemno. Postanowiła zrobić sobie trzeźwy styczeń. Detoks miał ważną przyczynę, lecz dni ciągnęły się w nieskończoność, a nocny sen był za krótki.

Gdy do lutego nie udało jej się zajść w ciążę, nie przejęła się tym zbyt. Po roku przyjmowania tabletek organizm musi wrócić do równowagi hormonalnej – powiedziała sobie. Styczeń był zresztą dość wyczerpujący.

W marcu pocieszała się, szukając w sieci, ile czasu zajmuje kobietom w jej wieku zajście w ciążę. Zdała sobie sprawę, że postawiła sobie poprzeczkę nieco za wysoko. Najwyraźniej często walczyły o to rok albo dłużej.

Kwiecień zaczął się i skończył. Potem maj. W czerwcu się wściekła, kiedy krew poplamiała jej bieliznę i Kate znów musiała wyjąć tampony z szafki w łazience. Kiedy w lipcu dostała okres, popłakała się. Nie miała pojęcia, jak bardzo pragnęła zajść w ciążę, dopóki nie zaczęła się starać o dziecko. Ale mówili o tym od tak dawna, snuli plany... A teraz własne ciało robi jej na złość. Nie rozmawiała o tym z Jakiem, a on nie pytał.

Zamiast tego kupiła testy owulacyjne i sumiennie sikała na nie co rano, żeby oznaczyć poziom hCG pozwalający przewidzieć, kiedy wyprodukuje jajeczko. Z internetu dowiedziała się, że hCG to ludzka gonadotropina kosmówkowa. W sieci odkryła również, że masowanie wybrzuszenia w spodniach niektórych posągów, przekłucie lewego skrzydełka nosa albo uprawianie seksu na geoglify Giganta z Cerne Abbas też może pomóc. Śmiała się z tych pomysłów, ale wbrew sobie je zapamiętała.



W sierpniu wybrali się na urlop na Mykonos i dała sobie miesiąc wolnego. „Wyluzuj” – mówił każdy, komu się zwierzyli, że starają się o dziecko. „Jedź na wakacje, upij się, kochaj się i zajdziesz w ciążę, zanim się obejrzyysz. Po prostu musisz przestać się stresować”.

Ale usiłując się nie stresować, Kate zaczęła wpadać w obsesję. Przez cały urlop była spięta, a kiedy Jake pytał, co się dzieje, nie chciała mu powiedzieć. Czuła wstyd i uważała, że to wszystko jej wina.

Po powrocie wypadli z rutyny regularnego uprawiania seksu. Przez to we wrześniu i w październiku przepadło im mnóstwo dni płodnych. Kate pracowała do późna, ale nie miała już przekonania do tego, co robi. W listopadzie zawzięła się, że będzie uprawiać seks w każdy dzień płodny, ale trudno to było robić w sposób choćby z pozoru naturalny, skoro przez cały czas, gdy się kochali, myślała tylko o ciąży. Czy tym razem się uda? Czy będzie o tym wiedzieć? Poczuje się jakoś inaczej? Odbierze jakiś kosmiczny znak, że to już? No i: Czy powinna leżeć po wszystkim przez pół godziny, jak gdzieś czytała, żeby nasienie miało czas pokonać drogę przez szyjkę macicy? A może leżeć z uniesionymi nogami, żeby w tym pomóc? Tylko że będzie to wyglądać idiotycznie, a poza tym nie chciała, żeby Jake się dowiedział, jak bardzo ona się przejmuje. Mógłby wpaść w taką samą obsesję na tym punkcie. Równocześnie martwiła się tym, że on zafiksował się na dziecku, a ona go zawodzi. Te wszystkie myśli wirowały jej w głowie przy każdym stosunku. Czasami, kiedy Jake prawie dochodził, udawała orgazm, żeby szybciej to zakończyć. Niech nie przedłuża tylko po to, żeby ją zadowolić. Akurat to wydawało jej się teraz całkiem nieważne. Cóż znaczy jej przyjemność, kiedy nie radzi sobie z tym, co innym kobietom przychodzi bez chwili zastanowienia?

I znowu był grudzień. Minął rok. Uzgodnili, że święta spędzą u Annabelle i Chrisa. Kate się bała, ale zapakowali samochód i pojechali do wiejskiego domu, który wcale nie był wiejskim domem. Gdy dotarli na miejsce, była w takiej rozsypce, że przeprosiła wszystkich i poszła się położyć. Wiedziała, że Annabelle jej nieobecność będzie na rękę, więc leżała i płakała w ozdobioną koronką poduszkę, czując się samotna i opuszczona.

Zapadła w głęboki sen i obudziła się godzinę później, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Wszedł Jake z filiżanką herbaty w ręku. Postawił ją na

stoliku przy łóżku i przysiadł obok Kate. Odgarnął jej włosy z czoła. Jego dłoń wydawała się chłodna na jej rozpalonym czole.

- Wszystko okej?

Bez słowa pokiwała głową, bojąc się, że ryknie płaczem, jeśli zechce coś powiedzieć.

- Wcale nie wyglądasz okej - stwierdził. - Wyglądasz na smutną. Od miesiący wyglądasz na zmartwioną.

Nie odpowiedziała. Wtulona w poduszkę, czuła ziemisty aromat herbaty.

- Chcesz pogadać?

Już miała powiedzieć, że nie, ale ugryzła się w język, bo zdała sobie sprawę, że owszem, chce. Bardzo chce o tym pogadać.

- Nie jestem w ciąży - wyznała.

- No nie. - Wziął ją za rękę. - To cię tak martwi?

Pokiwała głową. Jake westchnął.

- Przykro mi, kochanie. Przykro mi, że jest ci smutno, ale... - Z uwagą starał się dobrać słowa. - To dopiero rok. Musisz być dla siebie bardziej wyrozumiała. To się stanie. W swoim czasie.

Kate usiadła i oparła się na poduszkach. Upiła łyk herbaty. Napój był słodki.

- Słodziłeś ją?

- Tak. Pomyślałem, że przyda ci się trochę cukru. Zastryk energii.

- Bo uważasz, że nie jestem dość słodka?

Jake zauważył pułapkę i nie dał się wciągnąć. Roześmiał się.

- Jesteś ideałem.

Przytknęła pięści do oczu.

- Naprawdę myślisz, że to się wydarzy?

Ujął jej twarz w dłonie i zmusił, by na niego spojrzała.

- Naprawdę. Wierzę w to bezgranicznie. Nieistotne, czy potrwa to sześć miesięcy, kolejny rok, czy ile tam trzeba. Mamy przed sobą całe życie.

- Wiesz, wolałabym zajść w ciążę przed osiemdziesiątką...

Jake opuścił ręce. Na zewnątrz zmierzchało. Widziała jego profil na tle ciemnego wnętrza. Dostrzegła ruch grdyki, kiedy przełykał ślinę.

- Przepraszam - bąknęła. - Nie chciałam sobie robić żartów. Nie z tego...

- Wiem. - Wciąż wbijał wzrok w podłogę, wpatrując się w spleśniały czerwono-złoty wzorzysty dywan. - Mówisz tak, jakby śmierć deptała ci po piętach. Masz dopiero trzydzieści jeden lat. Jest dużo czasu.

- Wiem. Masz rację.

O ile lepiej było o tym rozmawiać. Poczowała ulgę i zdała sobie sprawę, że jest z Jakiem bliżej, niż była od miesięcy. Odrzuciła kołdrę, wgramoliła mu się na kolana, łapiąc go za szyję i opierając głowę na jego ramieniu. Pogładził ją po plecach.

- Będzie dobrze.

Ufała mu. Zawsze mu ufała.

Święta nie były takie straszne, jak się obawiała. To znaczy kuchnia Annabelle była okropna jak zwykle, ale za to ona sama mniej agresywna. Jakby postanowiła wycofać się z walki. Tym razem pytała Kate o nią samą, nawet o jej ulubioną książkę. Kiedy Kate wymieniła Miasteczko Middlemarch, Annabelle nie posiadała się z zachwytem.

- Ta scena, kiedy spędzają miesiąc miodowy! - perorowała z policzkami zaróżowionymi od poobiedniej brandy. - I Dorothea mówi, że zawsze myślała, że miłość będzie jak ocean, a okazała się tylko miską... Genialne!

Chris, który siedział w swoim kącie, pozwalając, by większość padających słów po nim sływała, nagle się ożywił.

- Uważaj sobie - rzekł groźnie.

Roześmieli się wszyscy. Kate była zaskoczona. Nie tylko literackim gustem Annabelle, ale także tym, jak dobrze i bezpiecznie się w tej chwili czuła.

Oczywiście matka Jake'a stosowała wszystkie swoje zwyczajowe sztuczki. Uparcie siadała obok syna przy każdym posiłku, przywoływała dawne rodzinne anegdotki, wykluczając tym sposobem Kate z uczestnictwa w wesołych wspominkach. W pewnym momencie wyciągnęła album pełen zdjęć Jake'a i jego dawnych dziewczyn.

- To zabawne. Już zapomniałam, ile mamy twoich zdjęć z Charlotte. Chciałam ci pokazać prześmieszne zdjęcie Żaby... Gdzie ono mogło się podziać?

Położyła album na stole, tak żeby Kate widziała wyraźnie, i dalej przewracała kartki. Co jakiś czas zatrzymywała się, żeby rzucić: „Charlotte to była taka miła dziewczyna” albo „Jakey, prawdziwy z ciebie donżuan na tym zdjęciu. Byłeś taki szczęśliwy...”, lub „Ciekawe, co u niej słychać. Masz z nią kontakt?”.

Jake kręcił głową.

- Nie mam pojęcia, mamo.

- Szkoda. Chętnie bym ją jeszcze zobaczyła.

Pod stołem ścisnął dłoń Kate.

Ale Kate bardziej to śmieszyło, niż bolało. Wycieczki Annabelle były pozbawione finezji do tego stopnia, że właściwie nietaktem byłoby się obrażać.

Kiedy ruszyli do Londynu, obładowani zapakowanymi w folię aluminiową resztkami indyka i pudełkiem po lodach, w którym tkwiło dwanaście pikantnych koreczków z suszonych śliwek, orzechów i boczku, Kate ze zdziwieniem skonstatowała, że było całkiem miło. Co więcej, udało jej się odprężyć i wypocząć.

- Nie było tak źle - powiedziała w samochodzie.

- Mówiłem ci - odparł. - Mama wie, że jesteś wspaniała. - Wyszczereżył zęby. - Tylko jeszcze nie potrafi tego przyznać sama przed sobą.

## 16

Mijały miesiące, a ona wciąż nie zachodziła w ciążę. W kwietniu okres spóźnił jej się o kilka dni, więc popędziła do apteki kupić test. Usiadła na toalecie, starając się nie ekscytować przedwcześnie. Nie dawać sobie nadziei, że to już to. Zamknęła pudełko i czekała, aż pojawią się kreski. Mijały kolejne minuty. Wpatrywała się w małe owalne okienko. Pojawiła się w nim słaba pojedyncza linia jak ślad węgla na bibule. Wstrzymując oddech, Kate czekała na pojawienie się drugiej. Ale drugiej nie było, za to pierwsza stawała się coraz wyraźniejsza. Jakby jawnie z niej drwiła, samą swoją obecnością podkreślając brak innych w sąsiedztwie. Była jak drzewo w słoneczny dzień, które nie rzuca cienia na ulicę. Nie tak powinno to wyglądać – pomyślała. Nerwowo sięgnęła po opakowanie. Znajdowała się na nim obrazkowa instrukcja, jak odczytywać wynik. Jedna kreska – brak ciąży. Dwie kreski – ciąża. Miała jeszcze nadzieję, że otwierając je w pośpiechu, czegoś nie zrozumiała. Niestety zrozumiała jak trzeba. Prawda z całym okrucieństwem kłuła ją w oczy.

Kate zaczęła płakać. Załamała ją własna głupota. Jak mogła wierzyć, że tym razem będzie inaczej? Po co jej nadzieja, skoro rodzi się tylko po to, żeby regularnie co miesiąc umierać? Wyrzuciła test do kosza, nie mówiąc o niczym Jake'owi. Następnego ranka dostała okres. Tego wieczoru się upiła – tequilą wymieszaną z gotowym miksem do Margarity. Alkohol uderzył ją w gardło jak dobrze wymierzony cios.

Jake znalazł w koszu test i zainteresował się, o co chodzi. Kiedy mu powiedziała, wziął ją w ramiona i głaskał po włosach, ale czuła tylko odrętwienie.

Powoli, lecz zauważalnie zaczęła zagłuszać emocje cynizmem. Był to u niej swoisty mechanizm obronny. Gdy kolejna znajoma wrzucała na Fejsa niewyraźne zdjęcia z USG po dwunastym tygodniu, Kate jęczała z niesmakiem i rzucała jakiś niewybredny żart. Kiedy na ulicy widziała matkę z maluchem trzymającym łapkę w jej dużej dłoni, przechodziła

na drugą stronę. Zaczęła się skarżyć na płaczące dzieci w restauracjach, a także unikać spotkań, na których mogłyby się pojawić niemowlęta i trzeba byłoby do nich gruchać, i w ogóle zwracać na nie uwagę. Wszystko to było dla niej zbyt bolesne.

To Jake zasugerował, że powinni zacząć rozglądać się za domem. Ot, po to, żeby oderwać myśli.

- Nie powinniśmy czekać ze swoim życiem, dlatego że staramy się o dziecko - stwierdził. - To tylko wzmacnia stres.

- No to jesteś nieźle zdesperowany, jeśli dla ciebie kupno domu będzie mniej stresujące - powiedziała w osłupieniu.

Ale zgodziła się i przez następnych kilka tygodni jeździli oglądać różne nieruchomości. Oceniali rozmiar łazienek i ogrodów, zastanawiali się, czy na pewno potrzebują oddzielnej przestrzeni do pracy i czy powinni również zbadać okolicę pod kątem szkół i tym podobnych. W końcu znaleźli miejsce, które im się spodobało. Kupno przebiegło bez problemów i opóźnień. Wprowadzili się, rozpakowali, wybrali kolor na ściany i kupili fioletową sofę. Cały proces trwał niewiele ponad cztery miesiące i znów nie mieli czym zająć myśli.

Kate chodziła tam i z powrotem po schodach, nienawykła do tak dużej przestrzeni. Często siadała na podłodze w pokoju, który chcieli przeznaczyć dla dziecka, wyobrażała sobie karuzelę, którą powieszą nad łóżeczkiem, i zwierzęcy alfabet na ścianie. Wyobrażała sobie także uśmiech, jakim dziecko ją obdarzy, kiedy ona przyjdzie nakarmić je w nocy. Nadal jednak nic się nie działo. Minął kolejny rok i znów umówili się na wizytę u lekarza. Pobrał jej krew i kilka dni później stwierdził, że w badaniach nie wyszło nic istotnego. Ale że starali się o dziecko już ponad dwa lata, zostali skierowani do miejscowego szpitala, żeby przedyskutować dalsze możliwości z konsultantem o nazwisku Cartwright.

Kate od razu go polubiła. Ładnie mówił, miał falujące siwe włosy i twarzowe zmarszczki, które upodabniały go do detektywa z serialu. Opowiedział im o dalszych badaniach, którym musieli się poddać, o próbkach nasienia i USG dopochwowym, a także o zdjęciach z kontrastem, które pozwolą lepiej zbadać, „co się tam dzieje w środku”. Kate wyobraziła sobie potężną imprezę w swojej macicy pełnej pijanych go-

ści, którzy tracą przytomność na schodach – całkiem jak na grafice *Gin Lane* Williama Hogartha.

Wyniki badań nie zdradzały niczego niepokojącego. Doktor Cartwright oznajmił, że w ich przypadku niepłodność (bezskuteczne próby zajścia w ciążę wreszcie miały swoją nazwę) nie ma zdefiniowanej przyczyny. Omówili różne opcje i zdecydowali się na zapłodnienie in vitro. Kate nie zdawała sobie sprawy, że to pociąga za sobą konieczność samodzielnego wstrzykiwania sobie hormonów, aby oszukać własne ciało i na pewien czas uśpić naturalny cykl.

- To faza supresji – oznajmił doktor Cartwright rzeczowo.

Dla Kate brzmiało to tak, jakby miała się ukarać za złe zachowanie.

Potem były kolejne iniekcje, mające z kolei stymulować jajniki – łąskotać je po brzuskach jak pstrągi, żeby produkowały pożądaną liczbę jajeczek. Ale kiedy Kate co drugi dzień szła na badanie, portugalska pielęgniarka informowała ją spokojnym głosem, że jajeczek nie ma tyle, ile by sobie życzyli. Kate za każdym razem wychodziła ze szpitala przygnębiona i smutna. Zatrzymywała się w szpitalnym bistro na herbatkę rumiankową (kofeinę odradzano). Siedziała przy oknie, otoczona przez bladych mężczyzn w szlafrokach, ciągnących za sobą stojaki z kroplówkami, i rodziny skupione przy zajadających czekoladowe muffinki dzieciakach na wózkach. Gapiła się przez okno i dziwiła, jaki ten świat jest zabiegany. Jak wszystko wokół niej dalej toczy się gładko, podczas gdy ona nie potrafi podołać najbardziej podstawowej biologicznej funkcji każdej kobiety.

Wciąż jeszcze nie płakała. Hormony raczej tłumili, niż podkręcały jej emocje. Czuła się trochę tak, jakby doświadczała świata przez umazane okulary i zatkałe kłębkiem waty uszy. Kiedy więc usłyszała od pielęgniarki, że jest tylko jeden pęcherzyk, który może być na tyle dojrzały, by zawierać jajeczko, i czy na pewno chce je pobrać, czy też woli się zdecydować na mniej inwazyjne procedury, nie było łez. Stwierdziła po prostu, że chcą doprowadzić wszystko do logicznego końca. To w końcu tylko jedno jajeczko, prawda?

Ale, nie wiedzieć czemu, to nie było właściwe jajeczko. Nasienie Jake'a nie zapłodniło go w szalce Petriego. Jajeczko nie wystartowało. Nie przeszło w słynne stadium blastocysty, przy którym szanse na suk-

ces po wszczepieniu są znacznie wyższe. Nie miało w sobie tego odpowiedniego czegoś. Obiecywało wiele, ale w końcu zawiodło.

Tego wieczoru wypili we dwoje dwie butelki wina.

- Spróbujemy jeszcze raz - stwierdził Jake. - Właśnie dlatego mówią, że potrzeba średnio trzech prób. Nie ma się czym martwić.

Siedzieli przy stole w swojej nowej kuchni, a słabe światło zmierzchu sączyło się przez przeszklone drzwi. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy. Wiedziała, że Jake stara się podnieść ją na duchu, ale równocześnie słyszała w jego głosie zaczątki paniki. Wyciągnęła rękę i położyła ją na jego dłoni. Była zbyt skonana, żeby cokolwiek powiedzieć.



Rozpoczęli kolejny cykl pod okiem doktora Cartwrighta. Tym razem lekarz pozyskał siedem jajeczek (brzmiało to, jakby był psem myśliwskim, węszącym wśród wysokich traw w poszukiwaniu postrzelonych bażantów). Trzy udało się zapłodnić, ale tylko dwa zaczęły się dzielić w zadowalającym tempie, a zaledwie jedno zostało ocenione na tyle wysoko, żeby kwalifikowało się do wszczepienia. Pozostałe, które nie spełniły odpowiednio wysokich standardów, zostały usunięte – całkiem jakby nie zdały ważnego egzaminu. Kate, która w szkole była sumienną uczennicą i przejmowała się stopniami, wzięła to osobiście do siebie. Zawsze sądziła, że jeśli będzie postępować słusznie, ciężko pracować, mieć dobre wyniki oraz porządną pracę i w ogóle będzie się starać być przyzwoitym człowiekiem, to jej życie potoczy się tak, jak tego oczekuje. Macierzyństwo i dzieci też się do tego zaliczały. Tak to powinno wyglądać, prawda?

Wyobraziła sobie, jak jej jajeczka trafiają do kubła na odpady medyczne. Zastanawiała się, co się z nimi dalej dzieje.

W jej macicy został umieszczony pojedynczy embrion. Przez dwanaście wspaniałych dni, w czasie których za radą pielęgniarki miała wyluzować, odpoczywać i nie wykonywać intensywnych ćwiczeń ani nie brać gorących kąpielii, Kate czuła się bezdyskusyjnie w ciąży.

- Bo jesteś w ciąży - mówił Jake z twarzą rumianą ze szczęścia. - Nie ma co do tego wątpliwości. - Pocałował ją w czubek nosa. - Jestem z ciebie dumny, spryciaro.

Kate była szczęśliwsza i od dawna nie czuła takiego spokoju. W ciągu tych dwunastu dni przestała przechodzić na drugą stronę ulicy, żeby ominąć wózki. Przeciwnie - uśmiechała się szeroko do rodziców, jakby już dzieliła z nimi tajemne pokrewieństwo dusz. Wyobrażała sobie, że kobiety po prostu wiedzą. Że istnieją specjalne feromony, które tylko matki potrafią wyczuć u siebie nawzajem. Chodziła na długie spacery wzdłuż rzeki, słuchając audiobooków i robiąc telefonem zdjęcia

czaplom brodzącym na płyciznach. Zdrowo się odżywiała. Zjadała całe michy zielonych warzyw i pokrojonych w kostkę batatów. Każdy dzień zaczynała od szklanki soku z selera, który samodzielnie przygotowywała. Czuła się zsynchronizowana ze swoim ciałem. Byli jednością – ona i zarodek, ładnie się dzielący i produkujący nowe komórki, zagnieżdżony w pogrubiałej ścianie macicy, tak jak powinien.

Trzynastego dnia zaczęła krwawić. Niewiele. Kilka rdzawych plamek na bieliźnie, które postanowiła zignorować. Po paru godzinach krwawienie nieco się nasiliło, więc zaczęła grzebać w internecie, obsesyjnie przeglądając fora dla ciężarnych i szukając informacji, które mogłyby ją pocieszyć, ignorując zaś te alarmujące. Krwawienie mogło być spowodowane implantacją – czytała – i oznaczało, że wszystko przebiega pomyślnie. W czasie bezsennej nocy, która nadeszła, z całych sił uczepliła się tej myśli. Ale rano znalazła na prześcieradle czerwoną plamę.

Jake śpiący obok nie był świadomy niczego, dopóki budzik nie obudził go godzinę później. Otworzywszy oczy, patrzył wprost na nią. Od razu wiedział. Mogła przysiąc, że od razu się domyślił. Fakt, że nie miał więcej wiary, strasznie ją rozgniewał.

- Nie udało się – powiedziała po prostu i obróciła się na drugi bok, twarzą do ściany.

Sądziła, że Jake się poruszy, weźmie ją w ramiona, jak to zwykle robił, ale leżał bez ruchu. Mijały minuty. Usłyszała stłumiony dźwięk. Gdy się obejrzała, z krwawiącym sercem zdała sobie sprawę, że Jake płacze. Palcami ścisnął nos, starając się nie wydawać dźwięku, lecz kiedy go objęła, mówiąc: „Tak mi przykro... Tak przykro...”, rozszlochał się na głos, mocno, spazmatycznie, jakby łąpał powietrze.

Zaczęła go pocieszać. Po chwili sięgnął po chusteczkę i wytarł nos.

- Do dupy, co? – rzucił.

Pokiwała głową. To był pierwszy raz, kiedy jego optymizm dał za wygraną. Uświadomiła sobie, że przez cały czas specjalnie dla niej nadrabiała miną.

Było okropnie. Znów dopadło ją poczucie winy, że nie potrafi utrzymać ciąży.

Jake złapał ją za rękę.

- Kocham cię, Kate. Będziemy mieli dziecko, nawet jeśli trzeba będzie starać się o nie dłużej, niż zakładaliśmy. A kiedy już przyjdzie na

świat, to będziemy je kochać tym mocniej, że teraz przechodzimy przez to wszystko.

Czuła ciepło, które biło z jego dłoni. Na ulicy zaterkotał silnik, jakby ktoś odpalał motocykl. Słońce wśliznęło się do środka przez szparę między roletami, ale ona wolałaby, żeby sobie poszło. Żeby lał deszcz. Żeby pogoda pasowała do jej nastroju.

Pocałowała Jake'a w mokry policzek, a potem w usta. Odwzajemnił pocałunek z gwałtowną namiętnością, chwytając ją za kark i przyciskając jej wargi do swoich. Jak gdyby chciał coś udowodnić. Co i po co – wolała nie dociekać.

Doktor Cartwright radził, żeby odpoczęli przez kilka miesięcy, zanim spróbują ponownie.

- Musicie dojść do siebie. Wyjedźcie gdzieś na urlop.

Ściany jego gabinetu pokrywały zdjęcia dzieci. Dzieci w ramionach matek o promiennych oczach i zmęczonych, ale szczęśliwych ojców. Na kilku fotografiach widniał też sam lekarz, szeroko uśmiechnięty i niezwykle z siebie zadowolony. Na jednej trzymał bliźniaki. Rękawy kracianej koszuli miał podwinięte do łokci, a każde z dzieci spoczywało w zagłębieniu jego ramienia.

- Warto w ogóle? - wybuchła Kate.

Jake siedzący obok na plastikowym krzeselku zerknął na nią zaskoczony.

Cartwright wytrzymał jej spojrzenie.

- To wasza wspólna decyzja. Ja mogę mówić jedynie z perspektywy swojego doświadczenia z setkami pacjentów. I zapewniam: wszyscy twierdzą, że zdecydowanie było warto.

Głos miał spokojny. Jego zachowanie było chyba obliczone na to, żeby Kate poczuła się jak histeryczka. Wiele się zmieniło od ich pierwszego spotkania, kiedy żartował i tryskał optymizmem. Teraz najwyraźniej miał do niej pretensje, że nie wypełnia swojej części zadania jak należy. W końcu on ze swej strony zrobił wszystko. Nie raz i nie dwa jej powtarzał, że „nie reaguje” na leki tak, jak powinna. Jakby to po prostu musiała być wina Kate, a nie leków czy ich prawidłowego doboru przez lekarza.

- Dziękujemy, doktorze - odparł Jake. - Myślę, że teraz musimy się zastanowić, co dalej.

Poszli na kawę do kafejki na parterze. Co prawda nie wyjechali na urlop, ale przez kolejnych kilka miesięcy starali się zajmować czym innym. Zapraszali znajomych na kolacje. Chodzili do kina, galerii i restauracji, które im polecono. Annabelle przyjechała z wizytą i została na weekend. Spała w pokoju dziecięcym, do którego na razie wstawili podwójne łóżko. Była całkiem miła i przywiozła Kate ogromny bukiet peonii, żeby zaznaczyć swoją sympatię. W sumie tylko raz wylażyły z niej stare nawyki, kiedy zapytała, po co im taki wielki dom.

- Istny pałac - stwierdziła, choć nie było to prawdą, a już na pewno nie w porównaniu z jej „wiejską” rezydencją. - Waszej dwójce nie potrzeba aż tyle miejsca.

Siedzieli na rogówce w kuchni. Kate i Annabelle piły chablis, a Jake sączył piwo Peroni prosto z butelki - mimo protestów matki, że powinien wziąć szklanekę.

- Nie podoba ci się dom? - spytał.

- Och, tego nie powiedziałam. Jest śliczny. I urządziliście go tak... przyjemnie. Zastanawiam się tylko, czy nie gubicie się w nim trochę. Tyle tu miejsca...

Pochyliła głowę, patrząc na syna. Miała na sobie jeden z tych swoich cienkich, powiewnych kardiganów. Na nadgarstku ciążyła jej gruba złota bransoleta, która podzwaniała, ilekroć Annabelle sięgała po kieliszek.

Kate, nie odzywając się, dolała sobie wina.

- Nie. Nie gubimy się w tych wnętrzach - rzekł Jake. - I nie zawsze będziemy tu mieszkać we dwójkę, prawda?

- Nie rozumiem.

- No, kiedy pojawią się dzieci...

Annabelle się roześmiała.

- Dzieci? - Wymówiła to słowo z takim naciskiem, jakby Jake mówił o jakiejś niedorzecznej teorii spiskowej. - Chyba nie myślicie...? No cóż, kochanie, przecież nie macie nawet ślubu.

Kate parsknęła. Na karku Jake'a pojawiły się czerwone plamy.

- Mamo, to nie jest dziewiętnasty wiek!

- Wiem, ale...

- Prawdę mówiąc, staramy się o dziecko i nie jest to łatwe. Byłbym... bylibyśmy zobowiązani za wykazanie nieco większej wrażliwości w tej

kwestii. - Kiedy Jake był wściekły, jego język stawał się strasznie oficjalny.

Annabelle wyglądała, jakby dostała w twarz. Jej policzki zbieleły pod warstwą różu.

- Przykro mi to słyszeć - wycedziła, odstawiając kieliszek. Następnie wymaszerowała z kuchni, ciągnąc za sobą smugę zapachu perfum Diora.

Kate opróżniła swoją lampkę.

- Wyszło super - powiedziała cierpko.

Jake podszedł do blatu i wrzucił butelkę do kosza z taką siłą, że Kate zdziwiła się, że jej nie stłukł. Czowała, że powinna do niego podejść, a potem podjąć próbę wynegocjowania rozejmu z Annabelle, ale była za bardzo zmęczona. Oznajmiła, że pójdzie się położyć, i zostawiła kieliszki na stoliku. Jake sam mógł je sprzątnąć.

Nazajutrz przy śniadaniu Annabelle długo siedziała przed nietkniętą grzanką, bardzo cicha i sztywno wyprostowana. Kate zauważyła, że tym razem nie nałożyła makijażu. Wyglądała blado i staro; ewidentnie starała się okazać, jak cierpi.

- Annabelle, kawy? - spytała Kate.

Jake siedział naprzeciw matki i ostentacyjnie przeglądał „The Economist”, żeby nie uczestniczyć w konwersacji.

Annabelle pokręciła głową, kładąc dłoń na piersi.

- Bardzo mi przykro, że wyraziłam się tak niefortunnie - odezwała się w końcu głośno i wyraźnie. - Nie zdawałam sobie sprawy, że... że to dla was taki trudny temat.

Jake nic nie powiedział, ale podniósł wzrok znad gazety i spojrzał na matkę. No cóż - pomyślała Kate - czyli to ja będę musiała wytłumaczyć.

- Chodzi o to, że zdecydowaliśmy się na in vitro.

Wyglądało na to, że Annabelle nie rozumie.

- To sztuczne zapłodnienie - wyjaśniła Kate. - Najwyraźniej nie mogę zajść w ciążę w sposób naturalny.

- Nie możemy - poprawił ją łagodnie Jake.

- Och, rozumiem. A co mówią lekarze? Jakie szanse wam dają? - zainteresowała się uprzejmie jego matka.

- Około trzydziestu procent - odparła Kate.

- Podjęliśmy dwie próby - dodał Jake. - Bez powodzenia. Lekarze doradzają trzecią.

Annabelle sięgnęła po marmoladę i zaczęła ją rozsmarowywać na zimnej grzance. Ostrożnie odłożyła nóż na talerzyk, ugryzła mały kęs i dokładnie go przeżuła. Czekali, aż przełknie i z jej ust padnie następny nieunikniony komentarz.

- Po prostu się o was martwię. To wszystko.

- Radzimy sobie - zapewnił ją Jake.

- Nie chcę, żebyście robili sobie nadzieję tylko po to, żeby znów się rozczarować - ciągnęła Annabelle z zatroskaną miną. Sięgnęła przez stół i położyła dłoń na ramieniu Kate. - Znasz moją przyjaciółkę Trishę? Jej córka miała in vitro pięć razy. Bez rezultatu. Nikt nie wie dlaczego. Przypuszczam, że to po prostu jeden z tych przypadków. Musisz się czuć okropnie, znosząc to wszystko, kochana. Obawiam się, czy aby czasem lekarze nie forsują pewnych terapii, choć w rzeczywistości nic się nie da zrobić, a przecież te zabiegi są wyczerpujące, prawda? Tak mi się wydaje, bo sama oczywiście nigdy ich nie przechodziłam.

Kate starała się, jak mogła, żeby słowa Annabelle po niej spłynęły. Jeszcze rok wcześniej poczułaby się urażona do żywego agresywnym podtekstem jej komentarzy. Teraz nie znajdowała w sobie na to siły - ani mentalnej, ani fizycznej. W gruncie rzeczy - myślała - nic ci do tego. Żałowała, że Jake jej powiedział.

- Owszem, wyczerpujące - potwierdził Jake. - Ale Kate znosi to bardzo dzielnie.

Annabelle zamrugła powoli. Jej jasnoniebieskie oczy zdawały się jeszcze jaskrawsze, kiedy mówiła.

- Moje biedactwo! - Poklepała Kate po ramieniu. - To musi być straszne. Gdzieś czytałam, że procedura in vitro u kobiety, która nie może zająć w ciążę, przypomina trochę chemioterapię pacjenta w terminalnym stadium raka.

Przez sekundę lub dwie Kate nie była pewna, czy dobrze usłyszała. Cofnęła ramię i dłoń Annabelle opadła na stół. Potem wstała tak gwałtownie, że jej krzesło przewróciło się na podłogę. Jake wyciągnął rękę, ale nie podeszła do niego. Na pewno nie teraz. Była wściekła na oboje. Na Annabelle, że mówiła to, co mówiła, a na niego, że jest jej synem.

- To, co mówisz, wcale nie pomaga - powiedziała cicho.

Wyszła z kuchni, a potem z domu, zapominając o okryciu. Kiedy wróciła dwie godziny później, była przemoczona i zmarznięta. Jake przywitał ją w holu i przytulił mocno.

- Pojechała - rzekł. - Mieliśmy potężną awanturę. Przepraszam cię. Już więcej się tak do ciebie nie odezwie.

Kate pozwoliła się tulić, ale nie odzywała się ani słowem. Zastanawiała się, jak to możliwe, że nawet w fizycznej bliskości z mężczyzną, którego kocha, czuje się tak samotna. Bo czuła się samotna.

W trzecim cyklu udało się pozyskać dziewięć jajeczek („Za każdym razem składasz więcej!” - stwierdził wesoło doktor Cartwright; tak wesoło, że miała ochotę walnąć go w nos). Cztery udało się zapłodnić, a dwa wszczepić. Technicznie rzecz biorąc, była teraz w bliźniaczej ciąży. Tylko że tym razem w ogóle nie czuła się ciężarna. Z góry założyła, że się nie uda: fatalizm wydawał się bezpieczniejszy niż nadzieja. Kiedy więc w ostatnim dniu dwutygodniowego okresu oczekiwania zaczęła krwawić, nie była specjalnie wstrząśnięta ani zaskoczona. Przez ostatnich osiemnaście miesięcy uodporniła się na huśtawkę emocji. Była jak te roboty, które widziała na lotnisku w Seulu, kiedy wracała z festiwalu filmowego. Roboty jeździły po hali z przyjaznym wyrazem elektronicznych twarzy i ekranem dotykowym, dzięki któremu można było uzyskać odpowiedź na nurtujące pytanie. Tym właśnie się stała. W domu, w pracy, przy Jake’u. Odpowiadała na pytania, brała udział w rozmowie, ale pod tą maską nie było prawdziwych uczuć. Wiedziała, że jeśli pozwoli sobie na najdrobniejszą słabość, ta popchnie ją do następnej, większej, i wszystko się posypie, tak jak jedna prująca się nitka potrafi zrujnować całą tkaninę.

Udali się do prywatnej kliniki w budynku na Great Portland Street, tuż obok wytwornych delikatesów, w których sprzedawano cytrynowe ciastka kukurydziane i herbatę z dzikiej róży. Koniec z czekoladowymi muffinkami i kroplówkami na przenośnych stojakach - pomyślała Kate, kiedy znalazła się tam po raz pierwszy.

W klinice dostali plastikową kartę, podobną do bibliotecznego. Kazano im wejść na górę i czekać na konsultację. Siedzieli w poczekalni pełnej tapicerowanych mebli z białej sztucznej skóry i stolików kawowych na chromowanych nóżkach. Na blatach leżały egzemplarze magazynu „Ta-

ter” i ulotki ze zdjęciem dziecięcych stópek w objęciach dorosłych dłoni. Oboje myśleli, że prywatna klinika będzie jak przesiadka z klasy ekonomicznej do biznesowej w samolocie, ale okazało się, że tutaj również godziny wizyt pozostają w sferze pobożnych życzeń, gabinety też są ciasne i zavalone papierami, a na ścianach nie brakuje przyklejonych taśmą zdjęć i kartek z podziękowaniami. Tu także Kate usłyszała o niedostatecznej rezerwie jajnikowej i „niegościnniej” macicy. Wciąż czuła się jak wybrakowany egzemplarz lub kiepski motel skrytykowany w TripAdvisorze.

Ich konsultant znów był mężczyzną. Tym razem pochodził z Izraela i nazywał się Abadi. Nie owijał w bawełnę, mówiąc o malejących szansach, ale zapewnił ich, że są w odpowiednim miejscu, by „uzyskać pożądaną rezultat”. Na pierwszej wizycie zrobił Kate USG dopochwowe. Stał, odwracając wzrok, kiedy zdejmowała dzinsy oraz majtki i starała się okryć kawałkiem papierowego ręcznika, nim się obróci.

Przy próbach czwartej i piątej nadal nie reagowała na leki, choć doktor Abadi zwiększył dawkę tak, że bez przerwy chciało jej się płakać. To też nie zdało egzaminu, wykonano więc jeszcze trzy badania pod kątem czegoś, co nazywało się komórkami NK, fragmentacją DNA i bliznowaceniem macicy. Oboje z Jakiem musieli przez długi czas brać antybiotyki, przez co nie mogli pić alkoholu i zrobili się wobec siebie zgryźliwi.

I wtedy... O radości! Szósta próba się powiodła i zakończyła ciążą. Kate przetrwała dwutygodniowy okres bez krwawienia, a kiedy piętnastego dnia zrobiła test, obyło się bez łez, ale przez kilka minut siedziała w toalecie w stanie głębokiego szoku. Wróciła do sypialni, żeby powiedzieć Jake'owi, i wtedy oboje się popłakali.

- Ty spryciaro - szepnął jej do ucha. - Moja spryciaro.

Ale choć Kate chciała odczuwać radość i tylko radość, nie potrafiła. Za dobrze wiedziała, co może pójść nie tak, a poprzednie doświadczenia okradły ją z euforii właściwej innym przyszłym rodzicom. Chciałaby znów być tak naiwna i ufna, jak oni. Pozbyć się niewygodnej wiedzy, o którą wcale nie prosiła, a którą narzuciły jej okoliczności. Niestety. Za każdym razem, kiedy szła do toalety, sprawdzała, czy nie znajdzie krwi. Ilekroć czuła skurcz, bała się najgorszego i po raz kolejny stawiała twarzą w twarz z podstawową prawdą, że świat może lec w gruzach bez żadnego ostrzeżenia.



Doktor Abadi przepisał jej sterydy i leki przeciwzakrzepowe, które wstrzykiwała sobie co rano, tak jak podczas procedury in vitro. Po obu stronach pępka miała siniaki po wkłuciach; wyglądały niczym mapa gwiazd nieznanej galaktyki. Wszyscy powtarzali jej, że jest w ciąży, ale ona tego nie czuła. W ogóle nie czuła się inaczej niż zwykle. Dotykała piersi, sprawdzając, czy są tkliwe. Wręcz nie mogła doczekać się mdłości spowodowanych zapachem kawy. Zastanawiała się, dlaczego nie jest tak wykończona, jak mogła się tego spodziewać po tym, co wyczytała na internetowych forach.

Szukając otuchy, dołączyła anonimowo do jednego z nich. Zapytała, czy to możliwe: być w ciąży, ale wcale tego nie odczuwać. Posypały się odpowiedzi.

*Nie martw się, skarbie. Ja nie miałam objawów do ósmego tygodnia, a moja kc (kochana córeczka) śpi teraz na górze. Ma już pięć lat - pisała @weterankaiv.*

*Niepokój to stuprocentowy objaw - dodawała @licznikbije.*

*Jeśli się martwisz, pogadaj z lekarzem - radziła @rogatacyklistka. Ale to jeszcze bardzo wczesnie, więc się nie stresuj!! Niech twoja DP (druga połówka) zrobi ci masaż! Oszczędzaj się! Wieziesz cenny ładunek! Xoxoxoxo*

Każda z tych wiadomości miała u dołu sążnisty dodatek, przypominający stopkę redakcyjną. W tym miejscu kobiety (bo pisały tu tylko one) zamieszczały historię swojej ciąży spisaną tajnym szyfrem: PR (poronienia), WN (wynik negatywny), liczba cykli IV (in vitro), niektóre z JD (jajeczka dawcy). W lakonicznych skrótach zawarte były lata wyczerpania i smutku. Po kilku minutach Kate zaczęła widzieć jak przez mgłę. Zamknęła laptopa i położyła się do łóżka.

Udało jej się wytrwać do siódmego tygodnia. Doktor Abadi zaprosił ją na wczesne USG. Była przerażona, lecz równocześnie pełna nadziei. Jake zgrywał pewnego siebie i zapewniał ją, że wszystko będzie dobrze, ale nie potrafiła mu uwierzyć. Kiedy doktor Abadi umieścił głowicę w jej pochwie, nastąpiła wiele mówiąca pauza, nim się odezwał. Już wiedziała, że nie będzie dobrych wieści.

- Widzę pęcherzyk ciążowy - powiedział, wskazując monitor dłonią w lateksowej rękawiczce. - Ale obawiam się, że nie ma w nim zarodka.

Mówił z miękkim akcentem, niektóre spółgłoski brzmiały jak dźwięk kamyka ślizgającego się po powierzchni wody, gdy ktoś puszcza kaczki.

- Na tym etapie należałoby się spodziewać widocznego zarodka. A to oznacza, że ciąża nie rozwija się tak, jak powinna.

- Czy istnieje możliwość, że po prostu rozwija się wolniej? - spytał Jake.

- W przypadku naturalnego poczęcia tak, istnieje taka możliwość. Zawsze istnieje pewien margines błędu przy wyznaczaniu daty poczęcia. Jednak w tym przypadku dokładnie wiemy, kiedy wprowadzono zarodek, więc... - Lekarz pokręcił głową. - Bardzo mi przykro.

- W porządku - stwierdziła Kate, sama nie wiedząc dlaczego. Bo przecież nie było w porządku. Nic nie było w porządku.

Doktor Abadi przedstawił im kolejne kroki. Kate mogła czekać, aż poroni w sposób naturalny - choć nie można było przewidzieć, kiedy to nastąpi - albo przyjąć farmaceutyk, który wywoła poronienie. Zdecydowała się na to drugie, chcąc się pozbyć fałszywej nadziei tak szybko, jak to możliwe. Pomysł noszenia w łonie czegoś martwego przez nieokreśloną liczbę dni lub tygodni wydawał jej się nieludzki. Lekarz ostrzegł ją, że ból będzie dotkliwy - szczyt osiągnie w ciągu dwudziestu czterech godzin, ale potem najgorsze będzie miała już za sobą.

Wrócili do domu i wypili butelkę wina. Rano Kate położyła ręcznik na prześcieradle i odpaliła Netflixa. Przełączyła telefon na tryb samolotowy, a następnie zaaplikowała do pochwy pierwsze globulki zgodnie z instrukcją. Czekala. Wzięła paracetamol. Czekala dalej. Mniej więcej po dwóch godzinach od aplikacji zaczęły się skurcze. Miała uczucie, że w jej macicy pracuje koparka budowlana. Ból był tak intensywny, że omal nie zemdlala. Pulsował, wzmagając się i słabnąc. W pewnym momencie wymiotowała do umywalki. Jake, który wziął sobie dzień wolny, żeby się nią opiekować, przyszedł blady do sypialni, pytając, czy może jakoś pomóc. Nie mógł. Wiedziała, że zanim to się skończy, będzie musiała dotrzeć do miejsca, gdzie nikt nie mógł jej towarzyszyć.

Ból atakował falami przez następne półtorej godziny, a potem zdumiewająco nagle odpuścił. Zaczęła mocno krwawić. Nie zdobyła się na to, żeby oglądać wydalane do muszli skrzepy i strzępki. Nie miała odwagi nawet rozważać, czego to resztki. Nie chciała myśleć o imionach, które wybrali, ani o samym dziecku, które mogli tak bardzo kochać.

Tydzień trwało, zanim ból i krwawienie ustały całkowicie. To było potworne doświadczenie. Kate była przerażona, że kobiety poddają się temu barbarzyństwu, i wściekła, że nikt jej nie uprzedził. A przy tym całkowicie pewna, że drugi raz by się już na to nie zdobyła.

Doktor Abadi delikatnie zasugerował, żeby zaczęli się zastanawiać nad „innymi opcjami”.

- To już cztery lata, odkąd się staracie, prawda?

- Tak. - Myślała o tym, jak wiele się wydarzyło w tym czasie i jak mało osiągnęli. Wydawało się, że trwa to całą wieczność, a jednak minęło w mgnieniu oka.

- Moglibyście spróbować z jajeczkami dawczyni. Aczkolwiek, o czym już mówiliśmy, masz zbliznowacenia w macicy. Istnieje ryzyko, że nie będziesz w stanie nosić dziecka.

Nosić dziecko. Jakie to dziwne wyrażenie. Można nosić zakupy. Można nieść ciężar. Albo być nosicielem wirusa.

- Tak więc, w zależności od tego, co uznacie za lepsze w waszym przypadku, być może powinniście rozważyć skorzystanie z usług surrogatki. Albo adopcję.

Kiedy wymówił te słowa, Kate stwierdziła ze zgrozą, że jej pierwszą reakcją była ulga. Ulga, że nie musi robić tego ponownie. Że nie musi raz po raz próbować do znudzenia, a potem rozpaczać, że się nie udało. Zerknęła na Jake'a. Pocierał sobie kark. Na jego twarzy nie malowały się żadne emocje.

Podziękowali lekarzowi - nie wiadomo za co. Wyszli z kliniki, zostawiając za sobą zdjęcia dzieci i rośliny w doniczkach. Adopcja zawsze była dla nich ostatecznym rozwiązaniem. Możliwością, z której mogli skorzystać na samym końcu. Dziwnie było usłyszeć, że ktoś rozważa ją głośno jako następny krok. Usiedli w potwornie drogiej kawiarni, pili cappuccino i zagryzali ciasteczkami migdałowymi, które podawano do każdej filiżanki.

- Jak się czujesz? - spytał Jake.

Oparła łokcie na stoliku. Tym razem nie wziął jej dłoni w swoje, jak zrobiłby dawniej. Te wszystkie procedury jego też wykańczały. Stracił rumieńce, a zyskał poziome zmarszczki na czole, których tam wcześniej nie widziała. Zmęczenie i napięcie jakoś nie pasowały do jego szczupłego, muskularnego ciała. Trenował teraz jeszcze więcej. Był to jego

sposób na radzenie sobie z emocjonalnym stresem. Targał żelastwo na siłowni, godzinami biegał i w każdy czwartek rano boksował z trenerem. Zainwestował w jeszcze bardziej wypasiony sprzęt. Kupował odzież sportową sprowadzaną ze Stanów – sportowe marki o dyskretnych, acz zauważalnych logo. Nabył też siatkowe buty z lekką podeszwą, które miały imitować doświadczenie biegania bospo po Masai Mara. Pił szejki proteinowe i żywił się mięsem z piersi kurczaka, skórke zostawiając na brzegu talerza. Kiedy Kate wyrzucała ją do kosza, czuła się tak, jakby skórka osądzała ją w milczeniu. Obiektywnie rzecz biorąc, Jake wyglądał świetnie, ale brakowało jej miękkiego komfortu jego piersi. Teraz, kiedy kładła mu głowę na klatce, było jej twardo. A gdy brał ją w ramiona, uścisk był zbyt mocny.

Jej własne ciało zrobiło się jakby obce. Zawsze była w formie; dzięki jodze na jej ramionach rysowały się kształtne mięśnie, a na brzuchu delikatny zarys „kaloryfera”. Teraz miała wrażenie, że brzuch jest obwisły i pełen płynu. W biodrach też pewnie jej przybyło. Od miesięcy nie ćwiczyła regularnie. Na pewno utyla, a wysiłek związany z zajściem w ciężę i nieustanne widmo jej utraty zostawiły swój fizyczny ślad. Tak nie było, ale wtedy tego nie wiedziała.

– Kate?

Uzmysłowiła sobie, że nie odpowiedziała na pytanie.

– Jestem zmęczona – westchnęła.

– Co sądzisz o surogatce? Czy wolisz o tym porozmawiać kiedy indziej?

Wtedy zaczęła płakać, choć nie czuła się jakoś szczególnie smutna. Jake podał jej serwetkę. Wytarła mokre policzki. Gdzieś w kącie kawiarni rozbeczało się dziecko, niczym echo jej własnego smutku. Jego matka rozpięła bluzkę i podała mu pierś. Natychmiast się uspokoiło, ssąc ochoczo. Patrząc na nich, Kate czuła, jak ogarnia ją mieszanina zazdrości i zachwytu. Była zrozpaczona, zdesperowana. Niczego nie pragnęła tak bardzo, jak dziecka. Nie była w stanie myśleć o niczym innym. Miała wrażenie, że umrze, jeśli nie zostanie matką.

– To chyba dobry pomysł – powiedziała. – Tylko... nie sądziłam, że będzie mi tak smutno, że nie potrafię...

– Moje kochanie... – szepnął. – Tak mi przykro.

– A możemy sobie na to pozwolić?

- Oczywiście, że możemy. W ostateczności weźmiemy kredyt na hipotekę domu. Dziecko jest ważniejsze, prawda?

Pokiwała głową.

- Kochasz mnie jeszcze? - spytała.

- Jak możesz w ogóle pytać? - Jego rysy zmiękły. - Kocham cię ponad wszystko. Przejdziemy przez to. Razem. Dobrze?

- Dobrze.

W ciągu dwóch tygodni skontaktowali się z agencją surogatek. Zaproszono ich na rozmowę. Carol, kompetentna siwowłosa kobieta w gładkiej bawełnianej bluzce i praktycznych czółenkach, usiadła z nimi, mówiąc:

- Dzisiaj usłyszycie sporo nowych informacji. - Roześmiała się w sposób, który do złudzenia przypominał Kate dawną nauczycielkę biologii. - Gotowi?

Dowiedzieli się, że w Wielkiej Brytanii płacenie surogatkom i przekazywanie im jakichkolwiek korzyści majątkowych innych niż pokrycie niezbędnych kosztów jest nielegalne. Surogatka musi działać z pobudek altruistycznych, wiedzona jedynie chęcią pomocy. Zanim ktokolwiek cokolwiek podpisze, musi upłynąć trzymiesięczny okres przeznaczony na wzajemne poznanie się. Muszą również zdecydować, czy wykorzystane zostaną jajeczka Kate, czy surogatki. Dowiedzieli się, że istnieje strona internetowa, na której surogatki i rodzice mogą się dobierać. Organizowane są też konferencje i inne imprezy, na których potencjalnych rodziców jest zwykle trzykrotnie więcej niż surogatek.

Wrócili do domu z kilkunastoma ulotkami, które potem czytali w kuchni, pijąc z kubków mocną herbatę. Miło było mieć plan - coś, co mogli ogarnąć. Znacznie milej niż słuchać konsultantów płci męskiej, toczących z ust medyczny żargon obliczony na to, żeby ich zbyć i zrazić.

Miesiąc później Carol zaprosiła ich na imprezę, która miała się odbyć w hotelu w Coventry.

- To coś à la bal kostiumowy. Tematyczny: gangsterzy i ich dziewczyny. Nie wiem, czy to wasze klimaty, ale jeśli tak, powinniście koniecznie pojechać. Poznacie mnóstwo par, każda z nich ma historię podobną do waszej. Zobaczycie, jak uzdrawiająca bywa rozmowa z kimś, kto to naprawdę rozumie.

Zarówno Jake, jak i Kate nienawidzili przebieranek, ale uznali, że warto się poświęcić. Zamówili stroje na Amazonie: dla Kate tanią poliestrową sukienkę z frędzlami w stylu lat dwudziestych ubiegłego wieku, sztuczne perły i cygarniczkę, a dla Jake'a obszerny garnitur w prążki. Następnie pojechali do hotelu Grand Eastern w Coventry. Był to dwupiętrowy budynek z żółtej cegły. Na podłogach leżała beżowa wykładzina w bordowe romby. W sterylnym pokoju prawie nie było mebli – piankowy materac na łóżku, czajnik, paczkowane porcje cukru i śmietanki w proszku. W łazience szampon i żel pod prysznic we wspólnym pojemniku zamocowanym na wykafelkowanej ścianie. Z okna rozciągał się widok na parking. Zrobili sobie po wódce z tonikiem, które znaleźli w barku. Usiedli na łóżku, spojrzeli na siebie i zaczęli się śmiać, rozbawieni dziwną sytuacją. Kate nie pamiętała, kiedy ostatnio śmiała się tak swobodnie.

- Nie uważasz, że za dużo pijemy? - spytała Jake'a.

Miał taką minę, jakby nie wiedział, czy pyta serio.

- Jeśli nie należy nam się parę głębszych po tym, co przeszliśmy, to nie wiem, komu się należy - odparł.

- No, w sumie...

Włożyli kostiumy, a ona pomalowała usta ciemnoczerwoną szminką. Jake stwierdził, że Kate wygląda szalowo i musi włożyć ten strój, kiedy wrócą do domu, bo on chce się kochać z dziewczyną gangstera. Kate, której trochę kręciło się już w głowie, czuła się znowu piękna. Trzymając się za ręce, ruszyli korytarzem do sali konferencyjnej, gdzie odbywała się impreza. Pomieszczenie udekorowano balonikami z helem i plakatami przedstawiającymi Ala Capone pod wielkim napisem „WANTED”. Sala była już na wpół wypełniona gośćmi. Podeszli od razu do baru. Kate czuła, że się denerwuje, choć nie wiedziała dlaczego. Poprosili barmana o wódkę z tonikiem.

- Zwykłą czy podwójną?

- Podwójną - odpowiedzieli równocześnie.

- Podoba mi się wasza stylówka - usłyszeli za plecami nieznany głos.

Odwrócili się, żeby zobaczyć stojącą za nimi kobietę. Miała potargane blond włosy, które przytrzymywała opaska z piórami, opaloną skórę i całkiem miły uśmiech. Spod męskiego garnitur wyzierał je-

dwabny gorset. Była ładna i otwarta - typ dziewczyny, którą można by obsadzić w roli atrakcyjnej siostry głównego bohatera.

- Cześć - powiedziała, wyciągając dłoń. - Jestem Marisa.

# Część trzecia



## 18

- Czuję, że zaraz zwariuję, i chcę porozmawiać - powiedziała Marisa.

- Oczywiście - przytaknęła Kate. Starła się, by jej głos brzmiał tak kojąco, jak to tylko możliwe. - Rozumiem. Porozmawiamy. Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

Marisa rozluźniła spięte barki. Od razu wydała się spokojniejsza. Odłożyła nóż na stolik w korytarzu.

- Przepraszam za ten nóż - wymamrotała. - Nie miałam zamiaru go użyć.

- Wiem.

Marisa uśmiechnęła się krzywo, przez co reszta jej twarzy sprawiała wrażenie zdeformowanej. Miała skołtunione, brudne włosy, a Kate czuła cierpki, ziemisty odór jej ciała.

- Och, Marisa! - westchnęła. - Co się dzieje?

Dziewczyna siedziała zgarbiona na krześle. Jej pierś poruszała się szybko, po policzkach spływały łzy. Uniosła głowę i spojrzała na Kate spod zlepionych w strąki włosów.

Kate przycisnęła się do ściany, jakby chciała się w niej schować. Ale nie było dokąd uciec, a nogi wciąż miała skrępowane liną.

- Marisa, słonko, czy możesz rozwiązać mi nogi? Obiecuję, że nigdzie sobie nie pójdę. Po prostu bardzo mi niewygodnie.

Tamta wciąż gapiała się na nią z otwartymi ustami. Kate nie była pewna, czy w ogóle rozumie, co się do niej mówi. Wyglądało na to, że nie ma z nią kontaktu. Jak mogliśmy do tego dopuścić? - pomyślała. Jak do tego doszło?

Postanowiła kontynuować spokojną przemowę, jakby uspokajała spłoszonego konia, podchodząc coraz bliżej i przemawiając łagodnie z kostką cukru w dłoni.

- Proszę, kochanie, rozwiąż linę, to pogadamy. Usiądziemy sobie na kanapie w kuchni, napijemy się gorącej herbaty i ze wszystkim się uporamy. Nie bój się. Nic mi się nie stało i wcale się nie gniewam. Proszę.

Po długiej chwili Marisa usiadła wreszcie prosto na krześle, zebrała włosy dłońmi i związała je w luźny węzeł na karku. Minę miała nieco przytomniejszą, jak gdyby jej wewnętrzne demony dały na moment za wygraną. Wstała, obronnym gestem przykładając dłoń do brzucha, i schyliła się, żeby rozluźnić więzy. Kiedy to się nie udało, sięgnęła po nóż. W końcu ciasne zwoje puściły i Kate poczuła, że wraca jej krążenie w stopach.

- Dziękuję.

- Nie chcę iść do kuchni. Usiądziemy tutaj.

Marisa osunęła się na podłogę tuż obok Kate i oparła plecami o ścianę. Siedziała tak blisko, że kosmyk jej włosów łaskotał Kate w policzek. To było jeszcze bardziej przerażające, niż gdy stała nad nią z nożem. Kate starała się mentalnie odgrodzić od zapachu, od przerażenia i jakoś uspokoić oddech. Na sekundę zamknęła oczy, próbując zebrać myśli.

- Mariso, o co chodzi?

- Wiem o wszystkim.

- O czym?

- Przestań. Nie jestem głupia. Nie jestem naiwna, nawet jeśli tak ci się wydaje. Nawet jeśli ustępuję ci inteligencją. Już cię o to pytałam, ale spytam jeszcze raz: od jak dawna sypiasz z Jakiem?

Kate poczuła konsternację.

- Od sześciu lat - odparła. - Wiesz o tym.

- Jak możesz to mówić tak spokojnie? Zaprosiliśmy cię do swojego domu i tak mi się odwdzięczasz? Rozwalając mój związek?

- Twój związek?

Marisa pokiwała głową. Kate w jednej sekundzie zrozumiała wszystko i natychmiast tego pożałowała.

- Ale... przecież...

Słowa plątały się, gdy próbowała je wyartykułować ochryłym głosem, niewiele głośniejszym od szeptu. Chyba jej się nie wydaje...? Nie może przecież sądzić...

- Jesteś naszą surogatką - powiedziała w końcu.

Marisa siedziała obojętnie, jakby w ogóle nie usłyszała.

- Jesteś surogatką - powtórzyła Kate. - Rozumiesz?

I wtedy Marisa zrobiła coś dziwnego – coś, czego Kate się nie spodziewała. Wzięła ją za rękę i zaczęła się śmiać. Z początku spokojnie, ale potem śmiech przybrał przenikliwe histeryczne tony.

– Och, Kate – wydusiła, łapiąc oddech. – Kate, Kate, Kate! Biedac-two! Wszystko ci się pomieszało. To ja jestem z Jakiem. Noszę jego dziecko. Ty jesteś naszą sublokatorką.

Kiedy Kate była mała, jej ojciec w każdą drugą niedzielę miesiąca jeździł na giełdę. Czasami, jeśli wstała wystarczająco wcześnie, zabierał ją ze sobą. Mieszkali na dnie doliny; droga wiodła ostro w górę obok ich domu, a za wzniesieniem znów w dół, do najbliższej wioski. O tej porze dnia na drodze nie było wielu samochodów, więc ojciec rozpędzał się pod górkę, żeby mogła poczuć, jak żołądek jej podskakuje, kiedy samochód pokonywał szczyt i zaczynał zjeżdżać.

– Hopa, hop! – wołała zachwycona, z radosną zgrozą, że samochód się zbuntuje i pofrunie. Tak się nigdy nie stało, ale jej wnętrzości potrzebowały jeszcze chwili, by nadażyć za światem, który przesuwał się za oknami.

Słyszając, co mówi Marisa, i uświadamiając sobie, jak głębokie są jej zaburzenia, Kate znowu poczuła, że jej żołądek wywija salto. Tyle że tym razem nie wrócił do normalnej pozycji. Tym razem samochód nie pokonał grzbietu. Poszybował w powietrzu, by na koniec wbić się w asfalt z potężną, miażdżącą siłą.

– Mariso... – Starła się mówić tak wyraźnie i zwięźle, jak to tylko możliwe. – Jake jest moim partnerem. Jesteśmy ze sobą od sześciu lat. Nie mogłam zająć z nim w ciążę. Poprosiliśmy cię, żebyś została naszą surogatką i zamieszkała z nami. Nosisz w łonie nasze dziecko. Nasze, nie twoje.

Marisa przez chwilę nic nie mówiła. Odwróciła się, zapadła w siebie. Kate widziała, jak skubie pozadzierane skórki przy paznokciach prawej dłoni. Przez kilka minut siedziały w milczeniu, zanim Marisa się odezwała.

– Chodzi o to, Kate...

Przerwał jej dźwięk klucza obracającego się w zamku. Drzwi wejściowe się otworzyły. Wrócił Jake.

## 19

Z początku nie mogli w to uwierzyć. Zdarzył się cud. Carol mówiła, że niektórym parom znalezienie odpowiedniej kandydatki zabiera całe lata. Mało kto trafiał już na pierwszym spotkaniu. Ale i Kate, i Jake poczuli odruchową sympatię do Marisy. Patrząc z perspektywy czasu, Kate zastanawiała się, czy to nie desperacja kazała im widzieć powinowactwo tam, gdzie go nie było.

Mimo to cała trójka paplała tej nocy radośnie o tym, jak niezwykła, a zarazem potencjalnie komiczna jest sytuacja, w której się znaleźli. Marisa podpytywała ostrożnie o ich „podróż”, ponieważ każdy nazywał to podróżą, jak w kiepskiej rockowej balladzie z lat osiemdziesiątych. Docenili to, że w jej pytaniach nie było wścibstwa ani niezdrowej fascynacji. Słuchała, kiwała głową i robiła to chyba z autentyczną empatią. Stwierdziła, że sama zawsze chciała mieć dzieci, ale jeszcze nie jest na to gotowa. Dobrze wie, jak to jest borykać się z bezpłodnością. Słyszała o tym od starszych znajomych, ale też miała okazję obserwować własną matkę.

- Pomiedzy mną a moją siostrą jest siedem lat różnicy - wyjaśniła. - W tym czasie mama wielokrotnie ronila. Okropnie to przeżywała za każdym razem.

Kate przyjrzała jej się z obawą, że to może być dziedziczne. Marisa, jakby czytając w jej myślach, dodała:

- Ale ja się przebadałam i wszystko wygląda w porządku. Pomyślałam, że póki jestem młoda, mogę komuś pomóc, tak? Szkoda, że nikt nie był w stanie wtedy pomóc mojej mamie.

Mówiła w sposób charakterystyczny dla jej pokolenia, szpikując zdania niepotrzebnymi pytajnikami, które podnosiły intonację.

- Ile masz lat, jeśli to nie tajemnica? - Jake wypił już cztery drinki i czuł się swobodniej niż zwykle.

- Dwadzieścia osiem.

Była taka otwarta, zachowywała się tak prostolinijnie, że Kate była oczarowana. Przywykła do obcowania z cynicznymi typami z mediów. Ich pogląd na świat spaczyły lata w wielkim mieście, gdzie chłodna kalkulacja przynosi więcej zysków niż entuzjizm. A Marisa wydawała się wręcz dziewczyna, niczym nowa lalka dopiero co wyjęta z opakowania. Jak sama mówiła, dorastała na wsi i rzeczywiście przypominała bohaterkę powieści Thomasa Hardy'ego – krzepka, płowłosa, o promiennym uśmiechu i poczuciu jedności z otoczeniem. Była w niej jakaś staroświecka czystość. Kate bez trudu potrafiła wyobrazić ją sobie z dzieckiem na ręku.

Marisa wyszła z imprezy przed nimi. Powiedziała, że musi wcześniej wstać, i to również im się spodobało. Była rozumna; ufała własnemu osądowi na tyle, że potrafiła zrezygnować z zabawy, choć ta dopiero się rozkręcała.

- Chciałabym, żebyśmy byli w kontakcie – powiedziała. – Oczywiście jeśli wy też chcecie. Bez napinki.

Jake spojrział na Kate, która lekko skinęła głową.

- Chętnie – przyznał. – Może dam ci swój numer.

- Pewnie. – Marisa wyjęła starego iPhone'a z popękanyim wyświetlaczem.

- Wow! – sapnął Jake. – Musiał ci upaść z bardzo wysoka.

Roześmiała się.

- Miałam wymienić, ale sami wiecie, jak to bywa.

Jake wpisał swój numer i oddał jej telefon.

- Fajnie było was poznać – skwitowała rzeczowo.

Oszczędziła im pożegnalnych buziaków i Kate poczuła ulgę. Jeśli coś ma z tego wyjść, granice muszą być jasno określone od samego początku.

- Też bardzo się cieszę z naszego spotkania – powiedziała i mówiła to szczerze. Po raz pierwszy od czterech lat widziała iskierkę nadziei.

Carol ostrzegała, żeby nie dali się ponieść.

- Przed wami jeszcze długa, bardzo długa droga. Musicie się teraz lepiej poznać. Przekonać się, czy pasujecie do siebie nawzajem. I czy możecie sobie zaufać. Bo chodzi przecież o coś drogiego. A Marisa jest akurat dość niezwykła. Nie zapominajcie o tym, proszę.

- Co masz na myśli? – zainteresowała się Kate.

- No cóż, jest młodsza niż większość surogatek, z którymi współpracujemy. Oprócz tego sama jeszcze nie rodziła, a preferujemy kobiety, które wydały już na świat przynajmniej jedno dziecko. Jasne, że to jej nie dyskwalifikuje, ale trzeba to mieć na uwadze. Jest singielką, więc nie może liczyć na wsparcie partnera. Musicie się upewnić, że w czasie ciąży będzie miała do kogo zwrócić się o pomoc.

- Ale czy jej relatywna młodość nie jest zaletą? - zdziwił się Jake. - Chodzi mi o płodność.

- Może być, oczywiście. Tylko trzeba to mieć na uwadze - powtórzyła Carol. - Zastanawialiście się już, czyich jajeczek użyjecie?

- Myślę, że zdecydujemy się na jajeczka surogatki, jeśli jest taka opcja - powiedziała Kate.

Mówiła wyraźnie i starała się, żeby głos jej się nie załamał. Szli za radą doktora Abadiego, który stwierdził, że takie rozwiązanie zapewni największe szanse na poczęcie w najkrótszym czasie. I choć Kate wciąż sobie powtarzała, że jakkolwiek się pocznie, dziecko będzie jej, kiedy tylko weźmie je w ramiona, trudno jej było pogodzić się z faktem, że nie będzie z nią genetycznie spokrewnione.

- No dobrze. - Carol też chyba o tym pomyślała. - Pozostaje kwestia tego, że Marisa wygląda zupełnie inaczej niż ty, Kate. Nie przeszkadza ci to?

- Jest podobna do Jake'a.

- Tak, ale on dostarcza nasienia, więc...

- Wiem, mam tego świadomość. Sporo o tym myślałam.

I tak było. Wałkowała to na okrągło w głowie, aż doszła do wniosku, że liczne zalety Marisy przeważają nad tym jednym, raczej abstrakcyjnym zmartwieniem. Jake rozpaczliwie chciał mieć dziecko i nie potrafiła dłużej znieść tego, że go zawodzi. Nie mogła utrudniać, więc wmówiła sobie, że nie ma problemu. Z czasem stało się to czymś w rodzaju prawdy.

- Nie mam z tym problemu - powiedziała do Carol.

Jake siedzący obok ścisnął jej dłoń.

Za radą Kate Jake zaczął regularnie pisywać do Marisy.

- Chyba nie chcemy zmarnować szansy - mówiła półzartem Kate. - Pewnie dostawała numery ze wszystkich stron!

Siedzieli na ławeczce, podziwiając hortensję, która właśnie rozkwitła. Zza płotu na końcu ogrodu dochodziły odgłosy gry komputerowej – ktoś puścił dźwięk na cały regulator. Mieszkali tuż obok bloku komunalnego i wysoka klatka schodowa z czerwonej cegły przecinała czworokąt nieba nad ich ogrodem. Właśnie dlatego udało im się kupić ten dom w korzystnej cenie. Agent nieruchomości przyznał, że sąsiedztwo wieżowca zniechęciło wielu nabywców. Im jakoś specjalnie nie przeszkadzało. Bądź co bądź Londyn był jedną wielką szachownicą rozmaitego budownictwa. Tam gdzie bomby drugiej wojny światowej zburzyły starą zabudowę, wyrastały wysokie bloki, wciśnięte między stare kamieniczki jak nowe złote zęby w pożółkłym uśmiechu. Mieszkając tutaj, żyli w prawdziwym mieście, a nie tylko w jego retuszowanej wersji. Kate ceniła sobie tę patchworkową ewolucję.

- Czuję się tak, jakbym podrywał dziewczynę – rzucił Jake, nalewając sobie kieliszek różowego wina.

Zmrużyła oczy, patrząc na niego.

- O czym ty mówisz?

- Mówię o tym, że nadmiernie analizuję każdą wiadomość od Marisy, bo chcę jej pokazać, że nam zależy, a nie chcę, żebyśmy wyszli na napałonych.

- Jesteś niemądry. - Roześmiała się.

Wino i słońce powodowały przyjemny rausz. Oparła głowę na ramieniu Jake'a.

- Wolno ci uwodzić tylko mnie.

Przycisnął ją do siebie.

- Chwała Bogu – powiedział.

Postanowili spotkać się z Marisą w najbliższy weekend. Środek dnia wydawał się odpowiedni i niekrępujący. Kate ubrała się ładnie, ale nie za modnie, żeby się pokazać od tej statecznej, godnej zaufania strony. Zdecydowała się na białą lnianą koszulową bluzkę, dzinsy boyfriendy i adidas. Jake włożył szarą koszulkę i ulubione chinosy. Do kawiarni przybyli pół godziny przed czasem, żeby móc się rozgościć i okiełznać niepokój. Wybrali stolik przy oknie, by Marisa nie musiała ich szukać.

Kiedy weszła, uśmiechnęła się do nich i podeszła do stolika.

- Cześć – rzuciła.

Rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona. Wyglądała jeszcze zdrowiej i jędrniej, niż Kate to zapamiętała. Miała na sobie różową letnią sukienkę, której ramiączka zsuwały się z opalonych ramion. Rozpięty najwyższy guzik ukazywał trójkącik niebieskiego stanika. Kiedy Kate na nią patrzyła, jedyne słowo, jakie przychodziło jej do głowy, brzmiało „dorodna”. Instynktownie wiedziała, że ta kobieta donosi i urodzi ich dziecko. Że jest ich spełnioną szansą. Ta wiedza ją uspokajała. Nagle wszystko nabrało specyficznego sensu: długie wysiłki doprowadziły ich właśnie tutaj. Jakby dziecko czekało na Marisę.

- Fajnie, że znów się widzimy. - Jake uściśnął jej dłoń.

Zamówili napoje. Herbata Marisy została podana z mnóstwem niepotrzebnych akcesoriów, takich jak malutki minutnik do jajek, tacka w japońskim stylu i przydługa instrukcja kelnerki na temat prawidłowego zaparzania.

- Wow - mruknął Jake. - Jak widać, napić się herbaty to nie takie proste.

Zaśmiali się zgodnie.

- Zwykle tak tego nie celebрую. Wrzucam english breakfast i zalewam wrzątkiem - dodał.

Kate była mu wdzięczna, że wziął na siebie trudne zadanie przełamań lodów i ona nie musiała tego robić. Na razie wołała się nie odzywać, obserwować z boku.

Rozmawiali o swoich rodzinach i dorastaniu. Marisa odmalowała idylliczny obraz szczęśliwego dzieciństwa. Jej rodzice - stwierdziła - nadal są szczęśliwym małżeństwem („Cholernie trudno doskoczyć do takiego wzorca, nie?”), a ona i jej młodsza siostra Anna utrzymują ze sobą bliski kontakt.

- Czym się zajmujesz zawodowo? - spytała Kate.

- Piszę i ilustruję książeczki dla dzieci.

- Och, to wspaniale!

Kate nie posiadała się z radości, że trafiła im się kreatywna osoba. Był to jeden z powodów jej zmartwień - to, że dziecko nie zdoła odziedziczyć po niej artystycznych genów.

- Dzięki! Żaden ze mnie Roald Dahl, po prostu dostaję zlecenia od rodziców i tworzę spersonalizowane bajki dla ich dzieci.

- Jak to działa?



Marisa odrzuciła włosy z ramion. Były długie i falujące jak włosy modelek, które w plażowej scenerii reklamują olejki do opalania.

- Dostają kilka zdjęć i krótką charakterystykę dziecka. Na tym bazuję.

Nazwała swoją firmę Opowiem Ci Bajkę. Oboje uznali, że to bardzo fajna nazwa. Pod stołem Jake trącał Kate kolanem. Uścisnęła jego udo. Oboje wprost nie mogli uwierzyć, że wszystko idzie tak dobrze.

Nie wspominali o surogacji aż do samego końca. Ostatecznie to Marisa poruszyła ten temat.

- Wiem, że jeszcze wcześniej, ale chcę wam powiedzieć, że bardzo was polubiłam i z przyjemnością wam pomogę, zostając waszą surogatką. Oczywiście jeśli tego chcecie. - Zachichotała, rumieniąc się. - Nie naciskam.

Kate poczuła, że jej oczy wypełniają się łzami.

- To... - głos jej się łamał - takie szlachetne i wspaniałe. Dziękujemy... Przepraszam...

Nie chciała się rozbeczeć w obecności Marisy, więc poszła do toalety, gdzie przesiedziała kilka minut na opuszczonej desce, osuszając policzki zwiniętym kawałkiem papieru toaletowego. W końcu wzięła kilka głębokich oddechów. Na wewnętrznej stronie drzwi wisiał plakat reklamujący jogę dla ciężarnych i matek. „Uwolnij wewnętrzną Boginię Matkę” - głosił slogan. Zdjęcie przedstawiało biodrzastą kobietę w tunice, która unosi wysoko pulchne niemowlę. Kate widywała już ten afisz i zawsze ją wkurzał, podobnie jak pełne dziecięcych wałeczków zdjęcia na Instagramie, przez które miała ochotę krzyczeć. Tchnęło z niego ślepe zadowolenie z siebie, egoizm, wręcz okrucieństwo w obliczu jej gehenny. Nieraz walczyła z chęcią, by go zerwać i podrzeć. Szkoda, że nie stosuje się ostrzeżeń: „Uwaga! Zawiera treści ciążyowe”. Ale dziś patrzyła na plakat z wiarą, że i ona kiedyś będzie miała dziecko.

Wyjęła z kieszeni dzinsów telefon i napisała do Jake’a wiadomość.

*Myszę, że to jest ta właściwa, a ty?*

Nacisnęła „Wyślij” i czekała. Ktoś zastukał delikatnie do drzwi, więc splukała toaletę, umyła ręce i wsadziła je pod suszarkę, żeby ten ktoś wiedział, że zaraz wyjdzie. Telefon zawibrował.

*Też X*

Opuściła kabinę, uśmiechając się szeroko do kobiety, która czekała na zewnątrz.

- Przepraszam - wymamrotała.

Wracając przez gwarną salę, przez ułamek sekundy widziała, jak Marisa sięga przez blat i muska dłoń Jake'a. To był szybki, przelotny gest, jakby dla podkreślenia czegoś, co padło w rozmowie, i Kate nie zaprzętała sobie nim więcej głowy. Wróciła do stolika i powiedziała Marisie, jak bardzo są szczęśliwi, że ją spotkali.

Przez kolejne trzy miesiące spędzali ze sobą mnóstwo czasu, tak jak radziła im Carol. Urządzali wspólne pikniki. Uczestniczyli w konferencjach na temat surogacji. Chodzili razem do galerii, muzeów i do kina, gdzie Jake i Kate siedzieli po obu stronach Marisy, żeby nie czuła się niezręcznie. Dziesiątki razy rozmawiali o tym, z czym się wiąże surogacja i jak to wszystko ogarną, żeby być wobec siebie jak najbardziej w porządku. Spisali umowę, na mocy której Marisa Grover po urodzeniu dziecka przekaże prawa rodzicielskie Kate Samuel i Jake'owi Sturridge'owi. Mówiąc o dziecku, Marisa zawsze używała określenia „wasze”. Wiedziała o wszystkich procedurach, którym będzie musiała się poddać w celu pobrania jajeczek i zapłodnienia ich nasieniem Jake'a. Przekonywała Kate, że jej to nie odstrasza.

- Chcę się tylko upewnić, że wszystko akceptujesz. Przepraszam za te ciągłe pytania - powiedziała do niej Kate, gdy któregoś dnia spacerowali wzdłuż rzeki w parku Battersea.

- Rany, doskonale cię rozumiem. Ale naprawdę, zanim was spotkałam, sporo myślałam nad tym, czy chcę to zrobić. Więc mam wrażenie, że wiem, w co się pakuję.

- Dobrze to słyszeć - wtrącił Jake.

Wszystko, co mówiła Marisa, było idealne. Niekiedy zdawało im się, że ją sobie wymyślili - że jest za dobra, aby mogła być prawdziwa.

W zasadzie Kate miała ochotę zmienić tylko jedną rzecz: jej warunki mieszkaniowe. Marisa powiedziała im, że wynajmuje mieszkanie w północnym Londynie, ale kiedy ją tam odwiedzili, Kate była wstrząśnięta. Zobaczyła mikroskopijną kawalerkę, a nie mieszkanie z prawdziwego zdarzenia: była to w zasadzie sypialnia z aneksem kuchennym i łazienką wielkości szafy. Śmierdziało gotowanym jedzeniem i kanalizacją. Z góry dobiegał łomot głośnej muzyki. Było wilgotno i ciasno, a okna wychodziły wprost na ruchliwą ulicę. Szyby były szare od kurzu i spalin.

- A gdyby Marisa wprowadziła się do nas? - zagaiła Kate tego samego wieczoru.

Oboje siedzieli na sofie przed telewizorem, pijąc wino i oglądając na Netflixie dokument o aferze dopingowej w kolarstwie.

- Hmm? - Jake w pierwszej chwili nie dosłyszał. Sięgnął po pilota i nacisnął pauzę. - Co mówiłaś?

Trzymała kieliszek za nóżkę, delikatnie nim kręcąc i obserwując, jak wino osiada na ściankach.

- Zastanawiałam się, czy nie zaproponować Marisie, żeby zamieszkała z nami.

Jake, który właśnie sięgał po chipsy do miski stojącej przed nim na niskim stoliku, zastygł w pół ruchu. Następnie opadł na oparcie i parsknął śmiechem.

- Co?!

Kate patrzyła na niego spokojnie. Zorientował się, że nie żartuje, i jego twarz spoważniała.

- Hm. No cóż. Nie spodziewałem się tego. Czekać. Muszę to przetrwać.

Telewizor przeszedł w tryb oszczędzania energii i na ekranie pojawiły się wolno pływające delfiny wygaszacza.

- Trochę o tym myślałam i nie podoba mi się, że będzie tak daleko od nas...

- No, to nie jest znowu tak daleko.

- Wiem, ale oboje pracujemy do późna i łatwiej nam będzie mieć ją pod bokiem. To argument praktyczny - dodała, wiedząc, jak pracuje umysł Jake'a. - A emocjonalny jest taki, że nie podoba mi się, że będzie tam sama, bez wsparcia rodziny. Wszyscy oni mieszkają na wsi, prawda? Poza tym łatwiej będzie nam mieć ją na oku. Kontrolować, czy zdrowo się odżywia, bierze suplementy, i takie tam.

- Ale...

- A biorąc pod uwagę, że dodatkowe wynagrodzenie dla surogatki jest nielegalne, chociaż w ten sposób odwdzięczymy jej się za to, co dla nas robi, a robi cholernie wielką rzecz.

Jake milczał, ale czuła, że przeszedł od niedowierzania do logicznej analizy.

- Możemy jej oddać wolny pokój - ciągnęła. - Będzie tam mogła urządzić pracownię, miejsca jest więcej niż dość.

Postanowił dolać sobie wina, okazało się jednak, że butelka jest pusta. Wstał i podszedł do szafki, z której wyjął czerwone. Wrócił z nim na sofę i zaproponował Kate dolewkę.

- Chętnie. - Podsunęła mu kieliszek. Potem zamilkła, pozwalając, by pomysł wsiąkł.

- Zgoda.

- Zgoda?

- Myślę, że to dobry pomysł.

Przeturlała się do niego i zaczęła go całować po twarzy.

- Super, że też tak myślisz. Dziękuję. Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

Jake się roześmiał i pocałował ją w usta. Jego wargi smakowały tanią.

- Załóżmy, że Marisa się zgodzi - rzekł, biorąc ją za ramiona. - Co powiemy wszystkim?

- Że... że jej wynajmujemy?

- Mojej mamie też?

Kate wróciła na swoją stronę sofy.

- Nie. Wydaje mi się, że Annabelle powinniśmy powiedzieć prawdę.

Jake pokręcił głową.

- Nie zrozumie.

- Nie - przyznała Kate. - Ale wcale nie musi.

W gruncie rzeczy poszło łatwo. Kate poinformowała Marisę na jutrz, kiedy rozmawiała z nią przez telefon.

- O rany, Kate! To wspaniałe! Ale... jesteście pewni? - Marisa łąpała oddech, jakby dopiero co skończyła biegać.

- Jesteśmy. Fajnie będzie, jeśli zamieszkas z nami. Oczywiście nie chcemy, żebyś czuła się do czegoś zobowiązana. Może wpadniesz do nas i się rozejrzysz. Wtedy będziesz mogła się zastanowić.

- Bardzo chętnie.

Umówiły się na następny dzień. Jake nie mógł się wyrwać ze spotkania, ale godziny pracy Kate były bardziej elastyczne, więc łatwo mogła zostać w domu, żeby oprowadzić Marisę. Niecierpliwie czekała na dzwonek u drzwi i kilka godzin poranka spędziła na sprzątaniu, żeby

wszystko wyglądało tak zachęcająco, jak to tylko możliwe. W pokoju gościnnym zmieniła pościel i ustawiła na półkach ulubione książki. Na dole zapaliła świece zapachowe i porządnie przetrła wszystkie blaty w kuchni.

Gdy Marisa przyszła, uściskały się i Kate zaczęła ją oprowadzać, udając agentkę nieruchomości. Zwróciła jej uwagę na podwójne szyby, dzięki którym wewnątrz było cicho, dwie łazienki (co oznaczało, że Marisa będzie miała własną) i fakt, że ona i Jake mają sypialnię na innym piętrze, co zapewni jej sporo prywatności.

- Tu jest cudownie - zachwycała się Marisa. - Światło jest po prostu rewelacyjne.

Kiedy oglądały kuchnię, Kate otworzyła drzwi do ogrodu i do środka niespodziewanie wleciała sroka, tak że Kate musiała się skulić. W zamieszaniu ptak zahaczył skrzydłem o wazon, który spadł i się rozbił. W końcu sroka wyfrunęła na zewnątrz. Kate, która nigdy nie lubiła ptaków i uważała je za zwiastuny wszelkich złowrogich plag, starała się obrócić wszystko w żart.

- I krzyżyk na drogę! - krzyknęła za sroką, gdy ta wzbiła się w niebo, zanim znikła im z oczu. - Mam nadzieję, że ten incydent cię nie zniechęcił.

Marisa uspokoiła ją, że skądże. Jeśli naprawdę chcą, to z przyjemnością spędzi z nimi nadchodzące miesiące przygody z ciążą. Kate przytuliła ją znowu, tak mocno, że czuła bicie jej serca. Kiedy się odsunęła, Marisa patrzyła na nią z dziwnym wyrazem twarzy. Jakby jej wzrok nagle stracił ostrość, a myśli błądziły zupełnie gdzie indziej. Trwało to ledwie chwilę, po której twarz Marisy przybrała normalny wygląd.

Ciekawe, gdzie bujała? - pomyślała Kate.

Odprowadziła ją do drzwi i stanęła na progu, patrząc, jak tamta w drodze do metra wyjmuje telefon i do kogoś pisze. Potem wróciła do przedpokoju, zamknęła drzwi i stała jeszcze przez chwilę, zadowolona, że tak gładko wszystko poszło.

Zorganizowali przeprowadzkę Marisy. Wynajęli furgonetkę i pomogli znieść pudła po wąskich schodach, a potem ułożyli wszystko na pace i ruszyli przez miasto przy głośnym akompaniamencie samochodowego radia. Marisa знаła chyba teksty wszystkich piosenek. Miała ładny głos

i to był kolejny jasny punkt na mapie genetycznego dziedzictwa dziecka Kate.

Rozpakowała się szybko i metodycznie. Do wieczora wszystko było gotowe i oto mieszkała w ich domu. Siedziała przy stole, jakby była tu od zawsze. Kate miała uczucie, że są rodziną.

Marisa ustawiła pod oknem w pracowni skośny pulpit kreślarski i całym dniami malowała swoje obrazki. Pojawiała się na kolacji z farbą we włosach, ubrana w luźny strój do pracy i sandały. Twierdziła, że od lat nie sypiała lepiej. Rzeczywiście, twarz jej się zaokrągliła, a cienie spod oczu zniknęły.

Jake i Kate, świadomi obecności nowej mieszkanki, robili, co mogli, żeby czuła się tu mile widziana. Byli zawsze pomocni, nigdy nie zapominali zaproponować jej filiżanki herbaty lub kieliszka wina. Zgodzili się również, że nie będą przy niej podkreślać łączącej ich uczuciowej więzi, aby nie czuła się wyobcowana. Kochali się tylko w nocy, cicho i dyskretnie, nie chcąc, by cokolwiek słyszała.

I tak było przez trzy, może cztery tygodnie. Później Kate nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy po raz pierwszy stwierdziła, że coś jest nie tak. Zaczęło się od małych rzeczy. Gestów i zachowań, na które nikt wówczas nie zwracał uwagi, ale wszystkie prowadziły nieuchronnie ku temu, co zdarzyło się później.

W pewnej chwili zaczęło ją drażnić, że Marisa ustawia swoje kubki z przodu półki, przesuając ulubione kubki Kate do tyłu. Myje zęby w ich łazience, kompletnie ignorując własną. Urządza sobie w niej długie kąpiele przed snem i nigdy nie spłukuje wanny. Bez pytania ściąga programy telewizyjne z ich konta Apple. Któregoś razu Kate zastała ją w sypialni. Marisa siedziała przy toalecie, przymierzając jej kolczyki.

- O, przepraszam! - rzuciła lekko, jakby nic się nie stało. - Strasznie mi się podobają i chciałam zobaczyć, czy będą mi pasować. Nie gniewasz się, prawda?

Kate przyparta do muru bąknęła:

- Nie, skąd.

Powiedziała sobie, że za bardzo ją kontroluje. Niby dlaczego Marisa nie miałyby się czuć u nich jak w domu? Czy nie do tego właśnie ją zachęcali? Poza tym Kate nie chciała jej stresować. Pragnęła za wszelką cenę wykorzystać szansę, na którą tak ciężko pracowali. Marisa była

idealną surogatką. Czegokolwiek więc zechce i jakkolwiek będzie się zachowywać, trzeba to znieść. Wykazać się wspaniałomyślnością i empatią. Dopóki nie urodzi się dziecko. To jest najważniejsze i temu celowi Kate musi podporządkować wszystkie swoje działania. Nie naruszać status quo. Nie robić niczego, co mogłoby urazić Marisę. Nie zapominać, że stąpają po kruchym lodzie.

Marisa tymczasem subtelnie, lecz systematycznie rozszerzała zasięg panowania. Spytała, czy może wstawić trochę książek do regału, i Jake ochno się zgodził. Gdy Kate zeszła do salonu, zobaczyła swoją ukochaną kolekcję wydawnictwa Persephone na podłodze. Na półkach stały teraz potężne albumy z fotografią i aktami. Rzeczy, których nikt nie czyta, ale każdy chce, aby inni widzieli, że je ma.

Któregoś dnia wpadła do domu po drodze ze spotkania, które odbywało się niedaleko. Od razu zauważyła, że jej adidasy zniknęły z przedpokoju, gdzie zawsze je zostawiała.

Marisa zeszła po schodach. Wyglądała na rozkojarzoną.

- O! - powiedziała. - Nie spodziewałam się gości.

Kate postanowiła obrócić to w żart.

- Ja tu mieszkam, pamiętasz?

- Wiem, tylko... Potrzebuję spokoju i przestrzeni, żeby tworzyć, rozumiesz?

Taa. Przepraszam, że w ogóle oddycham - pomyślała Kate cierpko, kiedy tamta obróciła się na pięcie i ruszyła na górę.

- Marisa, czekaj chwilę! - zawołała. - Przepraszam cię, ale nie wiesz czasem, gdzie są moje sportowe buty?

W zasadzie nie wiedziała, czemu wciąż ją przeprosza. Za bardzo się przejmuje, żeby czegoś nie palnąć.

- A tak, ciągle się o nie potykałam, więc schowałam je do szafki pod schodami.

- Aha. Okej.

Marisa skwitowała to szczerym, serdecznym uśmiechem i przez kilka sekund stała na lekko rozstawionych nogach, patrząc na Kate szeroko otwartymi oczami. Słońce, zaglądające przez okienko nad schodami, padło na jej złote włosy, otaczając głowę świetlistą aureolą. Kate odniosła mgliste wrażenie, że tamta rzuca jej wyzwanie, choć znów nie wiedziała dlaczego.



- Dzięki - mruknęła w końcu, zła na siebie, że tchórzy.

Mogłam jej jasno powiedzieć, że mają zostać tam, gdzie zawsze je stawiam - myślała, zdejmując kurtkę. No i czemu tego nie powiedziałam? Mimo hippisowskiego image'u, rozwichrzonych włosów i artystowskich workowatych kiecek Marisa potrafiła onieśmielać. Nie chodziło o to, że budziła lęk. Raczej o to, że nigdy nie było wiadomo, co myśli i jak zareaguje.

Czas mijał, a Kate nie zdradziła swoich obaw Jake'owi. W końcu to był jej pomysł, żeby sprowadzić tu Marisę. Może zresztą robiła aferę z trywialnych w gruncie rzeczy spraw. Winiła o to swoje nadmierne uwrażliwienie i stres spowodowany nietypowym trójkątem. Tak więc siedziała cicho, upominając sama siebie, że zachowuje się niedorzecznie, i potulnie wyjmowała adidasy spod schodów, a ulubiony kubek z głębin kuchennej szafki. Powtarzała te czynności tak długo, aż stały się nawykiem.

Potem Marisa postanowiła dla nich gotować. Kate próbowała ją od tego odwieść, bo jakkolwiek lubiła jej towarzystwo, niekoniecznie chciała jadać z nią wszystkie posiłki. Marisa stwierdziła, że to żaden problem, a gdy Jake mimochodem wspomniał, że uwielbiał makaron z sosem serowym swojej mamy, natchnął ją poczuciem misji.

- Mój makaron jest wręcz legendarny - oświadczyła lekko. - Zaufaj mi.

Wcześniej Kate podobała się pewność siebie Marisy. Teraz doszła do wniosku, że jest ona nadmierna. Czasem, kiedy rozmowa schodziła na jej pracę, Marisa określała się górnolotnie jako „malarka i artystka multimedialna”. Zdaniem Kate było to ciut przesadne, zważywszy, że ilustrowała zaledwie książeczki dla dzieci, i to na zlecenie rodziców, którzy trafiali do niej przez prywatną wiadomość na Instagramie. Widziała kilka z nich: proste obrazki i nieskomplikowana fabuła. Dla jej niewprawnego oka wszystkie te dzieciaki wyglądały podobnie. Jake był znacznie miłszy - wypytywał Marisę o różne rzeczy, na przykład jak maluje włosy i jakie farby trzeba zmieszać, żeby uzyskać taki, a nie inny odcień skóry.

- Będiesz musiała namalować książeczkę dla naszego dziecka, kiedy się urodzi - rzekł wesoło.

- Z rozkoszą - odparła.

Makaron okazał się przepyszny. To też ubodło Kate. Gotowanie uważała za swoją domenę. Jake zawsze ją chwalił, że potrafi wyczarować cuda z resztek. A teraz Marisa kradła jej show.

- Mmmm, pycha - powiedział Jake, ładując makaron do ust.

- To dzięki skwarkom. I czterem rodzajom sera.

Kate zauważyła, że Marisa zwraca się wyłącznie do Jake'a, jakby jej tam w ogóle nie było. Znowu upomniała się w duchu, że dopatruje się nie wiedzieć czego. W końcu sytuacja była dosyć delikatna. Kate musiała powierzyć swoją misję urodzenia dziecka młodszej, płodnej kobiecie. Czy to dziwne, że ta żądała praw, które leżały w jej zasięgu? Chciała się wykazać w tym, w czym była dobra.

- Bardzo smaczny - zawtórowała, choć jak na jej gust makaron był zbyt „bogaty”. - Dzięki.

Marisa się uśmiechnęła.

Opróżniwszy talerz, Jake rozparł się na krześle i z zadowoloną miną chłonął scenę, którą widział przed sobą.

- Już nie mogę się doczekać, kiedy będziemy mieli dziecko - wypalił zniecierpliwiona. - Wiem, że to brzmi dziwnie.

Kate spojrzała na niego i mrugnęła. Pod stołem ścisnęła go za kolano.

- Wcale nie - zaprotestowała Marisa. - Dlaczego?

- Faceci nie mówią zwykle takich rzeczy.

- Przecież to głupie.

Oparła łokcie na stole, podpierając brodę. Wycięcie przy szyi koszulki odchyliło się, ukazując dekolt. Kate siedziała tak blisko, że mogła zobaczyć linię, gdzie kończyła się letnia opalenizna. Niżej, tuż nad sutkiem, skóra była biała.

- Ja też nie mogę się doczekać i wcale mnie nie obchodzi, jak to brzmi. - Marisa zachichotała.

Kate spojrzała na nią. Sposób, w jaki to powiedziała, był tak zaborczy, tak nonszalancki, jakby to ona spodziewała się dziecka. A tak nie było. To Kate i Jake na nie czekali.

- Bardzo doceniamy, że to dla nas robisz - powiedziała, by przywrócić właściwe proporcje.

Marisa, zwrócona twarzą do Jake'a, skinęła tylko lekko głową. Atmosfera stała się napięta. Kate, przytłoczona tym, co rozgrywało się po-

między nimi trojgiem, rzuciła wesoło:

- Będzie wspaniale.

A potem wstała i zaczęła sprzątać naczynia.

W nocy, kiedy leżeli w łóżku, przysunęła się i wtuliła w plecy Jake'a, obejmując go rękami w talii. Położył na nich swoje dłonie i spleli nogi. Kate przycisnęła twarz do jego karku, czując, jak ją łaskoczą delikatne włoski.

- Kocham cię - rzekł.

- Ja też cię kocham - odparła.

Przymknęła oczy, ale nie mogła zasnąć.

- Jake?

- Mmm?

- Myślisz, że wszystko jest w porządku? To znaczy z Marisą.

Odwrócił się, by spojrzeć na nią z niepokojem.

- Co masz na myśli?

- Marisa... Może to głupie, ale...

- Zaczynam się martwić.

- Nie, przepraszam. Nie masz o co się martwić. Tylko... Nie uważasz, że ona czuje się tutaj jak u siebie?

- A nie tego właśnie chcieliśmy?

- Chyba tak. Tyle że... ona rusza moje rzeczy.

Jake roześmiał się cicho.

- Chodzi ci o buty do biegania?

- Tak!

- Wiesz, były dość wkurzające tam pod drzwiami.

- Dlaczego bierzesz jej stronę?!

Przytulił ją i zmieniając ton, stwierdził:

- Tu nie ma stron. To nie jest rywalizacja. Jesteśmy w tym wszyscy razem, prawda?

- A ty nie mogłeś się nachwalić tego jej makaronu - poskarżyła się stłumionym głosem, wcisnąwszy twarz w jego pierś.

Jake parsknął śmiechem.

- A więc o to chodzi? Daj spokój, Kate!

- Wciąż najbardziej lubisz, kiedy ja ci gotuję?

Wiedziała, że zachowuje się jak dziecko, ale nie potrafiła na to nic poradzić. Łaknęła zapewnień, otuchy.

- Oczywiście. Tylko ciebie kocham, najbardziej na świecie. I nie mogę się doczekać, kiedy będziemy mieli dziecko. Ja też wolałbym, żebyśmy nie musieli angażować do tego postronnych osób, ale skoro już do tego doszło, powinniśmy się cieszyć, że udało nam się znaleźć surogatkę, która wydaje się bliska ideału. A ponieważ jej jedynym irytującym nawykiem jest chowanie twoich adidasów, myślę, że jakoś wytrzymamy tych kilka miesięcy, co?

Przytuliła się jeszcze mocniej.

- Masz rację. Wiem, że masz rację. Przepraszam.

- Nie przepraszaj. - Odsunął się od niej i pocałował ją w czubek nosa. - Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jakie to musi być dla ciebie trudne. Ale za parę tygodni będziemy wszczepiać zarodek, prawda? Myślę, że wtedy napięcie opadnie z nas wszystkich.

Kate była zadowolona, że wreszcie coś powiedziała. Werbalizując lęki, przekłula ich pęczniejące balony. Widziała w nich teraz to, czym naprawdę były: paranoją wywołaną przez zrozumiałe poczucie niepewności swego miejsca w tym nietypowym związku. Terapeuta polecony przez agencję surogatek ostrzegał, że może się tak czuć. To było ważne: oddzielić to, co mówił jej zaniepokojony mózg, od tego, co działo się naprawdę. Jej interpretacja niekoniecznie musiała być trafna.

- To ty jesteś matką - oświadczył Jake. - Nie zapominaj o tym.

Zawsze potrafił ją uspokoić i sprawić, że zaczynała myśleć logicznie. Zamknęła oczy. Na zewnątrz panowała cisza i wkrótce Jake już cicho pochrapywał. Kate powoli zapadała w sen, kiedy usłyszała skrzypnięcie podłogi i odgłos, jakby ktoś wycofywał się spod drzwi.

Następnego ranka nie była pewna, czy tylko jej się to śniło, czy rzeczywiście ktoś podsłuchiwał pod drzwiami.

Zbliżały się urodziny Annabelle. Jake zaproponował, żeby zaprosili rodziców na wykwintny lunch w dobrej londyńskiej restauracji i zafundowali im nocleg w eleganckim hotelu.

- Mama uwielbia luksusy - stwierdził, wyłuszczywszy Kate swój plan. - A dzięki temu nie będzie musiała nocować u nas.

- I tak by nie mogła. Mieszka u nas Marisa.

- Wiem. Ale to niezły sposób, żeby przepchnąć ten pasztet w formie prezentu. Nie poczuje się urażona.

Był niedzielny poranek. Croissantsy dochodziły w piekarniku, a na zewnątrz lało jak z cebra. Po chwili deszcz przeszedł w grad, który uderzył w szklane drzwi z grzechotem kulek do gry sypiących się na podłogę.

- Jasne, to świetny pomysł - mruknęła Kate. - Stać nas na to?

- Niespecjalnie, ale chciałbym jakoś uświetnić jej urodziny. Przy tej okazji będziemy mogli powiedzieć jej o surogacji i zrobić to na neutralnym gruncie.

- Jasne - powtórzyła.

Wkurzało ją, że musieli się cackać z Annabelle jak z rozpuszczonym bachorem. Sama już dawno rzeczowo poinformowała o wszystkim własnych rodziców, a gdy wyjaśniła, czym jest surogacja i dlaczego się na to zdecydowali, staruszkowie poparli ją całym sercem. Mamę interesowało głównie, jakie imię dadzą dziecku i czy będzie nosiło nazwisko Kate, czy Jake'a, skoro nie są małżeństwem.

„Tym będziemy się martwić później” - odparła wtedy Kate. „Przed nami jeszcze długa droga”.

„Lepiej z tym nie zwlekać, skarbie”. Mama wstała, żeby włączyć czajnik. „Herbaty?”

Z Annabelle jednak sprawa przedstawiała się inaczej. Już od chwili, gdy zaczęli szukać surogatki, Jake martwił się tym, jak zareaguje matka. Kate trudno było zrozumieć, dlaczego zadręcza się jej opinią,

zważywszy, że zbliżał się do czterdziestki i był wystarczająco dojrzały, aby decydować o własnym życiu. Zastanawiała się, czy to, że w bardzo młodym wieku został oddany do szkoły z internatem, nie wytworzyło w nim podświadomego przekonania, że matka go nie akceptuje, i odtąd zawsze starał się skompensować niedostatek łączącej ich więzi. Kate poddała mu tę hipotezę wkrótce po tym, jak się poznali. Prychnął ze złością, żeby oszczędziła mu „psychoanalitycznych bredni o traumatycznym wpływie internatów”, i na tym rozmowa się skończyła.

Zadzwonili do Annabelle. Urodzinowy plan wprowadził ją w zachwyty. W wyznaczoną sobotę Jake wystroił się w lniany garnitur, a Kate w kwiecistą sukienkę i buty na niskim obcasie. Zeszli razem do holu. Jake sięgnął po klucze do wazy na komodzie. Zdemując płaszcz z wieszaka, usłyszeli za sobą Marisę.

- Gdzie się wybieracie? - spytała. W jednej ręce trzymała pędzel, w drugiej słoik z mętną wodą.

- Na urodzinowy lunch z moją mamą - wyjaśnił Jake.

- Aha. Miłej zabawy.

- W to akurat wątpię - wymamrotała Kate.

- Kate... - W głosie Jake'a pojawił się ton łagodnego upomnienia. - Na pewno miło spędzimy czas, dzięki.

Otworzył drzwi i przepuścił Kate pod wyciągniętym w górę ramieniem. Marisa przyglądała im się, stojąc bez ruchu.

- Chętnie ją kiedyś poznam - odezwała się nagle.

Kate obróciła się w progu i lekko uniosła brwi. Dziwne stwierdzenie, prawda? A może to zupełnie normalne, że matka zastępcza chce poznać przyszłych dziadków dziecka, które ma urodzić?

- Uważaj z wypowiedzianiem życzeń - skwitował sucho Jake.

Kate narzuciła trencz na ramiona.

- Do zobaczenia, Mariso - powiedziała lekko, lecz z naciskiem oznaczającym definitywny koniec rozmowy.

- No cześć. O której mniej więcej wrócicie?

- Trudno powiedzieć. Myślę, że za kilka godzin. - Jake zamknął za sobą drzwi. - Baw się dobrze! - zawołał przez otwór na listy.

- Baw się? - zapytała ze śmiechem Kate, kiedy szli razem przez park Vauxhall. Robotnicy sadzili krzaczki lawendy i asfaltowali nową ścieżkę

przecinającą trawnik. - Co ci przyszło do głowy? Ona nie jest dzieckiem!

- Sam nie wiem. Nagle poczułem idiotyczne wyrzuty sumienia, że nie wzięliśmy jej ze sobą. Też miałaś coś takiego?

- Owszem. I też czułam się idiotycznie.

Pociągnął ją na skraj ścieżki, przepuszczając rowerzystę.

- Może czuć się samotna. Nie ma chyba żadnych przyjaciół, prawda?

- Ma nas. - Kate wzruszyła ramionami.

- To prawda.

Zeszli do metra i przejechali linią Wiktorii do Green Park, skąd już tylko krótki spacer dzielił ich od Wolseleya. Jak się okazało, przyszli pierwsi; kierownik sali zaprowadził ich do stolika w ustawionej na środku podkowie, gdzie usiedli obok siebie na sofce. Widzieli stąd cały lokal i wszyscy widzieli ich. Kierownik sali zaproponował świeżą prasę - odmówili. Odszedł i po chwili wrócił z dzbankiem wody. Jake poprosił o Krwawą Mary.

- Dwie - poprawiła go Kate. - Dla mnie ekstrapikantną.

W ostatnim okresie coraz silniej odczuwała potrzebę starannie dawkowanej narkotycznej ulgi w postaci regularnych drinków. Powiedziała sobie, że musi się w końcu odprężyć, a po długich miesiącach, kiedy w ogóle nie piła, bo leczyła niepłodność, miała silne poczucie, że to się jej po prostu należy.

Zlustrowała stolik. Oprawione menu były solidne w dotyku, solniczki i pieprzniczki - srebrne. Drzwi wejściowe okalała gruba kotara chroniąca gości przed zimnym powiewem. Dla Kate zawsze była to oznaka wyższej klasy.

Rodzice Jake'a spóźnili się piętnaście minut. Annabelle podbiegła do stolika w obłoku lazurowych jedwabi i gorączkowych przeprosin (te pociągi!). Chris pojawił się kilka sekund po niej, oddawszy okrycia do szatni. Miał na sobie tweedową marynarkę, a na ustach niewyraźny uśmiech.

- Bardzo was przepraszam - powtórzyła Annabelle, kiedy Jake wstał, robiąc jej miejsce obok Kate. - Pociąg ruszył z opóźnieniem, bo ktoś wlaź na tory. Koszmar! Wszystkie miejsca były zajęte. Ludzie stali, nawet w pierwszej klasie. - Urwała na chwilę. - Wysłałam wam esemesa.

- Wybacz, mamo, nie sprawdzałem wiadomości. Tak czy owak, nie szkodzi, najważniejsze, że dotarliście. Nie nudziliśmy się.

- Widzę. - Annabelle zerknęła wymownie na puste szklanki po Krwawej Mary.

- Też się chętnie napiję. - Chris kiwnął na kelnera. - Ktoś jeszcze?

Kate z wdzięcznością skinęła głową.

- Ja natomiast poproszę o kieliszek szampana, kochanie - oznajmiła Annabelle. - W końcu to moje urodziny.

- Oczywiście. - Jake zwrócił się do kelnera: - Prosimy o butelkę.

- Dzięki, skarbie. - Annabelle uściśnęła go za ramię. - Rozpieszczasz starą matkę. Dobry z ciebie chłopiec.

Kate z trudem się powstrzymała, żeby nie przewrócić oczami.

- Jak się miewasz, Kate? - zagadnęła ją Annabelle. - Wybacz, w tym pośpiechu nawet się nie przywitałam! - Roześmiała się perliście. Miała w uszach wiszące kolczyki z szafirami, a na szyi dyskretny pojedynczy brylant na łańcuszku. Wydawała się spięta, kolczyki tańczyły w rytm jej ruchów.

- Dobrze, dziękuję. Miło, że...

- Kochanie, podaj mi paszminę. - Annabelle ponagliła Chrisa, który wydobył z pojemnej torby opatrzonej logo National Trust bladobłękitny szal. Otuliła ramiona, przesadnie demonstrując dreszcz. - Strasznie tu zimno, nie sądzisz? - Chwyła Kate za rękę. - Czujesz, jak zmarzłam?

- Ojej - odparła Kate. - Zaraz się rozgrzejesz. Chcesz, żebym przyniosła ci płaszcz?

- Nie, nie, szkoda czasu. - Annabelle z irytacją cofnęła dłoń. - Zamówimy? Umieram z głodu, a ty nie, Jakey?

Kiedy przyniesiono dania, solidnie dosoliła sałatkę z kurczaka, skarżąc się, że jest „bez smaku”, po czym zjadła połowę i resztę zostawiła. Rozmowa kręciła się głównie wokół Żaby, o którą Annabelle bardzo się martwiła, a to z powodu jej niedawnego konfliktu z pewnym studentem. Student ten oskarżył ją o transfobiczną uwagę podczas wykładu; w efekcie Żaba została zawieszona na czas badania sprawy przez władze dublińskiej uczelni.

- Ludzie są dziś tacy drażliwi, nie uważasz? Człowiek boi się cokolwiek powiedzieć, żeby go nie zlinczowano.

Kate jęknęła, przyciskając serwetkę do ust, i udała kaszel.



- Z całym szacunkiem, Annabelle, to nie najlepsza metafora.

Matka Jake'a spojrzała na nią jakby z wielkiej oddali.

- Rozumiem, że źle się wyraziłam, czy tak? Sama widzisz, jak trudno wam wszystkim dogodzić!

Jake rzucił Kate ostrzegawcze spojrzenie, lecz udała, że go nie widzi. Później będzie jej tłumaczył, że jego rodzice są produktem innej epoki, że trzeba ich postrzegać w jej kontekście i że choć on sam nie popiera okazjonalnych rasistowskich zapędów, to nie ma nadziei, iż da się z nich wyplenić stare nawyki. Kate nie zgadzała się z tym punktem widzenia i czuła się zobowiązana do piętnowania dyskryminacyjnych zachowań. Spierali się o to z Jakiem od dawna i zapewne nigdy nie dojdą do zgody. Ostatecznie - prychnęła w duchu z irytacją - Jake dopiero pod jej wpływem przestał głośować na torysów.

Przy stole zapadła niezręczna cisza, którą przerwał Chris, zamawiając butelkę wina Picpoul, po czym wszyscy ze zdwojonym zapałem wrócili do jedzenia. Kate gryzła się w język, kiedy Annabelle zaczęła perorować na temat brexitu. Dzień wcześniej w domu swojej przyjaciółki Trishy poznała przemiłą „przyjezdną” sprzątaczkę, która zdołała ją przekonać, że wyjście z Unii Europejskiej jest błędem („Ci ludzie ciężko pracują i powinni dostać szansę... Ta kobieta nie ubiega się o zasiłek, wbrew temu, co wmawiają nam Farage i jemu podobni...”).

Jake konsekwentnie uzupełniał zawartość kieliszka matki, z czasem więc zrobiła się nieco mniej elokwentna, a nawet trochę senna. Zanim podano pudding, Annabelle została z powodzeniem rozbrojona. Zaczęła wypytywać Kate, jakie filmy kinowe poleciłaby do obejrzenia. Był to jej zwyczajowy sposób przełamywania lodów; posługiwała się nim, ilekroć chciała okazać Kate sympatię. Można by pomyśleć, że o partnerce syna wie tylko to jedno: że jest związana z filmem.

- Właściwie to chcemy wam coś oznajmić - przerwał jej Jake, odkładając łyżkę i widelec po obu stronach talerza z gorącym sufletem czekoladowym.

Annabelle, która podnosiła właśnie do ust lampkę wina, odstawiła ją z powrotem na stół.

- Taką miałam nadzieję - zaświergotała, puszczając oko do siedzącego naprzeciw Chrisa, i szeptem dodała: - A nie mówiłam?

Kate nagle uzmysłowiła sobie, że tamta się spodziewa ogłoszenia zaręczyn.

- Nie, nie pobieramy się - wypaliła.

Zapadła przesycona zdumieniem cisza. Annabelle otuliła się mocniej szalem, w jej oczach błysnął wyrzut.

- Przykro mi - dodała Kate o kilka sekund za późno. - Po prostu...

Była wściekła. Nie pojmowała, jak to się dzieje, że za każdym razem Annabelle potrafi wyprowadzić ją z równowagi.

- Nie pobieramy się - podchwycił spokojnie Jake - ale owszem, mamy ekscytującą wieść. W każdym razie uważamy, że to wspaniała wieść.

- Jesteś w ciąży! - pisnęła Annabelle. - Och, Kate, to cudownie! Wiem, ile to dla ciebie znaczyło, i modliłam się o to, modliłam gorąco każdego wieczoru! - Wyciągnęła ramiona i serdecznie przytuliła do siebie Kate.

Kiedy ta uwolniła się z objęć, ze zdumieniem ujrzała łzy w oczach starszej kobiety.

- Annabelle... - wyjąkała. - To miło z twojej strony...

- Po prostu zdaję sobie sprawę, jakim darem jest macierzyństwo, i tak bardzo go dla ciebie pragnęłam...

Jej szczerość była tak nieoczekiwana, że Kate także poczuła łzy pod powiekami. Cały stres minionych kilku lat i nieznośne napięcie, jakie towarzyszyło jej od chwili, gdy Marisa z nimi zamieszkała, wezbrały w niej i musiała zwinąć pięść, wbijając paznokcie we wnętrze dłoni, żeby zwyczajnie się nie rozryczeć.

- Niestety, nie jestem w ciąży - wykrztusiła. - Ale tak, spodziewamy się dziecka.

- Aha - bąknął Chris i zamilkł.

W tej właśnie, wyjątkowo źle wybranej chwili podszedł kelner, aby spytać, czy życzą sobie kawy, czy herbaty. Jake poprosił, żeby dał im trochę czasu, i kelner odszedł urażony.

- Nie rozumiem - powiedziała Annabelle.

- Chodzi o to, mamo - w głosie Jake'a dało się słyszeć drzenie - że, jak wiesz, staraliśmy się długo i bezskutecznie. Krótko mówiąc, nie było sposobu. Kate żyła w potwornym stresie, chociaż była taka dzielna... - Zerknął na nią.

Pokręciła głową. Nie chciała, żeby rozwodził się nad jej uczuciami.

- Za radą lekarzy - podjął, zrozumiawszy gest - postanowiliśmy wykorzystać inną opcję, a mianowicie surogację.

- Surogację? - powtórzyła Annabelle, jak gdyby ćwiczyła wymowę świeżo poznanego obcego słowa.

- Polega to na tym, że inna kobieta nosi nasze dziecko...

- Wiem.

- I szczęśliwym trafem znaleźliśmy taką kobietę! - zakończył Jake, starając się nasycić głos radością i beztroską, co nie do końca mu się udało. - Ma na imię Marisa. Bardzo doceniamy to, że zgodziła się nam pomóc, i właściwie sami nie wierzymy w swoje szczęście.

Annabelle poderwała głowę. Patrzyła na niego tak, jakby wymierzył jej policzek. Po raz pierwszy Kate była świadkiem, jak zabrakło jej słów. Policzki miała wpadnięte, usta nieco rozwarte. Siedziała jak skamieniała, zupełnie nieruchomo, jeśli nie liczyć dłoni trzepoczących się na podobieństwo małych ptaków.

Chris podniósł z kolan serwetkę, złożył ją starannie i umieścił na brzegu stołu.

- No cóż, a więc jednak mamy co świętować, prawda? - zauważył. Było to najdłuższe zdanie, jakie wygłosił, odkąd zaczęli jeść. Podniósł butelkę, żeby napełnić im kieliszki, a gdy dotarł do Annabelle, przechylił się przez stół i uśmiechnął do niej, kiwając głową, jakby ośmielał speszzone dziecko.

- Dziękuję, Chris - powiedziała Kate.

- Tak, dzięki, tato - zawtórował jej Jake.

- Musiało wam być trudno - dodał Chris. - Podziwiam was za to, że się nie poddaliście.

- Wszystko w porządku, mamó? - spytał Jake.

- Co? Tak... tak, przepraszam. Po prostu... próbuję to sobie poukładać.

Kate wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła ramienia Annabelle. Chłodny jedwabny rękaw przylgnął do jej dłoni.

- Trzeba trochę czasu, żeby się z tym oswoić - przyznała. - Wybacz, że was tym zaskoczyliśmy.

- Ale... poważnie? - Annabelle obróciła się do niej, świdrując ją spojrzeniem ostrych jastrzębich oczu. - Jak w ogóle poznaliście tę... tę Ma-

rise?

- Przez stronę pomocową w internecie - wtrącił Jake, choć jego matka wciąż patrzyła na Kate. Skrzywienie ust wyraźnie świadczyło o jej niesmaku. - Wszystko jest zgodne z prawem. Podpisaliśmy umowę, która stwierdza, że rodzicami dziecka będziemy ja i Kate.

- Prawo to jedno - przerwała mu Annabelle - a co z genetyką? Te kwestie są bardzo ważne. Czytałam gdzieś, że mężczyzna musi widzieć, że dziecko jest do niego podobne, żeby mogła się wytworzyć więź.

Kate nie wiedziała, czy bardziej chce jej się śmiać, czy płakać.

- Nie mamy wielkiego wyboru - powiedziała cicho.

- I wybraliśmy właśnie tę opcję. - Jake gładko wszedł jej w słowo. - Zresztą wychowanie odgrywa znacznie większą rolę niż dziedziczność... - Urwał.

Annabelle uniosła zwiniętą pięść do ust, jakby chciała zakaszleć, ale nie wydała dźwięku.

- Poza tym - ciągnął - w pewnych istotnych sprawach występuje podobieństwo. - Nakreślił w skrócie to, co wiedzieli o Marisie, uwydatniając fakt, że jest artystką, a to, jak wiedział, powinno przemówić do kulturowego snobizmu matki.

- Artystka?! - wykrzyknęła. - Na pewno jest bez grosza. Ile jej płacicie?

- Nie płacimy jej, bo to byłoby nielegalne. - Jake znacząco zawiesił głos, nim podjął: - Pokrywamy jej uzasadnione wydatki.

- Czyli co, czynsz? Na ile musieliście się zadłużyć?

- Annabelle... - wtrącił cicho Chris, poruszając dłonią w górę i w dół, jakby naciskał brzęczyk uprawniający go do odpowiedzi w telewizyjnym quizie.

Jego żona wzięła głęboki wdech i wypuściła niecierpliwie powietrze, po czym naląła sobie wody.

- Nie opłacamy jej czynszu - odparł Jake.

- To już coś - mruknęła.

- Ponieważ mieszka z nami.

Annabelle odstawiła szklanekę tak gwałtownie, że woda się rozlała.

- Mieszka z wami? Czy wam... Czy wy... Czyście oboje postradali rozum?! Nikt mi nie wmówi, że to jest normalne. To już nie rodzicielstwo,

ale klasyczny trójkąt! Czy chodzi o to, że Jake - zniżyła głos - ma ją... zapłodnić?

Kate opanowała impuls, żeby uderzyć ją w twarz. Wstała i prawie biegiem ruszyła do toalety. Omal nie spadła ze spiralnych schodków do sutereny. W końcu zamknęła się w kabinie i dołożyła starań, żeby uspokoić oddech. Kiedy wreszcie wyszła, zastała przy umywalce starszą kobietę, która nakładała na usta świeżą warstwę zjadliwie różowej szminki.

- Wszystko w porządku? - usłyszała.

Kate zobaczyła w lustrze, że ma trupio blade policzki i rozmazany tusz do rzęs.

- Tak, dzięki - wymamrotała. - Przepraszam.

- Nie musi pani przepraszać. - Kobieta odstawiła szminkę na brzeg umywalki i kilkakrotnie zacisnęła wargi. - Lunch w gronie rodzinnym?

- Tak. - Kate uśmiechnęła się i puściła wodę na ręce.

- Takie są najgorsze.

Wytarła dłonie w gruby papierowy ręcznik, a jej sąsiadka zamknęła szminkę i wrzuciła ją do chanelowskiej torebki w stylu vintage.

- Powodzenia - rzuciła.

- Dziękuję - odparła Kate, już spokojniejsza. - Ładna torebka.

- Och, dzięki. Prezent od córki - stwierdziła kobieta i zadała pytanie, które Kate zawsze potrafiła przeczuć. Czasami mogła wręcz przewidywać liczbę sekund, po których padnie. - Ma pani dzieci?

Pokręciła głową.

Nie - pomyślała. Nie mam dzieci. Ale gdybyś wiedziała, ile kosztuje mnie odpowiedź, nie pytałabyś.

- Nie mam dzieci. - Zwinęła ręcznik w kulkę i wrzuciła go do okrągłego otworu w marmurowym blacie.

- Och, ma pani czas...!

Zdumiewające, jak zupełnie obcy ludzie czuli się uprawnieni do orzekania o jej macicy. Przypadkowo spotkane osoby wyobrażały sobie, że prawidłowo oceniają jej wiek, wydolność płciową i instynkt macierzyński. W pytaniu z góry zawarte było założenie, że każda kobieta powinna pragnąć dziecka, a jeśli nie, czyni ją to w pewien sposób kaleką. Kiedyś się wkurzała. Teraz czuła tylko pustkę.

Odczekała, aż tamta wyjdzie z toalety, by nie wchodzić razem z nią po schodach. Nim wróciła do stolika, zapanował przy nim rozejm. Najwyraźniej powiedziano sobie to i owo. Jake zapewne uświadomił rodzicom, że Kate jest niezrównoważona, bo niespełniony instynkt macierzyński stał się jej obsesją. Czuła, że ocenia go niesprawiedliwie, ale musiała znaleźć kogoś, na kogo zwali swój ból.

Annabelle wstała od stolika i wyszła jej na spotkanie, wyciągając ramiona. Błękitne rękawy zwieszały się w dół jak główki zwiędłych krokusów.

- Kochanie, przepraszam cię, że byłam taka nieczuła. - Uścisnęła ją. Ta nieoczekiwana pieśczoła była niczym głęboki masaż: boli, ale w sumie przynosi ulgę. - Jestem taka staroświecka i niewiele wiem o tych sprawach - ciągnęła - ale Jake wszystko mi wytłumaczył i teraz rozumiem, naprawdę. Podziwiam twoją odwagę, zważywszy, że dziecko nie będzie genetycznie twoje. Po prostu martwiłam się o was, to wszystko. Przepraszam, że tak niefortunnie to wyraziłam.

Kate cofnęła się o krok, lecz tamta nie była jeszcze gotowa, by uwolnić ją z objęć.

- Dziękuję, Annabelle.

- Czy kiedykolwiek zdołasz mi wybaczyć?

Na tak postawione pytanie była tylko jedna odpowiedź: tak, oczywiście, nie przejmuj się, nie czuję się obrażona, owszem, zdaję sobie sprawę, że to niekonwencjonalne rozwiązanie, ale nie musisz się martwić, wszystko jest legalne i naturalnie jestem bardzo zadowolona, że się cieszysz, że zostaniesz babcią.

Resztę lunchu Kate przetrwała jak w transie. Wkładała czekoladowe trufle do ust automatycznymi ruchami, jakby sterowanymi z odległej galaktyki. Chris zamówił dla niej brandy i choć nie potrafiła sobie przypomnieć, czy o nią prosiła, opróżniła kieliszek w trzech łykach i poczuła wdzięczność. W końcu Jake uregulował rachunek. Wyszli wszyscy razem, żeby wezwać taksówkę, która miała zawieźć jego rodziców do hotelu.

Kate wciąż czuła się tak, jak gdyby od reszty świata oddzielała ją gruba dźwiękochłonna szyba. Podejrzewała, że to smutek, ale wrósł już w nią tak głęboko, że zapomniała, jak należy go rozumieć.

Tym razem to Marisa szprycowała się codziennie lekami na płodność, żeby stymulować produkcję jajeczek. To Marisa przechowywała w lodówce małe szklane fiolki, mieszała proszek z zalecaną ilością wody, przebijała wieczko igłą i wciągała zawartość do strzykawki. To ona siadała na sofie w kuchni, unosiła bluzę pizamy i wbijała igłę w trzymane mocno między palcami ciało na brzuchu. Następnie naciskała tłoczek i puszczała fałd, kiedy mikstura zaczynała krążyć w krwiobiegu. Teraz to ona chowała zużyte igły do żółtych i fioletowych pojemników na odpady, dostarczonych przez szpital. Trzymali je na lodówce; wzrok Kate omiatał je za każdym razem, kiedy wyjmowała mleko. Przypominały, jak raz po raz przerabiała tę samą procedurę.

Teraz to Marisa była adresatką troskliwych pytań Jake'a. Jak się czuje? Czy jej pomóc? Czy potrzebuje czegoś ze sklepu? Ona była tą wybraną, tą płodną. Tą, która sprawi, że wszystkie marzenia się spełnią. Tyle że ich marzenia nie zakładały udziału trzeciej osoby. Musieli je sprowadzić na ziemię, przyciąć nieco gwiaździstą materię rojeń, tak żeby pasowała do rzeczywistości. I choć nigdy o tym nie rozmawiali, obojgu brakowało tej nieświadomej zagrożeń niewinności, w której mogli się kąpać szczęśliwcy. Kobiety, które zachodziły w ciążę i nosiły ją do końca, wierząc, że tak po prostu musi być. Które nie szukały śladów krwi za każdym pobytem w toalecie. Ludzie, którzy nigdy nie musieli myśleć o innych alternatywach, uznający rodzicielstwo za coś, co im się należy. Całkiem jakby zrywali jabłka z jabłoni, która nigdy nie przestanie owocować.

Kate na różne drobne, choć znaczące sposoby starała się brać udział w tym wszystkim. Powiedziała Marisie, że chce asystować przy zastrzykach, a nawet sama je robić.

- Nie musisz - zbyła ją Marisa. - Daję radę. Naprawdę.

Ale chcę - myślała Kate. Nie powiedziała jednak tego na głos.

Starala się wciągać ją do rozmowy, pytała, czy się wysypia i czy pije dostatecznie dużo wody. Próbowala w ten sposób wyrazić uprzejmą troskę, ale czula, że pytania zadawane przez nią, a nie przez Jake'a, irytują Marisę. Chyba wręcz uważala je za natarczywe. Kate zaczęła więc się kontrolować, gryźć w język, zanim cokolwiek powiedziała. Bała się, że zdenerwuje Marisę, która teraz musiała za wszelką cenę unikać stresu. A to oznaczało, że podczas posiłków Kate najczęściej nie odzywała się w ogóle, podczas gdy Jake i Marisa swobodnie paplali. On zawsze był o niebo lepszy w te klocki.

Jake był dobrej myśli. Rozpierała go optymistyczna wiara, że wkrótce będą mieli wymarzone dziecko. Kręcąc się po domu, pogwizdywał wesoło i częściej ćwiczył w ogrodzie. Jego klatka piersiowa lśniła od potu, kiedy robił rumuński martwy ciąg albo unosił sztangielki bokiem, stosując coraz większe obciążenia. Kiedy zrobiło się cieplej, Marisa siadywała z książką na ławce dla towarzystwa, podczas gdy on sapał i stękał. Kate, obserwując ich przez szklane drzwi w kuchni, dziwiła się, jacy są do siebie podobni. Oboje jasnowłosi, promieniejący, zdrowi i witalni. Gdy rano przeglądała się w lustrze, witały ją ściągnięta twarz i cienie pod oczami. Jej obojczyki sterczały, mocno napinając skórę, a spodnie zrobiły się luźne w pasie. Naturalnie szczupła sylwetka zaczęła sprawiać wrażenie wychudzonej. Nie pozostało to bez wpływu na jej wygląd; postarzała się, ale nie była w stanie nic z tym zrobić. Wydawało się, że jej ciało już nie należy do niej. Miało swój własny zestaw nieprzeniknionych dla niej reguł. Była głupia, sądząc inaczej.

Któregoś dnia wspomniala o zajęciach jogi dla kobiet w ciąży. Czytała artykuł, w którym opisywano korzyści płynące z towarzystwa innych ciężarnych. Spytała, czy Marisa miałaby ochotę pójść.

- Jasne. - Marisa obdarzyła ją promiennym uśmiechem, który zawsze sprawiał, że Kate zaczynała wątpić w jej wcześniejszą wrogość. - Mogę spróbować.

- Super. Daj znać, kiedy będziesz się wybierać, to pójde z tobą.

Marisa uniosła brew o ułamek milimetra, a potem jej rysy się wygładziły, jakby nic się nie zdarzyło. Ale Kate zdążyła to dostrzec. A może jej się wydawało? Nie była pewna.

Marisa nie powiedziała jej, że wybiera się na jogę. Zupełnie przypadkowo Kate spostrzegła, że Marisa wychodzi z domu ze zrolowaną matą



pod pachą. Szybko zadzwoniła do biura, informując, że dzisiaj będzie pracować z domu. Potem przebrała się w dres i koszulkę. Usiłowała dogonić Marisę, ale nie zdążyła. Kiedy wreszcie dotarła, kobiety zajęły już miejsca, a z głośnika leciał jakiś ambient.

Same ćwiczenia były nudne – dostosowano je do możliwości kobiet w zaawansowanej ciąży. Kate nie mogła się doczekać końca. Marisa ćwiczyła z przodu, z całych sił starając się nadążyć za instruktorką, ale jej ruchy były ciężkie, ospałe i nieeleganckie, od razu zdradzały nowicjuszkę. Kate poczuła łaskotanie dumy, że jest w tym od niej lepsza. Chociaż w tym. Był to jedyny chyba aspekt, w którym przewyższała Marisę.

Gdy zajęcia się skończyły, poczekała, aż tamta się pozbiera i ruszy do wyjścia. Dopiero wtedy do niej podeszła. Zdumiało ją, jak lodowato przywitała ją Marisa i jak szczerze była zaskoczona jej widokiem. Kate starała się obrócić to w żart, wypełniając niezręczne pauzy w konwersacji bląhą paplaniną na poprawę nastroju.

- Wiesz, pomyślałam, że fajnie będzie razem poćwiczyć.
- Przecież nie ćwiczyliśmy.
- Jak to nie? – zdziwiła się Kate, przytrzymując drzwi.
- Nie razem. Czaiłaś się z tyłu.

Roześmiała się.

- Wcale się nie czaiłam! Chciałam ci dać trochę przestrzeni.

Wyszły razem na ulicę i Kate zaproponowała kawę, żeby mogły pogadać i trochę się zbliżyć. Marisa wykręciła się, mówiąc, że gonią ją terminy – i było po wszystkim. Kate została na chodniku, odprowadzając ją wzrokiem. W pewnej chwili Marisa obejrzała się na nią przez ramię. Kate uniosła rękę i pomachała na pożegnanie w nadziei, że jednak jej nie obraziła.

Na pobranie jajeczek udali się w środę. Wzięli w pracy wolne popołudnie, żeby towarzyszyć Marisie w klinice. Była w niezłym nastroju, najwyraźniej afera z jogą poszła w zapomnienie. Miała na sobie jaskrawoniebieską bluzkę wepchniętą w workowate sztruksy. Spodnie miały na kolanie plamkę białej farby. Jak zawsze. W jej stroju zawsze coś było niedopięte, wymięte lub niedobrane. Jakby ubierała się w skrajnym pośpiechu i nie miała czasu się zastanowić. Przynajmniej nie ma na no-

gach tych koszmarnych sandałów, które nosi w czasie pracy – pomyślała Kate.

Doktor Abadi był bardzo zadowolony.

- Doskonale – powiedział, zerkając do karty. – Wygląda to bardzo dobrze.

Uśmiechnął się do Marisy tak, jak nigdy nie uśmiechał się do Kate.

Jake wyszedł do innego pomieszczenia, żeby przygotować próbkę spermy. Wrócił po półgodzinie z rękami w kieszeni. Kate nie zdołała spojrzeć mu w oczy. Jakkolwiek starała się to wszystko zracjonalizować, myśl o jego nasieniu zapładniającym jajeczka innej kobiety ją przerażała. O czym myślał, kiedy się masturbował? O niej? O tamtej? Czy po prostu wertował wymięte magazyny porno, które zapewniała klinika?

Na czas pobierania jajeczek Jake'a i Kate poproszono o przejście do poczekalni.

- Natychmiast po zabiegu przekażę wam, ile udało się pobrać – obiecał doktor Abadi, zapraszając Marisę za parawan.

- Na razie – rzuciła do nich. – Trzymajcie kciuki.

Pokazała im zaciśnięte kciuki, a oni w odpowiedzi pokazali swoje.

- Świetnie ci idzie – dodała Kate, starając się brzmieć pozytywnie i pamiętać o ofiarności Marisy, a nie o własnych smutnych wspomnieniach związanych z tym konkretnym gabinetem w tej konkretnej klinice. Widocznie tak miało być.

Jake ujął ją za dłoń.

- W porządku? – zapytała.

Pokiwał głową, zaciskając szczęki.

- Będzie dobrze – zapewniła, całując go w policzek.

Marisa wyprodukowała czternaście jajeczek. Doktor Abadi był w ekstazie.

- Doskonała liczba. Świetnie – powtarzał. – Wspaniała wielkość.

Czternaście – pomyślała Kate. Mnóstwo! Jakby Marisa chciała jej coś udowodnić.

Siedzący obok Jake rozluźnił spięte ramiona i się uśmiechnął.

- To cudownie – rzekł i wstał, żeby uścisnąć lekarzowi rękę.

- Tak – powiedziała Kate cicho. – Cudownie.

Nazajutrz odezwała się jej komórka. Nieznany numer. Doktor Abadi dzwonił, aby ją poinformować, że doszło do zapłodnienia ośmiu jaje-

czek. Zatelefonowała do Jake'a do pracy. Oboje wiedzieli, że to dobre wieści, ale trzeba jeszcze poczekać, nim cokolwiek będzie pewne. Zapłodnione jajeczka muszą się teraz podzielić i zacząć mnożyć komórki w określonym tempie przez pięć dni, nim będzie można uznać, że nadają się do wszczepienia. Piątego dnia Abadi zadzwonił ponownie, informując, że mają „sześć idealnych blastocyst”. Kate wiedziała już dość, by zrozumieć, iż komórki zaczęły się różnicować na te, które wytworzą zarodek, i na te odpowiedzialne za tworzenie łożyska. Blastocysta wykluje się jak kurczak z jajka, kielkując z ochronnej warstewki, by uformować zona pellucida – osłonkę przejrzystą. Kiedy sama przechodziła pierwszy cykl in vitro, sprawdziła łaciński termin. Oznaczał „płonący jasno krąg”. Wyobrażała go sobie teraz jako świetlisty pierścień wokół planety, na której mieszkali we troje. Płonącą tarczę.

Doktor Abadi zasugerował wszczepienie dwóch embrionów („Ale z takimi zarodkami muszę was ostrzec: przygotujcie się, że mogą być bliźniaki”). Jego głos w telefonie zdawał się podekscytowany, pełen dobrotności, jakiej Kate nigdy wcześniej u niego nie słyszała.

- Pozostałe cztery zamrozimy i będziecie mogli mieć więcej dzieci, niż dacie radę upilnować! - zaśmiał się lekarz.

Poszli za jego radą, jak zwykle zresztą. Działo się to niejako siłą przyzwyczajenia, jakby rozpaczliwe pragnienie rodzicielstwa pozbawiło ich zdolności krytycznego myślenia. Tego samego dnia wszczepiono dwa zarodki i cała trójka wróciła taksówką do domu. Po drodze nikt się nie odzywał. Kierowca słuchał Magic FM, toteż wewnątrz wozu wypełniały łatwe i przyjemne dźwięki popu. Siedząca obok Kate Marisa z westchnieniem oparła się wygodnie. Jake, przycupnięty z drugiej strony, spytał, czy jest zmęczona.

- Trochę. To pewnie przez te środki. Lekarz powiedział, że mogę czuć się po nich, jakbym wypila dwa drinki. I chyba miał rację.

To samo słyszała kiedyś od niego Kate.

Zmilczała. Kątem oka dostrzegła, że Marisa obejmuje się za brzuch. Przesada - pomyślała nieżyczliwie.

Czekały ich teraz dwa tygodnie oczekiwania. Marisie polecono, aby w tym czasie nie brała zbyt gorących kąpiei i unikała forsownych ćwiczeń.

- Koniec z jogą - oznajmiła. - Jaka szkoda!

- Trudno nazwać te ćwiczenia forsownymi - odparowała Kate. - Ale fakt, musisz się oszczędzać.

Przez dwa tygodnie przynosiła jej codziennie śniadanie do łóżka.

- Nie musisz tego robić - mówiła Marisa, sięgając po ciepłego tosta z masłem.

Kate siedziała na krawędzi łóżka i sączyła kawę, obserwując, jak tamta je. Troszkę rozmawiały. O tym, jak jej idzie malowanie, o filmach, których promocją zajmowała się Kate. O wszystkim prócz tego, co je najbardziej pochłaniało. Kate czuła, że w tym czasie zbliżyła się do Marisy bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Pozwoliła sobie na odrobinę optymizmu.

Znowu nabrała ochoty, żeby gotować Jake'owi ulubione dania. Pieczony kurczak z domowym sosem chlebowym. Klasyczna ratatuja według Nigela Slatera. Marokański tadżin z jagnięciny ze śliwkami (przepis znalazła w sklepowej gazetce). No i makaron z sosem serowym.

Robiła go trzynastego dnia oczekiwania. Marisa siedziała na sofie, oglądając telewizję. Nazajutrz miała zrobić test - z samego rana, kiedy poziom hormonów jest najwyższy. W ten sposób nie będzie mowy o pomyłce.

Kate trochę się denerwowała, ale też cieszyła. Czekać na zgrzyt klucza w zamku zwiastujący powrót Jake'a, czuła motyle w brzuchu jak wtedy, gdy zaczęli się spotykać. Chciała znaleźć się blisko niego, poczuć uścisk silnych ramion. Kiedy wrócił, wszedł do kuchni, zwęszył zapach topiącego się sera i podszedł prosto do Kate. Usiłował otworzyć piekarnik, więc trzepnęła go po łapach, mówiąc, że jeszcze niegotowe.

- No dobra, dobra. Postaram się. - Zdjął marynarkę i rozluźnił krawat.

- Cześć - powiedziała Marisa z sofy.

- O, cześć! - Pomachał do niej wesoło i odwrócił się, żeby nalać sobie szklanek wody.

W tym czasie Marisa wypadła z kuchni z opuszczoną głową.

Kate strząsnęła kuchenne rękawice, zostawiając je na blacie.

- A jej co się stało? - zdziwił się Jake.

- Nie mam pojęcia. - Wzruszyła ramionami.

- Powiedziałem coś nie tak?

Roześmiała się, a potem podeszła i rzuciła mu się na szyję. Pocałowała go w usta.

- Najwyraźniej - zażartowała. - To wszystko twoja wina.

Spojrzał na nią i końcami palców założył jej kosmyk włosów za ucho. To był taki znajomy gest. Lubiła go.

- Lepiej pójdę i zobaczę, czy wszystko w porządku - stwierdził.

- Pewnie, idź. Ja tu wszystko ogarnę.

Jake poszedł na górę, a Kate wyjęła z piekarnika skwierczący makaron, postawiła półmisek na blacie i zajęła się sałatką. Pokroiła ogórek i obrała awokado. Zanim Jake wrócił, była w połowie robienia sosu winegret.

- Wszystko w porządku?

- Tak. - Porwał z deski i włożył do ust plasterek ogórka.

Kilka minut później, kiedy nakrywał do stołu i zapalał świece, usłyszeli krzyk Marisy. Jake upuścił z brzękiem sztucę, które trzymał w rękę, i pobiegł na górę. Kate z bijącym sercem ruszyła za nim. Gdy dotarli na piętro, drzwi łazienki otworzyły się z impetem i ze środka wypadła Marisa. Miała mokre od łez policzki i wymachiwała testem ciążowym.

- Jesteśmy w ciąży! - wrzasnęła.

- Co? - Kate czuła się tak, jakby miała zaraz zemdleć. - Co?

Ramiona Jake'a zadrżały. Rozplakał się.

- Nie wierzę - powtarzał. - Nie wierzę.

Podszedł do Marisy i objął ją mocno. Ona też zaczęła płakać. A Kate, oparta o ścianę dla zachowania równowagi, poczuła, że uginają jej się nogi. Osunęła się na podłogę. Ująwszy głowę w dłonie, zastanawiała się, kto tak łka, póki się nie zorientowała, że to ona sama.

Wszyscy troje poddali się jarzmu rutyny. Cięża stała się osią, wokół której kręciło się życie całego domu. Marisa powinna spać tyle, ile domaga się jej organizm, więc Kate i Jake wychodzili rano na paluszkach, zamykając za sobą ostrożnie drzwi, tak by nie trzasnęły. Kate nakupiła kwasu foliowego oraz witamin dla ciężarnych i zmagazynowała to wszystko w szafce nad zlewem. W internecie znalazła najlepsze diety na wczesny okres ciąży i starała się gotować zdrowo. Przygotowywała kolorowe posiłki z zielonych warzyw i tłustych ryb. Marisa, blada od mdłości, i tak nie była w stanie tknąć większości potraw, więc Kate zjadała za dwoje, jakby mogła jej przekazać składniki odżywcze drogą osmozy.

Przez pierwszy miesiąc nie pozwalała sobie na to, żeby uwierzyć. Ciągle prosiła Marisę, żeby zrobiła kolejny test, a ta radośnie się zgadzała.

- Proszę bardzo. - Pokazywała dwie różowe kreski i słowo „ciąża” na wyświetlaczu.

- Dziękuję - odpowiadała Kate.

Wtedy Marisa ją obejmowała i mówiła:

- No coś ty! Nie ma za co.

Kate z czasem dorobiła się całkiem pokaźnej kolekcji pozytywnych testów. Składała je w szufladzie szafki przy umywalce. Czasami otwierała ją tylko po to, żeby popatrzeć na dowody, ułożone równiutko jeden obok drugiego. Chciała od nowa uświadomić sobie zasadniczą prawdę: spodziewali się dziecka. Po tylu latach. Po tylu nadziejach i rozczarowaniach. Nareszcie.

Marisa łatwo przywykła do nowej sytuacji. Była teraz znacznie spokojniejsza niż przedtem i Kate zaczęła się zastanawiać, czy nie osądzała jej zbyt ostro. Przecież wszyscy żyli w ogromnym napięciu, i to od dawna. Teraz napięcie opadło. Odczuwała tę zmianę jak chłodną bryzę po dniu piekielnego skwaru.

Nocą zasypiała w objęciach Jake'a i nie budziła się aż do rana. Spała głęboko bez snów i wstawiała wypoczęta. Jake znowu zaczął wysyłać jej w ciągu dnia krótkie esemesy, w których pisał, że tęskni, kocha, ewentualnie że nie może się doczekać, kiedy będą się bzykać po powrocie do domu. Odczytując je przy biurku, Kate zrozumiała, jak bardzo jej ich brakowało. I wieczorem kochali się po cichu, pospiesznie, ale tak zachłannie, jakby chcieli się nawzajem pożreć.

W drugim miesiącu Kate znów zaczęła się zastanawiać nad imieniem dla dziecka. Dyskutowali o tym z Jakiem tysiąc razy, ale kiedy kolejne próby zapłodnienia in vitro spełzyły na niczym, odłożyli tę sprawę i nie wracali do niej. To było zbyt bolesne – wyobrażać sobie, że dziecko ma imię – bo dawało nadzieję, a nic nie boli bardziej niż ona, kiedy nie jesteś przy nadziei.

Teraz, kiedy Marisa nosiła w sobie dwa idealne zarodki, Kate zdobyła się na nieco odwagi. Podobały jej się imiona Maya i Eva dla dziewczynek, a dla chłopców Leo lub Oscar. Nie zwierzała się z tego Jake'owi, bo oboje wiedzieli, że nie należy kusić losu. Jest zbyt nieprzewidywalny.

Czekali tak długo, że kolejne miesiące wydawały się nie do przetrwania.

Zaczęli opowiadać dzieciom o swojej miłości, pochylając się nad brzuchem Marisy i szepcząc „Kocham cię” wprost do niego. Marisa śmiała się łagodnie, przyglądając się im i żartując, że jej brzuch jeszcze nigdy nie był tak dopieszczony.

Przez pewien czas było idealnie. To ważne, bo Kate mogła sięgać do wspomnień z tych dni później, kiedy wszystko się posypało. Na razie czuli się wybrańcami fortuny.

Zaczęło się od drobiazgów, które niepokoiły Kate niczym brzęczenie objającej się o szybę osy.

W weekendy Marisa nie wychodziła ze swojego pokoju aż do popołudnia. Kate pukała do niej, proponując ziołową herbatę. Odpowiedzi nie było. Kiedy Marisa schodziła wreszcie na dół, była małomówna i wycofana. Odpowiadała na pytania jednym słowem i zjadała kolację, nie uczestnicząc w rozmowie. Zagadywali ją, czy wszystko w porządku, czy czegoś potrzebuje i jak mogą pomóc.

- Jestem zmęczona - odpowiadała. - Wszystko w porządku. Naprawdę.

W tygodniu nie mieli szans sprawdzić, co u niej. Kate zaczęła dzwonić do domu około południa, ale Marisa nigdy nie odbierała. Jeśli chodzi o komórkę, wiadomo było, że nie odbierze, więc Kate nawet nie próbowała. Brzęczenie osy stawało się coraz głośniejsze i bardziej natarczywe. Marisa spędzała u siebie coraz więcej czasu, a kiedy Kate pytała dlaczego, odpowiadała, że pracuje. Że gonią ją terminy.

- Bardzo bym chciała zobaczyć twoje ilustracje - rzekła Kate, starając się zagaic rozmowę.

Marisa spojrzała na nią dziwnie.

- Teraz nie maluję za wiele. Raczej piszę.

- O! - zdziwiła się Kate. - Masz głowę, żeby robić jedno i drugie. No, no...!

To prawda, że Marisa sporo teraz pisała. Siedząc na sofie przed telewizorem, kiedy oni przygotowywali posiłki, skrobała coś pospiesznie w notatniku. Nieregularny chrobot długopisu towarzyszył przez cały czas ich rozmowom. Kate nieraz chciała zapytać, co Marisa pisze, ale coś w jej postawie, nastroju skutecznie ją zniechęciło.

- Powiedz, czy tylko mi się wydaje? - spytała którejś soboty, kiedy wybrali się z Jakiem na spacer do parku Battersea.

- Skąd. Ja też zauważyłem, że się zmieniała.

Słońce wyszło nagle zza chmur w jednym z typowych dla Londynu nagłych przejaśnień. Jake wyłowił ray-bany z kieszeni kurtki.

- Ostatnio miałem z nią pogadankę na ten temat.

- O czym ty mówisz?

- No wiesz, to przypalone mleko i... Nie wiedziałem, czy ci o tym mówić, ale... - Spojrzał na rzekę, odwracając wzrok.

- No co? Wyduś to z siebie.

- Hm... Mama złożyła jej niezapowiedzianą wizytę.

- Annabelle?

Jake się uśmiechnął.

- Mam jedną matkę - zauważył.

- I całe szczęście.

Opowiedział jej, że Annabelle pojawiła się któregoś dnia na progu i Marisa zaprosiła ją do środka na kawę. Kate nie mogła się zdecydować.



wać, czy ma być wściekła z powodu niezapowiedzianego najścia, czy wdzięczna, że Annabelle zaczęła się nimi interesować.

- Myślę - ciągnął Jake, kiedy mijali pagodę - że uznała matkę za nieco... stanowczą.

- Mogę się założyć. Biedna Marisa. Chyba nic dziwnego, że od tamtej pory jest nerwowa.

Jake łyknął kawy z jednorazowego kubka, a kiedy go opuścił, na górnej wardze został mu wąs z cappuccino.

- Nie sądzę, żeby były powody do zmartwienia - powiedział. - To pewnie kwestia hormonów.

- No. Pierwszy trymestr - zgodziła się Kate.

- Właśnie. To normalne, że się świruje, prawda? Pewnie jest wykończona i źle się czuje, tylko nie chce nam o tym mówić.

- Pewnie masz rację. - Kate ulżyło. Potrzebne jej były te słowa.

- A tak w ogóle - Jake ją objął - to chyba dobry znak?

Kiedy jednak wrócili do domu, niepokój nie minął. Zapraszając Marisę, by z nimi zamieszkała, Kate miała nadzieję, że wzajemne relacje wkrótce się unormują. Tymczasem czuła się tak, jakby mieszkali z nastolatkiem, który cierpi na dwubiegunówkę i trzeba mu ustępować dla świętego spokoju. Gdy spytała Marisę, co sądzi o Annabelle, ta wyraźnie się spłoszyła.

- Skąd wiesz?

- Jake mi mówił.

Kate nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Marisa chciała to zachować w sekrecie.

- Wiem, że Annabelle potrafi być dość... - Nie dokończyła.

- Jest cudowna - podchwyciła Marisa. - Naprawdę ją podziwiam.

Kate nie drążyła. W sumie to dobrze, że Marisa tak uważa. Być może sprawi, że Annabelle też przekona się do całego przedsięwzięcia. Ona sama i Jake nie przestawali traktować Marisy jak drogiego skarbu, który trzeba rozpieszczać i nosić na rękach. Marisa chroniła ich dziecko, więc oni musieli chronić ją. Kate składała jej apatię i okazjonalne roztargnienie na karb zmęczenia spowodowanego ciążą. Zaczęła szukać na internetowych forach dowodów na poparcie tej tezy.

*Nigdy nie czułam się tak zmęczona - pisała @dajcieginu42. Po południu śpię trzy godziny.*

*Kiedy byłam w ciąży z DD, czułam się okropnie - opowiadała @makangurzyca. To było jak kac gigant, tyle że bez picia lol. Za to teraz na pewno nadrobię!*

*Dajesz, dziewczyno! - poparła ją @krolowadzielnicy. My, mamuśki, też mamy swoje potrzeby!!!*

W weekend przed badaniem po dwunastym tygodniu Kate i Jake siedzieli w salonie i przeglądali prasę, podczas gdy Marisa była na górze. Czuli się dobrze we dwoje. Jak dawniej, w starym mieszkaniu w Battersea. Kate pomyślała, że włączy muzykę. Niech przypomni im stare czasy, kiedy życie nie było jeszcze tak poważne. Przeleciała playlistę, znalazła stary album Oasis i puściła na głośniki. Rytm perkusji wypełnił pomieszczenie.

Zaczęła śpiewać, podskakiwać, włosy opadły jej na twarz jak na koncercie. I już po chwili Jake był obok niej, tańczył z ręką uniesioną wysoko, jak miał w zwyczaju. Razem odśpiewywali chórki. Basy dudniły im pod stopami, wprawiając ciała w wibracje. O, jak dobrze było się tak zapomnieć! Odetchnąć swobodną pierśią, tańczyć tak, jakby nic nie miało znaczenia. Zapomnieć o swoim dorosłym „ja”. Przez chwilę szczerzyła się jak dzika do Jake’a. Potem piosenka się skończyła i nastąpiła krótka pauza między utworami.

Obojgu zabrakło tchu, więc oparli się o gzyms kominka, żeby odsapnąć. Stali, kiwając głowami do rytmu, pławiąc się w muzyce i we wspomnieniach.

- Pamiętasz ten kawałek?! Klasyka!

- No. Uwielbiam go.

Nie zauważyli, kiedy Marisa stanęła w drzwiach. Dopiero kiedy krzyknęła: „HALO!!!”, zdali sobie sprawę z jej obecności. Zaskoczyła ich. Niemyte włosy zwisały jej w strąkach. W oczach miała gorączkowy błysk, jakiego Kate nigdy wcześniej u niej nie widziała.

- Możecie przyciszyć? - zażądała podniesionym głosem. Zupełnie jakby się nie kontrolowała. Jakby nawet nie zdawała sobie sprawy, że krzyczy. - Usiłuję pracować! - Nerwowo splatała dłonie, drapiąc paznokciami wierzch ręki. Wyglądała na roztrzęsioną i zagubioną.

- Muzykę? - spytała w końcu Kate.

- Owszem.

- Nie jest aż tak głośno.

- Jest. Na tyle głośno, że musiałam zatykać uszy.

Kate poczuła ucisk w gardle. Czowała się jak dzieciak zrugany przez nauczyciela. W zasadzie powinna mieć wyrzuty sumienia, ale bała się, że zaraz zacznie chichotać. Te dzikie płąsy uwolniły coś wewnątrz niej. Znow była wolna i młoda.

Zerknęła na Jake'a i zauważyła, że on również się powstrzymuje, żeby nie parsknąć śmiechem. Było coś w pozie Marisy - w tym, jak krzyżowała ramiona na piersi odzianej w powyciągany sweter - co sprawiało, że cała ta sytuacja była jeszcze śmieszniejsza.

- Nooo doobraaa - mruknął. - Przepraszamy.

Wyłączył muzykę. Marisa stała jeszcze przez chwilę, gromiąc ich płonąącym wzrokiem. A potem odwróciła się na pięcie i wyszła. Kate stłumiła chichot do momentu, gdy usłyszeli jej kroki na schodach, ale dłużej nie mogła. Zaczęła się śmiać i nie potrafiła przestać. Łzy ciekły jej po policzkach. Zakryła usta dłonią, starając się powstrzymać atak. Jake próbował ją uciszać, ale sam też się śmiał. A potem śmiech ucichł tak samo nagle, jak wybuchł, i zostali w pustym, cichym wnętrzu. Nastrój pierzchł, popołudnie zostało zrujnowane. Jakby ktoś wylał ropę do morza, a ona posklejała pióra wszystkim ptakom, aż potonęły.

Na badaniu Marisa znow była sobą. Uprzejma, uśmiechnięta i taka miła dla doktora Abadiego, że Kate miała wrażenie, iż z nim flirtuje. Oczy jej błyszczały, kiedy opisywała symptomy: zmęczenie, wrażliwość piersi, awersja do zielonych warzyw...

- Jake przygotowuje mi pyszne posiłki - powiedziała, patrząc Jake'owi w oczy. - Nie wiem, co bym bez niego zrobiła.

Kate poczuła się zaskoczona. Przecież to ona zwykle gotowała. Może Marisa nie pamięta.

- To dobrze. To bardzo dobrze - powtarzał doktor Abadi.

Marisa usiadła na fotelu, a Jake i Kate zajęli miejsce obok niej. Trzymali się za ręce, kiedy lekarz wyciskał żel na jej brzuch. Ciężę było już widać, jeśli ktoś wiedział, na co patrzy. Lekarz przyłożył głowicę na lewo od pępka Marisy.

- No dobrze - rzekł, przekręcając monitor tak, żeby mogli lepiej widzieć. - Zobaczmy, co tam słychać.

Kate było słabo. Przygotowywała się na złą wiadomość, którą słyszała już tyle razy. Zamknęła oczy, nie mogąc patrzeć na nieprzeniknioną czerń ekranu.

- O proszę. Serduszko bije...

Uniosła powieki, by zobaczyć uśmiechniętą twarz doktora Abadięgo.

- Mocne, zdrowe tętno.

Jej pierś wypełniła się powietrzem i Kate jęknęła, zanim zdała sobie z tego sprawę. Na monitorze widziała prześliczną pulsującą plamkę z białych pikseli. W jednej chwili wypełniła ją miłość.

- A gdzie drugie? - zapytał Jake.

Drugiego serduszka nie było.

Doktor Abadi stwierdził, że drugi zarodek zniknął. Takiego słowa użył. Jakby to była magiczna sztuczka ze skrzynką lub z zasłoną, po której odsunięciu widzimy puste miejsce, choć jeszcze przed chwilą coś tam było.

- Rozumiem - szepnął Jake.

Oczywiście - pomyślała Kate. Oczywiście, że w chwili radości musi być kropla goryczy. Tego właśnie zdążyła się nauczyć o ciąży. Nigdy nie ma wyłącznie powodów do radości.

Marisa na fotelu odwróciła głowę. Oczy jej się zaszklily.

- Bardzo mi przykro - powiedział lekarz. - Ale tutaj - wskazał monitor - tu jest powód do radości. Jestem bardzo zadowolony z tego, co widzę.

Kiedy opuszczali szpital, targała nimi mieszanina emocji. Kate była zaskoczona, jak bardzo ją boli strata jednego z zarodków. Drugi jednak był zdrowy i kropla goryczy musiała utonąć w zalewie ekstatycznego szczęścia. A więc będzie trzymać w ramionach dziecko. Swoje dziecko. Kate i Jake'a.

Co dziwne, Marisa zniosła to najgorzej. Przez całą drogę w taksówce przeproszała, powtarzając, jak jej wstyd, że ich zawiodła. Pocieszali ją, jak umieli, ale gdy dotarli do domu, stwierdziła, że chce się położyć i zostać sama.

Jake spytał, czy czegoś nie potrzebuje. Pokręciła głową, poszła do siebie i przespała resztę dnia. Martwili się o nią, lecz przeważyło radosne podniecenie. Stojąc w korytarzu, objęli się mocno. Jake oznajmił, że powinni otworzyć szampana. Zaprotestowała, że lepiej nie kusić losu,

więc stanęło na wódce z tonikiem. Przygotował drinki z potrójnej ilości ledwie rozcieńczonej wódki. Wcisnął sok z limonki i dopełnił kostkami lodu z podajnika na drzwiach lodówki. Wręczył Kate szklanę, proponując, żeby przeszli do ogrodu.

Zabrali drinki ze sobą i siedzieli przez chwilę w milczeniu. Nie czuli potrzeby, żeby cokolwiek mówić; mieli zresztą świadomość, że okno sypialni Marisy jest nad ich głowami. Nie powinni za bardzo hałasować.

Po pierwszej kolejce Jake przyniósł następną. Kate zaczęła odczuwać przyjemny rausz. Zrobiło jej się ciepło.

- I to jest kolejny plus posiadania surogatki - powiedziała, wznosząc szklanę. - Można pić.

- Powinniśmy korzystać z przyjemności, kiedy się trafiają - przytaknął. - Sporo przeszliśmy, prawda?

- Rzeczywiście.

Za płotem na drugim końcu ogrodu wysoka sylwetka bloku komunalnego celowała w niebo. Światła zapalały się i gasły w wąskich oknach. Gdzieś wysoko przeleciał samolot, pozostawiając na ciemniejszym niebie smugę kondensacyjną, podobną do rozwijającej się z kłębka bawełnianej nici. Kiedy zrobiło się całkiem ciemno, weszli do środka i usiedli z drinkami na sofie. Kate zdjęła buty i skarpetki. Położyła nogi na kolanach Jake'a, mając nadzieję, że Jake się domyśli i rozmasuje jej stopy. Domyślił się.

Zaczął masować jej stopy, potem kostki. Przesunął się i dotarł aż do ud, a potem pasa. Jego oddech przyspieszył, a ona poczuła dreszcz przyjemności na myśl o tym, co za chwilę nastąpi. Jake rozsunął jej nogi i wśliznął się między nie, unosząc twarz, żeby ją pocałować. Objęła go jedną ręką za szyję, drugą położyła na jego penisie, który posłusznie zesztyniał pod dotykiem. Czują to przez materiał spodni.

- Nie powinniśmy - szepnęła. - Nie tutaj.

- Masz rację - odparł, ale nie przestał jej całować, a ona nie przestała go dotykać.

Przygnieciona jego ciężarem, nie mogła się ruszyć, więc oddawała pocałunki. Wiedzieli, że nie powinni, ale to z kolei ogromnie ich podniecało i wkrótce przeszli z etapu „nie powinniśmy” do „musimy, i to natchmiast”.

Gdy Marisa weszła do środka, całowali się w najlepsze. Fortunnym zrządzeniem losu wciąż tylko się całowali, kiedy niezauważona wcześniej, oświadczyła znieścacka, że zje pieczonego ziemniaka.

Kate gwałtownie oderwała się od Jake'a. Jake starał się jakoś ogarnąć. Wstał zbyt pośpiesznie i lekko się zachwiał. Poprawił włosy, starając się zachowywać jak gdyby nigdy nic. Kate zapięła guziki i uśmiechnęła się do Marisy, chcąc rozładować obopólne zażenowanie.

Tyle że Marisa wcale nie wyglądała na zażenowaną. Sprawiała wrażenie zniesmaczonej. Zbladła i złapała się za brzuch. Kate już otwierała usta, żeby przeprosić, ale się powstrzymała. Do cholery, w końcu to ich dom. Są parą. Wolno im okazywać sobie uczucia. Od miesięcy uważali, starali się, żeby Marisa nie czuła się wykluczona, ale nie mogą przecież tak w nieskończoność.

Jake uprzejmie gawędził o ziemniakach i tartym serze, usiłując rozładować atmosferę, jak to zwykle on. Ale Kate, napompowana alkoholem, była daleka od skruchy. Miała już dość Marisy, przez którą czuła się jak niechciany gość we własnym domu. Wstała, patrząc jej w oczy. Zaskoczyło ją, ile gniewu emanowało z tej dziewczyny. Jakby rzucała jej wyzwanie. Nie spuściła wzroku, czekając, aż Marisa zrobi to pierwsza. To było dla niej bardzo ważne, żeby wygrać ten pojedynek, odbudować swoją pozycję pani domu i formalnej matki dziecka. W końcu Marisa zamrugła i odwróciła się do wyjścia.

Jake z ziemniakiem w ręku spytał, czy ma na niego ochotę.

- Nie jestem głodna - rzuciła, przystając w drzwiach.
- Powinnaś coś zjeść - nalegał.
- Nie jestem głodna, do kurwy nędzy!
- No, no... - mruknęła Kate.

Jake pokręcił głową, nic nie rozumiejąc.

Marisa wyszła bez słowa przeprosin czy znaku skruchy.

- Chyba ten dzień kosztował ją więcej, niż przypuszczaliśmy - stwierdził, odkładając ziemniaka do lodówki.

Ta jego wieczna skłonność do usprawiedliwiania ludzkich zachowań! Czasami Kate wolałaby, żeby tego nie robił.

- Możliwe - odparła.

Ale gdzieś głęboko uwierała ją świadomość, że coś jest nie w porządku. Nalała sobie kolejnego drinka, ignorując pełzający niepokój.

# Część czwarta

Jake wrócił.

Siedząc na podłodze obok Marisy, Kate uświadomiła sobie, że nie powinna go wołać, robić żadnych gestów w jego stronę. Ledwie udało jej się uspokoić dziewczynę na tyle, że odłożyła nóż i zdjęła jej więzy z nóg. Nie chciała zburzyć tej chwiejnej równowagi. Marisa łkała ze zgarbionymi ramionami i z pochyloną głową, jakby zapadła się do środka. Całkiem jak pokazywane w zwolnionym tempie wyburzane budynki, które zapadają się od podstawy. Początkowa zgroza minęła – teraz Kate zdawała sobie sprawę, że mają do czynienia z osobą nie w pełni władz umysłowych i że cokolwiek zamierzą, muszą to przeprowadzić z niezwykłą ostrożnością. Była wręcz nieludzko spokojna. Najważniejsze jest bezpieczeństwo dziecka. Ze wszystkim innym poradzą sobie później.

Wbiła wzrok w Jake'a, pragnąc, żeby to zrozumiał.

- Co do...?! - wyrwało mu się, kiedy ogarnął wzrokiem zastaną scenę.

Dwie kobiety siedzące na podłodze pod ścianą. Nóż kuchenny, lina, mokra plama na podłodze i krwawy kleks na płytkach, a w nim ząb.

- Jesteście całe? Wszystko w porządku? O Boże! Dziecku nic się nie stało?! Dzwonię na policję.

Upuścił teczkę i klucze i już miał się rzucić do Kate, kiedy powstrzymał go jej głos.

- Nie, Jake. Nigdzie nie dzwoń - powiedziała tak spokojnie, jak tylko potrafiła.

Przystanął zaskoczony, jakby powstrzymała go niewidzialna dłoń.

- Trzeba się zająć Marisą - ciągnęła. - Jest bardzo zdenerwowana.

Marisa zanosiła się płaczem tak gwałtownie, że nie mogła złapać oddechu. Poszczególne spazmy zlewały się w rozpaczliwy skowyt.

Kate z desperacją znów wpatrzyła się w Jake'a. Chciała w tym spojrzeniu zawrzeć wiadomość. Telepatycznie przekazać mu powagę sytuacji.



Wydawało się, że Jake ją odbiera. A przynajmniej buduje sobie jakąś wersję wydarzeń. Ukląkł obok Marisy i objął ją ramieniem.

- Już dobrze - oznajmił. - Wszystko w porządku. Jesteś bezpieczna. Wszystko będzie dobrze.

Przytuliła mokrą twarz do jego piersi. Włosy wysunęły jej się spod frotki, brudny podkoszulek się rozchylił.

- Och, Jake - jęknęła, chwytając powietrze. - Dlaczego mi to zrobiłeś?

- Ja...? Ale co...?

Ponad jej głową zerknął bezradnie na Kate, która uśmiechnęła się z drżeniem.

„Zaufaj mi” - powiedziały bezgłośnie jej usta.

- Marisa sądzi, że mamy romans - rzekła tak pewnym i spokojnym głosem, na jaki było ją stać. Język uciekał jej trochę przez szparę po zębie, więc zasepleniła na koniec.

- Bo macie - zaszlochała Marisa, dygocąc na piersi Jake'a. - Widziałam te wszystkie wiadomości. Nie jestem głupia.

- Marisa jest zdenerwowana, ponieważ jestem tylko sublokatorką - ciągnęła Kate powoli, aby Jake zdołał się rozeznać w zmienionym scenopisie. Podjęła błyskawiczną decyzję, że podtrzyma narrację Marisy, mając nadzieję, że dzięki temu uspokoi ją na tyle długo, by zdołali sprowadzić pomoc. - To dlatego śledziła mnie wtedy w drodze do pracy.

Zamilkła na chwilę, chcąc się upewnić, że Jake nadaża. Delikatne skinienie głowy z jego strony potwierdziło, że tak.

- Mówiłam jej: wszystko się wyjaśni, kiedy Jake wróci z pracy.

Marisa przestała szlochać i uniosła twarz, żeby na niego spojrzeć.

- Chciałam cię zobaczyć - powiedziała żałośnie. - Bo przecież noszę twoje dziecko.

- Tak, nosisz.

Kate ulżyło. Jake dawał radę, nawet jeśli nie do końca rozumiał, o co tu chodzi. Zaciśnięte szczęki i napięte ścięgna na jego szyi jasno wskazywały, że wcale mu się to nie podoba. Niestety, nic nie mogła poradzić. Na razie. Teraz priorytetem było bezpieczeństwo dziecka. A co za tym idzie - również Marisy.

- Zrobię herbaty - stwierdziła.

Ostrożnie podniosła się z podłogi. Jedna noga jej zdrętwiała i musiała poczekać, aż rozejdą się mrówki w stopie, ale poza tym wyszła z tego relatywnie bez szwanku. Otarła twarz z potu, a kiedy spojrzała na swoje dłonie, zauważyła krew. Krew, która zdawała się całkowicie odrębna od jej fizycznego „ja”. Ruszyła do kuchni, wciąż oszołomiona, jakby oderwana od rzeczywistości. Miała wrażenie, że obserwuje samą siebie z boku: Kate nalewa wodę do czajnika, wciska włącznik, żeby ją zagotować... Obok puszek na chleb leżał telefon bezprzewodowy. Wzięła go i wyjęła klucze do kuchennych drzwi z górnej szuflady. Najciszej, jak umiała, rozsunęła szklane skrzydła i wyszła na patio.

Nie chciała dzwonić na policję ani po karetkę. Żadnych służb, których interwencja mogłaby zagrozić ciąży. Co będzie, jeśli aresztują Marisę? Jeśli przez to poroni? Co, jeśli ktoś zada zbyt wiele pytań i skończy się tak, że Marisa zatrzyma dziecko? Umowa, którą zawarli we troje, nie jest jeszcze prawnie wiążąca. I nie będzie, dopóki Marisa nie przekaże im oficjalnie prawa do opieki nad dzieckiem już po jego urodzeniu.

Do Carol ani fundacji surogatek też nie chciała dzwonić – ktoś mógłby się uprzeć, że trzeba to zgłosić. Kate nie była pewna, jakie są procedury w takich wypadkach, ale wolała nie ryzykować. Sprawę trzeba załatwić szybko i po cichu. Prywatnie, najlepiej z kimś, kto ma doświadczenie medyczne i na czyjej dyskrekcji można polegać. Przyszedł jej do głowy Chris. Był emerytowanym lekarzem rodzinnym. Chyba będzie w stanie zbadać Marisę i sprawdzić, co z dzieckiem. Tak, on będzie wiedział, co robić. Tylko żeby dostać się do Chrisa, musiała zadzwonić do Annabelle i wszystko jej wyjaśnić. Nie było to idealne rozwiązanie, ale nie miała wyjścia. Czas płynął. Słyszała, że woda w czajniku zaczyna się gotować. Musiała działać szybko.

Zerknęła na telefon i wybrała numer Annabelle.

Kiedy skończyła rozmawiać, wróciła do środka i mechanicznie włożyła torebki herbaty do kubków. Następnie zalała je wrzątkiem, dodała mleka i sporo cukru. Umyła twarz nad zlewem, osuszyła ją papierowym ręcznikiem. W lustrzanych płytkach widziała swoje odbicie. Włosy sterczały jej w różne strony, tusz pozostawił smugi na policzkach. W kąciку ust dostrzegła zaschniętą krew, a na czole ranę. Przetarła policzki; na czubkach palców pozostał brudny osad. Gdy poprawiła włosy, zaczęła

wyglądać niemal normalnie, jeśli nie liczyć pustki w oczach. Ustawiała kubki na tacy i pokuśtykała z powrotem do przedpokoju. Czuła, jak dopiero teraz trzęsą jej się nogi. Bolały ją wszystkie mięśnie.

Jake i Marisa nadal siedzieli na podłodze. Wciąż ją obejmował, a ona wydawała się spokojniejsza. W każdym razie przestała płakać.

- Herbatka! - oznajmiła Kate z animuszem, którego nie czuła. Ustawiała tacę na podłodze.

- Dzięki - odezwał się Jake. - Może...

Kate pokręciła głową. Był to ruch tak delikatny, że gdyby obserwował ją ktoś postronny, na pewno by go nie zauważył.

- Mariso... - Wyciągnęła w jej stronę kubek. - Napij się herbaty. Dobrze ci zrobi. Poczujesz się lepiej.

Marisa przyjęła kubek, podnosząc wzrok i przechylając lekko głowę. Była czujna i nieufna, ale upiła posłusznie łyk i z powrotem oparła policzek na piersi Jake'a.

- Jestem taka zmęczona - powiedziała.

- Zamknij na chwilę oczy - poradziła Kate. - Już nie musisz się o nic martwić. Powinnaś oszczędzać siły. Wygodnie ci czy chcesz się przenieść na sofę?

- Wygodnie. Zostanę tutaj.

Głowa Marisy zsunęła się w dół i spoczęła na kolanach Jake'a. Wyprostował nogi, kładąc je w poprzek korytarza, tak że stopami dotykał przeciwległej ściany.

- W porządku? - wyszeptał bezgłośnie ponad Marisą.

Kate pokiwała głową. Jej komórka nadal tkwiła w torebce na stoliku. Sięgnęła po nią teraz, starając się nie robić hałasu. Nie chciała spłoszyć Marisy. Jeśli zaśnie, tym lepiej. Otworzyła notatki i zaczęła pisać. Kiedy skończyła, podsunęła telefon Jake'owi pod nos.

*Zaatakowała mnie, kiedy wchodziłam do domu. Odbiło jej. Kompletnie. Wydaje jej się, że jesteście parą. Nas podejrzewa o romans. Zadzwoiłam po rodziców. Już jadą. Chris ma środki na uspokojenie. Musimy jej pilnować przez trzy godziny, żeby była spokojna.*

Jake czytał. Jego wargi zacisnęły się w ponurą linię, kiedy wreszcie zrozumiał. Kate zabrała mu telefon i znów zaczęła pisać.

*Lepiej jej potakiwać, zanim będziemy mogli pogadać.*

Skinął głową i złapał Kate za rękę. Odwzajemniła uścisk, a potem poszła na górę. Nie było czasu na emocje. Jake delikatnie gładził Marisę po ramieniu. Była już o wiele spokojniejsza, ukojona jego obecnością. Dobrze – pomyślała Kate. Właśnie tego nam teraz potrzeba.

W tanich powieściach detektywistycznych albo produkcjach telewizyjnych do znudzenia powtarzano zdanie, że matka jest zdolna do wszystkiego dla swego dziecka. Krążyły legendarne historie o kobietach, które odnajdywały w sobie nadludzkie moce, by dźwignąć samochód przygniatający ich dziecko. Albo takich, które walczyły o sprawiedliwość i zmiany w prawie, kiedy ginęło z ręki kryminalisty na zwolnieniu warunkowym. Aż do tej chwili nie rozumiała jednak potęgi macierzyństwa. Nagle z całą ostrością uzmysłowiła sobie, że ona sama zrobiłaby dla swojego dziecka wszystko, choć jeszcze się nie narodziło. Właśnie to pomogło jej przetrwać powtarzające się sesje in vitro. To pomagało znosić nieprzewidywalne i czasami napawające lękiem zachowanie Marisy. Dlatego tak długo przymykała na nie oko – bo pragnęła dziecka. I teraz odnajdzie w sobie siłę, by udawać, że wszystko jest w porządku. Chociaż została napadnięta, choć połowa głowy pulsuje jej tępym bólem. Mimo że musiała zmywać krew z twarzy i widziała, jak woda w zlewie robi się czerwona. To właśnie macierzyństwo pozwoliło jej ukryć lęk i gniew w kluczowej chwili. Ta niewypowiedziana siła pokazała jej, co robić. Niezmacona jasność sprawiała, że wszelkie decyzje stawały się proste.

Poszła do pokoju Marisy. Nie była tam od miesiący, Marisa zwykle zamykała drzwi na klucz. Kiedy Kate zapytała, czy sprzątaczką ma od czasu do czasu w nim posprzątać, Marisa powiedziała, że robi to sama. Kate założyła, że kiedy Marisa śpi albo pracuje, nie chce, żeby jej przeszkadzać. Zresztą ostatnio tak było po prostu łatwiej.

Złapała klamkę i weszła do środka. Zastłony były zaciągnięte, więc w pierwszej chwili nie zauważyła bałaganu. Gdy włączyła światło, jęknęła. Cała podłoga była usiana zwiniętymi w kulkę ubraniami, zużytymi chusteczkami i patyczkami kosmetycznymi. Wśród nich wały się kartony po jedzeniu na wynos. W połowie opróżniony kubek z herbatą porastał pleśnią. W kącie obok gniazdek leżało coś, co wyglądało jak gruby beżowy wąż. Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, że jest to pleśnie-

jący kłęb makaronu. Targnęły nią torsje. Pokój śmierdział terpentyną, potem i zepsutą żywnością. Dominowała słodka gnilna nuta, mdła jak spadłe gruszki. Kate zatkała usta dłonią, starając się oddychać możliwie płytko. Dotarła do okna i otworzyła je na oścież, wpuszczając do środka świeże powietrze.

Co ona wyprawia? – zdziwiła się. Znowu czuła lęk, tym razem nie o siebie: przeraziło ją to, co się działo z Marisą. Tak zachowuje się człowiek głęboko niezrównoważony. Zaburzona psychika w kryzysie.

Jej wzrok padł na biurko. Na starym pulpicie kreślarskim stało kilka słoików z pędzlami. Woda w środku miała barwę szlamu. Innych śladów prac malarskich nie było. Leżały natomiast całe sterty papieru pokryte napisami wykonanymi permanentnym markerem. Słowa były upchane tak ciasno, że z początku nie potrafiła dopatrzeć się ich znaczenia. Dopiero kiedy przyjrzała się bliżej, zauważyła, że to nie są słowa, lecz imiona. Kate, Jake i Marisa powtarzane setki razy, wijące się i przeplatające wzajemnie jak zielsko, które penetruje korzeniami każdy wolny skrawek przestrzeni, aż papier był bardziej czarny niż biały.

Na tablicy korkowej, gdzie zwykle Marisa przypinała fotografie dzieci klientów, teraz wisiały zdjęcia ćwiczącego w ogrodzie Jake'a z błyszczącym od potu torsem. Wykonano je pod kątem, z pewnej wysokości. Kate uświadomiła sobie, że Marisa robiła je z okna swojego pokoju. Jake nie miał pojęcia, że jest fotografowany – z wyjątkiem jednej fotki, na której patrzył w górę, mrużąc oczy i osłaniając je dłonią od słońca. Kolejna na pierwszy rzut oka zdawała się przedstawiać Jake'a i Marisę razem, śmiejących się radośnie. Gdy Kate przyjrzała się dokładniej, zauważyła wystrzępioną krawędź. Zrozumiała, że to dwa osobne zdjęcia sklejone tak, żeby wyglądały na jedno. Miało pokazywać bliskość, której nigdy nie było.

Zerwała tablicę ze ściany i bez chwili namysłu wyrzuciła ją przez okno. Z głuchym łoskotem tablica wylądowała na trawniku w ogrodzie. Kate była wściekła. Równocześnie zdawała sobie sprawę, że musi panować nad gniewem. Cholerna szurnięta zdzira! – myślała. Ale ta szurnięta zdzira nosiła jej dziecko.

Jak mogli dać się tak oszukać? Na początku Marisa wydawała się wprost idealna. Istna pasteczek z szeroko otwartymi oczami, dziwiąca się światu. Na litość boską! Ona nawet pisała bajki dla dzieci. I wszystko szło jak po maśle, jakby tak właśnie miało być. Jak mogło do

tego dojść? Dlaczego nie zareagowali wcześniej, kiedy tylko zaczęła się dziwnie zachowywać?

Zarazem trudno było jednoznacznie stwierdzić, co w jej zachowaniu wykraczało poza normę – usprawiedliwiła się sama przed sobą. A oni tak bardzo pragnęli dziecka, prawda? Jakby samą mocą tego pragnienia mogli sprawić, że wszystko ułoży się pomyślnie. Jakby bagatelizując jej wybryki i próbując je tłumaczyć, w istocie zaklinali rzeczywistość.

Być może nie zastanawiali się nad jej motywami tyle, ile było trzeba. Może nie przygotowali się tak starannie, jak sugerowała agencja. Może wcale nie chcieli słuchać Carol, która przez cały czas ostrzegała, że za nadto się spieszą. Ale czy to oznacza, że postępowali źle? Czy po wszystkim, co przeszli, nie należała im się odrobina nadziei, która zagłuszy chwilowe wątpliwości? Dlaczego choć raz coś nie mogło przyjść łatwo? Dlaczego musieli kwestionować to, co wydawało się pewne? Czemu to im pisana była rozpacz, a innym – wiara w to, że nic złego nie może ich spotkać, nagrodzona udanym poczęciem, łatwym porodem i szczęśliwą rodziną? No dlaczego nie wolno im było wierzyć, że Marisa jest odpowiedzią na ich modlitwy? Czemu tym razem to nie mogli być oni?

Zanim zdążyła o tym wszystkim pomyśleć, już płakała. Otarła łzy rękawem bluzy. Przypomniała sobie, po co tu przyszła. Wiedziała, czego szuka. Na biurku go nie było, więc na czworakach zaczęła szukać pod łóżkiem. To była najbardziej oczywista kryjówka i Kate przypuszczała, że tam znajdzie dziennik Marisy. Przez całe tygodnie obserwowała, jak dziewczyna gryzmoli ukradkiem w moleskinowym notesie. Teraz pchała ją przemożna potrzeba sprawdzenia, co w nim znajdzie.

Wykładzinę pod łóżkiem pokrywały zbite kłęby kurzu. Było ciemno i Kate niewiele widziała, więc wsadziła tam rękę i zaczęła macać na oślep. Nic. Już miała wstać, kiedy wpadła na inny pomysł. Tym razem zamiast badać podłogę, zaczęła obmacywać spód materaca. Jej palce trafiły na gładkie krawędzie czegoś, co zostało wsunięte między materac a drewniane listewki ramy. Podważyła to i spadło na podłogę. Bingo! Notatnik.

Podniosła go i wyszła z pokoju. Na półpiętrze wychyliła się znad balustrady, żeby zerknąć, co u Jake'a. Zauważył ją i uśmiechnął się do niej. Pokazała mu kciuk skierowany w górę. Skinął lekko głową. Marisa wciąż leżała na jego kolanach. Jej oddech był teraz bardziej regularny.

Jake głaskał ją po włosach i choć właśnie to powinien w tej chwili robić, zazdrość ukłuła Kate tak mocno, że aż się zdziwiła. Odsunęła ją na bok, usiadła na schodach i zaczęła przeglądać pamiętnik Marisy.

Zaczynał się tak: Dom jest idealny. Kate, czytając te słowa, uświadomiła sobie, że Marisa wspomina o dniu, kiedy odwiedziła Richborne Terrace, a ona sama oprowadzała ją po domu. Wtedy, kiedy przez otwarte drzwi wleciała sroka. Pomijając ten incydent, Marisa wszystko zapamiętała zupełnie inaczej. Ledwie wspomniała o Kate i surogacji. Nigdy nie wymieniała jej z imienia. Przewracając kartki, Kate spostrzegła, że tak było zawsze. W scenach z ich życia, opowiedzianych z dziwacznej perspektywy Marisy, nie było Kate. Z rzadka pojawiała się jako „lokatorka” w ich domu. Marisa wymyśliła sobie nieistniejący związek z Jakiem. Ich spotkanie w kawiarni – z którego również skrupulatnie wymazała Kate – opisała jako randkę. Pisała nawet, jak się kochali, co nie mogło być prawdą, ponieważ wszystkie wspomniane noce Jake spędził w łóżku z Kate, nie z Marisą. Tego Kate była pewna.

Im dłużej czytała, wstrząśnięta i zafascynowana zarazem, tym silniejsze miała wrażenie, że ziemia usuwa jej się spod nóg. W tej obsesji było coś makabrycznego. Nie mogła uwierzyć, do czego Marisa się posuwała, żeby uprawdopodobnić swoje kłamstwa. Historyjka była tak przekonująca, że w pewnym momencie Kate zaczęła się zastanawiać, czy nie ma w niej ziarna prawdy. Może Jake naprawdę zakochał się w Marisie? Może rzeczywiście mają romans? Ale i tę myśl odrzuciła natychmiast, gdy tylko przysła jej do głowy. Bzdura. Dała się zwieść melodramatyzmowi sytuacji. Jake nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Jest dobrym i uczciwym człowiekiem. Zresztą kiedy i jak miałby ją zdradzać? Zawsze byli razem.

Nie, to Marisa jest niebezpieczna. Stuknięta. Histeryczka. To wszystko zwidy szalonej kobiety. Kate przekartkowała resztę pamiętnika. Jej odczucia stopniowo ewoluowały: na początku był szok, na końcu już tylko litość. Jak potwornie Marisa musiała być nieszczęśliwa, żeby się do tego posunąć. Nie tylko nieszczęśliwa – poprawiła się w duchu Kate. Niezrównoważona. Trzeba zapewnić jej fachową pomoc, wyleczyć ją. A jeśli się nie da, to przynajmniej podleczyć, doprowadzić do stabilnej formy na pozostałych pięć miesięcy ciąży. I muszą to załatwić prywatnie i poufnie. Im mniej ingerencji z zewnątrz, tym lepiej.

Zerknęła na zegarek. Było wpół do dziesiątej. Chris i Annabelle dojadą w ciągu godziny. Miała właśnie odłożyć pamiętnik i zejść na dół, kiedy coś wypadło zza okładki. Kate podniosła to z podłogi. Zaszuszone stokrotka. Ściśnięte płatki miały już ciemne cętki i zbrązowiałe krawędzie. Poruszył ją widok tego małego kwiatka. Pomyślała o tym, jaką musiał stanowić wartość i z jakimi się wiązać wspomnieniami. Jak naprawdę wyglądało życie Marisy? Czy cokolwiek z tego, co im mówiła, miało pokrycie w faktach? Rzekomo była blisko z rodzicami, a jej matka kilka razy poroniła, zanim urodziła drugą córkę, o siedem lat młodszą od Marisy. Kate i Jake'a poruszyła ta historia. Świadczyła o tym, że Marisa mimo młodego wieku widziała na własne oczy, czym jest niepłodność i jaki stanowi cios dla pary. Ponoć matka szczerze rozmawiała z nią na ten temat, jak z dorosłą. Ale może to też sobie wymyśliła? Może to, co o niej wiedzieli - oni i agencja - nie było prawdą? Mogła kłamać we wszystkich ankietach, sfałszować dokumenty dotyczące pochodzenia, wykształcenia, stanu zdrowia... Być może zaprosili do swego domu ciężko chorą psychicznie kobietę, mającą urodzić im dziecko. A teraz nie mogą się już wycofać z tej decyzji.

Poczuła w ustach smak żółci. Zrobiło jej się niedobrze. Wsunęła stokrotkę do notatnika. Kiedy to robiła, kartki rozwarły się znowu, ukazując kieszonkę wewnątrz tylnej okładki. Odchyliła ją. W środku był kilkakrotnie złożony kawałek papieru. Wyjęła go. Recepta. Zmrużyła oczy, żeby ją odczytać.

#### *Risperidon, tabletki 1 mg.*

Nigdy nie słyszała o takim leku, więc sprawdziła w telefonie. Ręce jej się trzęsły, kiedy wklepywała nazwę do wyszukiwarki. Oddychała szybko, z wysiłkiem. *Lek używany w terapii takich schorzeń jak schizofrenia, psychozy, manie.* Kate zerknęła na receptę. Wystawiono ją na nazwisko Marisy Grover sześć miesięcy temu.

- O kurwa - powiedziała na głos.

Recepta nie została zrealizowana. Zarodek wszczepiono cztery miesiące temu, kiedy zachowanie Marisy stało się bardziej labilne. Jake i Kate w swojej naiwności - teraz widziała to wyraźnie - składali je na karb działania hormonów ciążowych. Czy to możliwe, że Marisa była na psychotropach, ale przestała je brać, bo mogły zaszkodzić ciąży?

- O kurwa - powtórzyła.



Rozległ się dzwonek do drzwi. Przyjechali rodzice Jake'a.

Kate zbiegła na dół z pamiętnikiem w dłoni. Dźwięk dzwonka obudził Marisę. Siedziała wyprostowana i na pozór zupełnie przytomna, pochlipując i raz po raz pytając Jake'a, co się dzieje.

Kiedy Kate ostrożnie ich mijała, Marisa zarzuciła Jake'owi ramiona na szyję.

- Ona chce mnie skrzywdzić! Nie pozwól jej! Nie pozwól!

- Nic ci nie zrobię - powiedziała Kate na tyle spokojnie, na ile pozwalał jej gniew. - To ty mnie zraniłaś, pamiętasz?

Jake syknął „ciiii”, choć nie do końca było jasne, czy próbuje uciszyć ją, czy Marisę. Kate otworzyła drzwi. Na progu stał Chris w nieśmiertelnej tweedowej marynarce. Na jej widok uśmiechnął się ciepło. Kate poczuła nagle tak wielką wdzięczność i ulgę, że ugięły się pod nią kolana.

- Wejdz, wejdz - szepnęła.

Wszedł do środka.

- Wszystko w porządku? - spytał cicho. - Ta szrama wydaje się nieładna - dodał, wskazując jej czoło.

- A, to... Nie, jest okej. To tylko tak okropnie wygląda. Gdzie Annabelle?

- Parkuje. Uznałem, że zostawię ją z tym, a sam od razu przyjdę. Kiedy dzwoniłaś, brzmiało to jak coś pilnego.

Kate chwyciła go za rękaw marynarki.

- Strasznie ci dziękuję.

Poklepał ją po dłoni.

- Nie ma za co. W końcu od tego ma się rodzinę. Zaraz ją uspokoimy. Postaramy się, żeby była stabilna, a wasze dziecko bezpieczne. Nic się nie martw.

Opowiedziała mu szybko o recepcie, którą znalazła, pamiętniku i ogólnym stanie Marisy. Pokiwał głową.

- To ma sens. W porządku. Zaraz coś na to poradzimy.

Wprowadziła go w głąb korytarza, gdzie wprawnym rzutem oka oceniła sytuację. Jake, wciąż tuląc głowę Marisy do piersi, mruknął:

- Cześć, tato. Przepraszam za to wszystko.

Chris pokręcił głową i przyłożył palec do ust, żeby go uciszyć.

- Mariso? - rzekł łagodnym, ale zdecydowanym tonem.

Kate zdała sobie sprawę, że nigdy go takim nie słyszała.

- Jestem doktor Sturridge i chciałbym cię teraz obejrzyć, dobrze?

Marisa odwróciła głowę i spojrzała na niego. Żrenice miała rozszerzone, skórę woskową i wilgotną od potu. W jej oczach ufność mieszała się ze zdziwieniem. Znów wydawała się spokojniejsza, jakby naprawdę chciała, żeby się nią zaopiekował ten nowo przybyły starszy mężczyzna, który kuca obok i sprawdza jej puls.

- Zajmiemy się tobą. Nie musisz się niczym przejmować. Ale zacznijmy od najważniejszego: napiłabyś się jeszcze herbaty?

- Tak, chętnie - wychrypiała.

Chris skinął na Kate, która poszła do kuchni, zostawiając ich troje w przedpokoju. Usłyszała kolejny dzwonek do drzwi. Ktoś wpuścił Annabelle do środka i niemal natychmiast rozległ się krzyk Marisy, coraz głośniejszy i bardziej przenikliwy. Chris monotonicznie ją uspokajał. Jego głos stanowił basowy akompaniament do sopranu Marisy. Zanim Kate uporała się z herbatą, atak niemal minął i wróciła cisza.

Zaniosła kubek do przedpokoju. Annabelle stała przy drzwiach. Włosy miała okryte jedwabną chustką, a na ramionach brązowy płaszcz wiązany w pasie. Była bez makijażu. Jej twarz, pozbawiona zwykłego pancerza, wyglądała nago i bezbronne. Błede rzęsy nadawały jej podobieństwo do mrugającego kreta, którego oślepiło słońce. Kate zdała sobie sprawę, że matka Jake'a musiała szykować się do snu, kiedy odebrała telefon. A jednak rzuciła wszystko i przyjechała, chociaż nie akceptowała tego, co robili.

- Są rzeczy ważniejsze niż drobna różnica poglądów - oznajmiła przez telefon. - Zrobimy dla was wszystko. Dla was i dla dziecka. Pamiętaj o tym.

Kate dotąd w to wątpiła, ale teraz przekonała się, że to prawda. Uśmiechnęła się, drząc, do Annabelle, a ta skinęła głową, jakby wszystko rozumiała i nic nie trzeba było mówić.

Jake ostrożnie ułożył głowę Marisy na zrolowanej marynarce. Chris ciągle trzymał dziewczynę za nadgarstek, patrząc na zegarek, żeby zmierzyć tętno. Oddychała powoli, robiąc długie, ciężkie wdechy. Miała zamknięte oczy. Pobudzenie najwyraźniej minęło.

Jake wstał i podszedł wprost do Kate. Przytulił ją mocno, szepcząc do ucha, jak bardzo ją kocha i czy nic jej się nie stało. Powtarzał to bez przerwy, aż się rozplakała. Szlochała, że nic jej nie jest, tylko coś trzeba zrobić, żeby dziecko było bezpieczne.

- Będzie dobrze - zapewnił. - Tata ma wszystko pod kontrolą, prawda, tato?

- Pewnie - przytaknął Chris. - Dałem jej dwa miligramy lorazepamu i wygląda na to, że działa. Poczekamy z godzinkę i zobaczymy. Być może trzeba będzie podać kolejną dawkę.

- Nie trzeba jej przenieść? - zapytała Kate. - Na sofę albo do łóżka?

- Nie. Lepiej ją tu zostawić, niż ryzykować... - zrobił małą przerwę - ...że się obudzi.

- No właśnie - podchwyciła żywo Annabelle. - Musimy pogadać. Mamy pewien plan - zwróciła się do Jake'a. - Rozmawialiśmy już na ten temat z Kate, prawda, skarbie?

- Owszem - potwierdziła Kate.

- Ale najpierw zajmę się tą ranką. - Annabelle sięgnęła do torby Chrisa i wyjęła z niej butelkę antyseptyku, wateę i spory plaster z opatrunkiem. Następnie podeszła do Kate, wzięła ją za rękę i zaprowadziła do pokoju, gdzie kazała jej usiąść na sofie. Odkaziła ranę, co zapiekło, i przykleiła plaster. Wszystko to zrobiła z taką matczyną czułością, że Kate znowu zachciało się płakać.

- Dziękuję - chlipnęła.

- Nie ma sprawy, skarbie. Od razu lepiej. - Annabelle rozwiązała pasek płaszcza i usiadła w fotelu przy wykuszowym oknie. Zsunęła chustkę. Jej włosy w świetle lampy wydawały się cienkie i wiotkie. - Jake, masz jakąś whisky? Myślę, że wszystkim należy się solidna porcja.

Jake podszedł do komody, na której trzymali alkohole. Stały tuż pod głośnikiem i Kate przypomniała sobie tę niedzielę, kiedy słuchali muzyki, a Marisa wpadła z pretensjami, że jest za głośno. Teraz to miało sens. Irracjonalny, ale sens. Boże, jak ona musiała mnie nienawidzić - pomyślała i zadrżała.

- Zimno ci? - spytała Annabelle.

- Nie, w porządku. Whisky mnie rozgrzeje.

Wzięła szklanę, którą podał jej Jake. Drugą wręczył matce. Sobie nalał dużą wódkę i usiadł obok Kate na sofie.

- Wypij to - powiedziała Annabelle. - Przeżyłaś szok.

- Musiałaś być przerażona - rzekł Jake. - Przepraszam, że nie było mnie przy tobie.

- Dobrze, nie ma na to czasu - uciszyła go niecierpliwie matka. - Póki ona tam spokojnie leży - machnęła w kierunku przedpokoju - porozmawiajmy, co dalej.

- Masz rację - zgodził się Jake.

- Uważamy, że najlepszym rozwiązaniem będzie zabrać ją do nas, prawda, Kate?

Kate kiwnęła głową.

- W czasie drogi będzie spokojna. Chris ma ze sobą wszystkie potrzebne leki i co tam jeszcze. A potem umieścimy ją w domku gościnnym. Będzie z dala od tego domu, a w świetle tego, co powiedziała mi Kate, uważam, że to absolutnie konieczne.

Kate, zdając sobie sprawę, że relacja nie była kompletna, opowiedziała prędko o tym, co znalazła w pokoju, o pamiętniku i niewykorzystanej recepcie.

- Chryste Panie - mruknął Jake. - Ona jest naprawdę pierdolnięta.

Annabelle się wyprostowała, zniesmaczona przekleństwem nawet w tak ekstremalnych okolicznościach.

- No cóż, oboje wiecie, że zajęło mi trochę czasu, zanim... no cóż... zrozumiałam, co wyprawiacie z kobietą, którą ledwie znacie. Ale jest, jak jest. I jestem pewna, że odpowiednio leczona, ta...

- Marisa - wtrąciła Kate.

- Tak. Jestem pewna, że będzie zachowywać się normalnie. Najważniejsze to zapewnić jej spokój i bezpieczeństwo podczas ciąży. I trzymać ją jak najdalej od was. Kiedy dziecko już się urodzi, poradzimy sobie z resztą.

- Myślała, że mamy romans? - nie dowierzał Jake. - Że ty jesteś sublokatorką?

- Najwyraźniej. - Kate położyła mu rękę na karku i poczuła ciepło jego ciała.

- Ale jak my... to znaczy, jak ona... jak do tego doszło?

Wzruszyła ramionami. To nie jest istotne, jak do tego doszło! - chciała krzyknąć. Najważniejsze, jak się z tego wygrzebią.

Wychyliła resztę whisky i odstawiła pustą szklankę na stolik. Przypomniała sobie o zębie, który leżał na podłodze w przedpokoju. Czy ma go podnieść i umieścić w woreczku z lodem, jak to się robi z odciętymi palcami?

Głos Annabelle sprowadził ją na ziemię.

- Posłuchaj, Jakey. Jeśli musisz udawać, że jesteś z nią w związku, to niech tak będzie. Mówię zupełnie szczerze. To przecież nic nie znaczy. Możesz jej powiedzieć, że musicie się rozstać na jakiś czas, aż załatwisz wszystko z Kate. Wymyśl coś. Powiedz, że twoi rodzice się nią zajmą do czasu, aż będziecie mogli być razem.

- Mamo, proszę! Chyba nie mówisz poważnie?

Annabelle wbiła w niego spojrzenie tych swoich niebieskich oczu.

- Jestem śmiertelnie poważna. Wpakowałeś się w to i teraz musisz zrobić wszystko, żeby się z tego wydostać.

- Ale to nieetyczne...

- Nieetyczne? - Parsknęła krótkim śmiechem. - I ty chcesz mi mówić o etyce po wszystkim, co tu się wyprawiało? Chodzi o mojego wnuka.

Kate siedziała w milczeniu na sofie. Była zaskoczona, jak podobnie do niej odczuwa Annabelle. Jej niepokój i lęk wyparowały. Czuła, że tamta na swój sposób ma rację. Muszą zrobić to, co konieczne. Wszystkie cechy matki Jake'a, które wcześniej ją irytowały, wydawały się odpychające - chłód w stosunku do innych, żelazna wiara w słuszność własnych opinii, łatwość dostrzegania słabych stron przeciwnika i graniczące z obsesją poświęcenie dla syna - teraz jawiły się jako zalety.

- Kate, co o tym myślisz? - zapytał Jake.

- Myślę, że twoja mama ma rację.

I Jake - dobry, miły, solidny Jake - się zgodził. Obie wiedziały, że Jake się zgodzi. Ponieważ przy wszystkich swoich zaletach był słaby. Kierowały nim mocniejsze wiatry i to według nich ustawiał swój żagiel. Po części dlatego Kate kochała go tak mocno. Przeczuwała, że zawsze będzie trwał przy niej, pewny, że wskaże mu właściwy kurs. Potrzebował sternika, a Kate imponowała mu nawet teraz, po latach. I tak samo jak

Annabelle wiedziała dokładnie, co trzeba zrobić. Za wszelką cenę chronić dziecko.

Przyniosła z piwnicy walizkę. Rozpięła ją i położyła na łóżku w pokoju Marisy. Potem zaczęła składać jej rzeczy. Porozciągane podkoszulki, „artystyczne” ogrodniczki, dziurawe džinsy. Letnie sukienki w dziwne wzory, zblakłe od zbyt wielu prań. Spakowała wszystko, zdumiona, jak skromny to dobytek. Zajął niewiele więcej niż połowę walizki. Na półce znalazła pluszowego królika z wyszytym „x” w miejscu nosa i dwa tomiki poezji. Spakowała i to. Zebrała szkicowniki, pióra, tępe ołówki. Farby i pulpit musiały zostać. Poszła do łazienki po kosmetyki Marisy. Pasta i szczoteczka do zębów, wazelina, mały słoiczek kremu do twarzy i szampon wielkości hotelowej próbki. Z tyłu w szafce napoczęte opakowanie rysperydonu. Włożyła je do walizki. Chris wspominał, że chce, by Marisa jak najszybciej wróciła do przyjmowania leków.

- Ryzyko dla dziecka jest minimalne, a zyski wielokrotnie je przewyższają - powiedział. - Jeśli nadal nie będzie brała leków, konsekwencje mogą być dramatyczne.

- Na przykład jakie? - zapytał Jake.

- Na przykład samobójstwo przed porodem lub wkrótce po nim.

Zamknęła i wytoczyła walizkę z pokoju. Jake przyszedł na piętro, żeby wynieść ją do samochodu. Kate zatrzymała pamiętnik i notatnik z adresami, który znalazła w szufladzie szafki nocnej.

Rodzice przyjechali starym volvem kombi, a nie zgrabniejszą corsą („jeździdłem”, jak ją nazywała Annabelle). Kate była im wdzięczna za tę przezorność, kiedy pakowali bagaże. Postanowili, że Jake pojedzie z tyłu z Marisą, która będzie mogła się wyciągnąć i oprzeć głowę na jego kolanach. Kate włożyła do środka koc i butelkę wody.

Stojąc na ulicy, pocałowała Jake’a przelotnie w usta, a on przytulił ją mocno. Była prawie pierwsza w nocy; ulica tonęła w ciemności prócz jednego okna w bloku naprzeciwko, gdzie paliło się światło. W powietrzu dryfowały lekki zapach marychy i niskie basy niezidentyfikowanej kapeli.



Wrócili do środka, gdzie czekali rodzice Jake'a i Marisa. Kate minęła ich w korytarzu, patrząc z wdzięcznością na Chrisa, który skinął jej głową. Poszła na górę, żeby patrzeć na ich odjazd z półpietra. Chris dał Marisie drugą dawkę lorazepamu; była wiotka i posłuszna jak dziecko.

- Zabieram cię do moich rodziców - powiedział Jake. - Tam będziesz mogła trochę odpocząć, zanim nie załatwię tu wszystkiego z Kate.

Marisa spojrzała na niego i się uśmiechnęła.

- Dobrze - odparła.

Wyprowadził ją na zewnątrz, trzymając delikatnie pod ramię. Za nim szli rodzice. Coś kołatało się po głowie Kate, wspomnienie na granicy rozpoznawalności. Na razie nie chciała mu się poddawać, trzymała je na dystans do chwili, gdy zamknęły się drzwi wejściowe i usłyszała silnik volva. Dopiero kiedy ucichł w oddali i wiedziała, że są już daleko, pozwoliła wspomnieniu wypłynąć. Była to scena z czarno-białego filmu, który oglądała na studiach: *Tramwaju zwanego pożądaniem* w adaptacji Elii Kazana. Vivien Leigh grająca Blanche DuBois, ślicznotkę z Południa, patrzy błyszczącymi oczami na ubranego w ciemny garnitur lekarza, który uchyla kapelusza, i mówi do niego: „Zawsze wierzyłam w dobroć nieznanym”.

Opustoszały dom wydał jej się wielki i cichy. Bolała ją głowa. Uzmysłowiła sobie, jak bardzo jest zmęczona. Nie spodziewała się, że to będzie możliwe przy takiej ilości adrenaliny buzującej w żyłach, a jednak czuła się tak wykończona, że zdołała jedynie dokuśtykać do sypialni, zwalić się na łóżko w ubraniu i butach, których nie zdjęła, wchodząc do domu, i zamknąć oczy. Śmieszne - pomyślała, zapadając w sen. Minęło tylko parę godzin. I tych parę godzin wystarczyło, żeby życie się rozpadło, pograżyło w chaosie.

Kiedy się obudziła, był wczesny poranek. Słyszała łoskot śmieciarki na ulicy. Siadła prosto, czując, jak serce wali jej o żebra. Wargi pulsowały. Ze stolika przy łóżku wzięła dwa paracetamole i je połknęła. Na razie może żyć bez zęba - powiedziała sobie. Na szczęście to nie siekacz i prawie nic nie widać, nawet jak się uśmiecha.

Sięgnęła po telefon. Miała kilka nieodebranych połączeń i sporo wiadomości. To Jake pisał, że są już w Gloucestershire, podróż minęła spo-

kojnie, wszystko jest okej, ale martwi się o nią. I żeby oddzwoniła, jak będzie mogła.

Odebrał natychmiast.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Tak, tak. Przepraszam, zasnąłam.

Usłyszała, jak Jake z ulgą wypuszcza powietrze.

- Dzięki Bogu. Już się martwiłem. Miałem zamiar wracać, ale mama mi odradziła. Powiedziała, że na pewno się położyłaś.

- Dobrze, że jej posłuchałeś. Przepraszam - powtórzyła. - A co u ciebie? Wszystko okej?

Słyszała, jak Jake chodzi w kółko. Wyobraziła sobie „bawialnię” Sturridge’ów, w której po raz pierwszy spotkała rodziców Jake’a, pełną pękających sof i oprawionych w srebrne ramki rodzinnych fotografii.

- Pod kontrolą - odparł. - Trochę dziwnie się z tym czuję.

- Dlaczego?

- Sam nie wiem. Jakbyśmy ją wykorzystywali. Okłamujemy ją... jakby... trochę.

Kate ścisnęła palcami grzbiet nosa.

- Nie tak, jak ona okłamała nas - wytknęła, starając się zachować spokój. - Zresztą to i tak tylko do czasu, aż sytuacja będzie stabilna.

- Masz rację. Przepraszam. Wiem, że masz rację. Marisa jest w domku, bezpiecznie zainstalowana. Po drodze nie było kłopotów. Prawie cały ten czas przespała.

- A jak reaguje na twoich rodziców?

- Hm... Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy w ogóle się orientuje, kim są. Pozwoliłem jej myśleć, co chce, i uprzedziłem, że na chwilę wrócę do Londynu, żeby się z tobą rozmówić.

- Dobrze - powiedziała Kate. - Ale zostań tam tak długo, jak będzie trzeba.

- To nie powinno potrwać dłużej niż dzień lub dwa.

- Z dzieckiem wszystko w porządku? - Głos jej zadrżał, kiedy zadawała to pytanie.

- Tak - odparł zdecydowanie. - Tata mówi, że nie ma się czym martwić, więc ty też się nie martw, okej? Wszystko się ułoży. Na sto procent.

Pozwoliła się uspokajać, choć wiedziała, że nie mogą być tego pewni. Trzymając w jednej ręce telefon, drugą odsunęła zasłony w sypialni. Okno w mieszkaniu naprzeciw wciąż było otwarte. Młody mężczyzna opierał się łokciami o parapet i kopał skręta. Uchwycił jej spojrzenie i uśmiechnął się leniwie. Spłoszona odpowiedziała mu uśmiechem. A jeśli coś widział albo słyszał? Co wtedy?

Nie mówiła o tym Jake'owi. Oświadczyła, że idzie wziąć prysznic, a potem pozalatawać sprawy. Nie sprecyzowała jakie. Wymienili buziaki i obiecała, że zadzwoni później. Rozłączyli się.

Nie poszła pod prysznic. Wciąż unosiła się na rozchybotanej fali adrenaliny z wczorajszego wieczoru. Wzięła pamiętnik i notes z adresami do kuchni, gdzie zaparzyła sobie mocnej kawy i zmusiła się, żeby zjeść grzankę. Zdała sobie sprawę, że ostatni raz jadła wczoraj w czasie lunchu. Usiadła przy stole, patrząc na ogród i blok za płotem. Słońce stało jeszcze nisko, częściowo zasłonięte przez wysoką magnolię. Na szczycie muru zobaczyła srokę i automatycznie podniosła rękę, żeby ją pozdrowić, jak uczyła ją matka, mistrzyni w odpędzaniu złych duchów i pecha. Wtedy pojawiła się kolejna sroka i jeszcze jedna, i następna, aż w końcu cztery ptaki siedziały rzędem na szczycie muru. Ich pióra lśniły bielą i czernią. Jeden zanurzył dziób w płytkiej kałuży, która zebrała się między cegłami. Kate nigdy nie widziała, żeby aż cztery sroki siedziały obok siebie jak na paradzie. Pozdrowiła pozostałe trzy. Jak szła ta wyliczanka? Jedna na smutek, dwie na radość... Nie pamiętała, co było dalej, więc sprawdziła w internecie.

- Trzy to dziewczynka, a cztery chłopak - powiedziała na głos w pustej kuchni. - Ha!

Gdzieś za murem ktoś odpalił motocykl; warkot posłał sroki w niebo. Kate patrzyła przez chwilę, jak wzbijają się prostą karną linią, a potem wróciła do pracy.

Przejrzała notatnik z adresami. Z początku szukała członków rodziny, ale nie znalazła nazwiska Grover ani nikogo zapisanego jako „mama”, „tata” czy „Anna”. W książeczce, oprawionej w cienki materiał w wisienki, mało było użytecznych informacji. Marisa używała jej głównie do bazgrania. Skomplikowane zawijasy, płatki, hieroglify z okiem i inne motywy nakładały się na siebie i łączyły tak, że trudno było dostrzec spod nich papier. Ale tu i ówdzie widniało jakieś nazwisko. Kate zerknęła na zegarek. Dopiero po ósmej. Nie jest to może najlepsza

pora, żeby dzwonić do obcych ludzi, ale też powód nie był wyspany z palca.

Wyjęła telefon i wybrała pierwszy numer przy nazwisku „Rosie Hodge”. Po trzech dzwonekach kobieta odebrała.

- Halo?

- Dzień dobry. Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie...

- Nie szkodzi. Nie śpię od piątej przez dzieciaki. O co chodzi?

- Dzwonię w sprawie Marisy Grover - wyjaśniła Kate i zamilkła celowo, w nadziei, że kobieta przejmie inicjatywę.

- Kogo?

- Marisy Grover. Domyślam się, że pani ją zna, ponieważ pani nazwisko widnieje w jej notesie z numerami telefonu.

- A mogę wiedzieć, o co chodzi?

- Eee... tak, oczywiście. Marisa mieszkała u nas i zachorowała. Nic poważnego, ale dzwonię, żeby powiadomić, na wypadek gdyby...

- Marisa Grover... - powtórzyła kobieta. - Zaraz, a to nie ta dziewczyna od Opowieści Ci Bajkę?

- Właśnie ta.

- Zamówiłam u niej kilka książeczek dla dzieci. Ma talent. Mówiła pani, że jest chora?

- Tak, ale to nic poważnego - powtórzyła Kate. - Poproszono mnie, żeby skontaktować się z jej klientami i uprzedzić, że mogą wystąpić... eee... pewne opóźnienia.

- Aha. Dziękuję, ale ostatnio niczego nie zamawiałam.

Kate usłyszała w telefonie płacz dziecka.

- Ciii - rzuciła Rosie. - Zaraz do ciebie przyjdę. Dostaniesz śniadanie, nie panikuj. Spokojnie. - A do Kate powiedziała: - Mam nadzieję, że szybko wyzdrowieje. Dziękuję za telefon.

- Nie ma sprawy.

W ten sposób metodycznie Kate uporała się z kontaktami w notesie Marisy. Większość stanowili dawni klienci. Kilka osób nie miało pojęcia, o kim mowa. Jedną była koleżanką ze szkoły, która nie słyszała się z nią „przez całe wieki”. Parę nie odebrało. Dwa razy włączyła się poczta. Za dwunastym razem wybrała numer do kobiety zapisanej w notesie jako Jas.

- Ta?

- Dzień dobry. Przepraszam, że niepokoję tak wcześnie. - Kate wygłosiła utartą już formułkę. - Dzwonię w sprawie Marisy Grover.

- Ris? Wow. No, tego się nie spodziewałam. Wszystko z nią okej?

- Tak, tak - bąknęła Kate. - Mieszkała u nas przez ostatnich kilka miesięcy. Trochę zachorowała i staram się dotrzeć do jej przyjaciół i rodziny, żeby poinformować...

- Co jej jest?

- Jest pani przyjaciółką czy...?

- Kumpelą. Jeszcze kilka miesięcy temu naprawdę bliską. Pewnie właśnie wtedy wprowadziła się do was. No ale to cała Marisa.

- To znaczy?

- Angażuje się, a potem znika. Poczekaj sekundę.

Kate usłyszała, jak Jas ścisza muzykę.

- Dobra, od razu lepiej. Chwila. Bo ja myślałam, że ona się wprowadziła do tego gościa, z którym się spotykała. Mieszkacie razem, czy co? Myślałam, że mieli własną chatę.

Kate ani drgnęła, tak jakby każdy ruch mógł przerwać wypowiedź Jas.

- Jak on miał na imię...? Zaczynało się na J. Zapamiętałam, bo moje też jest na J. Jake! No pewnie. Miał na imię Jake.

- Wprowadziła się do Jake'a - powiedziała Kate.

- Serio?

- Ale ona się z nim nie spotykała. To ja jestem partnerką Jake'a. Marisa była naszą surogatką. To dlatego się do nas wprowadziła. Nosi nasze dziecko.

Jas milczała.

- Wiem, że to sporo jak na jeden raz, ale chciałabym z tobą porozmawiać, jeśli to możliwe - dodała Kate. - Coś się wydarzyło i bardzo by nam pomogło, gdybyśmy mogli się dowiedzieć czegoś więcej o zdrowiu Marisy. Mam na myśli jej zdrowie... psychiczne.

Usłyszała, jak po drugiej stronie Jas wydaje z siebie ciche gwizdnięcie.

- Jak masz na imię?

- Kate.

- W porządku, Kate. Zobaczę się z tobą. W miejscu publicznym, bo umówmy się: nie wiem, czy jesteś tym, za kogo się podajesz. Ale jeśli ci

to pasuje, to owszem, jest kilka rzeczy, które powinnaś o niej wiedzieć.

- Przyniosę papiery. Żebyś wiedziała, że mówię prawdę - zapewniła ją Kate. - Możesz wybrać miejsce. Ja się dostosuję.

- O, dzięki. Doceniam gest.

- Nie, serio. To ja bardzo doceniam i naprawdę muszę z tobą pogadać.

Jas się roześmiała.

- Rany, kobito. Nawet nie wiesz, co usłyszysz.

- Jestem gotowa - oznajmiła z powagą Kate.

Umówiły się za dwie godziny w kawiarni koło stacji metra Finsbury Park.

Kawiarnia była staroświecką speluną. Za oszkloną ladą stał mężczyzna; pasiasty fartuch miał zawiązany na brzuchu. Przywitał ją wesoło z włoskim akcentem - tak wyraźnym, że Kate wydał się podrabiany. Zauważyła, że jest jedyną klientką.

- Poproszę cappuccino.

Normalnie zamówiłaby mocne espresso bez mleka, ale tego ranka wolała coś lżejszego.

- Zaraz podam. - Mężczyzna machnął ręką, żeby usiadła. - Czuj się jak u siebie w domu, *bella*.

Wybrała stolik w rogu. Czekaając na „kumpelę” Marisy, bawiła się saszetkami cukru. Z małego bezprzewodowego głośniczka, który stał za kasą, popłynęły dźwięki rocka z lat osiemdziesiątych. „Jestem mała, czarna i mam jasne włosy. Na pewno mnie nie przegapisz” - powiedziała jej Jas.

Miała rację. Kiedy weszła przy wtórze dzwonka wiszącego nad drzwiami, Kate natychmiast ją rozpoznała. Niska, o delikatnych rysach i utlenionych, króciutko ściętych włosach. Miała na sobie przydużą kurtkę w kamuflażu. Kiedy się odwróciła, Kate zauważyła na plecach wyszyty cekinami napis „Warrior”.

- Hej, Tony - powiedziała Jas do mężczyzny za ladą, którego twarz na jej widok rozplynęła się w szerokim uśmiechu. - To, co zwykle. Dzięki, stary.

Podeszła do stolika, zrzuciła z ramion kurtkę i powiesiła ją na oparciu krzesła.

- Kate, no nie?

- Tak. - Kate wstała i wyciągnęła rękę na powitanie, co od razu wydało jej się nadmiernie oficjalne.

Jas uściśniła jej dłoń, obrzucając Kate ironicznym spojrzeniem. Miała długie jaskraworóżowe paznokcie. Cały brzeg jej lewego ucha zdobiły ciasno umieszczone coraz mniejsze złote kółeczka. Kate na moment zdziwiła się, że Marisa przyjaźniła się z kimś do tego stopnia *cool*, ale szybko się zbesztła, pomna własnych zdradliwych tendencji do uprzedzeń i osądów. A niby dlaczego nie mogły się przyjaźnić?

Tony przyniósł kawy. Niezbyt czystym filiżankom towarzyszył opakowany pierniczek na każdym spodku.

- No dobra - sapnęła Jas. Jej paznokcie zadzwoniły o uszko, kiedy sięgnęła po filiżankę. - To mów, co się dzieje.

- Może na początek przekonasz się, że jestem tym, za kogo się podaję. - Kate przesunęła w jej stronę kopertę. W środku były umowa o surogacji, ostatnie rachunki za media, ksero paszportów jej i Jake'a oraz kilka ich wspólnych zdjęć. Miała ze sobą również zdjęcie z USG dziecka, ale trzymała je w portfelu i nie wyjmowała. Sama nie była pewna dlaczego.

Jas przejrzała papiery i usatysfakcjonowana kiwnęła głową.

- Chciałam też pokazać ci to. - Kate podała jej dziennik Marisy.

Jas przerzuciła kilka kartek i podniosła wzrok.

- Co to jest?

- To jest jej dziennik... pamiętnik. Albo notatnik... Sama nie wiem. Znalazłam go w jej pokoju. Wymyśliła sobie historię, że są z Jakiem parą i że ona spodziewa się jego dziecka, ale to przecież...

Kate urwała zawstydzona, kiedy zdała sobie sprawę, jak to brzmi.

Jas odezwała się spokojnie:

- Ale to przecież nie jej dziecko. Tylko twoje.

- Tak - szepnęła Kate z ulgą. - No właśnie.

- Rany! Przykro mi.

Jas podała jej kilka serwetek ze stojaczka i Kate przycisnęła je do policzków, żeby osuszyć łzy. Następnie odetchnęła głęboko, wzięła się w garść i opowiedziała Jas o wszystkim. O tym, jak poznała Marisę, jak Marisa zaczęła się coraz dziwniej zachowywać, co się wydarzyło

w przedpokoju i o znalezionej recepcie. Jas nie wydawała się zaskoczona żadną z tych rewelacji.

- Gdzie ona teraz jest?

- Na wsi. U rodziców Jake'a. Pomyśleliśmy, że najlepiej dla niej będzie, jeśli pozostanie z daleka od nas, dopóki... dopóki się nie pozbiera. Ojciec Jake'a jest lekarzem na emeryturze. Zajmuje się nią.

- Ris musi zacząć brać tabletki. Najszybciej, jak to możliwe. Widziałam, co się dzieje, kiedy o nich zapomina, i uwierz mi: to nie był ładny widok.

Kate zamurowało.

- Czekaj... To znaczy, że takie rzeczy zdarzały się już wcześniej?

Jas dała znak Tony'emu, żeby podał im jeszcze po kawie.

- Zdaje się, że posiedzimy tu chwilę - orzekła. Oparła się w krzesło i złożyła dłonie przed sobą. - Przede wszystkim musisz wiedzieć, że Marisa jest mistrzynią w wymyślaniu siebie na nowo. Opowiada o sobie historie, w które chce, żeby ludzie wierzyli. Nie możesz ufać niczemu, co ci mówi. Ni-cze-mu! - Z naciskiem przeciągnęła sylaby. - Kocham tę laskę, ale jest rąbnięta. Prawdopodobnie jest najbardziej rąbniętą osobą, jaką w życiu spotkałam, jeśli mam być szczerą. To, co ci opowiadała o swoich rodzicach... Pierdolety, przepraszam za słownictwo. Matka od nich odeszła, kiedy Marisa miała siedem lat. Z ojcem nie rozmawia. A siostry nie widziała od niemowlęctwa.

- A poronienia matki? - spytała Kate, ponieważ ten szczegół wydał jej się najistotniejszy. To dlatego zaufali Marisie.

- Nie mam pojęcia - odparła Jas. - Nigdy o tym nie mówiła. Kiedy jest na lekach, przez większość czasu zachowuje się zupełnie normalnie. Ale to nie zmienia faktu, że ma poważne zaburzenia psychiczne.

- Czyli?

- Nie no, nie znam dokładnej diagnozy. Byłyśmy z Ris kumpelami i w ogóle, ale nie pchałyśmy nosa w swoje prywatne sprawy. Może dwubiegunówka?

Na stoliku stanęły kolejne kawy w towarzystwie nowych pierniczków.

- Jak się poznałyście?

- Jesteś pewna, że chcesz się dowiedzieć?



Kate pokiwała głową. Jas się pochyliła i wsparła łokcie na stoliku. Wewnątrz przedramienia miała wytatuowane rzymskie liczby.

- Poznałyśmy się na grupie wsparcia dla ofiar napaści seksualnych.

- O rany, Jas, tak mi przykro.

- Niepotrzebnie. Przecież to nie twoja wina, prawda? - Parsknęła głuchym śmiechem. - Jak widzisz, daję radę. Ris została zgwałcona, kiedy miała siedemnaście lat.

Kate pomyślała, że zaraz ją zemdli. Kofeina zmieszana z adrenaliną boleśnie przepychała krew przez tętnice. Naraz poczuła się bardzo młoda i bardzo stara. Przełknęła ślinę, pacyfikując uczucia.

- To okropne - powiedziała. - Biedna Marisa.

- Taa.

Przez chwilę milczały. Gdzieś w pobliżu skwierczał smażący się na patelni bekon i jego zapach wypełnił powietrze. Nagle stało się gęste i tłuste.

- Pozbierała się na tyle, na ile potrafiła - ciągnęła Jas. - Nie było łątwo. To istny cud, że udało jej się rozkręcić ten biznes z dzieciakami, książeczkami i tak dalej. Ale się udało. Leki zdecydowanie pomagały. Tyle że czasami zapominała je wziąć. A może uważała, że już nie musi. Tak mi się wydaje, że w waszym przypadku bała się zaszkodzić dziecku.

Kate też o tym myślała. Jak tonący brzytwy trzymała się koncepcji, że Marisa chciała jak najlepiej.

- Co się działo, kiedy przestawała je brać?

Jas miała taką minę, jakby chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

- Ris nie jest zła - mruknęła w końcu.

- Wiem - odparła Kate.

- Tylko... dostaje obsesji - powiedziała wolno Jas. - Na przykład potrafiła zafiksować się na facecie, z którym była na randce. Już wyobrażała sobie wspólną przyszłość. Tylko że to wszystko było jakoś... za bardzo. Pisała do takich gości bez przerwy, czasami nawet ich śledziła, sprawdzała, gdzie pracują. Powtarzałam jej, żeby ochłonęła, ale nie słuchała. A im częściej mówiłam, żeby wyluzowała, tym ona mówiła mniej.

Kawiarnia zaczynała się pomału wypełniać. Kilku budowlańców w kaskach i zakurzonych spodniach usiadło przy stoliku obok. Gadali ze sobą głośno i ugniatali papierosy, czekając na śniadanie. Jas musiała podnieść głos, żeby Kate ją słyszała.

- Chyba trochę straciłyśmy kontakt. Kiedy powiedziała mi o Jake'u, ostrzegałam, że za bardzo się spieszy. No co więcej może człowiek zrobić? Ale nie chciała słuchać. A ja nie miałam pojęcia, co się dzieje. Nie miałam pojęcia o tobie. - Jas uniosła kąciki ust. Nie był to może uśmiech, ale znak zrozumienia.

Po raz pierwszy od szesnastu godzin Kate mogła rozewrzeć szczęki i rozluźnić ramiona. Wrażenie elastycznej opaski, która z całej siły ścisnęła jej żebra, zaczynało słabnąć. Uspokoła się, wiedząc, że jest ktoś jeszcze, kto był świadkiem zachowania Marisy. Że to nie ona zaczyna tu wariować.

- Dzięki, Jas.

Tamta sięgnęła po kurtkę.

- Raczej na wiele się nie przydałam.

- Wręcz przeciwnie. Naprawdę. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zachowam twój numer i będziemy w kontakcie. Dobrze jest mieć kogoś...

- Jasne - ucięła Jas.

- Nie masz kontaktu z nikim z jej rodziny?

Jas wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby.

- Nie. I jeśli chcesz mojej opinii, to najgorsze, co mogłabyś zrobić.

- Dobra. Rozumiem. To co? Opiekować się nią i podawać leki? Myślisz, że to najlepsze rozwiązanie?

Jas wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, co ci doradzić. Nie jestem lekarzem. Ale tak, chyba właśnie tak bym zrobiła. Opiekuj się nią. Ona się w końcu uspokoi. Ty będziesz miała swoje dziecko, a potem... Co będzie potem, to już zależy od Ris, no nie?

- Chciałabyś się z nią zobaczyć?

Jas pokręciła głową.

- Nie. Kocham Ris i zawsze będę ją kochać. Ale nie chciałaby, żebym widziała, co się dzieje. To by ją upokorzyło. Zadzwońię do niej, jak jej się polepszy.

Kate wstała, żeby się pożegnać. Tym razem uściskała Jas, czując, jak tamta nieco sztywnieje w jej objęciach. Jas wydlubała z kieszeni pięcioletni banknot, ale Kate ją powstrzymała.

- Nie. Ja zapłacę. Przynajmniej tyle...

Odprowadziła ją wzrokiem. Drobna, lecz buńczuczna postać maszerowała ulicą, połyskując cekinowym napisem „Warrior”. Potem skręciła w lewo i znikła jej z oczu.

Marisa z trudem otworzyła oczy. Leżała w obcym łóżku, przykryta kołdrą upchniętą dookoła pod materac. Ciężka pikowana narzuta przyciskała jej nogi niczym wór z piaskiem. Nie cierpiała sypiać pod poutykaną wokół kołdrą i przy rzadkich okazjach, kiedy zdarzało jej się nocować w hotelach, pilnowała, żeby przed położeniem się do łóżka uwolnić pościel. Zniszczyć te sterylne krawędzie i pozwolić tkaninie fałdować się, jak chce. Ale to miejsce nie wyglądało na hotel. Gdzie się znalazła?

Bolała ją głowa i czuła suchość w gardle. Łóżko stało zwrócone w kierunku okna. Światło wpadało do środka przez szczelinę w niedokładnie zaciągniętych roletach. Słyszała śpiew ptaków, poza nim panowała absolutna cisza. Ta cisza była dość dziwna. Przez ostatnich kilka miesięcy budziła się przy kakofonii ruchu ulicznego i dudniącej muzyki, która zdawała się dobiegać równocześnie z zewnątrz i z wnętrza jej głowy. Nie umiała się pozbyć tego hałasu. Zatykała uszy watą, a kiedy to nie pomagało, próbowała zaklejać okna taśmą. Ale hałas trwał. Odnosiła wrażenie, że dźwięk ma własną wolę i złe zamiary, że jest czynnym elementem spisku, który ma na celu wygnanie jej z domu. Krzyczała na niego, płakała, wściekała się na jego złośliwą bezustanną obecność. W końcu poddała się, pozwalając, by przez nią płynął i czynił ją niezdolną do myślenia.

To pomieszczenie było inne. Przypominało schronienie. Białe ściany odgradzały ją od hałasu, broniły. Odwróciła się na bok i zauważyła wbudowany w ścianę regał na książki. Stały tam tomy w miękkich oprawkach z pomarańczowymi grzbietami. Drzwi miały mosiężną klamkę, zwisała z niej liliowa wstążka z kwadracikiem, na którym wyhaftowano kwiaty.

Marisie zaburczało w brzuchu.

Zamknęła oczy. Strzęp zapamiętanej przeszłości przesunął się przed oczyma jej wyobraźni. Kobieta wyjmuje z łóżeczka płaczące dziecko. Dziecko płacze, ponieważ ona, Marisa, zrobiła mu coś złego.

Zapadła w ciemność.

Kilka godzin, a może dni później do pokoju wszedł mężczyzna. Gdy się obudziła, trzymał ją za nadgarstek. Jego dotknięcie wydawało się znajome, lecz nie poznawała, kim on jest.

- Mariso - zagadnął ją - jak się czujesz?

Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć głosu. Zamiast tego uśmiechnęła się i przybrała uprzejmą minę.

- Lepiej?

Pokiwała głową, choć nie pamiętała, dlaczego się tu znajduje i z jakiego powodu powinno jej być lepiej. Czy coś się stało? Była niegrzeczna? Tata odesłał ją z powrotem do szkoły z internatem, żeby mu nie przeszkadzała? Czy to sanatorium?

- To dobrze - stwierdził mężczyzna siedzący na jej łóżku. Miał na sobie bordowy sweter z wycięciem w serek i kraciatą koszulę, której kołnierzyk nieco się strzepił. - Napędziłaś nam stracha. Ale teraz nie ma się już czego bać. Jesteś tu z nami bezpieczna. Całkiem bezpieczna.

Uśmiechnął się do niej pokrzepiająco i podał jej dwie pigułki. Na tle różowej skóry jego dłoni wydawały się oślepiająco białe. Wzięła je i posłusznie włożyła do ust, bo znów chciała być grzeczną dziewczynką i wrócić do domu. Chciała dowieść, że zasługuje na miłość, jest jej warta.

Mężczyzna podał jej szklankę wody. Ścianki naczynia pokrywał wzór w romby, które rzucały świetliste zajęczki na ściany pokoju. Woda była przyjemnie chłodna.

- Dziękuję - powiedziała.

- Proszę bardzo. - Poklepał ją po ramieniu. - A teraz odpocznij. To w tej chwili najważniejsze. Nie musisz się niczym przejmować. Po prostu odpoczywaj.

Czuła, jak głowa ciąży jej na poduszce. Zamknęła oczy. Widziała siebie, jak pełźnie na czworakach przez długi ciemny korytarz. Wykładzina drapała jej kolana.

Obudziła się. Na zewnątrz było już ciemno. Cisza była tak gęsta, że można by ją kroić. Ptaki już nie śpiewały. Marisa musiała wstać do toalety. Ostrożnie usiadła, wysuwając nogi spod kołdry. Na podłodze stały

pantofle. Schyliła się, żeby je włożyć, a kiedy się wyprostowała, poczuła, że krew uderza jej do głowy. Odczekała, aż zawrót minie. Potem wstała, sprawdzając, na ile solidny jest grunt pod jej nogami. Otworzyła drzwi i stanęła zdezorientowana, kiedy nie rozpoznała pomieszczenia po drugiej stronie. Wyglądało jak kuchnia połączona z salonikiem. Nigdy wcześniej go nie widziała. Poczwała w piersi ukłucie paniki. Gdzie jest? Co tutaj robi? Gdzie są rodzice? Dlaczego nie słyszy płaczu Anny?

Wyciągnęła rękę i dotknęła ściany. Dzięki temu utrzymała równowagę i mogła sobie wymacać drogę wokół pomieszczenia. Jakimś cudem odnalazła toaletę. Usiadła i opróżniła pęcherz. Zauważyła, że ma spory brzuch. Ciekawe dlaczego. Nie pamiętała, kiedy ostatnio coś jadła.

Splukała toaletę i umyła ręce. Kiedy spojrzała w lustro, doznała szoku. Z lustra spoglądała na nią dorosła twarz. Potargane włosy, blada skóra i opuchnięte policzki. Ohyda.

Do pokoju weszła kobieta. Była wysoka, miała ciasno upięte popielatoblonde włosy i niebieskie oczy barwy arktycznego nieba. Wytarła kurz z gzymsu kominka i z regału, a następnie wymieniła stojącą na komodzie karafkę z wodą na świeżą. Zauważyła, że roleta nie jest do końca opuszczona, więc podeszła do okna i poprawiła ją płynnym, oszczędnym ruchem. Nie zdawała sobie sprawy, że Marisa nie śpi i obserwuje ją spod uchylonych powiek. Zatrzymała się przy łóżku, spojrzała na nią, a potem pokręciła głową i wyszła, starając się jak najciszej zamknąć za sobą drzwi.

Kim była? Wychowawczynią z internatu? Czy ktoś w końcu przyjedzie i zabierze ją do domu?

Pod głową miała dwie poduszki. Wyglądały na kosztowne. Wypełnione raczej pierzem, nie poliuretanową pianką. Zastanawiała się, skąd się je bierze. Czy skubią młode ptaki i zostawiają je, żeby drżały na zimnie? Czy czekają na ich śmierć? A może ptaki zabito już wcześniej, a pióra i tak poszłyby na zmarnowanie? Wyobraziła sobie, że idzie białym wirującym tunelem z pierza, wyciągając rękę, aby złapać jedno z delikatnych piórek, ale te ciągle jej się wymykają. Wirują i odlatują coraz dalej, aż w końcu znikają gdzieś, a ona dryfuje w nicości.

- Marisa? - usłyszała swoje imię. Z daleka, z drugiego brzegu otchłani. Echo przytoczyło je bliżej.

Otworzyła oczy i spojrzała w twarz mężczyzny, tym razem młodszego. Miał płowe włosy i jasny zarost. Jego twarz była przyjemnie symetryczna z wyjątkiem jednego włoska w brwi, który buntowniczo odstawał. Znała tę twarz, choć nie potrafiła jej przyporządkować.

- Jak się czujesz?

Patrzyła na niego, czekając, aż do głowy przyjdzie jej odpowiedź. Mężczyzna wydawał się zmartwiony. Nad jego okiem pojawiła się głęboka zmarszczka. Potem zmartwienie minęło, rozrzedziło się w coś na kształt smutku. Uczucia i nastroje przepływały przez jego twarz niczym chmury na niebie przy zmieniającej się pogodzie. Siedział na krawędzi łóżka, wgniatając w tym miejscu materac. Wziął jej dłoń w swoją i zaczął gładzić ją kciukiem.

- Marisa - powtórzył. - Pamiętasz, co się stało?

Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć. Wciąż była dzieckiem, które czeka, aż rodzice je stąd zabiorą. Jeszcze przez kilka sekund funkcjonowała w tej ochronnej bańce, jakby własny mózg podsunął jej łatwiejszą do strawienia historię, dopóki nie będzie na tyle silna, by zmierzyć się z tym, co naprawdę zaszło. A potem sobie przypomniała.

- Jake...

Wspomnienia zwały się na nią niczym radioaktywny opad z atomowego grzyba. Cięża. Choroba. Lekarstwa, które przestała brać. Korytarz. Nieprzytomna Kate ze związanymi nogami. Krew na podłodze. Jake. Jej Jake. Tyle że nie jej. Należał do Kate. Wszystko, co zrobiła, żeby to zmienić, wróciło teraz do niej z taką siłą, że musiała zerwać się z łóżka i pobiec do łazienki. Uklękła przed muszlą i zaczęła wymiotować.

Poczuła, że ktoś przytrzymuje jej włosy. Jake - pomyślała znowu. Straszne, że widzi ją w takim stanie. Widzi, w co się zmieniała.

Dawno temu, wiele lat przed tym, jak poznała Jake'a, starała się ignorować chorobę. Ignorować maniakalne epizody wytężonej pracy przetykane depresją, która uderzała w nią jak młot. Okresy, w których słyszała głosy przemawiające do niej z telewizora lub mikrofalówki. Nakłaniały ją do potwornych rzeczy. Mówiły, że nie jest dość ważna, by żyć. Że nawet własna matka ją porzuciła. Starła się z tym uporać w ci-

szy. Za zamkniętymi drzwiami. Nie chciała się przyznać do tego, że potrzebuje pomocy. Bała się, że zostanie uznana za wariatkę. Za osobę wybrakowaną, może nawet niebezpieczną, której należy się wystrzegać. Trwało to całymi miesiącami. Kiedy wreszcie już nie mogła malować, musiała poszukać pomocy, bo alternatywą było tylko samobójstwo. A nawet w najczarniejszych chwilach wiedziała, że nie da rady się za-  
bić. Nie podoła temu.

Doktor próbował różnych leków, zanim wreszcie znaleźli odpowiedni specyfik i dawkowanie. Poczula się lepiej. Nie całkiem wyleczona, ale ustabilizowana. Ostre krawędzie zostały wygładzone papierem ściernym, a wizje w technikolorze zblakły do kilku odcieni szarości. Dopóki brała tabletki, czuła się nieźle. Czasami zaczynała wierzyć, że da radę bez nich. Wtedy jednak zaczynał się odłot, a Jas musiała ją wyciągać na siłę z mrocznych miejsc, do których spychało ją szaleństwo. Opiekowała się nią i tak to trwało, aż Marisa znalazła sobie cel, który nie był związany z nią samą. Nawiązała współpracę z agencją surogatek i po raz pierwszy w życiu zdała sobie sprawę, że może zrobić coś naprawdę dobrego. Matka ją opuściła. To było pozbawienie miłości, działanie ze znakiem minus. Ale Marisa może dodać miłości jakiejś rodzinie. Dzięki temu jej życie na swój sposób się wyzeruje, odzyska naturalny bilans. Marisa znów poczuje się przynależna, potrzebna i kochana – nawet jeśli nie dla siebie samej, to z powodu tego, co mogła zrobić.

Gdy poznała Jake'a i Kate, od razu pokochała oboje. Przestała brać leki, ponieważ przygotowywała się do ciąży. To odpowiedzialne i rozsądne – przekonywała się w duchu. Robi to dla czyjegoś dobra. Poza tym ma teraz stabilną rodzinę. Jest lepiej.

Uniosła głowę znad muszli. Jake puścił jej włosy.

– W porządku? Chcesz wody? – zapytał.

– Tak. Poproszę – odparła schrypniętym głosem.

Jake wyszedł z łazienki i wrócił ze szklanką. Marisa napiła się powoli. Potem pomógł jej wstać i szurając nogami, wróciła do łóżka. Starała się nie niepokoić dziecka, o którym sobie przypomniała. Przerazało ją to, co zrobiła. To ktoś inny, nie ja – chciała powiedzieć, ale nie potrafiła wydobyć głosu. Pragnęła tylko zamknąć oczy. Położyła głowę na drogich poduszkach z pierza i ponownie odplynęła w otchłań snu. Już nie słyszała, jak Jake wychodził.



Rano obudziła się wypoczęta. Włożyła szlafrok, który ktoś zostawił na haczyku na drzwiach sypialni. Był miękki i przyjemny, a kiedy zerknęła na metkę, okazało się, że to kaszmir. Odsunęła rolety. Okno wychodziło na długi trawnik, na którego końcu stał dom z czerwonej cegły o dwuspadowym dachu. W trawę powbijano bramki do krokietu, a z boku leżał porzucony drewniany młotek. Wróbel wydziobywał coś z miski stojącej na karmniku. Po fasadzie domu pięł się różany krzew.

Korzystając z dziennego światła, Marisa rozejrzała się dokładnie. Nie poznawała ani domu po drugiej stronie trawnika, ani tego, w którym ją umieszczono, ale cisza i przestrzeń jasno wskazywały na to, że jest na wsi. Nie przypominała sobie, jak się tu znalazła, a jednak była spokojna. Emocje zastygły jak zatopione w bursztynie. Trochę kręciło jej się w głowie, a myśli nie były zupełnie klarowne - nieco zamglone na brzegach jak lustro, na które się chuchnęło - ale to wrażenie nie było przykre. Po prostu było.

Wyszła do sąsiedniego pomieszczenia. Meble kuchenne ustawione w literę „U” miały beżowe fronty. Obok wisiała półeczka na przyprawy pełna identycznych słoiczków, każdy zamknięty okrągłym srebrnym wieczkiem. Kuchenka wyglądała na drogą - taką, jakie widuje się na stronach magazynów wnętrzarskich. Dalej ciągnął się salonik, urządzonej w tej samej neutralnej gamie kolorów. Sofa barwy pszczelego wosku, dywaniki w szarą kratkę, a na stoliku kawowym wazon, w którym tkwiły trzy zasuszone gałązki miesięcznicy. Ich srebrne krążki lśniły niczym szkielełka monokli. W koszyku przy kominku Marisa dojrzała złożone koce, a w otwartej szafce talerze, każdy z innej parafii. Telewizor w regale był tak wpasowany, że w pierwszym momencie trudno go było zauważyć. Na ścianach wisiały oprawione ryciny kwiatów ze starych atlasów botanicznych. Można było je kupić na sztuki w tanich antykwariatach.

Marisa postanowiła zrobić sobie herbatę i wyjść z nią na zewnątrz, żeby poczuć na twarzy słońce. Zagotowała wodę w czajniku i rozejrzała się za herbatą. W szafce znalazła otwarte opakowanie marki Yorkshire, a w lodówce pół dzbanuszka mleka. Bardzo ładnie z ich strony, że zostawili mleko - pomyślała. Nie była jednak pewna, kim są ci „oni”. Był Jake. Był mężczyzna, który podawał jej lekarstwa. I była wysoka kobieta o niebieskich oczach. Musi zapytać Jake'a, kim oni są i jak długo mają zamiar tu zostać. I gdzie jest Kate?

Jasność umysłu, której doświadczyła zeszłej nocy, minęła. Już nie pamiętała napaści na Kate. Ani krwi na podłodze, ani ciosu wymierzonego w ataku szału. Zablokowała te wspomnienia. A może same wyciekły przez szpary w świadomości, schowały się do czasu, kiedy znów będzie gotowa się im przyjrzeć. Na razie nie istniały. Marisa tkwiła w teraźniejszości. Wiedziała, że jest surogatką, że przestała brać pigułki i że zrobiła coś, co zmartwiło Jake'a i Kate. Ale znów brała leki. Znowu była sobą. Nie musieli już się martwić. Dziecko jest bezpieczne. Czowała tę pewność w głębokim zakątku siebie, którego żadne zewnętrzne wpływy nie były w stanie dotknąć. Dziecko jest bezpieczne.

Wlała mleko do herbaty i wycisnęła torebkę łyżeczką. Wzięła kubek, podeszła do drzwi. Były to stare stajenne drzwi, które kiedyś dzieliły się na górną i dolną część, ale ktoś je zbił w jedną całość. Nacisnęła kciukiem żelazną klamkę i drzwi ustąpiły. Przed nią rozpościerał się ogród, trawa lśniła od rosy. Marisa wciągnęła rześkie powietrze i wystawiła twarz na słabe promyki słońca, czując, jak nieśmiałe ciepło pieści jej policzki.

Po raz pierwszy od dawna czowała się bezpieczna.

Kiedy Jake wrócił do Londynu, wyglądał mizernie. Kate zrobiła mu gorące tosty z masłem i dżemem malinowym i posadziła go przy stole w kuchni. Paplała beztrosko, żeby ukryć, jak bardzo jest zaniepokojona.

- Kate, przestań - rzucił po chwili. - Nie musisz mnie zabawiać rozmową.

Postawiła przed nim talerz z grzankami i usiadła po przeciwnej stronie. Odebrała to jako naganę.

- Przepraszam - dodał i zwiesił ramiona. Jego podkoszulek czuć było potem. - Powiedz mi, jak się trzymasz.

- W porządku.

- Jak u dentysty?

- Wszystko okej.

Poszła zrobić model implantu w miejsce wybitego zęba. Siniak na czole już zszedł. Sypiała lepiej, odkąd spotkała się z Jas, o czym opowiedziała mu ze szczegółami przez telefon, kiedy jeszcze był w Gloucester. Odrzekł, że to ma sens, biorąc pod uwagę, jak Marisa zachowuje się teraz, kiedy bierze leki.

- Jest taka potulna - szeptał, by nie zbudzić rodziców, którzy spali w sypialni obok. - Jakby w ogóle nie pamiętała tej drugiej, którą była. Ani tego, co ci zrobiła.

Tymczasem Kate wysprzątała pokój Marisy. Poodkurzała podłogi, umyła ściany i okna, na których były dziwne lepkie ślady. Wywaliła wszystkie kartoniki po żarciu na wynos i zmieniła pościel. Na kilka godzin zostawiła zapaloną świecę zapachową. Kiedy skończyła, pomieszczenie wyglądało prawie normalnie. Mogła się oszukiwać, że nic nie zaszło. Iście gotycki horror poprzedniego tygodnia zbladł i teraz należał już do przeszłości.

Nie była wściekła na Marisę. Żadne z nich nie było. Po prostu troszcząc się o jej zdrowie - wmawiała sobie Kate. Dlatego lepiej, żeby została tam, gdzie jest. Dlatego rodzice Jake'a pilnują jej rekonwalescencji.

cji i tego, żeby została w domku gościnnym. To dla jej dobra. I dla bezpieczeństwa dziecka. Zrobili to, co musieli.

- Jak się czuła, kiedy wyjeżdżałaś? - spytała.

Jake wzruszył ramionami. Poruszał się teraz tak powoli, jakby każdy jego mięsień był worem mokrego piachu, który trzeba przetaszczyć.

- Chyba nieźle, i to jest najdziwniejsze. Znowu jest tą Marisą, którą poznaliśmy, polubiliśmy i obdarzyliśmy zaufaniem. Ot tak. - Strzelił palcami. - Jakby nic się nie stało. Oto potęga farmaceutyków.

- I nic nie pamięta?

- Pamięta, że przestała brać lekarstwa. Jakoś niedługo po tym, jak się do nas wprowadziła. I tyle.

- Nie do wiary!

Kate słyszała to już dziesiątki razy przez telefon. Ale chciała usłyszeć jeszcze raz, rozmawiając z nim twarzą w twarz. Czekala, co jeszcze powie.

- Mówiła, że chciała się przygotować do ciąży. No, jest w tym jakaś pokręcona logika. Na jej obronę trzeba dodać, że chyba naprawdę martwiła się o to, żeby leki nie zaszkodziły dziecku - ciągnął. - Na szczęście tacie udało się ją przekonać. Jest znacznie bezpieczniej, kiedy je bierze.

Grzanka leżała niedojedzona na talerzu, który stał pomiędzy nimi. Kate nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła, że Jake jest tak daleko od niej. Wydawał się niedostępny, a gdy spojrzała mu w oczy, na próżno szukała w nich zwykłego ciepła. Po prostu jest zmęczony - tłumaczyła sobie. Sporo przeszedł i pewnie wciąż jest w szoku. Wróci.

- Na co miałbyś jeszcze ochotę?

- Wiesz, co by się naprawdę przydało?

- Co?

- Solidny drink. Mamy whisky?

Mieli. Nalała mu i wrzuciła do szklanki jedną z tych wielkich śmiesznych kostek lodu, które robiła ich lodówka. Nie dodawała wody.

- Nie pamięta, jak mnie napadła? - zapytała, kiedy wziął szklankę do ręki.

Jake upił łyk, zamknął oczy, oparł się wygodniej i przełknął whisky.

- Nie - odpowiedział.

- Wygodnie - mruknęła pod nosem.

- Szczerze, Kate? Naprawdę nie sędzę, żeby pamiętała. Tata mówił, że może mieć luki.

Kate czuła, że ma tego dość. Myśl o jej dziecku, uwięzionym w łonie kobiety cierpiącej na ataki psychotyczne i chorobę dwubiegunową, była nie do zniesienia. Tłumaczyła sobie, że nie może winić Marisy za problemy psychiczne. Jedyńą osobą, którą można winić, jest ona sama. Pragnęła dziecka tak bardzo, że wpackowała ich w tę sytuację.

- Powiedz mi, że będzie dobrze - szepnęła.

Jake wstał, podszedł do niej i ją objął.

- Będzie, kochanie. Wszystko będzie dobrze. Najgorsze już za nami.

Przytuliła się do niego, wdzięczna za tę czułość.

- Musimy tylko przetrwać tych pięć miesięcy najlepiej, jak potrafimy. - Jego oddech pachniał dymną wonią torfu. - Mama i tato będą mieli Marisę na oku, a my możemy ją odwiedzać w weekendy. Trzeba oszczędzać jej stresu. Czyli chyba odseparować od tego domu i od nas. Dopóki trwa ciąża.

- A ona nie ma nic przeciwko temu?

Pokręcił głową.

- Dała sobie wytłumaczyć. Zrozumiała. I nie sędzę, żeby jakoś szczególnie miała ochotę tu wracać. Zbyt wiele niewygodnych faktów.

Kate podniosła głowę i odsunęła z czoła kosmyk włosów. Zaschło jej w gardle.

- Masz rację. Muszę być silna.

- Oboje musimy. Damy radę, bo mamy siebie nawzajem. Tak?

Pojechali w weekend. Dla Kate było to dziwaczne echo pierwszej wizyty, kiedy poznała rodziców Jake'a. Znów musiała się ubrać starannie, ale tak żeby nie było widać, że się starała. Znów usiłowała zignorować i wyprzeć zdenerwowanie. Kolejny raz przerabiała w myślach wszystkie warianty rozmowy - z tą różnicą, że tym razem miała rozmawiać z Marisą, a nie z Annabelle i Chrisem.

Rodzice Jake'a byli z nimi w stałym kontakcie, odkąd Marisa została ich nieoficjalną lokatorką. Dźwignęli zrzucony im na barki kłopot bez mrugnięcia okiem. Annabelle ani razu się nie poskarżyła.

- Jesteś pewna, że się nie narzucamy? - spytała ją Kate pewnego razu przez telefon. - Przykro mi, że was w to wciągnęliśmy.

- Nic podobnego. Marisa nie stwarza teraz żadnych problemów. Szczerze mówiąc, jest bardzo miła.

- Och, to świetnie - bąknęła zaskoczona Kate. - Bardzo ci dziękuję. Wiem, że miałaś pewne wątpliwości co do surogacji...

- Jakikolwiek miałam zdanie, w tej chwili się nie liczy - ucieła Annabelle. - Rodzina jest na pierwszym miejscu, i tyle.

Ale kończąc rozmowę, Kate wcale nie czuła się spokojniejsza. Składała to na karb faktu, że nie przywykła do Annabelle z ludzką twarzą. Starła się zaakceptować ten nowy aspekt jej charakteru i wziąć go za dobrą monetę. Jake stwierdził, że rodzice sami tego chcieli.

- To jest właśnie coś, co musisz zrozumieć, gdy chodzi o moją matkę - powiedział. - Rodzina jest dla niej wszystkim. Teraz również ciebie traktuje jak rodzinę.

Kate wcale nie była tego taka pewna. Według niej Annabelle robiła to wszystko przez wzgląd na Jake'a, nie na nią. No cóż - powiedziała sobie - motywacja się nie liczy, dopóki efekt jest ten sam.

Jadąc do Gloucestershire, prawie nie rozmawiali. Słuchali audiobooka, nowej powieści, która miała szansę na prestiżową nagrodę literacką. Kate nie potrafiła jednak skoncentrować się na fabule. Jake trzymał jedną rękę na kierownicy, drugą położył na udzie Kate. Skupiła się na przemykających za oknem smugach pól i żywopłotów.

Kiedy dotarli na miejsce, Annabelle stanęła w drzwiach i uściskała ich krótko. Miała na sobie luźną lnianą bluzkę, czarne aksamitne legginsy z paskami pod stopą i przeszywane baleriny. Małe złote kolczyki z rubinami dopełniały całości. Makijaż jak zwykle był nieskazitelny.

- Wyglądasz fantastycznie - powiedziała ciepło Kate. Miała świadomość, że próbuje pochlebstwa, ponieważ wiele zawdzięcza tej kobiecie i pewnie nigdy tego nie spłaci.

- Och, naprawdę? - rzuciła Annabelle. - Dziękuję.

Nie pofatygowała się, by odwzajemnić komplement. Annabelle, jaką Kate zobaczyła na swoim progu dwa tygodnie wcześniej - pozbawiona zwykłego pancerza, blada i zamartwiająca się o nich oboje, zarazem skuteczna i współczująca - zniknęła bez śladu.

- Jakey, skarbie, wyglądasz na skonanego - zauważyła, prowadząc ich do kuchni, gdzie na stole pojawiły się „codzienna” zastawa i papierowe serwetki.

- Nic mi nie jest, mamó. Co u niej?

Jego matka oparła się o kuchenkę, szeroko rozstawiając dłonie na srebrnym relingu.

- U Marisy?

A u kogo? - pomyślała Kate.

- Świetnie sobie radzi. - W głosie Annabelle zabrzmiały niespodziewanie miękkie tony. - Naprawdę, to złota dziewczyna.

- Co za ulga - odezwała się Kate. - Możemy się z nią zobaczyć?

Sama nie wiedziała, dlaczego o to pyta. Przecież po to przyjechali.

Annabelle wyglądała na urażoną, jakby spodziewała się dłuższego prologu. Jakiejś gry wstępnej.

- Oczywiście - odparła sucho. - Ale za chwilę. Chris jest u niej, bada ją, czy coś. A na razie - zerknęła na nich z ożywieniem - drinka?

Zrobiła im po dżinie z tonikiem. Dla Jake'a z mniejszą ilością alkoholu, bo protestował, że prowadzi („Zaraz zjesz i nic ci nie będzie” - zbagatelizowała jego obiekcje). Usiedli przy oknie na siedzisku w kształcie litery L. Poduszki miały ten sam perkalowy wzór, który dominował w salonie. Kate sączyła swojego drinka, sfrustrowana koniecznością uczestnictwa w tej towarzyskiej rozgrywce. Podejrzewała, że Annabelle po prostu rozkoszuje się odgrywaniem roli strażniczki.

Jak na zawołanie Jake zaczął perorować, jak bardzo są jej wdzięczni i jak nigdy by sobie nie poradziła bez niej w tej sytuacji. Annabelle zapewniała, że nie ma o czym mówić, ale nie przerywała. Rumieniła się z zadowolenia, sycąc się pochwałami.

Jake skończył i zapadła znacząca cisza. Kate dopijała właśnie resztkę dżinu, gdy uzmysłowiła sobie, iż cisza oznacza, że teraz jej kolej. Annabelle patrzyła wprost na nią, siedząc ze skrzyżowanymi w kostkach nogami i z lekko uniesioną brwią.

- Taaak... ehm... zgadzam się całkowicie. Jesteśmy wdzięczni. Tobie, wam obojgu. Jeszcze raz dziękujemy.

Annabelle skłoniła głowę, jakby łaskawie przyjmowała oddawane honory.

- Nie ma za co - ucięła. - Zawsze jesteśmy gotowi wam pomóc, wiecie o tym. Ale miło usłyszeć ciepłe słowa. Przejdziemy przez to. Będziecie mieli dziecko. To jest najważniejsze.

Kate ugryzła się w język. Spojrzała na Jake'a, który siedział obok matki. Doznała nieodpartego wrażenia, że rozmawiali o niej w cztery oczy. Za jej plecami.

W tym momencie do kuchni przez przeszklone drzwi wszedł Chris.

- Dzień dobry, dzień dobry! - Pochylił się nieco do przodu, tak że było widać łysinę na czubku jego głowy.

- Buty! - przypomniała mu ostro Annabelle.

Posłusznie rozwiązał półbuty i ustawił je na brzegu słomianki, żeby nie nanieść błota na kafelki. Potem ucałował Kate w policzek i uścisnął synowi dłoń.

- Dzielnie sobie radzi. Powiedziałem jej, że jesteście, i nie może się doczekać, żeby was zobaczyć. Zwłaszcza ciebie, Kate. - Uśmiechnął się do niej. Jego twarz była łagodna, spokojna i dobrodusza jak zwykle.

- Dziękuję - powiedziała, zastanawiając się, czy kiedykolwiek przestanie ich zarzucać tym słowem.

- Nie ma za co. W końcu lekarze od tego są, prawda?

Kate wybuchnęła płaczem. Wcale tego nie chciała, lecz nie mogła się powstrzymać. Jake objął ją ramieniem, ale to Chris podszedł bliżej i podał jej płócienną chusteczkę, którą wyjął z kieszeni spodni - wymiętą, ale czyściutką. Przyłożyła ją do twarzy.

- No już, już - mruknął. - Nie trzeba płakać. Wszystko jest pod kontrolą.

- To był jednak okropny szok - rzuciła w przestrzeń Annabelle, odwracając się, żeby zerknąć do lazaniai w piekarniku.

Kate zwróciła chusteczkę.

- W porządku? - zapytał Jake. - Weź parę głębokich wdechów.

Nie jestem dzieckiem - pomyślała. Ale się nie odezwała.

- Chodźmy do Marisy - zaproponowała.

Jake pomógł jej wstać.

- Nie siedźcie tam za długo - upomniała ich Annabelle. - Lazanie wystygna.

Parterowy domek gościnny mieścił się w dawnej stajni, zaadaptowanej na potrzeby mieszkalne. Zmierzając w jego stronę, minęli rdzewiejące w trawniku bramki do krokietu i przechylony karmnik. Okienka były



niewielkie i źle dopasowane. Parapety pstrzył mech. Przed drzwiami stała donica z zapuszczonym geranium, wybujale łodygi splątały się i zwisły. Powietrze było tu ciężkie i wilgotne. Ten koniec ogrodu wydawał się mroczniejszy i kiedy Kate zadarła głowę, zobaczyła konary potężnego drzewa zasłaniające jasne popołudniowe niebo.

Jake zapukał do drzwi.

- Proszę - dobiegł stłumiony głos ze środka.

Weszli. Marisa siedziała w fotelu przy zimnym kominku. Obejmowała brzuch, znacznie bardziej wydatny niż jeszcze dwa tygodnie temu. Jej jasne włosy spływały na ramiona, częściowo zasłaniając twarz. Miała na sobie kremową koszulową bluzkę i białe płócienne spodnie. Kate uzmysłowiła sobie, że to nie były jej ubrania. Annabelle musiała jej pożyczyć.

Marisa powitała ich uśmiechem, który Kate nazwałaby „błogosławionym”. Ból i wściekłość, które dawniej gościły na jej twarzy, zastąpił bezgraniczny spokój. Nie było już cieni pod oczami, ściągnięte rysy nabrały miękkości, policzki wyraźnie się wypełniły. Mleczarka Hardy’ego znów w pełnej krasie - pomyślała Kate. I choć powinna odczuwać ulgę, szybkość tej transformacji wydała jej się podejrzana. W tym świetle Marisa wyglądała trochę nierealnie. Jakby wstąpił w nią ktoś inny.

- Marisa! - wykrzyknął Jake. - Wyglądasz wspaniale!

Podniosła się z fotela i podeszła do nich. Chodziła tak jak dawniej, trochę niezgrabnie, jakby dopiero co zsiadła z konia. Rozpostarła ramiona i zanim Kate zdążyła się zorientować, Marisa zamknęła ją w objęciach. Kate czuła twardość ciężowego brzucha i zapach werbeny z cytryną, bijący ze świeżo umytych włosów.

- Kate... - Marisa oderwała się od niej. - Tak bardzo mi przykro. Przepraszam. Czy mi kiedyś wybaczysz?

- Oczywiście. - Kate przypomniała sobie, jak Annabelle prosiła ją o to samo podczas urodzinowego lunchu w Wolseleyu, używając niemal tych samych słów. Dziwne. - Nie mam do ciebie żalu, Mariso. Najważniejsze, że tobie i dziecku nic się nie stało.

- Nie - przyznała Marisa, wciąż się uśmiechając, choć nie mogła się zdobyć na to, żeby spojrzeć Kate prosto w oczy. - Już mi lepiej. Dzięki Annabelle i Chrisowi. I dzięki wam dwojgu.

- Dobrze to słyszeć - powiedział Jake. - Faktycznie wyglądasz o niebo lepiej, niż kiedy cię ostatnio widziałem.

- Och. - Marisa przygryzła paznokieć. - Wybacz. Musiałam być w tym stanie...

Można to i tak nazwać - pomyślała Kate.

- Skądże - wpadł jej w słowo Jake. Na kark wypełził mu rumieniec.

- Wejdźcie, siadajcie - zaprosiła Marisa, kierując ich w stronę sofy.

Zapytała Jake'a, jak minęła im droga, a ten wdał się w niepotrzebne dywagacje, któredy jechali i dlaczego. Kate nie była do końca pewna, czego oczekiwała, lecz z całą pewnością nie tego. Wiedziała, że Marisa jest już spokojniejsza, spodziewała się jednak, że będzie rozbita i słaba - być może wciąż w łóżku, dochodząc do siebie po załamaniu. Marisa w roli gospodyni, gawędząca z nimi, jakby nic się nie stało, robiła na niej trochę upiorne wrażenie. Sposób, w jaki mówiła, brzmiał fałszywie. Jakby zaprogramował ją ktoś trzeci.

- Kate, napijesz się herbaty?

- Nie, dziękuję.

- Chciałam powiedzieć... Chciałam się wytłumaczyć. - Marisa skubnęła róg leżącej na fotelu wzorzystej niebieskiej poduszki. - To, czego byliście świadkami, to absolutnie, całkowicie nie ja. Nie chciałam wam mówić o swojej chorobie z oczywistych względów. Bałam się, że może was odstraszyć.

- No cóż, na pewno by odstraszyła - rzuciła Kate. Czuła, jak narastają w niej frustracja i napięcie. Zdała sobie sprawę, że pragnie jakiegoś ostatecznego starcia, finału równie dramatycznego, jak samo zajęcie, a tego jej odmówiono.

Jake położył rękę na jej dłoni. Odczytała to jako ostrzeżenie, by ochłonęła. Jak on śmie? Zabrała rękę. To nie jemu się zdarzyło. To na Kate Marisa się uwzięła i to Kate zdecyduje, jak ma reagować.

- Rozumiem. - Marisa spojrzała na nią z roztargnieniem. - Dlatego nie przyznałam się w agencji. Myślałam, że mam to pod kontrolą, i tak było. Ale wtedy poznałam was. Polubiłam was od razu, pokochałam nawet. Byliście tacy dobrzy, pozwoliliście mi się wprowadzić i w ogóle. Chciałam, żeby wszystko było bez zarzutu. Czułam się lepiej. Bardziej sobą. Pomyślałam, że jak przestanę brać lekarstwa, to wyjdzie z korzyścią dla ciąży. Myślałam, że wszystko będzie w porządku. Naprawdę tak myślałam. Od tak dawna nic mi nie było...

- Z tego, co mówi Jas, można odnieść inne wrażenie - wtrąciła Kate.

Marisa popatrzyła na nią, ale nawet jeśli była zdziwiona, chyba nie zdołało to do niej dotrzeć.

- O, poznałaś Jas? - Uśmiechnęła się i ten uśmiech, jak wszystko inne, też był od czapy. - Jas jest świetna, ale ma własne szajby. To, co mówi, trzeba dzielić na pół.

Jake odchrząknął. Był zły na Kate, a ona to czuła. Umówili się, że nie będą denerwować Marisy. Nie będą się jej sprzeciwiać ani sprawiać jej dyskomfortu. Priorytetem jest dziecko - mówił - a nie pokuta. Muszą odpuścić.

- Dobrze, nie ma co drażnić - rzekł szybko. - Najważniejsze, że jesteś bezpieczna i znowu bierzesz leki. Naprawdę się cieszymy, że możesz tu wypoczywać do porodu.

- Zgadza się - potwierdziła Kate. - Dokładnie tak.

- Bo jest ci tu dobrze, prawda? - Jake spojrzał na Marisę. Na jego twarzy malowała się taka szczerłość, że Kate pozostało tylko się dziwić, jak dobrze udaje.

- O tak. - Marisa okrężnymi ruchami rozmasowała brzuch. - I dziecku też. Czuję to.

- Dobrze się odżywasz i bierzesz wszystkie suplementy? - dopytywała się Kate.

Marisa pokiwała głową.

- Przysięgam ci, że twoje dziecko jest ze mną b-b-bezpieczne. - Nigdy dotąd tak się nie jąkała. - Będę chodzić na wszystkie badania do tu-tejszego szpitala, Chris to załatwił. I oczywiście zawsze możecie wpa-dać. Kiedy tylko zechcecie.

- Dzięki. - Jake lekko, acz uniesienie skłonił głowę.

Kate wbiła ręce w kieszenie dżinsów, szarpiąc paznokciami szwy. Co za tupet! Ta jędza zaprasza go do jego własnego domu! Wstała gwałtownie. Marisa patrzyła na nią cielejącymi oczami.

- Musimy iść, Jake - oświadczyła Kate. - Twoja mama nie chciała, żeby lazanie wystygły.

Wyszli. Jake, jak zwykle szarmancki, zabronił Marisie wstawać. Pożegnała się z nimi z fotela i znów opuściła głowę, tak że włosy zasłoniły jej połowę twarzy. Czekwała, aż zamkną za sobą drzwi. Wrócili do domu, czując w powietrzu zapach świeżo wyjętych z piecyka lazanii.

Mijały kolejne tygodnie i Kate znowu starała się ignorować narastający niepokój. Wysprzątała do końca dawny pokój Marisy i wymalowała go, zakupiwszy w lokalnym sklepie tacki i wałki. Ubrana w stare legginsy i tani podkoszulek, dokonała tego w ciągu jednego weekendu. Listwy przypodłogowe okleiła taśmą, podłogę przykryła gazetami, a kłopotliwe miejsca wokół włączników i zaczepów półek pokonała dzięki odpowiedniej wielkości wałeczkom i pędzłom. W czasie pracy słuchała podcastów i wywiadów z uznanymi autorami, którzy postanowili sprawdzić się jako blogerzy. Mówili o różnych rzeczach, poczynawszy od stymulacji kreatywności, a skończywszy na majsterkowaniu. Starła się nie myśleć o pustym spojrzeniu Marisy. O jej nieobecny, oderwanym zachowaniu. Kiedy skończyła malować, pokój pachniał świeżo i wyglądał jaśniej niż kiedykolwiek wcześniej. Kate czuła zadowolenie, że dokonała czegoś namacalnego, wymiernego. Malowanie pokoju pozwoliło jej wymazać z pamięci wspomnienia dawnej Marisy i skoncentrować się na tej obecnej, z którą rozmawiali codziennie przez telefon. Która mówiła im te wszystkie rzeczy, które chcieli usłyszeć. Że owszem, odżywia się zdrowo, Annabelle daje jej świeży szpinak prosto z ogrodu. Tak, wszystko w porządku. Nie, nie mają się o co martwić.

Jake'owi wyraźnie ulżyło. Kate była nieco zaniepokojona prędkością, z jaką zmienił podejście, ale skarciła się w duchu, że przesadza. Podziwiała jego umiejętność oddzielania spraw. Potrafił skupić się całkowicie na przyszłości, zamykając miniony rozdział na zawsze, i czekać na narodziny długo wyczekiwanego dziecka. Czasami zastanawiała się, co jeszcze potrafiłyby tak bez mrugnięcia okiem spakować i odsunąć w niepamięć.

Im częściej o tym myślała, tym bardziej, choć niepostrzeżenie, zwiększał się między nimi dystans. Minął miesiąc, potem kolejny. Czas wydawał się elastyczną, bezkształtną masą i pory roku zlewały się w jedno. Kate przestała zerkać na zegarek i kładła się spać coraz wcze-

śniej, budząc się o brzasku, zamiast spać do późna. Przychodziła do pracy na długo przed innymi, przygotowywała materiały prasowe i przedpremiery grubo przed terminem. Na którejś konferencji prasowej siedziała, gapiąc się w okno i rozmyślając, jaką będzie matką. Czy podoła bezsennym nocom i stertom prania? Czy dziecko będzie ją kochać tak samo, jak ona pokocha je? Czy rodzicielstwo jeszcze bardziej oddali ją od Jake'a? Skąd będzie wiedzieć, co robić? A jeśli nie będzie umiała uspokoić płaczącego malucha? Co, jeśli gdzieś w głębi dziecko będzie czuło, że Kate nie jest jego prawdziwą matką?

Pozwoliła, żeby wywiad się przeciągnął, i kolega z firmy musiał zastukać w drzwi, dając do zrozumienia dziennikarzom, że czas się skończył. Kate przeprosiła aktora, szpakowatego mężczyznę po pięćdziesiątce, który wciąż jeszcze grywał bohaterów kina akcji. Kobieta w jego wieku nie mogłaby liczyć na taką rolę.

- Proszę tylko dopilnować, żeby to się więcej nie powtórzyło - rzekł tonem świadczącym, że mimo chęci postanowił nie zadrażniać sprawy.

Dawna Kate spłonęłaby ze wstydu i zmartwiała z przerażenia. Teraz nie dbała o to. Wszystko poza dzieckiem wydawało jej się beznadziejnie trywialne.

Regularnie odwiedzali Gloucestershire - lunch z rodzicami w pakiecie z odwiedzinami u Marisy. Razem chodzili na kontrole i badania w lokalnym szpitalu, gdzie towarzyszył im Chris. W końcu się dowiedzieli, że będzie chłopiec. Jake się popłakał, a Kate śmiała się z zachwytu, że marzenie przybiera realną postać. Któregoś razu zabrali Marisę do Londynu na wizytę u doktora Abadięgo. Kate przez całą drogę martwiała z przerażenia, że Marisa zechce wyskoczyć z samochodu. Abadi, przyjazny jak zwykle, był bardzo zadowolony z postępów ciąży. Kiedy zapytał, czy od ostatniej wizyty były jakieś problemy, o których powinien wiedzieć, cała trójka zgodnie pokręciła głowami, unikając patrzenia sobie w oczy. Wieczorem tego samego dnia wrócili na wieś i Kate z ulgą przekazała Marisę z powrotem pod opiekę Sturridge'ów. Źle się z tym czuła. Jakby brakowało jej rodzicielskiego instynktu, który nakazywał spędzać z nienarodzonym dzieckiem tyle czasu, ile to możliwe. Martwiła się, że to wróży, iż nie zbuduje właściwej więzi z synem, kiedy pojawi się na świecie. Kolejnym problemem, o którym starała się nie myśleć, był brak genetycznego pokrewieństwa. „Dziecko jest twoje w momencie, kiedy tylko weźmiesz je na ręce” - twierdziły wszystkie

fora. Mimo to nie potrafiła wyprzeć obawy, że jej syn może odziedziczyć po Marisie chorobę psychiczną. Wszystko wydawało się tak nietrwałe, jakby mogło jej zostać odebrane w jednej chwili – i prawie do tego doszło.

– Za bardzo się przejmujesz – stwierdził Jake, kiedy usiłowała z nim o tym porozmawiać. – Wszystko będzie dobrze. Najlepsze, co teraz możesz zrobić, to odpocząć i wypaść się ile wlezie, zanim pojawi się dziecko.

To nie tak, że ją lekceważył. Ale w jego gorliwej chęci, by ją uspokoić i pokrzepić, dało się wyczuć, że uważa jej obawy za nieuzasadnione, a przynajmniej przesadzone. Naprawdę zaczyna histeryzować? Czy po prostu Jake chce, żeby tak pomyślała? Nie była już pewna. Straciła wiarę we własny osąd. Zależność od Annabelle i Chrisa również sprawiała, że Kate czuła się w mniejszości. Trzy do jednego. Oni byli rodziną. Ona – osobą obcą.

Żeby jeszcze zwiększyć jej poczucie wykluczenia, któregoś dnia niespodziewanie zadzwoniła Annabelle. Kate przysłuchiwała się, jak Jake mamrocze do słuchawki: „Nie, nie... Rozumiem... Oczywiście... Masz rację”. Kiedy Kate chciała porozmawiać z Annabelle, pokręcił głową i wyszedł z telefonem do ogrodu. Zasłonił usta dłonią, tak że nie mogła nawet czytać z ruchu jego warg. Gdy wrócił do środka, oznajmił, że zdaniem matki Marisa jest „niespokojna”.

– Najwyraźniej wszystko zaczyna do niej docierać – wyjaśnił. – Ma wyrzuty sumienia z powodu tego, co zrobiła, i bezustannie czuje się w obowiązku przeproszać. Szczególnie ciebie.

– Nic dziwnego.

– No więc mama uważa, że lepiej będzie, jak trochę spauzujemy z wizytami.

– Dobrze – odparła lakonicznie. Była wściekła, że Annabelle znowu wtrąca się w nie swoje sprawy.

– Szczerze mówiąc, nie sędzę, by mama znów coś kombinowała – odezwał się Jake, jakby czytał jej w myślach. – To raczej Marisa, dochodząc do siebie, zdaje sobie sprawę, na co nas naraziła, i czuje się z tym... niezręcznie.

Kate szarpnęła zębami skórkę odstającą przy paznokciu już od dłuższego czasu. Ból był ostry i dotkliwy.

- Nic dziwnego - powtórzyła.

- Tak czy siak, to dobry objaw - oświadczył Jake. - Dowodzi, że Marisa wraca do normy. Nie musimy się już martwić. A te wyjazdy były dość męczące.

- To prawda.

- Więc po prostu będziemy jeździć tam rzadziej, to wszystko.

Kate uznała, że Jake ma rację. Musiała zaufać Annabelle, choć wszystko się w niej przeciw temu buntowało. Zresztą - przekonywała samą siebie - zawsze mogli zadzwonić do Marisy. Problem w tym, że rzadko odbierała. Kiedy Kate pytała o powód, Marisa twierdziła, że zasięg jest słaby albo że nie słyszała dzwonka. Kate nie chciała drążyć. W tej chwili nie miała ochoty drążyć czegokolwiek i z kimkolwiek. Jeden fałszywy krok i cały z wysiłkiem budowany gmach runie.

Jake zasugerował wyjazd do spa. Parsknęła śmiechem, kiedy to usłyszała.

- Spa?

- Tak. Dlaczego nie? - Patrzył na nią, marszcząc brwi.

- Przepraszam - zreflektowała się. - To wspaniały pomysł. Tylko... biorąc pod uwagę okoliczności... trochę mnie zaskoczył.

Powstrzymała się, żeby nie powiedzieć tego, co naprawdę myśli. Spa, puchate szlafroki i woda z plastrami ogórka należały do świata, który przeminął. Chciała powiedzieć, że nie jest w nastroju. Takie rzeczy robią romantycznie zac zadane pary, nieobciążone obowiązkami, na początku znajomości. A nie pary próbujące się zmierzyć z faktem, że ich surogatka cierpi na poważne zaburzenia psychiczne.

- I właśnie dlatego powinniśmy jechać - argumentował. - Zajmę się wszystkim. Mały wypad, zanim pojawi się dziecko, dobrze nam zrobi. Kto wie, kiedy znowu będziemy mieć taką okazję?

- Pewnie masz rację. - W końcu dała się przekonać.

Zabukował miejsca, godzinę jazdy od Londynu. Oferowano tam pakiet weekendowy zawierający coś, co na stronie internetowej określano jako „dwa minizabiegi”: masaż i pielęgnacja twarzy, oba po dwadzieścia pięć minut. Wszystko inne było dodatkowo płatne.

- Dadzą nam jeść? - spytała Kate, nie do końca żartem. - Czy to też jest dodatkowo płatne?

- Posiłki są wliczone w cenę - poinformował ją Jake, nie odrywając wzroku od jaskrawego ekranu komputera. - Opcje wegańska i makrobiotyczna.

- Jak się domyślam, o alkoholu nie ma co marzyć? Może powinniśmy zabrać swój?

- Ha.

Jake zamówił kliknięciem pokój na dwie osoby z podwyższonym standardem, a potem wprowadził dane karty.

*Gratulujemy!* - zamigotał ekran. *Czekamy na Twoją wizytę i serdecznie witamy w Charlton Manor!*

- Paskudna czcionka - zauważyła Kate, wskazując przeładowany zawijasami popielaty Copperplate.

Jake miał fioła na punkcie czcionek.

- Koszmarna - przyznał ze śmiechem.

Charlton Manor znajdowało się nad brzegiem jeziora. Gdy wjeżdżali na parking, jakiś gwałtowny ruch przykuł wzrok Kate. Odwróciła się w porę, żeby dostrzec czapłę zrywającą się z szuwarów. Brązowo-szara sylwetka rysowała się ostro na tle pochmurnego nieba.

Przypomniała sobie rysunek w gabinecie doktora Abadiego. Kartka była przyklejona do ściany czterema kawałkami niebieskiej taśmy. Przedstawiała bociana niosącego dziecko. Ptak trzymał w dziobie węzełek w grochy, w którym taszczył bobasa. Linie były mocne, pewne i ewidentnie pochodziły spod ręki osoby dorosłej. Ale kolorowało już dziecko, bazgrząc żółtą, niebieską i czerwoną kredką. „Podziękowania od rodziny Traynorów” - napisano na dole drukowanymi literami.

Obrazek utkwiał jej w pamięci. Później sprawdziła, skąd się wziął pomysł, że bociany przynoszą dzieci. Znalazła grecki mit, w którym zazdrosna Hera zmienia piękną królową w żurawia. Nieszczęsna matka walczy, by odzyskać swoje dziecko z rąk bogini. Dlatego Grecy przedstawili ptaka z dzieckiem w dziobie. Opowieść, powtarzana przez pokolenia, z czasem błędnie przypisała główną rolę bocianowi. Kate wyczytała, że w mitologii egipskiej bocian miał związek ze stworzeniem świata. Ale i tu wkradł się błąd. W oryginale były to czaple.

Bociany, czaple, żurawie... Chciała o tym powiedzieć Jake'owi, ale zmilczała. Postanowiła, że w trakcie tego weekendu postara się nie mó-



wić o niczym, co ma związek z dziećmi.

W holu jakby czas się zatrzymał. Wszędzie leżał beżowy sztuczny marmur z różowymi żyłkami. Wszystkie powierzchnie były nienaturalnie lśniące. Mężczyzna w służbowym uniformie z imieniem Jamaar na plakietce spisał numer rejestracyjny ich samochodu i spytał, czy życzą sobie poranną gazetę. Zaoferowano im „oczyszczający z toksyn” sok z marchwi, pomarańczy i imbiru. Skosztowała go. Lekko musował w ustach i miał taki smak, jakby już zaczął się psuć.

- Fantastyczne - powiedziała, krzywiąc się.

W pokoju było lodowato. Klimatyzacja pracowała na pełnych obrotach. Z okna rozciągał się widok na wewnętrzne podwórko, a nie na jezioro. Na plastikowej paterze leżały tylko torebki herbaty, brakowało herbatników. Łazienka była mała i pozbawiona okna, a na drzwiach do niej wisiały dwa niezastąpione szlafroki. Inicjały „CM” wyszyto taką samą ozdobną czcionką, jaka widniała na stronie internetowej. Zamiast wsuwanych pantofli znaleźli plastikowe klapki, zimne, twarde i ciężkie.

- Idziemy do sauny? - zapytał Jake.

- Pewnie.

Wolałaby zostać w pokoju, leżeć na łóżku i oglądać telewizję. I żeby Jake tulił ją mocno i czule. Ale posłusznie włożyła kostium kąpielowy. Był to tani jednoczęściowy strój w biało-czerwone pasy, który kupiła kilka lat temu. Materiał strzępił się na brzegach. Używała go dla jego funkcji, a nie wyglądu, i teraz żałowała, że nie wzięła czegoś bardziej sexy. Nigdy dotąd nie rozumowała w ten sposób. Zawsze było dla niej oczywiste, że jest pociągająca dla Jake'a. Choć zwracał uwagę na jej ubrania i podobał mu się jej styl, potrafił palnąć jej komplement w najmniej spodziewanym momencie. Na przykład kiedy rano wychodziła spod prysznicza albo wracała z siłowni z włosami sklejonymi potem. Teraz nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz zwrócił uwagę na jej wygląd.

Siedzieli w saunie i się pocili. Kate czuła, jak żar szczypie jej skórę. Domyślała się, że nie będą sobie mogli na to pozwolić, kiedy pojawi się dziecko - przynajmniej przez pierwszych kilka lat. W saunie był z nimi jeszcze jeden mężczyzna, starszy, z nagim torsem i fałdami skóry, które zachodziły na siebie jak tajemnicze formacje geologiczne. Kate zawsze zdumiewało, że Brytyjczycy potrafią mieć problem z kontaktem wzroko-

wym w środkach komunikacji publicznej, a równocześnie bez wahania rozbierają się i siedzą w ciasnych, dusznych pomieszczeniach, pocąc się obficie w towarzystwie obcych. Mężczyzna dźwignął się i stawy mu zatrzeszczały. Uchylił drzwi. Chłodny podmuch musnął rozgrzaną twarz Kate.

Jake bez pytania chlusnął więcej wody na kamienie.

- Wszystko w porządku? - zapytała w końcu.

- Tak. Czemu pytasz? - odparł zbyt pośpiesznie.

- Nie, nic. Wyglądasz tylko, jakby coś cię gryzło.

Spojrzał na nią i kąciki jego oczu uniosły się w znajomy sposób.

- Przepraszam. Nie, nic się nie dzieje. Jestem tylko jakby... rozkojarzony.

Wyciągnęła rękę, żeby rozmasować mu kark.

- To zrozumiałe. Ja też. Ale wszystko jest w porządku. Marisa ma się lepiej.

- Na pewno. Wygląda znacznie lepiej - powiedział Jake. - Policzki jej się zaróżowiły.

- Co takiego?

Zerknął na nią.

- No... Widziałem na FaceTimie.

- Nie wiedziałam, że rozmawiasz z nią na FaceTimie beze mnie.

- Nie no, skąd. - Pokręcił głową. - Rozmawiałem z mamą, a Marisa akurat tam była.

- O! - Kate cofnęła rękę i położyła ją na kolanach. - Annabelle potrafi posługiwać się FaceTime'em? To... ciekawe.

Nie umiała zliczyć, ile to razy matka Jake'a wdawała się w spontaniczne dywagacje na temat zła, jakie niosą ze sobą współczesna technika i niezrozumiała fascynacja „nowomodnymi” metodami komunikacji.

„A cóż jest takiego złego w starej, dobrej rozmowie telefonicznej?” - pytała, przekonana o własnej słuszności. „Albo na przykład w odręcznie napisanym liście?”

Kate zanotowała sobie wtedy w pamięci, żeby wysłać jej kartkę z podziękowaniem po każdej wizycie.

Jak, u licha, zdoła jej się odwdzińczyć za ostatnią interwencję? Annabelle oddała im przecież ogromną, nieocenioną przysługę. Piękna pocz-

tówka z kwiatowym motywem chyba nie wystarczy.

- Zdaje się, że Marisa pokazała jej, co i jak - mruknął Jake.

Drzwi do sauny otworzyły się znowu i do środka weszły dwie chichoczące blondynki. Rozsiadły się, ubrane w identyczne czarne kostiumy. Obie były wysokie, kościste i płaskie, z wąskimi taliami i smukłymi kończynami modelek. Kate, świadoma w ich obecności własnego wyglądu, ciałniej owinęła się ręcznikiem w talii.

Marisa jest beznadziejna w te klocki - chciała powiedzieć. Jej telefon wołał wielkim głosem o wymianę, już kiedy ją poznali. Zerknęła na Jake'a. Jego twarz znów była martwa. Jakby zasłoniła ją roleta przeciwwłamaniowa. Żar w saunie stawał się coraz większy.

Tej nocy po raz pierwszy od miesiący dobrze spała. W pokoju panowała cisza, a gdy odkryli, jak wyłączyć klimatyzację, zapanowała w nim znośna temperatura. Kiedy Kate odwróciła się na bok, żeby spojrzeć na Jake'a, uśmiechnął się do niej.

- No cześć - powiedział, kładąc dłoń na jej policzku. - Dobrze spałaś?

- Mhm - odparła. - Cudownie.

- To dlatego, że wypociliśmy wszystkie stresy.

- Jeśli tak, to powinniśmy poważnie przemyśleć saunę w domu.

Wyszczерzył zęby.

- Zrobimy sobie przybudówkę na parterze jak wszyscy sąsiedzi z ulicy?

Dla obojga źródłem nieustannego rozbawienia był rozmiar prac budowlanych prowadzonych przez sąsiadów. Kate żartowała, że posiadanie szopki z prefabrykatów przed drzwiami stanowi nowy symbol statusu społecznego.

- Świetny pomysł - prychnęła. - Miesiące stresującej budowy, żeby postawić saunę mającą pomóc uporać się ze stresem, którego wcześniej nie było.

Pocałował ją, tuląc do siebie, a potem przesunął w dół ręce, które trzymał na jej plecach. Seks był szybki, delikatny i nieskomplikowany. Po wszystkim Jake wstał, napełnił czajnik pod kranem w łazience i nastawił wodę.

- Herbatka ziołowa? - zapytał, kiedy usiadła, opierając się na poduszkach. - Czy może wolisz herbatkę ziołową?

- Hmm. Niech pomyślę. Poproszę może herbatkę ziołową. Ale pod warunkiem że będzie naprawdę słaba i bez smaku.

Obserwowała go, jak krąży po pokoju, kompletnie nagi z wyjątkiem tych głupich kłapek, które włożył, bo było mu zimno w stopy. Zdumiewało ją, jak Jake swobodnie czuje się w swoim ciele. Dobrze wyglądał. Był wysoki, szeroki w ramionach, z ładnie wystającym tyłeczkiem. Ani śladu brzucha, który tak często szpecił już trzydziestolatków. A mimo to wydawał się nieświadomy swojej fizyczności w sposób absolutnie nieosiągalny dla żadnej kobiety. Kobieta - myślała Kate - w podobnej sytuacji martwiłaby się tym, że ma obwisły brzuch, grube uda albo że jej piersi nie są już tak jędrne, jak by chciała. Zakładałaby, że cały czas śledzą ją męskie oczy. A Jake traktował ciało jako swoją własność i po prostu czuł się w nim komfortowo i pewnie.

Jego telefon zapikał. Podniósł go ze stolika obok łóżka, odłączając smukłą czarną ładowarkę. Natychmiast pochłonęło go to, co działo się na ekranie, i nawet nie zauważył, że woda się gotuje. Kate owinęła się szlafrokiem i dokończyła parzenie herbaty. Podała mu filiżankę, którą przyjął, nie podnosząc wzroku znad komórki.

- Co jest? - zapytała.

- Och, przepraszam... Dzięki. - Upił łyk herbaty. - Zawsze człowieka wkurzą... To z pracy.

Zaczął pisać pospiesznie, wklepując tekst kciukami. Kiedy wysłał wiadomość, telefon wydał charakterystyczny odgłos i Jake wrócił do rzeczywistości.

- Kate, bardzo mi przykro.

Instynktownie zaczęła obawiać się najgorszego. Poczula skurcz w brzuchu.

- Mamy kryzys - wyjaśnił. - Wiesz, ten koncert paliwowy...

Aha, więc tylko o to chodzi - pomyślała z ulgą. Pokiwała głową, jakby wiedziała, o czym Jake do niej mówi. Pewnie kiedyś wspominał o tym koncernie, ale nigdy uważnie nie słuchała, kiedy mówił o pracy, bo przytłaczały ją szczegóły techniczne. To nie była jej bajka - do tego stopnia, że nawet nie wierzyła, aby mogła cokolwiek zrozumieć lub wniesić coś wartościowego do rozmowy. Zresztą Jake zawsze miał jakieś kryzysy w pracy, toteż nie było się czym martwić. Nic nowego.

- ...więc będę musiał wrócić do Londynu - dokończył, a ona zdała sobie sprawę, że znowu nie słuchała. To tak, jakby ktoś pytał o drogę, potem nie słuchał odpowiedzi, a na końcu wstydził się poprosić o powtórzenie.

- Jasne - bąknęła. - Rozumiem.

Uniósł jej dłoń do ust i ucałował palce.

- Dziękuję. Przykro mi, że zrujnowałem nasz wyjazd.

- Ależ skąd. I tak wystarczy pocenia się jak na jeden weekend. W porządku. Mogę wracać.

- Nie, nie. Po co masz jechać ze mną? Zostań i wykorzystaj pobyt do końca. Mamy opłacony jeszcze jutrzejszy nocleg.

Już się krzątał, zbierając swoje rzeczy. Zwinięte koszulki i spodenki od piżamy wrzucił do nesesera, który podarowała mu na święta.

- A co z samochodem?

- Pojadę, załatwię wszystko i wrócę po ciebie w niedzielę. Możemy skoczyć gdzieś po drodze na obiad. Wchłoniesz trochę kalorii po tej wymuszonej diecie.

Rozparła się wygodnie na poduszkach. Musiała przyznać, że to brzmiało kusząco.

- Sprawię ci kłopot - powiedziała słabo.

- Skąd! Będę się lepiej czuł, wiedząc, że jesteś tutaj i dobrze się bawisz.

Poszedł do łazienki. Usłyszała, że wrzuca piankę do golenia i żel do swojej kosmetyczki.

- Bez ciebie nie ma zabawy.

- Bzdura - prychnął, wracając do łóżka i obejmując ją za szyję. - Widziałem, jak się gapiłaś na tamtego faceta w saunie. Dosłownie rozbie-rałaś go wzrokiem.

- On już był rozebrany!

- Aha! - Podniósł palec niczym porucznik Columbo. - Więc się przyznajesz?

Roześmiała się i objęła go, przyciągając do siebie. Pewnie miał rację. Zostając tutaj, będzie mogła porządnie wypocząć. Poza tym ma pielęgnację twarzy o trzeciej.

- Dobra - powiedziała. - To jest plan.

Wyszedł pół godziny później, obiecując, że zadzwoni. Pożegnała go beztrzesko, a potem wyciągnęła się na podwójnym łóżku i ponownie zasnęła.

Spała jeszcze dwie godziny i była w szoku, kiedy się obudziła. Przez kilka ostatnich miesięcy w ogóle ciężko jej było wypocząć. Nieważne, o jakiej porze albo gdzie się znajdowała, jej myśli zawsze krążyły wokół Marisy i dziecka. Nie planowali następnego wyjazdu do Gloucestershire przez trzy tygodnie.

Kate owinęła się szczelnie szlafrokiem. Jedną z miłych rzeczy w spa jest to, że nie trzeba się ubierać. Można chodzić wszędzie w szlafroku. W jadalni, kiedy tam zeszła, było pełno podobnie roznegliżowanych gości, którzy napychali się jedzeniem z bufetu. Z zaczesanymi do tyłu włosami i pustym, nieco oszołomionym wyrazem twarzy wszyscy wyglądali na członków tej samej dziwacznej sekty.

Zjadła kopiastrą miskę musli, popijając ją obowiązkowo bezkofeinową kawą, a potem znalazła spokojne miejsce, żeby poczytać gazetę. Wyciszony telefon spoczywał w kieszeni szlafroka. W ośrodku zalecano niekorzystanie z urządzeń mobilnych we wspólnej przestrzeni, więc kilka razy wymknęła się do toalety, żeby sprawdzić, czy Jake bezpiecznie dotarł do biura. Nie było wiadomości. Dojazd może mu zająć trochę czasu – pomyślała i wsunęła komórkę z powrotem do kieszeni.

Kiedy poszła na swój zabieg, poproszono ją o wypełnienie tasiemcowej ankiety dotyczącej stanu zdrowia. Na końcu listy pytań o ciśnienie krwi i kondycję skóry znajdowało się nieuniknione: „Czy jest Pani albo podejrzewa, że może być w ciąży?”. Zaznaczyła krzyżyk w kratce „Nie” i powstrzymała się od dopisania: „ale to długa historia”.

Jej masażystka miała na imię Kasia. Była to schludna, drobniutka kobieta o łagodnych brązowych oczach, ubrana w czarny mundurek ze stójką. Poprowadziła Kate długim korytarzem i zaprosiła do gabinetu, w którym rozlegały się standardowe dźwięki fletni Pana, a powietrze pachniało ziołami i cytrusami. Kasia zostawiła ją na chwilę, prosząc, by się rozgościła.

Kate położyła się na łóżku do masażu i odkryła, że ręczniki zostały podgrzane. Kasia zajęła się jej twarzą. Chłodnymi czubkami palców masowała policzki, wykonując okrężne ruchy skierowane w stronę czoła. Kate poczuła, że zasypia.

Kiedy po wszystkim przejrzała się w lustrze wiszącym w pokoju, stwierdziła, że jej skóra lśni.

Rozparła się na łóżku, leniwie przerzucając kanały w telewizorze. Sprawdziła telefon. Wciąż nie było wiadomości od Jake'a. Dziwne, ale jeszcze niebudzące niepokoju. Odłożyła telefon na szafkę nocną i postanowiła nie zaglądać do niego co najmniej przez godzinę. Nie była jedną z tych kobiet, które piszą co chwilę do swoich facetów, gdy ci się nie odzywają, bo akurat są zajęci. Nigdy tego nie robiła i była zdecydowana, żeby nie zaczynać. Zauważyła, że od czasu kłopotów z Marisą wpada w panikę z najbłahszych powodów. Nie ma się czym martwić - powiedziała sobie. Nie świruj.

Obejrzała program kulinarny, w którym kucharze z różnych stron kraju konkurowali w przygotowywaniu potraw na bankiet. A potem quiz - nieznanymi jej celebryci konkurowali w robieniu z siebie idiotów. Potem zrobiła sobie herbaty i zaczęła rozważać, czyby nie pójść na basen.

Zerknęła na telefon. Wciąż żadnych wiadomości. Zaczęło ją to wkurzać i odpięła komórkę od ładowarki, a potem wybrała numer Jake'a z listy ostatnich połączeń. Usłyszała sygnał. Jeden. Drugi. Trzeci. Przy czwartym odebrał.

- Kate? - powiedział. - Wszystko okej?

Od razu poczuła się jak idiotka.

- Tak, wszystko w porządku. Tylko... nie odzywałeś się, więc...

- Przepraszam. Nie chciałem przeszkadzać. Dobrze się bawisz?

Wydawał się roztargniony i wyobraziła go sobie zgarbionego przed ekranem komputera, jak analizuje arkusze kalkulacyjne. Ale wtedy usłyszała szum w tle. A potem kolejny. Samochody.

- Czekaj. Jedziesz autem?

- Eee... tak. Ale nie przejmuj się, mam cię na głośnomówiącym.

- Nie jesteś w biurze?

- Nie. Ale byłem - dodał.

Usłyszała tykający dźwięk i zorientowała się, że musiał włączyć kierunkowskaz.

- Jadę spotkać się z klientem - wyjaśnił.

- Nie wiedziałam, że czeka cię trasa. Myślałam, że wrócisz do domu i wpakujesz się do wanny.

- Nie mam czasu - uciął. Nie brzmiało to zbyt przekonująco.

- Gdzie masz to spotkanie?

- Proszę?

- Spotkanie z klientem - powtórzyła, wyraźnie wymawiając słowa. -

Gdzie je masz?

- Eee... Bóg jeden wie. Musiałem wpisać w nawigację. Gdzieś na wsi. Wiesz, jak to jest, miliarderzy i ich posiadłości za miastem...

Wcale nie wiem - chciała powiedzieć Kate, ale się powstrzymała. Ponościło ją. Przecież nie ma powodów do podejrzliwości.

- Jesteś tam? - spytał Jake. Jego głos cichł po drugiej stronie linii.

- Tak, jestem.

- Wiesz, że cię kocham, prawda? Nie masz się czym martwić. Przepraszam, że nie zadzwoniłem wcześniej, ale byłem zajęty.

- W porządku. Dzięki.

- Napiszę później. Obiecuję.

Gdy skończyła rozmawiać, wyłączyła telefon i zostawiła go w pokoju, a sama poszła popływać. Powiedziała sobie, że nie spojrzy na ekran aż do rana. I tym razem dotrzymała słowa.



- Naprawdę myślisz, że to dobrze, że odwiedzamy ją tak rzadko? - spytała.

Był wieczór, środek tygodnia. Jake trenował w ogrodzie.

- Myślę, że powinniśmy się dostosować do tego, co pasuje Marisie - stwierdził, dysząc pomiędzy poszczególnymi słowami.

Ćwiczył teraz z jakimiś taśmami, trzymając czarną rączkę w każdej dłoni i odchylając się do tyłu pod kątem czterdziestu pięciu stopni, a potem podciągając ze stęknięciem. Taśmy były nowym nabytkiem i wyglądały jak para przerośniętych pasów samochodowych, upstrzonych gdzie popadło odblaskowymi naszywkami. Ktoś mu je polecił na siłowni. Jake przymocował taśmy do stalowej belki, którą przykręcił wielkimi śrubami do ceglanej ściany nad drzwiami do ogrodu. Cała impreza wymagała sporo hałaśliwego wiercenia, a po wszystkim Kate zmiotła mnóstwo drobnego pyłu z podłogi patia.

- Jesteś zadowolony ze swojego nowego wynalazku? - zawołała z kuchni. Musiała podnieść głos, żeby ją usłyszał na zewnątrz. Nalała sobie solidną lampkę wina Malbec z otwartej wcześniej butelki, która stała na blacie.

- Tak - odparł z wysiłkiem. Odwrócił się i przełożył stopy przez taśmę. Zrobił deskę. Jego bicepsy nabrzmiały. Wyglądał jak mysz, która usiłuje się wyrwać z uścisku pytona. Zaczął wykonywać szybkie pompki. - Waga. Ciała. To. Podstawa - wysapał między oddechami.

Wyszła na zewnątrz i przysiadła na ławce. Popijała wino, obserwując go. Jego granicząca z obsesją pasja do ćwiczeń zawsze ją fascynowała.

Od czasu weekendu w spa zdarzyło się jeszcze kilka nieplanowanych nieobecności Jake'a, siedzenie w biurze do późnych godzin, a nawet weekendowa konferencja, która wymagała pozostania na noc. Zanim zaczęli się starać o dziecko, Jake regularnie wyjeżdżał służbowo, czasem na kilka dni. Zerwał z tym, żeby ją wspierać i być pod ręką, gdy trzeba było iść do lekarza. Teraz, kiedy sytuacja nie wymagała już jego

stałej obecności, zaczął wracać do dawnej rutyny, a ona zdała sobie sprawę, że jego nieobecność boli ją bardziej, niż mogła się spodziewać. Gdy skończył robić pompki, narzucił na siebie szarą bluzę z kapturem i napisem „Harvard” na piersi. Nigdy nie był na Harvardzie, ale bluza była tak stara, że nawet nie pamiętał, skąd się wzięła. Przysiadł na ławce obok Kate. Czują bijące od niego ciepło i zapach potu, mszysty jak zapach lasu.

- Nie martw się o te wizyty - powiedział, ocierając twarz ręcznikiem. - Pojedziemy w sobotę, jeśli tak się stresujesz.

- Nie stresuję się, tylko... - Pozwoliła, żeby niedopowiedziana myśl zawisała w powietrzu.

- Wspólnie ustaliliśmy, że najważniejsza rzecz - zaczął tłumaczyć jak dziecku - to sprawić, żeby Marisa była spokojna, szczęśliwa i...

- Stabilna. Tak, wiem.

Poczuła drobne ukłucie frustracji. Jake przestał się wycierać i przyjrzał się jej uważniej.

- Stresujesz się. Mama miała rację.

Ścisnęło ją w gardle.

- Co takiego?

- Chciałem...

- Rozmawiałeś o mnie z matką?

Jako para nie kłócili się zbyt często. Rzadko znajdowali powód. Przy nielicznych okazjach, kiedy Kate zaczynała się awanturować, Jake reagował spokojem i sytuacja sama się rozładowywała. Ona rewanżowała mu się tym samym. Nigdy nie potrafiła zrozumieć, gdy inne pary przyznawały, że kłócą się ze sobą głośno i gwałtownie, i jeszcze uznawały to za objaw namiętności. Ale teraz była naprawdę wściekła. Czują, że może powiedzieć coś, czego nie zdoła już cofnąć.

Jake milczał.

- Pytałam, czy rozmawiałeś o mnie ze swoją matką.

Spojrzał na nią i zaskoczyło ją, ile gniewu zobaczyła w jego oczach.

- Oczywiście, do kurwy nędzy, że z nią rozmawiałem. Jest moją matką. Martwi się o mnie. O nas.

- Bardzo szlachetnie z jej strony - wypaliła Kate. - Ale ja nie potrzebuję, żeby się o mnie martwiła. - Wstała, ściskając kieliszek tak mocno, że zastanawiała się, kiedy pęknie nóżka.

- Widzisz? Właśnie o to mi chodzi - rzekł, nie ruszając się z ławki. Zaciśnął dłonie na dwóch końcach ręcznika zarzuconego na kark. Kostki mu zbieleły. - Cokolwiek powiem, ty się wściekasz.

- Serio?

- Oczywiście. Mama też to zauważyła. Martwi się, że za bardzo się angażujesz. Wręcz obsesyjnie. A to nie jest dobre dla Marisy...

- To ja jestem matką! - zawyła Kate.

W bloku obok nich trzasnęło okno i nagle zapaliły się lampy na klatce schodowej, zaprogramowane, by włączały się co wieczór o tej samej porze. Ogród zalało nieco upiorne światło.

- Oczywiście, że się angażuję! - Z zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że dalej krzyczy. - Obsesyjnie? Bzdura! Nasza surogatka próbowała mnie zabić, pamiętasz? Wydawało jej się, że jest mną! To chyba wystarczy, żeby zacząć się niepokoić!

- Jezu, Kate, nie drzyj się. Sąsiedzi usłyszą.

- Wal się! - oświadczyła i weszła do kuchni.

Trzasnęła kieliszkiem o stół z takim impetem, że czerwone krople spadły na drewniany blat. Już wiadomo, co o niej mówi Annabelle. Że nie panuje nad sobą. Że instynkt macierzyński pozbawił ją zdrowego osądu. Że Jake musi na nią uważać.

Dokładnie pamiętała rozmowę telefoniczną sprzed kilku dni. Od razu poczuła napięcie, kiedy zobaczyła na wyświetlaczu imię matki Jake'a. Annabelle zawsze dzwoniła do Jake'a; z Kate kontaktowała się tylko wówczas, gdy nie mogła się do niego dodzwonić. Kate zaczęła więc rozmowę słowami:

- Niestety nie ma go w domu.

- Co? Ach nie, w zasadzie to dzwonię do ciebie, Kate.

Głos kobiety na drugim końcu linii był czysty i jasny. Słowa dźwięczały jak kostki lodu w szklance dzinu z tonikiem.

- O! Jak... miło. - Kate zerknęła na zegarek, żeby zobaczyć, jak długo będzie musiała prowadzić tę niechcianą pogawędkę, żeby nie wyjść na gburę. - Co u ciebie? Jak się czuje Marisa?

- Kwitnie - odpowiedziała Annabelle.

Kate odebrała to jako przytyk. Nie mogła po prostu powiedzieć „w porządku”?

- Chciałam się dowiedzieć, jak ty się miewasz - ciągnęła Annabelle, akcentując „ty”, jakby jej zainteresowanie było niezwykłym aktem łaski.

- To... miło - powtórzyła Kate. - Doskonale. Dziękuję.

- Naprawdę?

Usłyszała jej sapnięcie, a w tle odgłos zamykanych drzwi. Pewnie Chris; ciekawe, czy wszedł, czy wyszedł. A może to wcale nie on? Może Marisa?

- No pewnie. A czemu miałyby być inaczej? Oczywiście abstrahując od nieustannego stresu związanego z naszą sytuacją. - Kate roześmiała się ostro. Chciała być zabawna, ale dowcip wyszedł słabiej, niż się spodziewała. - Nie, naprawdę, to bardzo miło z twojej strony, że się interesujesz. Dziękuję.

- Martwiłam się o ciebie - oznajmiła Annabelle niezmiennym tonem, jakby Kate w ogóle się nie odezwała. - Kocham swojego syna, ale mam świadomość, że ostatnio był trochę... - tu zrobiła znaczącą pauzę - rozkojarzony.

Kate nie wiedziała, co odpowiedzieć. To prawda, że ostatnio nieco się od siebie oddalili. Ale to sprawa między nimi. Nie było powodu, dla którego Annabelle miałyby o tym wiedzieć. Chyba że - pomyślała ze zgrozą - Jake rozmawia z matką o ich sprawach.

- Jake ogromnie wspiera Marisę - mówiła dalej tamta. - Widać, jak dobrze się dogadują. Oczywiście jest również wielkim wsparciem dla mnie. Jak zawsze. Ale mam nadzieję, że przez to nie zaniedbuje ciebie, moja droga.

Annabelle była jedyną osobą, która potrafiła użyć sformułowania „moja droga” jako broni.

- Skądże - zaprzeczyła Kate, ignorując własny niepokój. - Jake jest wspaniały.

- O! - powiedziała Annabelle, nieco jakby zaskoczona. - To świetnie. Miło to słyszeć.

Wspominając tę rozmowę teraz, kiedy była naprawdę wściekła, Kate naląła sobie kolejny kieliszek wina i wyszła z powrotem do ogrodu. Jake nie ruszył się z ławki. Przysiadła obok niego. Wiedziała, że tylko w jeden sposób może udowodnić, że Annabelle się myli: zachować spokój.

- Przepraszam, że tak się wydarłam - zaczęła. - Po prostu nie chcę, żeby Marisa była ważniejsza ode mnie. W końcu nosi mojego syna. -

Urwała na chwilę. – To ja będę matką.

Jake skruszony przygarnął ją do siebie.

– Oczywiście, że ty. – Pocałował ją w czubek głowy.

Liczyła, że powie coś jeszcze, ale milczał. Po kilku minutach ciszy wyplątała się z jego objęć i usiadła prosto. Uniosła kieliszek do ust i wychyliła zawartość. Wino spłynęło jej do gardła.

– Słuchaj – powiedział Jake. – Może pojedziemy w tę sobotę?

– Naprawdę?

– A czemu nie? Uprzedzę tylko mamę.

– Super. Dzięki.

Odwrócił się do niej i uśmiechnął.

– To poprawi ci humor.

Zawsze trochę drażniło ją to powiedzenie. Jakby była urzędzeniem, które można zreperować.

– Z pewnością – zgodziła się, chociaż wcale pewna nie była.

Annabelle została powiadomiona i w sobotę ruszyli do Gloucestershire, słuchając po drodze podcastów, żeby ze sobą nie rozmawiać. Kate była spięta, może jeszcze bardziej przez to, że usiłowała tego po sobie nie pokazywać. Miała ściągniętą twarz, a koło przedziałka odkryła pasemko siwych włosów. Nigdy wcześniej nie musiała się farbować i teraz też nie miała ochoty. Niech rosną – pomyślała. Jakie to ma znaczenie?

Dla odmiany Jake wydawał się wypoczęty. Brał jakiś nowy ziołowy suplement na zdrowy sen, ponieważ postanowił wstawać wcześniej i rano ćwiczyć z taśmami, zanim wyjdzie do pracy. Wiedziała, że to część jego strategii „Jak zachować zdrowe zmysły w skrajnie trudnych warunkach”. Ale miała o to pretensje. Jake potrafił zachować równowagę nawet wtedy, gdy musiał stawić czoła kryzysowi, co prawem kontrastu ustawiało Kate w roli osoby chwiejnej i nieprzewidywalnej. Na przyszły tydzień zamówił trzydniową sokową kurację odtruwającą. Ona tymczasem już planowała, jakie niezdrowe fast foody zeżre w ramach protestu. Pizza w poniedziałek, gęste śmietanowe curry we wtorek i może jeszcze podwójny cheeseburger z frytkami do kompletu. Kate zawsze starała się odżywiać świadomie i dbała o pięć pełnowartościowych posiłków dziennie; używała blendera, miksowała jarmuż, seler i wodę kokosową. Teraz jednak widziała absurd w wydatkowaniu takiej ilości

energii na rzeczy, które tak naprawdę niczego nie zmieniały. Rzeczywistość zaprzętała ją do tego stopnia, że Kate nie miała już specjalnie siły myśleć o czymkolwiek innym niż dziecko oraz konieczność utrzymania związku w całości i zapewnienia opieki Marisie. Poświęcanie czasu samej sobie było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę.

Z takim nastawieniem wygramoliła się z samochodu i ruszyła do ceglanego domu. Annabelle natychmiast zapędziła ich do kuchni.

- Niestety, nie zdążyłam przygotować niczego specjalnego. Późno dałście znać... - powiedziała znacząco. - Zrobiłam więc naprędce zupę jarzynową.

Na kuchence stał przypalony pomarańczowy garnek Le Creuset. Pokrywka podskakiwała, wypuszczając obłoczki wonnej pary. Annabelle miała spięte włosy, koronkową bluzkę z wysokim kołnierzykiem i granatowy sweter z kaszmiru. Para okularów do czytania wisiała na jej szyi na złotym łańcuszku. Założyła je, kiedy zdjęła pokrywkę z rondla i zamieszała zawartość.

- Delicje - rozczulił się Jake. - Właśnie na to miałem ochotę.

- Pachnie pięknie - dodała Kate. - Przepraszamy za kłopot.

- Och, żaden kłopot - rzuciła Annabelle tonem, który sugerował coś wręcz przeciwnego. - Chris pojechał kupić drewno kominkowe i różne takie. Jest nas teraz więcej i trzeba częściej robić zakupy.

- Koniecznie musisz nam powiedzieć, ile jesteśmy wam winni - wtrąciła Kate. Pot spływał jej po karku. Wciąż stała w płaszczu.

Annabelle spojrzała na nią surowo.

- Tu nie chodzi o pieniądze.

- Och, ja tylko...

Jake przycisnął mocniej rękę, którą trzymał jej na plecach. Zamilkła.

- Naprawdę doceniamy, mamó - powiedział. - Dzięki.

Annabelle westchnęła.

- Nonsens - odparła. - Rodzina jest zawsze na pierwszym miejscu. To moje motto.

Zerknęła do garnka. Para pokryła jej okulary. Kate zdjęła płaszcz i powiesiła go w przedpokoju. Niechętnie zostawiła telefon w kieszeni. Annabelle nie życzyła sobie, żeby mieli je przy sobie podczas posiłków. Ale rozstanie z komórką sprawiało, że Kate czuła się odcięta od świata,

który widział w niej pełnoprawną kobietę, a nie tylko niewygodny dodatek do Jake'a.

Gdy wróciła, rozmawiali o czymś po cichu. Zamilkli, kiedy weszła.

- O czym mówicie? - zainteresowała się Kate.

- O niczym. - Annabelle wyjęła pełnoziarnisty chleb i z wprawą zaczęła go kroić na kromki.

- Mogę w czymś pomóc?

- Nie, wszystko już gotowe. W końcu to tylko zupa - podkreśliła Annabelle.

- Zetrzeć ser? - spytał Jake.

- O, to się rzeczywiście przyda. - Uścisnęła syna za ramię. - Dziękuję ci, Jakey.

Kate oparła się o drewnianą komodę, zapominając, że mebel chwieje się niebezpiecznie przy lada dotknięciu. Wewnątrz rozdzwoniły się talerze. Cofnęła się i stanęła jak kołek z założonymi rękami, patrząc, jak Jake trze cheddar na wielkie żółte grudy. Nieważne, ile czasu spędzała w tym domu ani jak często mówiono, że należy do rodziny - zawsze czuła się tu nie na miejscu. Jak intruz z innej planety.

Wbiła wzrok w przeciwległą ścianę, na której wisiał kalendarz. Każdemu miesiącowi towarzyszyło zdjęcie innego europejskiego miasta. Annabelle rygorystycznie zapisywała wszystkie wizyty i spotkania czarnym pisakiem. Dzisiejszy kwadrat nosił napis „Wizyta J&K” w lewym górnym rogu. Jutro było „Spotkanie u proboszcza”. W poniedziałek „Sprzątaczką”. To było typowe dla Annabelle, żeby nie użyć imienia kobiety, która u niej sprzątała. Pewnie go nawet nie znała.

Kate wróciła spojrzeniem do początku miesiąca i z zaskoczeniem dostrzegła, że litera „J” powtarza się kilkakrotnie. Zastanowiła się, ile razy w tym miesiącu tu byli, ale stwierdziła, że wcale. Skąd więc inicjał Jake'a na kalendarzu?

- No dobrze, chyba już wystarczy. - Annabelle zdjęła garnek z kuchenki, by ustawić go na podkładce leżącej na stole. Zauważyła, że Kate wpatruje się w kalendarz.

Spojrzenia obu kobiet się spotkały.

- Zbyt wiele „J”. - Annabelle poprawiła maselniczkę. - To moja wina, że nazwałam dzieci Julia i Jake.

- Ha, ha, ha. No tak - odparła Kate. Miała ochotę zapytać: „A Julia nie mieszka przez przypadek w Hongkongu?”. Chyba że chodziło o zaplanowane rozmowy telefoniczne, choć to nie wydawało jej się prawdopodobne. Zanim zdążyła powiedzieć coś jeszcze, poczuła chłodny powiew i do kuchni weszła Marisa.

- Cześć wszystkim.

Miała zaróżowione policzki i włosy związane aksamitną frotką. Jej brzuch pięknie się zaokrąglił. Wyglądała kwitnąco i próżno było szukać innego słowa.

- Marisa! - wykrzyknęła Kate nieco zbyt gorliwie.

Podeszła, żeby ją uściskać, ale Marisa cofnęła się i pocałowała ją tylko w policzek. Jej twarz była zimna od wiatru. Pachniała masłem orzechowym.

- Dobrze cię widzieć - ciągnęła Kate. - Jak się czujesz? Wszystko w porządku?

- Dajże biednej dziewczynie wejść do środka - zbeształa ją Annabelle, nalewając zupę do misek. Każda miała wokół brzegu napis „Miska” i ornament z kropek.

Kate zerknęła na gęstą grudkowatą zupę i poczuła nagłą odrazę do Annabelle.

Zamknęła drzwi i w kuchni zapanował upał. Marisa schyliła się, żeby zdjąć kalosze. Jake rzucił jej się na pomoc; trzymał ją za rękę, kiedy zdejmowała buty, korzystając ze specjalnego ustrojstwa z kutego żelaza, które Annabelle trzymała w tym celu przy kuchennych drzwiach. Miała na sobie koronkową bluzkę i granatowy wełniany sweter. Jeśli pominąć okulary na łańcuszku i kaszmir, była ubrana dokładnie tak samo jak matka Jake'a.

- Chodźcie wszyscy i siadajcie, bo zupa wystygnie!

Pieprzona zupa - pomyślała Kate.

Jake, zadowolony, że udało mu się uporać z kaloszami Marisy, cmoknął Kate w usta i pogonił ją do stołu. Jakby w roztargnieniu traktował je obie jak dzieci, które trzeba dopilnować, żeby o czasie siadły do posiłku. Kate zajęła swoje zwykłe miejsce, jedyne, które nie pasowało do reszty mebli. Było to stare krzesło od kompletu jadalnianego. Siedzisko okrywała popękana skóra, podczas gdy inne były proste, sosnowe. Kiedy Annabelle sadzała ją pierwszy raz na tym krześle, narobiła zamie-



szania, mówiąc o „tronie” zarezerwowanym dla „specjalnych gości”. Jeśli to rzeczywiście była prawda, to czy teraz nie powinna na nim siedzieć Marisa?

- Nie czekamy na tatę? - zdziwił się Jake.

Annabelle przewróciła oczami.

- Miał być pół godziny temu i nie mam zamiaru dłużej na niego czekać. Mogę mu odgrzać, kiedy wreszcie raczy się pojawić.

- Pachnie cudownie, Annabelle - powiedziała Marisa. Jej głos był teraz łagodniejszy, niż zapamiętała Kate. Więcej w nim było szepczących tonów. Zwróciła się do Jake'a: - Jak droga?

Pytanie kompletnie bez znaczenia. Jedna z tych towarzyskich odzywek, które mają na celu rozpoczęcie konwersacji, ale rzadko kiedy chce się komuś rzetelnie na nie odpowiadać.

- Świetnie. Spokojna. - Uśmiechnął się do niej.

- To dobrze. - Wzięła kromkę chleba i powoli zaczęła smarować ją masłem. - A jak u ciebie w pracy, Kate?

- W pracy? Hmm, dobrze.

- To dobrze.

Annabelle wciąż kręciła się po kuchni, sprawdzając, czy mają wszystko, czego potrzebują, podając sól i pieprz oraz dopytując się, czy ktoś ma ochotę na kieliszek wina.

Nikt nie miał ochoty. Czekali, aż usiądzie. Kiedy wreszcie usiadła, westchnęła głośno, dając do zrozumienia, jakie to było dla niej wyzwanie, ale nie ma zamiaru się skarżyć. Otarła brwi wierzchem dłoni.

- No dobrze, jemy, jemy! - Klasnęła w dłonie.

Marisa wydawała się nieobecna. Jej spojrzenie było puste. Kate doszła do wniosku, że przez leki, które bierze, emanuje takim wystudowanym spokojem. Wyglądało to trochę tak, jakby siedziała po drugiej stronie ekranu i nie można jej było dotknąć. Kate bezskutecznie usiłowała ją wciągnąć do rozmowy. Pytała, czy jest zmęczona. Jak z apetytem? Czy czuje ruchy dziecka? Co ciekawego oglądała w telewizji? Czy dobrze sypia? Marisa uśmiechała się tylko i odpowiadała lakonicznie, nie zachęcając do dalszej dyskusji.

- Na litość boską, Kate! - Annabelle znieruchomiała z łyżką w powietrzu. - Dość tych pytań. Dajże dziewczynie zjeść, zanim zupa wystygnie.

Kate urażona odsunęła swoją miskę. Zjadła połowę. Niestety, zupa mimo starań smakowała jak pomyje. Nie mogła się odszczeknąć bez wywoływania niepotrzebnej sceny ani dalej naciskać Marisy, by nie usłyszeć oskarżenia, że ją dręczy. Gotowa dostać szlaban na kolejne wizyty. Spojrzała z gniewem na Jake'a w nadziei, że ten się wtrąci i coś powie. Nie zrobił tego.

- Marisa ostatnio zaczęła znów malować, prawda, Mariso? - odezwała się Annabelle.

Twarz dziewczyny się rozjaśniła.

- O tak, to było cudowne. - Marisa z wdzięcznością kiwnęła głową w stronę starszej kobiety. - Fantastycznie jest znowu tworzyć i nie robić tego dla pieniędzy.

- To świetnie - orzekła Kate. - Co malujesz?

- Głównie martwe natury z kwiatami.

- Zawsze fascynował mnie paradoks określenia „martwa natura” - powiedział Jake.

Marisa roześmiała się z ożywieniem.

- Zabawne. Nigdy o tym nie myślałam. Ale szczerze mówiąc, to naprawdę nic szczególnego. Po prostu staram się znowu wprawiać rękę.

- No tak, jestem pewna, że zamówienia sypią ci się jak z rękawa - odezwała się Kate.

- Nonsens - stwierdziła w tej samej chwili Annabelle, jakby w ogóle nie słyszała, że Kate coś mówi. - Są wspaniałe. - Zwróciła się do Jake'a: - Oprawię sobie jeden obraz i powieszę w przedpokoju. Będzie doskonale wyglądać nad stojakiem na parasole.

- Nie czuj się zobowiązana do wieszania moich prac w domu - zaprotestowała Marisa. - Już tyle dla mnie zrobiłaś.

W tym momencie Annabelle wyciągnęła ramię i poklepała ją po rękę. Kate nie wierzyła własnym oczom. Musiała zerknąć jeszcze raz. Owszem, zartretyzowana dłoń Annabelle przytłoczona ciężkimi złotymi pierścieniami spoczywała na przedramieniu Marisy. Marisa nakryła ją swoją.

- Chcę mieć twój obraz na ścianie, ponieważ uważam, że jest fantastyczny - oświadczyła Annabelle. - Z żadnego innego powodu.

- Bardzo chciałbym go zobaczyć - zaciekał się Jake. - Oboje byśmy chcieli.

Marisa uroczo potrząsnęła głową.

- Nie, naprawdę. Krępowałabym się. Poza tym nie jest jeszcze skończony.

- Rozumiem. - Jake oparł się w krzesło i przeciągnął z westchnieniem. - To przywilej artysty: nie pokazywać dzieła, zanim nie zostanie ukończone.

Kate prychnęła. Co za bzdury! Miała już dość tego wdzięczenia się do Marisy i uprzedzania wszelkich jej kaprysów, jakby jedno niewłaściwe słowo miało sprawić, że zniknie na zawsze. Bolało ją, gdy słuchała, jak jej własny partner i jego matka łąszą się do tamtej, jakby Kate w ogóle tu nie było. Jakby nie przewidziano tu dla niej miejsca. Jakby łatwiej im było, gdyby w ogóle nie istniała.

Gorzkie myśli spadły jej na barki niczym jarzmo. Czuła, jak jego pięta ugniatają pierś. Zdała sobie sprawę, że zaciska ręce na poręczach krzesła. Jej palce wbijały się w drewno jak szpony.

- Wszystko w porządku, Kate?

Kiedy podniosła wzrok, napotkała spojrzenie Marisy. Między jej brwiami rysowała się lekka bruzda.

- Wyglądasz blado - dodała Marisa.

- Co? Nie, skąd! - Kate rozluźniła pięści i zmusiła się, by swobodnie oddychać. - Przepraszam. Byłam myślami gdzie indziej. Chodzi o pracę. Jest parę rzeczy, które mnie stresują. W przyszłym tygodniu rusza potężna kampania PR-owa w związku z festiwalem filmowym w Toronto.

Firma wzięła na siebie trochę zbyt wiele filmów naraz i teraz ona i jej koledzy borykali się z deadline'ami. Różnica czasu między Londynem a Toronto też nie pomagała. Było w tym wszystkim sporo winy Kate, bo to od niej zależał finalny kształt terminarza. Chciała jednak coś udowodnić - pokazać, że jest coś warta, mimo że nie może zająć w ciążę. Że jest dobra w tym, co robi.

- Jest mnóstwo premier do zorganizowania, a oprócz tego cała reszta. Wiecie, jacy są ci rozpuszczeni celebryci... - Mówiła teraz do Annabelle. Sama nie miała pojęcia, czemu tak papla. Chciała się zamknąć, ale nie mogła. - No i przez to jest nerwówka - dokończyła słabo.

- Dobry Boże! - westchnęła Annabelle. - Mam nadzieję, że trochę zwolnisz, zanim dziecko przyjdzie na świat. Nie dasz sobie rady z tym wszystkim przy niemowlęciu.

- Dziękuję uprzejmie - odparła Kate, siląc się na savoir-vivre. - Jestem pewna, że doskonale sobie poradzę.

- Za moich czasów nie było czegoś takiego. Wszystkie te pracujące kobiety, te kariery na cały etat... Z niczego nie umiecie zrezygnować.

Kate zaproponowała, że zrobi herbatę. Odkręciła kran i trochę dłużej niż trzeba gapiła się na strumień wody, zanim napełniła czajnik. Jake przyszedł jej z pomocą, wyjmując kubki i liściastą herbatę z szafki. Stuknął ją w łokieć i ruchem warg zapytał bezgłośnie: „Wszystko okej?”.

Kiwnęła głową.

- Pozwólcie, że pozbieram ze stołu - powiedziała Annabelle.

Jake i Marisa zaprotestowali równocześnie:

- Zostaw, ja to zrobię...

- Gotowałam, ja pozbieram...

Annabelle zaczęła już jednak zbierać puste miseczki, wstawiając jedną w drugą z głośnym brzękiem, który zdawał się specjalnie obliczony na to, żeby zwracał uwagę. Marisa podniosła się z trudem ze swojego miejsca i pochyliła się nad zmywarką, żeby ją otworzyć i wysunąć szufladę.

Czekając, aż woda się zagotuje, Kate się obróciła i zobaczyła dwie kobiety stojące obok siebie przed zmywarką. Z tyłu wyglądały niemal identycznie w granatowych swetrach i z upiętymi jasnymi włosami. Obie były szerokie w ramionach i miały mocne kończyny. Wąskie w talii, obfite w biodrach - wyglądały dokładnie tak, jak powinna wyglądać kobieta. Ich podobieństwo było uderzające. Kate zdumiała się, że wcześniej go nie zauważyła.

Zadrżała i odwróciła wzrok. Para z czajnika osiadła na szybie. Wzrok Kate też zasnuła mgła, a kiedy nalewała wody do imbryka, trzęsły jej się ręce.

Po tej wizycie postanowiła, że będzie się trzymać z dala od Gloucestershire. Kontakty z Annabelle pozostawiła Jake'owi. Przebywanie w pobliżu tej kobiety zawsze sprawiało, że zaczynała wątpić we własne zdrowe zmysły. Każde takie spotkanie dosłownie ją wykańczało. Jeśli nie będą się stykać, Annabelle straci okazję do robienia jej przykrości, tłumaczyła sobie.

Jake stwierdził, że Kate wrywa wypowiedzi jego matki z kontekstu i że w ogóle traci zdolność trzeźwego osądu. Zarzucił jej, że obsesyjnie czepia się najbliższych przytyków. Powinna wyrobić sobie dystans – dla własnego spokoju ducha. Mówił to wszystko życzliwie, przez cały czas podkreślając, że jest po jej stronie. Kate kiwała w milczeniu głową, nie chcąc pogarszać sytuacji, która i tak była napięta. W ostatecznym rozrachunku oboje dążyli do tego samego. Dla Kate bieżącym celem było ograniczenie kontaktów z jego matką do absolutnego minimum. Ale w duchu nadal się martwiła.

Zadzwoiła do Ajasha, z którym nie widziała się od miesiący. Po tym, jak przyprowadził Jake'a na jej trzydziestkę, jeszcze kilka razy wyskakiwali gdzieś we troje. Ale coś zgrzytało i zawsze jedno z nich czuło się jak piąte koło u wozu. Wyglądało na to, że w trójkacie nie da się odtworzyć dawnych relacji.

Kate nawet nie zauważyła, kiedy oddalili się od siebie z Ajeshem. Na początku jej związku z Jakiem to ta relacja wydawała jej się najważniejsza na świecie. Straciła wtedy mnóstwo znajomych. Zorientowała się, kiedy było za późno. Jej rówieśnicy mieli już dzieci, podczas gdy ona musiała się zmierzyć z bezpłodnością i zdecydować na surogację. Odkryła, że nie ma ani czasu, ani ochoty, żeby wisieć na grupach na WhatsAppie i rozsyłać wiadomości głosowe. Nie pociągały jej wspólne kawki po zajęciach jogi ani wieczorne winka. Psiapsiółki nie mogły na nią liczyć, zresztą chyba podświadomie im zazdrościła. Nigdy nie umiała pielęgnować więzi z innymi kobietami. Można by pomyśleć, że nie potrze-

bową ich do szczęścia, ale było inaczej. Po prostu nie potrafiła wyrazić tej potrzeby, nie czując przy tym goryczy, że im macierzyństwo przyszło łatwo.

Z Ajeshem było inaczej. Nie odczuwał ochoty, żeby się ustatkować, i nigdy nie miał dziewczyny dłużej niż pół roku. Jego nieprzewidywalność sprawiała, że Kate nie czuła wyrzutów sumienia, gdy nie oddzwoniła albo nie odpisała na maila. Pojawiał się w jej życiu i znikał w nieregularnych odstępach – wracając a to z wędrowni po Bhutanie, a to znowu z ajurwedyjskich medytacji w Somerset. Jakaś tam wąta nic nigdy nie zerwała się do końca.

Kiedy Kate zadzwoniła, a on odebrał i po raz pierwszy od wieków znów usłyszała jego głos, zdała sobie sprawę z tego, jak samotna się czuje i jak bardzo tęskniła za jego bałamutnym, anarchistycznym luzem. Wszystko wokół stało się zbyt poważne. Potrzebowała go, żeby przypomniał jej, że istnieje jako osoba, jako ona sama. Że jest interesująca i dowcipna, a nie tylko pełna lęków i fiksacji.

Kiedy spotkali się na kawie na Southbank, opowiedziała mu o swoich spięciach z Annabelle, nie wdając się w szczegóły problemów z Marisą. Uwielbiała go, ale nie do końca mu ufała. Oboje z Jakiem zgodzili się, że im mniej ludzi wie o kryzysie Marisy, tym lepiej. Cała sprawa była wystarczająco niepewna i bez zbędnej interwencji z zewnątrz. Powiedziała tylko oględnie, że Marisa jest na wsi u rodziców Jake'a, bo chcieli, żeby wyjechała z Londynu na świeże powietrze. Dodatkowy plus był taki, że utrzymywali kontakt, nie siedząc sobie wzajemnie na głowach. Zrelacjonowała mu również najświeższe wybryki Annabelle.

– Laska, wykończysz się w towarzystwie takich toksycznych ludzi – orzekł.

Siedzieli na tarasie Royal Festival Hall, żeby mógł zapalić.

– Chcesz? – spytał, zwijając cienkiego papierosa.

Trochę wiało, a mimo to skleił go z wypraktykowaną łatwością, nie roniąc ani jednego listka tytoniu. Na studiach Ajesh był znany z tego, że robił najlepsze skręty na imprezach. Mówił o nich, że są „nabite, ale z klasą”. Wkrótce cała grupa zaczęła to skracać do „NAZK”.

– Nie, dzięki – rzuciła i niemal natychmiast zmieniła zdanie. Chciała znowu być młodszą sobą, tą sprzed dzieci i dysfunkcyjnych surogatek.

Tą, która nie miała problemu z paleniem skrętów, bo były fajne i stylowe. Jak z francuskich filmów. – Albo dobra, daj.

Wręczył jej papierosa, którego właśnie skręcił, i podał ogień. Zaciągnęła się. Nikotyna walnęła ją w czachę, dudniąc w synapsach. Kate poczuła zawrót głowy. Myśli rozwinęły macki niczym ukwiały.

– Wow! – sapnęła. – Wyszłam z wprawy.

Ajesh się roześmiał.

– Ale wiesz, że to nie trawa?

– No raczej. Nie jestem kompletną lamą.

– Nigdy nie twierdziłem, że jesteś. Zawsze byłeś najfajniejsza z nas wszystkich.

– Jasne...!

– Poważnie. Jake ma szczęście, że cię wyrwał. – Ajesh patrzył na nią przez chwilę. – Sporo przeszłaś, Kate – powiedział w końcu. – Ta twoja Annabelle wygląda mi na prawdziwą sukę. Wiesz co? Pierdol babę. Najważniejsze, że za kilka miesięcy będziesz mamą. I to jest super. Naprawdę super.

Zaciągnęła się ponownie. A potem znowu.

– Będzie okej – dodał.

– Naprawdę tak myślisz?

– Lepiej niż okej. Będzie cudownie. Masz zadatki na wspianiałą mamę, a Jake na najfajniejszego tatę świata. Musisz tylko wytrzymać, a potem będzie już z górki. Zaufaj staremu wujkowi Ajeshowi.

Uśmiechnęła się do niego. Miał dar. W jego obecności zawsze czuła się jak ktoś niezwykły, kto poradzi sobie ze wszystkim, czego się podejmie. Miło było przypomnieć sobie to uczucie.

– Jesteś słodki. Dzięki.

Oparł się w krzesło, stawiając kołnierz i krzyżując ręce na piersi. Miał na sobie zamszową kurtkę, szary kaszmirowy szalik i czarne dżinsy wsadzone luźno w wielkie wojskowe buciory.

– Jasne – powiedział, wypuszczając kółko z dymu. – Od czego ma się przyjaciół, co nie? Lepiej powiedz, że zostanę ojcem chrzestnym.

– Masz to. Umowa stoi.

– Mówię ci, trzymaj się z daleka od tej całej Annabelle. Wyłącz jej fonię. – Wykonał ręką gest, jakby przyciszał radio.

– Masz rację. – Rzuciła niedopałek na ziemię i rozgniotła butem.

- Jesteś dzieckiem wszechświata, a on bez wątpienia jest na dobrej drodze - dorzucił Ajesh.

- Kiedy ty się zrobiłeś taki mądry?

- Uczciwie mówiąc, to nie ja. Max Ehrmann.

Ryknęli śmiechem. Ajesh odprowadził ją do metra, obejmując ramieniem. Weszła do domu lekka na duchu. Nie czuła się tak od miesięcy. Kiedy Jake wrócił, powitała go w drzwiach, pocałowała w usta i przytuliła się do niego z całej siły. Chyba się ucieszył, bo odtąd zaczęło im być nieco łatwiej.

\*

Po upływie siedmiu i pół miesiąca ciąży Annabelle zaskoczyła ich, proponując zorganizowanie baby shower.

- Pomyślałam sobie, że byłoby miło - rzuciła podczas rozmowy telefonicznej. - Są teraz takie popularne.

- Eee... - zająknęła się Kate. - No... dobrze.

Prawdę mówiąc, nie potrafiła sobie wyobrazić niczego bardziej kliwego i na pokaz niż baby shower.

Nawet Jake uważał, że to idiotyczne.

- W życiu nie słyszałem o czymś, co byłoby bardziej nie w stylu mamy - stwierdził, kiedy Kate mu doniosła o wszystkim. - Dawniej nie akceptowała nawet walentynek. Narzekała, że to import z Ameryki.

Oczywiście wyrazili zgodę, bo propozycja wyszła od Annabelle, a oni musieli być mili. Przynajmniej do czasu, aż urodzi się dziecko.

Tym razem samochód był załadowany po dach. Sześć niebieskich balonów z helem, tort z błękitnym lukrem i ozdobnym napisem „Czekamy na chłopca” - wszystko to Annabelle zamówiła online w Londynie, uznając miejscowe sklepy za niegodne uwagi.

- Dlaczego, na litość boską, nie zamówiła tego z dowozem? - pytała Kate.

- Powiedziała, że tort słabo zniesie transport.

- A balony?

- Odbiło jej - orzekł Jake, kiedy wyjeżdżali z Richborne Terrace. Usiłował dojrzeć coś w lusterku przez sterty kłopotów wypełniających wnętrze auta. - To musiało kiedyś nastąpić.



Baby shower było niebezpieczne przez swoje założenia. To tak, jakby kusić los, żeby odebrał to, czego najbardziej się pragnie. Kate dopiero w zeszłym tygodniu przyznała się w pracy, że oczekuje dziecka. Trudno było wyjaśnić kolegom, że owszem, zostanie mamą, i nie, technicznie rzecz biorąc, to nie ona.

- Wow - powiedziała Monique, jej asystentka. - Ekstra.

- Naprawdę? - zdziwiła się Kate, mocno zaskoczona.

Spodziewała się pytań, wytrzeszczania oczu, może nawet lekkiej dezaprobaty. Ale wszyscy od razu zaczęli ją wspierać i zaakceptowali jej sytuację jakby nigdy nic. Kate nie bardzo potrafiła się w tym odnaleźć.

- No - odparła Monique. - To zajebiste, kiedy kobieta wie, czego chce, i po prostu to sobie bierze.

- To trochę bardziej skomplikowane - powiedziała łagodnie Kate - ale dzięki. To wiele dla mnie znaczy.

Nawet wtedy się martwiła, czy nie wyrwała się z tym za wcześnie. Wciąż coś mogło pójść nie tak. Marisa zmieni zdanie i nie będzie chciała oddać dziecka. Będzie miała kolejne załamanie albo wydarzy się cokolwiek innego, co zrujnuje przyszłość, której tak pragnęli. Jak miała im wszystkim to wytłumaczyć? Baby shower było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę.

Dotarli na miejsce krótko po dwunastej.

- Jezu - rzucił Jake. - Nie wierzę.

Kate podążyła za jego spojrzeniem i wtedy to zobaczyła. Nad drzwiami wisiał transparent. Srebrnobłękitne litery zwisające ze sznurka głosiły: „Już wkrótce!”.

Zaczęła się śmiać, Jake jej zawtórował i już nie byli w stanie się pohamować. Jake rechotał zgięty wpół, wsparty rękami o kolana, ona ocierała łzy z oczu. W tym momencie drzwi się otworzyły i stanęła w nich Annabelle.

- Co tu się dzieje, na Boga? - spytała. - Dobrze się czujecie?

- Tak, tak. - Jake wziął się w garść. - Cześć, mamó. A tak przy okazji: świetny banner.

Kate zagryzła wargi, żeby jeszcze raz nie parsknąć śmiechem.

- A, to. - Annabelle machnęła ręką. - Taki żarcik. Chris znalazł go w wiejskim sklepiku, uwierzycie? Mają tu takie rzeczy!

- Katering na każdą możliwą okazję - stwierdziła Kate półgłosem.

Annabelle zerknęła na nią w ten swój typowy sposób, jakby dopiero zauważyła jej obecność.

- Co takiego?

- Niezła okazja - powiedziała Kate głośniej.

Annabelle miała na sobie przejrzystą szatę do ziemi, składającą się jakby z kilku płatów tkaniny zebranych razem i umocowanych węzłem na karku. Wyglądała niczym posąg greckiej bogini - z gatunku tych kilkunastometrowych kolosów, które stawiano na Akropolu.

- Wejdźcie, wejdźcie. W salonie już wszystko przygotowane. Marisa tak się cieszy na spotkanie z wami. Kochana dziewczyna!

Kate stanęła jak wryta. Spojrzała na Jake'a, który odwrócił wzrok i spuścił głowę. Wiedziała, że też to słyszał i nie wie, co ze sobą zrobić. Kochana dziewczyna? W stosunku do niej Annabelle nigdy nie była taka wylewna.

Jake wyciągnął rękę do Kate. Ona nie podała mu swojej. Weszli do salonu, gdzie Chris umościł się w swoim fotelu.

- No to jesteśmy w komplecie - rzekł, wstając, żeby się przywitać.

Marisa siedziała z boku na kwiecistej sofie. Miała na sobie luźną niebieską sukienkę, której Kate wcześniej nie widziała. Nie wstała, kiedy Kate do niej podeszła.

- Wybacz - zaszczebotała. - Ale ciężko mi się teraz zebrać z sofy.

Istotnie, ciężowy brzuch sterczący na pół metra do przodu - jawny symbol bezdyskusyjnej kobiecości - z dumą prezentował się zgromadzonym. Marisa nadstawiła policzek najpierw Jake'owi, a potem Kate, którą złapała za rękę, gorączkowo szepcząc:

- Dobrze, że jesteś. Dziecko może przyjść na świat lada dzień.

Kate pokiwała głową, zgrzytając zębami. I choć miała zamiar być powściągliwa w obecności Marisy, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że jej brzuch przyciąga ją niepowstrzymanie niczym krawędź wodospadu. Położyła na nim rękę, czując ciepło. Był twardy i napięty. Nagle, bez ostrzeżenia, coś poruszyło się pod jej lewą dłoń.

- O proszę, ktoś tu domaga się uwagi! - zaśmiała się Marisa. - Kopał przez całą noc. Prawie nie zmrużyłam oka.

Serce Kate zabiło mocniej. Jej dziecko dawało znak, że wie, iż tu jest. Ona. Jego matka. Prawdziwa matka.

- Pamiętam, że Jakey był taki sam - wtrąciła Annabelle. - Ciągle kopał. Prawda, Chris?

- Mmm.

- Byliśmy pewni, że zostaniesz rugbystą - dodała, bawiąc się kolczykiem i patrząc w przestrzeń.

- Mogę dotknąć? - zapytał Jake, przyklękając obok.

Kate niechętnie odsunęła się na bok i on też położył rękę na brzuchu Marisy. Patrzyła na znajome palce z krótko obciętych paznokciami, spoczywające teraz na ciele innej kobiety. Odwróciła się i spytała Chrisa, czy może dostać drinka. Chris odparł, że oczywiście i co za gapa z niego. Zrobił jej dzin z tonikiem. Podwójny. A może i potrójny.

- Przywieźliście tort? - zapytała Annabelle.

- Tak - odparła automatycznie Kate. - I balony. Naprawdę, Annabelle, nie trzeba było robić sobie kłopotu.

- No właśnie - poparła ją Marisa.

Kate uśmiechnęła się do niej, ale Marisa odwróciła spojrzenie. Jake klęczał nadal, trzymając rękę na jej brzuchu. Patrzenie na tych dwoje było niczym wkładanie ręki w płomień, ale Kate nie mogła się powstrzymać.

Marisa się uśmiechnęła, jej twarz znowu przybrała ten nieobecny, odległy wyraz, a Kate po raz kolejny odniosła wrażenie, że prawdziwa Marisa jest uwięziona gdzieś głęboko pod tą miłą i uprzejmą skorupą. Jakby była owinięta w folię ochronną. Mówiła i robiła wszystko co trzeba i jak należy, ale mimo to coś tu było nie tak.

Jake przyniósł zakupy z samochodu i wkrótce pomieszczenie wypełniły lewitujące niebieskie kule. Tort stanął na stoliku pośrodku pokoju. Annabelle klasnęła w dłonie i zniknęła na chwilę, by pojawić się znowu z tacą, na której niosła butelkę szampana w wiaderku z lodem i pięć kieliszków.

- Wypijesz kieliszek, prawda, Mariso?

Kate głośno jęknęła. Była tak przerażona wizją Marisy, która pije alkohol, nosząc jej dziecko, że nie mogła się powstrzymać. Marisa się odwróciła i spojrzała na nią. Przesuwała oczy powoli jak jaszczurka.

- Nie, dzięki, Annabelle. Zostanę przy soku z czarnego bzu.

- Na pewno? Jeden kieliszek nie zaszkodzi...

- Przecież powiedziała, że nie chce! - Kate podniosła głos.

Annabelle zacisnęła wargi. W milczeniu otworzyła butelkę. Korek szybował przez pokój, Chris wołał: „Uwaga!” i wszyscy się śmiali. Wszyscy prócz Kate, która nagle straciła humor.

Kiedy skończyła dzin, przyjęła od Annabelle kieliszek szampana i wychyliła łyk, upominając się, że musi uważać. Owszem, korciło ją, żeby utopić w alkoholu niezręczną atmosferę, powinna jednak zachować trzeźwą głowę. Chciała coś powiedzieć, ale miała wrażenie, że w gardle utknął jej jakiś kłak. Popatrzyła na Jake’a i jego rodziców, potem na Marisę i zdała sobie sprawę, jak podobna fizycznie jest cała czwórka. Wszyscy jasnowłosi i wysocy. Niebieskie oczy Annabelle i takie same u Marisy. Mocny podbródek Jake’a odziedziczony po ojcu. Idealni przedstawiciele nowej aryjskiej rasy, wymarzony materiał na plakat propagandowy. Tylko ona stała na uboczu, ciemna i krnąbrna. Nagle wyobraziła ich sobie w postaci czterech kłapiących paszczami aligatorów, które okrążają intruza w jednoznacznie złowrogich zamiarach.

- No dobrze. - Annabelle usiadła, z wdziękiem krzyżując nogi. - Sądzę, że przyda się toast.

Eleganckim ruchem smukłego ramienia uniosła kieliszek.

- Przebyliśmy wszyscy długą drogę, by znaleźć się w tym miejscu, ale chcę wznieść toast za naszego chłopca. Nie możemy się doczekać, by go powitać.

Wypowiedziane od niechcienia „naszego” zraniło Kate jak ukłucie żądłem. Przygotowała się, żeby wznieść kieliszek, ale Annabelle jeszcze nie skończyła.

- I wznoszę toast za Marisę - ciągnęła, puszczając do niej oko. (Tak, naprawdę, Kate wcale się nie przywidziało!) - Dzięki, że dajesz tym dwojgu tak drogocenny dar. Nie była to dla ciebie łatwa droga, jak wszyscy wiemy... - Tu zrobiła znaczącą pauzę. - Ale pokonałaś ją i wszyscy jesteśmy bardzo szczęśliwi, że nasze ścieżki się spotkały.

- Zgadza się - potwierdził Chris.

Jake uniósł kieliszek z szerokim uśmiechem. Marisa siedziała, jaśniejąc, na sofie, dumna niczym papież na swoim balkonie. Tylko Kate nie przyłączyła się do toastu i nikt się z nią nie stuknął.

- Nie miałam pojęcia, że Marisa dołożyła starań, żeby stać się dla was niezastąpiona - rzuciła. Miało to zabrzmieć lekko i dowcipnie, a wbrew zamiarom wyszło zjadliwie.

- Nie, nie - zaprotestowała łagodnie Marisa. - Wcale tak nie było. Jestem bardzo wdzięczna, że pozwoliliście mi tu zamieszkać. Naprawdę.

- I ja się cieszę, że mam cię przy sobie - odpowiedziała Annabelle. - Bardzo nam pomogłaś w przygotowaniach do festynu.

- Takie tam...

- Nonsens. Nie ma tu wiele osób dostatecznie cierpliwych i powiedzmy szczerze, utalentowanych, żeby wymalować wszystkie plakaty i ulotki. Proboszcz był zachwycony.

Chris, napełniając ponownie kieliszek Kate, dorzucił żartobliwie:

- A wszyscy wiemy, jak ważne jest, żeby zadowolić proboszcza.

Marisa i Annabelle parsknęły perlistym śmiechem.

- Przepraszam. - Annabelle machnęła ręką. - To zbyt złożone, żeby tłumaczyć.

Jake, unosząc kąciki warg w sposób, który w razie konieczności mógł zostać uznany za uśmiech, sięgnął po nóż do tortu.

- Tniemy? - spytał raptownie.

Podetnij im cholerne gardła - pomyślała Kate.

- Tak, tak. Poproszę. - Annabelle się opamiętała. - Talerzyki i serwetki są tam.

Kate obserwowała, jak Jake zdecydowanym ruchem kroi ciasto. Czubek noża dotknął jednej z liter, a potem stuknął, kiedy zetknął się z powierzchnią patery. Jake nałożył trójkątne kawałki na talerzyki i je rozdał. Tort był przesadnie słodki i puszysty, samo powietrze. Ciągający się lukier przypominał klej do tapet. Węglowodanowy strzał trafił Kate prosto między oczy. Głowa zaczęła ją boleć jak wtedy, kiedy zbierało się na burzę.

Ze wszystkich rzeczy, jakie mogła sobie wyobrazić, kiedy prosili Marisę, żeby została ich surogatką, tego jednego scenariusza się nie spodziewała. To, że Marisa przestanie brać leki i uroi sobie, że jest z Jake, a potem napadnie Kate w przedpokoju, byłoby łatwiejsze do przewidzenia niż szopka, której była teraz świadkiem. Annabelle - kobieta, która nigdy tak naprawdę nie pogodziła się z istnieniem Kate; która cały czas uważała, że ukochany syn zasługuje na kogoś lepszego - śmiała się i przerzucała żarcikami z Marisą, jakby się znały od lat. Ewidentnie nadawały na tych samych falach. Kate widziała, jak Marisa rozkwita pod wpływem uwagi, którą otacza ją Annabelle. Widziała, jak An-

nabelle w towarzystwie Marisy młodnieje i nabiera życia, co dało się dostrzec w jej ruchach. Chris też jakby ożył: pochylał się do przodu, żeby lepiej słyszeć, o czym rozmawiają. Pytał Marisę, czy jej wygodnie, czy nie chce jeszcze jednej poduszki.

Kate usiłowała złowić spojrzenie Jake'a i przekazać mu telepatycznie swoje obawy, ale miała wrażenie, że Jake jej unika. Poruszał ustami – zdała sobie sprawę, że on też uczestniczy w rozmowie. W głowie jej szumiało, nie słyszała, o czym mówią. Próbowwała uspokoić oddech, ale miała wrażenie, że ktoś wyżyma jej płuca niczym gąbkę. Na ścianie nad sofą wisiał obraz olejny przedstawiający nadmorski klif. Fale rozbijały się o szare skały. Kate skupiła wzrok na śladach pędzla, dopóki atak paniki nie minął. Wstała i nogi się pod nią ugięły. Musiała się złapać oparcia krzesła.

- Mój Boże, chyba nie wypiliśmy aż tyle? – zdziwiła się Annabelle, bacznie ją obserwując.

- Dobrze się czujesz? – spytał Jake.

- Tak – odpowiedziała. – Muszę do toalety.

Wyszła z salonu w przyjazny chłód przedpokoju. W toalecie pod schodami opryskała twarz zimną wodą, a potem długo trzymała dłonie pod kranem. Wytarła ręce w ozdobiony monogramem ręcznik wiszący przy umywalce. Kiedy otworzyła drzwi, słyszała, że pozostała czwórka rozmawia w salonie. Głosy docierały do niej jak kamyki ślizgające się po powierzchni wody przy puszczaniu kaczek. Czuła się jak wtedy, kiedy była dzieckiem i rodzice zapraszali znajomych na kolację. Miała spać, a zamiast tego zerkała spomiędzy tralek balustrady przy schodach, co się dzieje na dole. Czasami matka nakrywała ją na tym i kazała jej wracać do łóżka. Tuptała więc bosą do siebie, ale nie mogła zasnąć, rozgoryczona, że nie może uczestniczyć w tym, co tam robią. Że jej nie zaproszono.

W korytarzu znienacka pojawiła się Annabelle.

- A, tu jesteś. – W półmroku wydawała się wyższa jeszcze o kilka cali.

Kate cofnęła się odruchowo.

- Zastanawialiśmy się, gdzie się podziewasz – dorzuciła Annabelle.

Nie uśmiechała się. Jej budząca grozę twarz była zwrócona do Kate półprofilem, a suknia lśniła niczym topniejący lód.

- Przepraszam. Nie miałam pojęcia, że to tyle trwa. - Zmusiła się, żeby spojrzeć Annabelle w oczy. Nie chciała zdradzić, że jej obecność ją onieśmiela.

- Idę po sok dla Marisy - oznajmiła tamta, omijając ją w drodze do kuchni.

Kate poszła za nią, nie chcąc, żeby jej uciekła. Miała Annabelle coś do powiedzenia, tylko nie bardzo wiedziała co. Była tak wściekła na tę babę za jej intrygi, za jej ingerencje, że musiała skrzyżować ręce na piersi, żeby dosłownie nie eksplodować.

Annabelle wyjęła z lodówki butelkę wody San Pellegrino. Potem sięgnęła do szafki po szklanę, którą napełniła kostkami lodu z silikonowej tacki. Poruszała się z wdziękiem. Jej ramiona przypominały skrzydła i w ogóle nie zwracała uwagi na Kate stojącą w drzwiach z jedną nogą w kuchni, a drugą wciąż w przedpokoju.

Kate nie miała gotowego scenariusza, ale zrodził się sam, nie dając jej nawet czasu, żeby go przemyśleć.

- Annabelle - wypaliła - jeśli myślisz, że uda ci się wyprowadzić mnie z równowagi tymi gierkami, które uskuteczniasz, to bardzo się mylisz.

Annabelle znieruchomiała. Opróżniona do połowy butelka wody zawisła w powietrzu. Jej twarz również stężała, wyprana z wszelkiego wyrazu.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- O Marisie. Mówię o Marisie. Nagle bardzo się... zaprzyjaźniłyście.

Tamta zaśmiała się cicho.

- Chyba zapominasz, że od dłuższego czasu razem mieszkamy - odparła spokojnie. Każde słowo padało z chłodną precyzją. - A stało się tak, ponieważ nie umiałaś sobie poradzić z sytuacją, w którą się wpakowałaś.

- Nie o to chodzi...

- Bądź tak łaskawa i pozwól mi skończyć. - Annabelle z hukiem postawiła butelkę na stole. Była zła. Miała blade i ściągnięte wargi, a na szyi wystąpiły jej żyły.

Kate zdała sobie sprawę, że nigdy nie widziała jej naprawdę rozjuszonej. Och, Annabelle była mistrzynią w pełni kontrolowanych pasywno-agresywnych starć, kiedy trafiała z daleka w czułe punkty prze-

ciwnika, celnie jak snajper. Ale nigdy nie zniżyła się do tego, żeby pokazać po sobie niekontrolowaną furję. Do teraz. Teraz dosłownie się gotowała. A Kate, która w końcu doczekała się jej uwagi, nie bardzo wiedziała, jak się zachować.

- Chris i ja zrobiliśmy, co w naszej mocy, narażając się na Bóg wie jakie ryzyko, żeby zaopiekować się tą biedną dziewczyną, póki nie wróci do zdrowia...

- Biedną dziewczyną? - spytała Kate z niedowierzaniem.

- Tak. Biedną dziewczyną, którą wykorzystłaś, zaślepiona obsesją posiadania dziecka.

Szok był tak silny, że w oczach Kate wezbrały łzy.

- To nieprawda.

- Prawda. Wiem od Jake'a, jaka byłaś nieznośna. Nigdy nie był w stanie cię zadowolić. - Annabelle zaczynała się rozkręcać. Słowa padały szybkim staccato niczym salwy plutonu egzekucyjnego. - Musiało być oczywiste, że Marisa jest w nie najlepszym stanie, ale ty się uparłaś, żeby zamieszkała z wami, gdzie będziesz miała na nią oko. A potem byłaś zdziwiona, że ją to przerosło. Naprawdę, Kate, co ty sobie wyobrażałaś?

Kate zwiesiła głowę. Rzeczywiście, powinna była się zorientować. To ona naciskała Jake'a, żeby się zgodził. Tak bardzo wierzyła, iż Marisa jest idealną kandydatką, że zignorowała sygnały alarmowe.

Annabelle bynajmniej nie zamierzała jej pocieszać. Zamiast tego zrobiła dwa długie kroki i znalazła się tuż przy niej. Obniżyła głos do szeptu, bardziej złowrogiego niż krzyk.

- To dziecko i tak nie jest twoje - syknęła, opryskując jej twarz drobnymi kropelkami śliny. - Nie w sensie biologicznym. Dla wszystkich to oczywiste, że Jake i Marisa pasują do siebie znacznie lepiej niż wy dwoje.

- Co...? - Kate potrząsnęła głową, jakby chciała się pozbyć dokuczliwego brzęczenia.

- No popatrz na nich, moja droga. - Usta Annabelle wykrzywiły się w dziwnym uśmiechu. - Pasują do siebie jak połówki jabłka, nie sądzisz? Musiałaś to chyba zauważyć.

Kate kręciło się w głowie. Miała wrażenie, że podłoga kuchni usuwa jej się spod stóp. Zrobiła krok w tył i wyrznęła plecami o ścianę. Impet



uderzenia poruszył kartkami w kalendarzu. Przypomniała sobie liczne „J”. Nie chciała dopuścić do siebie tej myśli, ale gdzieś w mrocznej głębi wyparcia zawsze wiedziała.

- Jake spędził z nią mnóstwo czasu. - Tamta najwyraźniej czytała jej w myślach. - Nie jesteś chyba aż tak ślepa. Daj spokój, Kate. Przyjeżdżał tu niemal co tydzień. Zżyli się. I między nimi naprawdę iskrzy.

- Co? Sądziłam, że Marisa nie chce, żebyśmy ją odwiedzali...

Annabelle przechyliła głowę w parodii współczucia.

- Nie chciała, żebyś ty ją odwiedzała. Długo rozmawiałam o tym z Jakiem i uznaliśmy, że tak będzie lepiej.

Kate przypomniała sobie spa i jego nagły wyjazd. Zrozumiała, że był tutaj. Wszystkie te nagłe nieobecności wymuszone przez pracę... Cały czas jeździł tu, do Marisy. Przycisnęła dłonie do ściany, pragnąc, żeby się rozstała i ją pochłonęła.

- ...aż miło było patrzeć - mówiła Annabelle. - Z Marisą tak przyjemnie się rozmawia. Prędzej czy później Jake zda sobie sprawę...

Urwała, jakby wymsknęło jej się za dużo. Nie musiała kończyć. Kate doskonale mogła sobie dopowiedzieć resztę. Prędzej czy później Jake zda sobie sprawę, że powinien być z Marisą. Matką swojego dziecka. To tylko kwestia czasu, kiedy Kate straci wszystko.

Odwróciła głowę, przyciskając policzek do chłodnego kamienia. Zamknęła oczy, z których płynęły łzy. Chciała je powstrzymać, ale nie potrafiła. Chciała zagłuszyć głos Annabelle, ale nie potrafiła. Chciała mieć siłę, żeby się jej przeciwstawić, ale zdruzgotała ją prawda tych słów. Nigdy nie była dla Jake'a dość dobra, bystra, czarująca, jasnowłosa i płodna. Annabelle właśnie to potwierdziła. Kate nie nadaje się na matkę jego dzieci. W gruncie rzeczy w ogóle nie nadaje się na matkę. Jest wadliwa, niepełnowartościowa. Annabelle od razu wyczuła w niej tę słabość i niestrudzenie szła tym tropem, aż w końcu zapędziła ją tu, skąd nie było ucieczki. Tak - pomyślała Kate. Masz rację. Nie pasuję do was. Nigdy nie pasowałam.

Osunęła się po ścianie na podłogę. Zdała sobie sprawę, że nie ma już sił. Nie da rady dłużej walczyć. Ostatni rok wyssał z niej wszystko. Przez ułamek sekundy wyobrażała sobie, że całkiem znika. O ile łatwiej byłoby wszystkim, gdyby po prostu przestała istnieć.

Annabelle najspokojniej w świecie zakrzętnęła się po kuchni, przygotowując sok dla Marisy. Potem poprawiła włosy, zakładając je za uszy. Królowa wojowniczką szykowałą się do ostatecznej szarży.

- Marisa i ja zbliżyłyśmy się do siebie, ponieważ ta dziewczyna nie ma matki - powiedziała, stając nad Kate niczym zjawa. - Nie powinno cię to dziwić. - Urwała, chcąc się przekonać, czy Kate słucha. - Ale może zrozumiesz to dopiero wtedy, gdy będziesz miała własne dzieci.

Zabrała szklankę i przeszła obok, szeleszcząc suknią. Kate nadal siedziała na podłodze. Czuła przenikliwe klucie z boku brzucha. Ostry miesięniowy ból przypominał jej niezliczone badania USG w czasie terapii niepłodności. Lekarz prowadził głowicę pod różnymi kątami, naciskając mocno, żeby lepiej uwidocznic to jeden, to drugi jajnik. Doznanie nie przypominało niczego, z czym miała do czynienia wcześniej. Chodziło nie tyle o natężenie bólu, ile o to, że ból drażył, zostawiając po sobie pustkę. Rozprzestrzeniał się w dół, do pachwiny. Zmuszał, by zaciskała zęby, aż do momentu gdy czuła, że zaraz zemdleje. Wtedy lekarz zabierał głowicę i podawał jej papierowy ręcznik, żeby się wytarła. Echo bólu słabło.

Teraz znów go czuła. Tym razem promieniował do piersi, ramion, a kiedy sięgnął gardła, wreszcie rozpoznała, czym jest. Siłą. W nagłym olśnieniu zrozumiała, że jest silna właśnie dzięki bólowi, który zniosła. Może to zrobić. Dźwignęła się z podłogi.

Pieprzona Annabelle. Nie ujdzie jej to na sucho.

Wyszła na korytarz i wróciła do salonu, gdzie tamta właśnie się pochylała, stawiając na stoliku szklankę musującego soku. Marisy nie było. Na sofie leżała zgnieciona poduszka. Jake i Chris spojrzeli na Kate, kiedy weszła. Annabelle nawet się nie odwróciła.

- Wszystko w porządku? - zaniepokoił się Jake.

- Gdzie Marisa?

- W łazience. Na pewno wszystko w porządku?

Kate go zignorowała. Oczywiście duszy widziała obracający się bębenek rewolweru. Odciąga kurek. Unosi broń do oka. Celuje, kierując wylot lufy prosto w czoło Annabelle.

- Chciałabym, żebyś powtórzyła im to wszystko, co mówiłaś w kuchni - powiedziała głośno.

Annabelle wyprostowała się z westchnieniem.

- Na litość boską, co znowu? - Odwróciła się na pięcie i stanęła twarzą w twarz z Kate. - Nie wiem, o co ci chodzi.

Kate była pod wrażeniem jej opanowania. Twarz Annabelle wydawała się młodsza i gładsza, jakby bezwzględny atak sprzed chwili dodał jej wigoru.

- Doskonale wiesz, o czym mówię.

Annabelle wzruszyła ramionami i rozłożyła ręce w bezradnym geście.

- Naprawdę nie mam pojęcia. Wiem tylko, że cokolwiek powiem lub zrobię, z jakiegoś powodu cię to irytuje. I szczerze mówiąc, jestem o krok od tego, żeby się poddać. Najwyraźniej nie jestem w stanie cię usatysfakcjonować. Widzisz? - dodała, zwracając się do Jake'a. - Właśnie o tym mówiłam.

Aha, więc nie raz i nie dwa rozmawiali o niej za plecami? Co za okazja, żeby zasiać ziarno zwątpienia i nieufności! Annabelle musiała świetnie się bawić, tak nimi manipulując. Rozkładając swoje żetony na zielonym stoliku niczym szuler w kasynie. Mogła to sobie swobodnie wyobrazić. Annabelle, czcicielka genetycznej ciągłości, uknuła intrygę, żeby zastąpić ją Marisą. Wmówiła synowi, że Kate nie powinna odwiedzać Marisy, by jej nie stresować. A z kolei Marisie musiała opowiadać niestworzone historie o stanie psychicznym Kate.

- Co ci nagadała? - Kate napadła na Jake'a, wojowniczo wysuwając szczękę.

Już otwierał usta, żeby się odezwać, ale zmilczał. Wyglądał jak nie-szczęśliwy, zagubiony mały chłopiec, którego wciąż chciała w nim widzieć Annabelle. Jej wpływ na niego i władza nad nim były silniejsze, niż Kate mogła przypuszczać. Teraz widziała, że Jake zwyczajnie się boi matki. Że to ona musi stanąć za niego do tej konfrontacji.

- To koniec, Annabelle - oświadczyła. - Gra skończona. Przejrzałam cię.

- Gadasz bzdury.

- I jeśli będę miała cokolwiek do powiedzenia, nigdy nie zobaczysz swojego wnuka. - Słowa zbierały się i kipiały z brutalną zaciekłością. - Nie pozwolę ci się do niego zbliżyć, ty jadowita stara wiedźmo.

Annabelle zrobiła dwa kroki w jej stronę, zaciskając pięści i obnażając zęby. Kate była pewna, że tamta ją uderzy, ale wtedy Chris zerwał

się z fotela, strącając na podłogę szklanke, i złapał żonę za łokieć.

- Daj spokój - powiedział, usiłując ją posadzić. Najwyraźniej chciał uniknąć nieeleganckiej burdy.

Annabelle strąciła jego rękę.

- Puszczaj - syknęła z wściekłością.

Usiadł z powrotem. Jego twarz się skurczyła i pomarszczyła jak kożucha, którą miał na sobie. Uniósł brwi i spojrzał na Kate. Wiedziała, że to coś na kształt przeprosin, ale to jej nie wystarczało. Nie mogło wynagrodzić złości, wrogości i wyniosłości, jakie okazywała jej Annabelle od pierwszego spotkania.

- Powiedziałaś mi w kuchni, że Jake'owi i Marisie jest lepiej beze mnie - podjęła. - Że to Marisa jest prawdziwą matką. Biologiczną. A ja jestem nieznośna i wcale się nie dziwisz, że Jake spędzał tu tyle czasu w tajemnicy przede mną.

Zapadła cisza. Kate czuła, jak płoną jej policzki. Chris, schylony po szklanke, zamarł z wyciągniętą ręką. Jake, blady jak ściana, podszedł do Kate.

- Kate, ja...

- Nie chcę teraz o tym słuchać - ucięła.

Stanął bezradnie na środku pokoju. Kate nie spuszczała wzroku z niebieskich oczu Annabelle. Ta zamrugała, jakby miała zaraz się rozpłakać, ale odwróciła głowę, odsłaniając bladą wiotką szyję. Patrzyła przez okno na podjazd i rzędzący skrawek lasu. Nagle rozległ się szmer przypominający szelest liści albo szum płynącej wody. Kate z przerażeniem zdała sobie sprawę, że Annabelle się śmieje. Śmiech narastał, nabierał mocy, drażnił w panującej w pokoju ciszy. W zderzeniu z zastygłą twarzą i nieruchomym wzrokiem Annabelle, jej srebrzystymi martwymi oczami śniętej ryby, czynił ją jeszcze bardziej przerażającą.

- Co za kompletna bzdura - powiedziała w końcu. - Jake, od jakiegoś czasu próbowałam dać ci do zrozumienia, że martwię się o zdrowie psychiczne Kate, prawda? Potrzebujesz jeszcze jakichś dowodów?

- Mamo, to nie...

- Nie mogę uwierzyć, że wymyśliłaś tę nedorzeczną... historyjkę - ciągnęła. - I ty masz czelność wściekać się na mnie? Na mnie? Tyle dla ciebie zrobiłam... Nawet jeśli nie zawsze cię rozumiałam, to... Po prostu

nie wiem, co mogłabym jeszcze... - Oczy Annabelle zaszklily się z żalu nad samą sobą.

Och, dobra jest - pomyślała Kate. Naprawdę jest w tym dobra.

Annabelle się zachwiała, jakby miała zemdleć, ale opanowała się w porę, by zyskać pewność, że trafi na sofę. Tam, oparta o poduszki, przycisnęła wierzch dłoni do czoła.

- Mamo, proszę cię, przestań - bąknął Jake.

- Nie ma powodu, żeby się tak denerwować - dodał Chris.

Żaden nie ruszył się z miejsca. Kate pochyliła się nad starszą kobietą. Musiała dopilnować, żeby tamta usłyszała wszystko, co miała jej do powiedzenia.

- Z moją głową wszystko w porządku, Annabelle - oznajmiła łamiącym się głosem. - Jak w ogóle śmiesz sugerować coś innego?

Annabelle kurczowo ścisnęła naszyjnik, wciskając głowę w oparcie, jakby chciała uciec przed gniewem Kate. Starła się im wmówić, że to ona potrzebuje ochrony, a nie na odwrót.

- Chris! - zakwiliła. - Proszę, pomóż mi. Nie wiem, do czego ta dziewczyna jest zdolna. Może zrobić mi krzywdę.

I wtedy nie wiadomo skąd rozległ się głos:

- Nic ci nie zrobi.

Annabelle się skurczyła, jej wzrok powędrował w lewo, po twarzy przemknął cień. Kiedy Kate podążyła za jej spojrzeniem, zobaczyła stojącą w drzwiach Marisę.

- Co powiedziałaś? - spytała.

- Że nic jej nie zrobisz - powtórzyła Marisa. - Słyszałam wszystko, co do ciebie mówiła.

Jej twarz była spokojna. Oświetlało ją światło padające z góry. Włosy lśniły złotym blaskiem.

- W kuchni - wyjaśniła. - Słyszałam dokładnie.

Półożąca na sofie Annabelle znieruchomiała.

- Byłam na korytarzu. Stamtąd wszystko słysząc. To dlatego zamykamy drzwi do kuchni, prawda, Annabelle? Dlatego i żeby nie było przeciągów. - Marisa mówiła spokojnie, ale dobitnie. Jak nauczyciel, który chce, żeby słyszano go w ostatnich ławkach. - No, powiedziałaś te wszystkie rzeczy. - Skrzywiła usta. - Przykro mi, ale to prawda.

Annabelle milczała. Naszyjnik zalśnił w świetle.

- Powiedziałaś, że ja i Jake bardzo się zbliżyliśmy i że będziemy razem, kiedy dziecko się urodzi. Powiedziałaś, że dziecko jest moje, a ja lepiej do niego pasuję.

Annabelle wydała z siebie stłumiony dźwięk, coś między warknięciem a szlochem.

- Ale prawda jest taka, że Jake przyjeżdżał tu sam, ponieważ za bardzo się wstydziłam tego, co zrobiłam Kate. To ja nie potrafiłam spojrzeć jej w oczy.

Jake sięgnął po rękę Kate. Pozwoliła mu ją ucisnąć.

- Przepraszam cię za to, Kate. - Marisa stała z opuszczoną głową, jakby nadal nie mogła napotkać jej wzroku. - Annabelle mówiła, że tak będzie lepiej, że ty...

- Już dobrze - przerwała Kate. - W porządku.

Ulga spłynęła na nią niczym fala chłodnej wody. Jake jej nie oszukał. Nie zdradził. Robił to, żeby ją chronić. Odwróciła się i zajrzała mu w twarz. Miał tak napięte rysy, że wiedziała, iż Marisa mówi prawdę.

Pokręcił głową.

- Nigdy bym... - zaczął i umilkł. Po chwili odezwał się znowu ochryplym głosem: - Nie zrobiłbym tego. Po prostu chciałem to wszystko ogarnąć.

Znów zamilkł. Kate położyła głowę na jego twardym, dającym oparcie ramieniu. Wypuściła wstrzymywany oddech.

- Wiem - szepnęła. - Teraz to wiem.

- Jakey - wtrąciła się Annabelle. - Nie słuchaj tych bzdur. To absurd. Nigdy nie mówiłam...

- Nie możesz z nas obu zrobić wariatek - ucięła Kate. - Możesz próbować z jedną, ale dwie to już przesada. - I patrząc jej prosto w oczy, dodała: - Nie sądzisz, moja droga?

Annabelle oklapła. Policzki jej się zapadły i tylko oczy emanowały gniewem.

- Och, dajcie spokój! - rzuciła tym razem do Chrisa. - Marisa jest naćpana lekami po same uszy. Nie wie, co mówi.

Chris milczał. Wyglądał na zawstydzonego.

- Wiem, co mówię. - Marisa podeszła i stanęła obok Kate, zdecydowanym ruchem odsuwając wiszący na drodze balon.

Ku zaskoczeniu Kate ta sama kobieta, która przyniosła jej tyle niepokoju i smutku, a zarazem optymizmu i nadziei na przyszłość, która w równej mierze przerażała ją, co fascynowała, zrobiła coś, czego nikt się nie spodziewał. Wzięła ją za rękę. Ale nadal mówiła do Annabelle.

- To o mnie i Jake'u, o tym, że ja jestem prawdziwą matką... to nieprawda. Dobrze o tym wiesz. Dziecko jest Kate. Zawsze było. I zawsze będzie. To Kate i Jake są rodzicami.

Kate ścisnęła jej dłoń tak mocno, jakby już nigdy nie miała puścić, i znów się rozplakała. Jake objął ją ramieniem i nareszcie zdecydował się odezwać.

- Mamo - rzekł zduszonym głosem. - To oburzające. Przyjeżdżałem tu sam, bo twierdziłaś, że tak będzie lepiej i dla Kate, i dla naszego dziecka.

Annabelle spojrzała na syna. Siedziała teraz z rękami złożonymi na kolanach i uniosła je w błagalnym geście.

- Och, Jakey - wymamrotała - myślałam, że tego chcesz. Ty i Marisa tak pięknie się dogadywaliście, więc... więc...

- Więc co? Co? Postanowiłaś nami manipulować?! - krzyknął. - Zawsze stawałem po twojej stronie. Zawsze robiłem, co chciałaś!

Głos mu się łamał. Wyglądał tak bezradnie, że Kate miała ochotę mu pomóc. Ale to była walka, którą musiał stoczyć sam.

- Tym razem posunęłaś się za daleko - powiedział. - Za daleko. Jak mogłaś zrobić coś takiego?!

- Tylko spokojnie, synu - wtrącił Chris.

Jego ugodowość w tej sytuacji wydawała się wręcz absurdalna. Kate miała ochotę chwycić go za ramiona i potrząsać, aż mężczyzna zobaczy, jak wygląda świat wokół, zamiast wierzyć ślepo w rzeczywistość, którą kreowała jego żona.

- Właśnie dlatego twoje córki nie chcą z tobą rozmawiać! - Jake podniósł głos do krzyku. - Nawet na ciebie patrzeć! Nie mogą znieść twojego widoku! Zawsze powtarzały: „Któregoś dnia sam się przekonasz, że matka jest cholerną, zapatrzoną w siebie egocentryczką, która traktuje nas wszystkich jak pieprzone pionki na szachownicy”!

- Cicho, Jake - uspokajał go Chris. - Nie trzeba tego wyciągać. Wiesz, jak to boli mamę.

- Mam to gdzieś! - Jake kopniakiem przewrócił stół; niebieski tort wylądował bezładną kupą na czerwonym dywanie. - Mnie też boli! Zraniła i mnie, i Kate w najpotworniejszy sposób, jaki...

Kate złapała go za ramię, chciała wyprowadzić z tego klaustrofobicznego domu, ale Jake wyrwał się z uścisku i zanim zdążyła go powstrzymać, podszedł do półki nad kominkiem. Wyrznął w nią pięścią i jednym gwałtownym ruchem zmiotł na podłogę wszystkie srebrne ramki. Z trzaskiem i klekotem sypały się fotografie uśmiechniętych bezzębnych bobasów, ślubów w sepii, pierwszych dni w szkole, oficjalne portrety z promocji szkolnych, zdjęcia spokojnych, uśmiechniętych twarzy dziewczynek, rodzinnych wakacji spędzonych dawno temu na łodzi u wybrzeży wysp Scilly, gdzie wiatr szczypał policzki, znacznie młodszej Annabelle w ciemnych okularach, z włosami związanymi wzorzystą chustką... Przyklejony do uszminkowanych warg uśmiech miał świadczyć, że na jej wachcie nie może się stać nic złego.

Z zakłopotaniem kręcąc głową, Chris przesiadł się na sofę i przytulił żonę. Szlochała w chusteczkę. Na zewnątrz zdążyło się zrobić ciemno. Kate wzięła Jake'a za rękę. Był spocony, jego oczy miały nieobecny wyraz. Rozmasowała mu kark. Ocknął się i zobaczyła, że do niej wraca. Wyszli z pokoju, każąc Marisie się spakować - zabierają ją ze sobą do Londynu.

Annabelle nie protestowała. Siedzieli z Chrisem na sofie, ich sylwetki stopniowo zacierał zmierzch. Dwoje niedoskonałych ludzi, związanych ze sobą przez zastarzałe wady niczym pędy bluszczu, które wrastają w szczeliny między cegłami. Których nie sposób usunąć, nie ryzykując przy tym, że dom się zawali. Ale cegły w końcu się skruszą, niszczone przez nieustanny napór pnączy, wciskających się w każde wolne miejsce. Dom i tak runie. Tak to się zawsze kończy.

Kate zamknęła za sobą drzwi do salonu. Kiedy Marisa wyszła, ciągnąc walizkę na kółkach, uściśnęła ją mocno. Nie trzeba było słów. Rozumiały się doskonale bez nich.

Wsiedli do samochodu, Kate z tyłu, żeby Marisa mogła zająć miejsce pasażera z przodu. Patrzyła, jak Jake wsuwa kluczyk do stacyjki i uruchamia zapłon, potem wyjeżdża na podjazd. Na niebie wisiał zamglony księżyc, na przedniej szybie osiadła para. Jake włączył ogrzewanie i radio. Gdy ruszyli, Kate nie obejrzała się na dom z czerwonej cegły. Pozwolila, by zniknął, rozpląnął się w niepamięci. Wyobraziła sobie wzbie-



rającą wodę, która go pochłania. Białe gzymsy, szare dachówki i okopcone kominy giną w odmęcie. Niech tonie!

Odetchnęła. Patrzyła na dwójkę siedzącą z przodu. Dwie jasne głowy, jedna przy drugiej.

Czuła, jak ciężą jej kończyny. Mogłaby teraz zasnąć, gdyby chciała. Wiedziała, że będą rozmawiać cicho, by jej nie zbudzić. Jake ściszy radio i będzie uważał, żeby nie hamować zbyt gwałtownie. Obudzi ją, kiedy dojadą na miejsce. Wejdą we troje do domu i napiją się herbaty przy stole w kuchni. I będą rozmawiać o wszystkim, co się dzisiaj wydarzyło.

Będzie bezpiecznie.

Będzie tak, jak trzeba.

Tak jakby byli rodziną.

Przy narodzinach odtwarzali hip-hop z lat dziewięćdziesiątych.

- Większość ludzi wybiera Mozarta - stwierdził doktor Abadi z dziwnym uśmieszkiem. - Wolą coś uspokajającego.

- Marisa powiedziała, że chce czerpać z muzyki siłę, poczucie, że wszystkiemu podoła - wyjaśniła Kate. - To jej pomysł, a my jesteśmy za, prawda? - Obróciła się do Jake'a, który siedział obok na jednym z nieśmiertelnych chromowanych krzeseł.

- Prawda - potwierdził z szerokim uśmiechem.

Lekarz pokręcił lekko głową, ale zdawał się raczej ubawiony niż zgorzony.

- Klient nasz pan - mruknął i zapisał coś złotym piórem w dokumentacji medycznej.

I tak Leo Christopher Sturridge przyszedł na świat przy akompaniamencie gorączkowych głosów grupy Busta Rhymes, rapującej *Thank You*. Kiedy Jake i Kate zostali zaproszeni do przecięcia pępowiny i usłyszeli pierwszy krzyk swojego syna, a położna podała go Kate, leciał Snoop Dogg. Z kolei Jay-Z stworzył tło dla sceny, gdy Jake ścisnął rękę Marisy, nie starając się powstrzymać i chyba nawet nie czując łez, które spływały mu po policzkach. Kate przytuliła synka, a Marisa spojrzała na nią, uśmiechając się mimo zmęczenia, i wtedy playlista zaordynowała TLC. Wszystko było tak piękne, że aż głupie.

- Cześć. - Kate zajrzała w usianą czerwonymi plamkami, pytającą twarzyczkę synka, podczas gdy Jake podtrzymywał obiema rękami główkę pokrytą delikatnym meszkiem. - Sporo przeszliśmy, żeby się z tobą spotkać.

Marisa z westchnieniem opadła na poduszki. Ciało miała lepkie od potu i krwi.

Kate odwróciła się do niej.

- Dziękuję - powiedziała łamiącym się głosem. - Tak bardzo ci dziękuję!

Zanim wyszła z Leo do pokoju obok, żeby przytulić go do nagiej piersi, muzyka ucichła i nastał spokój tak absolutny, jakby miał trwać wiecznie. Oboje z Jakiem nachylili się nad noworodkiem, przysłuchując się cichutkim sapnięciom i kwileniom. Każde z osobna potwierdzało niewiarygodny fakt jego istnienia. Dziecko miało mocno zaciśnięte piąstki, pomarszczone świeżo wykształcone paluszki z paznokietkami uderzyły Kate jako pradawny, niepojęty fenomen. Leo ją zdumiewał, był zesłanym skądś darem i zarazem czymś, co w całości należało do nich.

Gdy tylko przy pomocy doktora Abadiego wychynął na świat w jarzeniowym świetle sali porodowej, Kate od razu poczuła, że jest jej. Zrozumiała, że już wcześniej łączyła ich nierozzerwalna więź. Musiała tylko zaczekać na jego narodziny. Nie miało znaczenia, czyje konkretnie DNA złożyło się na ten jedyny w swoim rodzaju cud. Leo był jej.

Jake pocałował ją ciepło w policzek. Też chciał wziąć dziecko na ręce, przycisnąć nowo narodzone ciało do własnego ciała, ale Kate nie była jeszcze gotowa na rozstanie z synkiem. Czuła dojmującą pewność, że nigdy nie zdoła się z nim rozstać tak naprawdę. Gwałtowny prąd przetaczał się w jej krwi. Była teraz silniejsza niż cokolwiek na ziemi, zdolna do wszystkiego, by chronić synka. Macierzyństwo uderzało jej do głowy jak szampan, odbierało zmysły.

- Ma ciemne włoski - zauważyła.

To prawda, główka Leo była przyprószona ciemnobrązowym meszkiem. Kiedy Kate schyliła głowę, żeby ucałować go w czółko, i włosy spadły jej na twarz, ich odcień był identyczny.

\*

W weekendy chodzą na spacerzy nad rzekę. Dzień jest słoneczny i wietrzny - jeden z tych londyńskich dni, które z wnętrza domu wyglądają zwodniczo wiosennie, ale nikt rozsądny nie wypuszcza się na zewnątrz bez swetra i kurtki. Jake niesie Leo w nosidle na piersi; okutana w parkę z kapturem Kate idzie obok, trzymając go za rękę. Od czasu do czasu zerka, czy malec przysypia. Ma już dziesięć miesięcy i prawie udało im się wdrożyć go do rytmu dnia.

Leo kwili cicho.

- Szsz - mówi łagodnie Kate. - Sam wiesz, że jesteś senny. Śpij, kwiatuszku.

Uspokajają go ciche, rzeczowe zdania. Takim samym tonem prowadziła z nim długie rozmowy, kiedy Jake był w pracy – jakby mógł ją zrozumieć. Dwa dni w tygodniu pracowała z domu, korzystając wtedy z pomocy niani, i czasem łapała się na tym, że traktuje synka jak wybitnie pojętnego kolegę. Dopóki mówiła lekko, jakby czytała mu ulubioną bajkę, z zapartym tchem chłonał każde słowo.

W piątek dumnie królował w wysokim krzeselku, z plastikową łyżeczką zaciśniętą w pulchnej piątce i buzią usmarowaną purée z marchwi, oburzony, że ktoś śmiał mu zawiązać śliniak na szyi. Czuła, że mały za chwilę zacznie wrzeszczeć. Specyficzne napięcie karczku i lekko rozszerzone nozdrza świadczyły, że zbiera siły na dziką awanturę.

Pospiesznie zaczęła melodyjną relację z przemyśleń i trosk bieżącego dnia.

- Organizujemy imprezę promocyjną – oznajmiła. - Nie zgadniesz, czego zażądała odtwórczyni jednej z głównych ról... - Zawiesiła głos.

Leo zapomniał o tym, że miał się pieklić, i otworzył szerzej oczy, jakby chciał powiedzieć: „No czego? Mów!”.

- Kazała odmalować cały apartament hotelowy. Stwierdziła, że zapach pomieszczeń, w których ktoś już mieszkał, działa jej na nerwy. Wiem! Odjazd, nie?

Leo walnął łyżeczką w plastikową tackę.

- Widzę, że się zgadzamy, kolego – stwierdziła Kate. - Odmówiłam, a ona zagroziła, że się wycofa, i teraz mamy problem... - wyjęła Leo z krzeselka i posadziła sobie na kolanach – ...z którym nie wiem, co, u diabła, zrobić. Tak, kwiatuszku. Nie wiem. Mamusia jest w kropce.

Usta dziecka wygięły się w uśmiechu. Zachichotała, a Leo oparł główkę o jej obojczyk. Nie знаła lepszego uczucia.

Pierwszych parę miesięcy graniczyło oczywiście z koszmarem. Choć w teorii wiedziała wszystko o deprywacji snu – ba, marzyła o takich chwilach w latach niekończących się prób i porażek – rzeczywistość okazała się brutalna. Ale prawdą było to, co mówiły wszystkie uszczęśliwione młode matki, a co kiedyś tak ją irytowało: nie zamieniłaby się za nic w świecie. Leo był tak drogocennym darem, że po prostu trzeba go było odpracować. Tak nakazywała logika. Odbierz mi sen – chciała mu powiedzieć. Odbierz mi tożsamość, pracę, wieczorne wyjścia, zdolność

skupienia się nad książką, modne ciuchy... Odbierz wszystko, a przekonasz się, że nie dbam o to. Nie istniało zbyt wielkie poświęcenie, nie było ceny, jakiej nie zgodziłaby się zapłacić. Miała swoje dziecko. Nareszcie, po tylu bolesnych latach, trzymała je w ramionach.

Jake, cóż, rzeczywiście okazał się troskliwym, łagodnym tatą, który chętnie wstawał w nocy, żeby nakarmić Leo. Potrafił trzymać go na przedramieniu i podawać mu butelkę tą samą ręką, a drugą sprawdzać maile w telefonie. Sam opracował tę technikę i był z niej dumny. Kiedy na to patrzyła, kochała go jeszcze bardziej.

Podobało jej się to, że dom był teraz pełen dziecięcych przyborów i zabawek: książek z tkaniny, które można miąć łapkami, misiów w krótkich kamizelkach, barwnych mat, piankowych piłek i hałaśliwych grzechotek. W dawnym pokoju Marisy był teraz pokój dziecienny. Zainstalowali w nim półki; leżały na nich muślinowe koszulki, pieluszki i śpioszki. Przed wyjazdem Marisa podarowała im łapacz snów, w którym tańczyły słonie i kolorowe piłeczki. Sama go pomalowała. Powiesili go nad łóżeczkiem, by chwycił światło poranka. Leo wodził wzrokiem za cieniami, jakie łapacz snów rzucał na sufit.

Po powrocie do Londynu Marisa wprowadziła się do Jas. Uzgodnili to we czwórkę. Wiadomo było, że Marisa musiała mieć trochę własnej przestrzeni, a od Jas było niedaleko do szpitala. Przyjaciółka Marisy miała sponiewieranego volkswagena golfa, którym mogła w razie potrzeby wozić ją na badania. Kate i Jake pokrywali czynsz, czasem z górką, kiedy mogli sobie na to pozwolić. I tak wszyscy dotrwali do ostatniego miesiąca ciąży.

- Nie bój nic - powiedziała Jas do Kate, kiedy przyjechała po Marisę. Pakowała właśnie do wozu jej rzeczy. Były to tylko dwie niewielkie walizki i Kate zrobiło się przykro. - Znam ją. Będę nad nią czuwać. Dopilnuję, żeby dbała o siebie.

Kate stała obok na ulicy, krzyżując ramiona na piersi.

- Martwię się, co z nią będzie po porodzie - wymamrotała. - Zależy mi na tym, żeby doszła do siebie.

- Będzie dobrze. Chciała to dla was zrobić, pamiętasz?

- Dobra z ciebie kobieta.

Jas zerknęła na nią ostro.

- Ris jest moją przyjaciółką - ucięła. - Zrobiłaby to samo dla mnie.

Ostatecznie Marisa zaskoczyła ich wszystkich swoją siłą. Kilka miesięcy po narodzinach Leo ruszyła w podróż. Zadzwoiła przed wyjazdem, mówiąc o swoich planach – Kate puściła ją na głośnik. Zamierzała polecieć do San Francisco, a stamtąd wybrać się na południe wybrzeżem Pacyfiku, zwiedzić Meksyk i ruszyć dalej z plecakiem do Ameryki Południowej.

– Zawsze o tym marzyłam – wyznała – a udało mi się odłożyć trochę kasy. Dodatkowo dzięki wam zaoszczędziłam fortunę na czynszu, więc teraz mnie na to stać.

Kate ze zgrozą stwierdziła, że zaraz się rozpłacze.

– Uważaj na siebie, dobrze? – poprosiła, poprawiając wiercącego się Leo. – Jesteś dla nas kimś naprawdę wyjątkowym.

Przez chwilę w komórce słychać było tylko biały szum, a potem odgłos przełykanej śliny.

– Dzięki, Kate. – Głos Marisy był stłumiony. – To dla mnie naprawdę wiele znaczy.

– Informuj nas, co porabiasz – dodał Jake. – Musimy wiedzieć, czy żyjesz.

Marisa parsknęła śmiechem.

– Będę pisać – obiecała.

Dotrzymała słowa: mniej więcej co miesiąc do skrzynki pocztowej wpadała widokówka. A to most Golden Gate, a to opaleni na brąz nurkowie z Acapulco lub gigantyczny Chrystus rozpościerający kamienne ramiona nad górskim masywem. Na odwrocie zawsze pisała to samo: *Żyję i świetnie się bawię! Uściski dla Was i całuski dla Leo.*

Z czasem pocztówki przychodziły coraz rzadziej, aż w końcu przestały. Kate poczuła ulgę, chociaż oczywiście nikomu się do tego nie przyznała. Nigdy nie czuła się swobodnie w relacji łączącej ich troje. To, co razem przeszli, budziło potężny ładunek emocji. Musieli zwiększyć dystans dla dobra wszystkich zainteresowanych. Marisa nie mogła liczyć na stałe miejsce w ich domu.

Pomimo to Kate chciała wiedzieć, że nic jej nie grozi. Od czasu do czasu umawiała się z Jas na kawę w Finsbury Park i tam odbierała szczegółowy raport.

– Jak sobie radzi? – wypytywała. Nie musiała wymieniać imienia, obie wiedziały, o kim mowa.

Podczas jednego z tych spotkań dowiedziała się, że Marisa jest teraz z Australijczykiem, instruktorem jogi, którego poznała na szlaku do Machu Picchu.

- Gość wydaje się spoko - stwierdziła Jas. - Bardzo pozbierany i naprawdę ma dobre serce.

- Ale ona nie cierpi jogi!

- Wiem! - parsknęła Jas. - I to jest właśnie najlepsze!

Krajobraz się zmienia, myśli Kate, kiedy idą we trójkę wzdłuż rzeki. Ich zniekształcone sylwetki odbijają się w lśniących szybach nowych eleganckich apartamentowców. Teraz to już jest ich historia, nie Marisy.

Powiedzą synowi prawdę we właściwym czasie, kiedy będzie wystarczająco duży, żeby zrozumieć.

Powiedzą: „Mamie i tacie potrzebna była pomoc, żeby mieli takiego wspaniałego synka”. Co będzie potem i czy Leo zechce nawiązać kontakt z Marisą - na to już Kate nie będzie miała wpływu. Stara się o tym nie myśleć. Powtarza sobie, że to ona jest matką, a on jej ciemnowłosym syneczkiem, genetycznym psikusiem. Zrobiłaby wszystko, żeby go ochronić. Na pewnym etapie uświadomiła sobie, że siła takiej miłości może wpędzić człowieka w obłąd; że tragicznym paradoksem rodzicielstwa jest to, że musisz wychować swoje dziecko tak, by potrafiło cię opuścić. A co, jeśli to ty nie zechcesz go uwolnić?

W takich chwilach Kate zawsze myśli o Annabelle.

- Dam grosik - mówi Jake.

Kate parska śmiechem.

- Czy ktokolwiek jeszcze tak mówi?

- Ja mówię - stwierdza Jake z powagą, lecz w kącikach jego oczu rysują się wesołe kurze łapki.

Docierają na skraj parku Battersea. Słońce wisi nisko, malując mglistą poświatą nurt Tamizy. Po rzece mkną dwie długie łodzie wiosłowe; osiem sylwetek schyla się tuż nad wodą, ciała gną się i prostują w jednym rytmie. To jedna, to druga łódź wysuwa się do przodu. Ociekające wodą wiosła kroją z cichym pluskiem gładką tafłę.

Kate zagłąda do synka. Powieki już mu opadają, drobne piąstki powoli się rozluźniają. Odpowiada cicho:

- Myślałam właśnie o miłości macierzyńskiej.

- No, no! Grubo.

Kate patrzy mu prosto w twarz, unosząc dłoń do oczu, żeby osłonić je przed słońcem.

- To nie to, że wybaczyłam Annabelle...

- No chyba! - wpada jej w słowo Jake.

- Po prostu myślę, że więcej teraz rozumiem.

Jake odwraca głowę w stronę rzeki.

- Masz w sobie więcej miłosierdzia niż ja - mówi cicho.

Kate kładzie mu dłoń na policzku i zmusza, by na nią spojrzął. Staje na palcach, żeby pocałować go w usta.

- Rozumiem, dlaczego tak bardzo cię kocha. Nie wiem, czy umiałabym się pogodzić z tym, że Leo odbiera mi ktoś, kto mnie nie lubi.

Jake uśmiecha się samymi wargami. Twarz ma zamkniętą, nieprzeniknioną.

- Nie mówmy o tym - prosi. - Niech to będzie miłe popołudnie.

- Okej. - Kate przysuwa się do niego, obejmuje go w pasie. - Kocham cię.

- Ja ciebie też.

Zawsze sądziła, że to w niej jest więcej gniewu. Och, jeszcze długo po tamtej wizycie miała ochotę zamordować Annabelle. Ale po narodzinach Leo uznała, że szkoda energii na podsycanie słusznego oburzenia, i to na odległość. Nie miało teraz paliwa, bo Jake stanowczo zerwał stosunki z rodzicami. Intrygi matki przejęły go zgrozą i wstyd mu było, że nieświadomie wziął w nich udział. Dopiero teraz powiedział Kate, że jego siostry odcięły się od niej właśnie dlatego, że bez przerwy mieszała im w życiu i nie mogły już tego znieść. U Żaby pojawiły się zaburzenia odżywiania. Millie stała się pracoholiczką. Julia, chcąc zadowolić matkę, wyszła za człowieka, który stosował wobec niej przemoc.

- Mama uznała go za dobrą partię - wyjaśnił Jake. - Wiesz, dwuczłonowe nazwisko, polowania na wsi, prywatna szkoła, tego rodzaju bzdety. Już się rozwiedli. Ale to przez to dziewczyny mieszkają tak daleko. Powinienem był ci powiedzieć, ale chyba nie chciałem, żebyś myślała źle o mamie. Byłem głupi, a teraz to ja najgorzej o niej myślę. Przepraszam cię. Bardzo przepraszam.

Przepraszał ją za swoją „słabość” i „nielojalność” tyle razy, że w końcu kazała mu przestać. Znużyło ją ciągle rozdrapywanie przeszło-



ści, stałe dywagacje, co powinien był zrobić zamiast. To nie miało sensu.

- Annabelle potrafi być bardzo przekonująca - stwierdziła. - Postawię się jej i tylko to się liczy.

Zresztą... przecież to Annabelle i Chris im pomogli, gdy najbardziej tego potrzebowali. Czy to ważne, że mógł się za tym kryć nieczysty motyw? W kluczowej chwili, kiedy bali się, że wszystko stracą, rodzice Jake'a stanęli przy nich murem. Mimo wszystko była im za to wdzięczna.

Po narodzinach Leo Annabelle przysłała mu błękitne dziergane butki. Koperta była zaadresowana do Jake'a. Dołączoną pocztówkę wyrzucił bez czytania, a bućki wepchnął do kuchennej szuflady, w której trzymali zapasowe baterie i gumki. Wciąż tam leżą w ozdobnym plastikowym opakowaniu, choć od dawna są już za małe. Ilekroć Kate je widzi, myśli, że Annabelle pamiętała, kiedy ich syn przyjdzie na świat.

Wie, że nie może naciskać Jake'a. Sam musi się uporać ze swoim bólem. Sam, bez jej pomocy, dojść ze wszystkim do ładu. Być może z czasem zrobią rodzicom Jake'a trochę miejsca w swoim świecie, żeby Leo mógł poznać dziadków. Na razie nie ma takiej potrzeby. We troje stanowią zamkniętą całość. Rodzinę idealną.

Dochodzą do Pagody Pokoju na skraju parku. Dwuwarstwowy dach przypomina damę z epoki wiktoriańskiej, która unosi brzeg sukni. Kate czytała gdzieś, że pagodę podarował Londynowi japoński mnich, który po tragedii Hiroszimy i Nagasaki poprzysiągł poświęcić resztę życia na budowę świątyń pokoju. Patrzy na siedzącego w środku Buddę. Złoty posąg lśni czystym blaskiem jak świeżo wybita moneta. Pokój - myśli Kate. Teraz wie, co to jest. Kładzie dłoń na główce śpiącego synka i czuje jej ciepło.

- Wracamy do domu? - pyta.

- Jasne - odpowiada Jake.

Dziecko śpi wtulone w jego pierś. Kate idzie wtulona w jego ramię. Powoli wracają tam, skąd przyszli, a złoty Budda odprowadza ich wzrokiem.



# Podziękowania

Większa część tej powieści powstała wiosną 2020 roku, w czasie pierwszego ogólnokrajowego lockdownu związanego z pandemią COVID-19. Nie jestem pewna, jak bym sobie poradziła bez mądrych, spokojnych, szczodrych, serdecznych i zabawnych rad mojej ukochanej redaktorki Helen Garnons-Williams. Chociaż nie pracuje już w 4th Estate, jednym z jej ostatnich zadań przed odejściem było nadanie kształtu *Sroce* i jestem jej za to dozgonnie wdzięczna. Również za to, że zostawiła mnie w fachowych rękach cudownej Michelle Kane, która odziedziczyła w spadku mnie oraz moją pisaninę i wykonała kawał dobrej roboty, by sroka wyfrunęła w świat (a także wysyłała mi ratunkowe zdjęcia kotów na WhatsAppie).

Moja agentka Nelle Andrew walczyła o mnie na niezliczonych polach bitew. Mogę uważać się za szczęściarę, że mam ją po swojej stronie – w życiu i w literaturze.

Naomi Mantin to niezrównana publicystka, lecz stała się dla mnie także drogą przyjaciółką. Dziękuję Ci za wszystko, co robisz – a to, co robisz, znacznie wykracza poza zwykłą konieczność.

Dziękuję Liv Marsden za wybitny kunszt marketingowy, a graficze Jo Thompson za przepiękną okładkę. Jestem wdzięczna Amber Burlinson, mojej ulubionej redaktorce tekstu, i Katy Archer za nadzór nad projektem. W Irlandii serdecznie dziękuję Ciarze Swift.

Uwielbiam mego wydawcę i jestem wdzięczna również wszystkim, dzięki którym zawsze czułam, że znajdę tam wsparcie. Sami wiecie, o kogo chodzi. Zaręczam, że nigdy nie traktowałam Waszej ciężkiej pracy jako czegoś, co mi się należy.

Emmo Reed Turrell, masz w sobie wszystko, co kiedykolwiek pragnęłam znaleźć w przyjaciółce – i o wiele więcej (tak, to była aluzja do Leanne Hainsby).

Jeśli to czytacie, wiecie już, że w książce występuje niespodziewany zwrot akcji. Z tego powodu bardzo uważałam, komu się zwierzam. Ale Lisa Albert jako jedna z pierwszych upewniła mnie, że dobrze robię, podobnie Dolly Alderton. Dziękuję Wam obu.

Dziękuję moim rodzicom - tacie Tomowi za konsultacje medyczne dotyczące dawkowania farmaceutyków, a mamie Christine za jej dobroć i za to, że stara się być moją pierwszą czytelniczką.

Dziękuję moim kochanym przyjaciołom. Co ja bym bez Was zrobiła?

Dziękuję wszystkim kobietom, które opowiadały mi o swoich problemach z płodnością. Czuję się zaszczycona tym, że podzieliłyście się ze mną swoimi historiami. Widzę Was.

I wreszcie dziękuję Justinowi. Sporo przeszliśmy w czasie, gdy pisałam tę książkę. Każdego kolejnego dnia sprawiałeś, że czułam się kochana. Wciąż tak się czuję. Dziękuję Ci za to i za pokazanie mi, że w życiu najszcześniejsze zwroty akcji przychodzą wtedy, gdy przybierzemy właściwe tempo.

Londyn, kwiecień 2021 roku

Marisa i Jake to para niemal idealna.  
Do pełni szczęścia brakuje im tylko dziecka.  
Ze względu na przejściowe problemy finansowe  
postanawiają wynająć pokój w swoim domu  
i cierpliwie czekać na powiększenie rodziny.  
Wtedy w ich życie wkracza Kate.



Marisa uważa, że relacja lokatorki z Jakiem zaczyna być zbyt intymna, a Kate czuje się w ich domu swobodniej niż ona sama. A może tylko tak jej się wydaje?  
Kim właściwie jest ta kobieta? I skąd zna tyle szczegółów z życia pary? Marisa musi to odkryć. Ma jednak świadomość, że wtedy może zniszczyć wszystko, na co tak długo czekała...

*Sroka* to pełna napięcia i nieoczywistych zwrotów akcji opowieść o pragnieniu bycia matką, o obsesji i toksycznych relacjach rodzinnych. A także o cenie, jaką trzeba zapłacić za spełnienie marzeń.

Fot. © Jenny Smith



**ELIZABETH DAY** – wielokrotnie nagradzana angielska dziennikarka, autorka popularnego podcastu *How to Fail* i bestsellerowego poradnika o tym samym tytule, prezenterka audycji radiowych i telewizyjnych, uznana przez krytykę pisarka. *Sroka* to jej piąta powieść.



Książnica

[www.publicat.pl](http://www.publicat.pl)

ISBN 978-83-271-6282-3

EAN 9788327162823

U.KS.THR003.1.01.01

